

STANISŁAW

DEJCZER

Strach

Wydawnictwo Morskie

Gdańsk 1985



Spis treści

Spis treści.....	2
Naga.....	3
Rewolwer	5
Szczury i nóż.....	14
Gra w chowanego.....	19
Ranny.....	31
Wuj	39
Oczy.....	46
Pułapka	52
Port	69
Hodowla garbatych.....	83
Kwadratura trójkąta.....	97
Czyn.....	117
Instytut Wodny.....	135
Święto	161
Królik do zabicia	185
Sztuczna szczęka	193
Ucieczka.....	203
Pętla	216
Pożar	222
Odjazd.....	232
Pogrzeb	246

Akcja i bohaterowie książki są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest przypadkowe.

Naga

Obudził go szklany hałas za drzwiami. A później głośne przekleństwo wypowiedziane kobiecym głosem. Po chwili ten sam głos: „przepraszam”. I chichot. Wyraźnie chichot, a nie śmiech.

Wracając ze snu próbował ustalić kolejność wczorajszych obrazów: pociąg, rozmazane zmęczeniem twarze, bezręki inwalida wojenny, medale, rogatywka - gra na ustnej harmonijce umocowanej drutem do szyi, przeciskający się korytarzem podróżni ciągną pakunki, przewracają inwalidę, krzyki, krzyki, duże miasto za oknami. Wysiadł. Cisza. Gazowe latarnie. Zza jakiegoś muru - przytłumiona mgłą syrena statku.

Bolał go brzuch - jak zawsze, gdy stykał się z nieznanym. Szedł. Sprawdził w notesie adres, długo szedł. Obco i ciemno. Stanął przed bramą domu, tu będzie mieszkał. Tu? Kasztany wyrastają nad dach. Drzewa przyjął od razu, ale dom? Ani willa, ani kamienica, długie balkony, wysokie kominy, dziury w tynku widoczne nawet w mroku - od pocisków, spory kaliber - myślał, żeby wczepić się w realia, żeby odwlec wejście, nie lubił nikogo absorbować sobą, może za późno? Lepiej pochodzić ulicą do rana, rano ludzie są łatwiejsi. Wejść. Ma przecież klucze.

Wuj - omszały nauką archeolog, wyjeżdżając na kilka lat za granicę, przyciśnięty przez matkę Adama ciężkimi argumentami rodzinnych powinności, zgodził się powierzyć mu swoje mieszkanie-muzeum, pełne kardynalnych dzieł sztuki! - moja żalosna sestro! zbieranych z narażeniem mojego cennego życia! - pokrzykiwał wuj, machając im przed nosem (Adam obok pełen czci) żółtawym paluchem i opluwając serdeczną śliną. - Niech ten młody profan przesunie mi jeden mebel, nie mówiąc już o ewentualnym sprzeniewierzeniu którejs z zgromadzonych tu statuetek, muszli czy innych moich ulubienic, to po moim powrocie nie cofnę się przed bezkompromisowym zwichnięciem mu życiowej kariery! Wbij sobie to do łba siostrzeńcze - tu pogłaskał Adama po włosach tak jakoś przemyślnie rozcapierzając palce, że ten zaczerwienił się z bólu, wuj zmarszczył przy tym swój rosochaty

nos i nie wiadomo było, czy pozwolił sobie na przewrotny żart, czy też niezdarnie wyraził od dawna skrywany sentyment rodzinny.

A ponieważ ten samotnik-ekscentryk-zakała - wyklęty przez rodzinę za liczne garby na tradycyjnej moralności - dawał w swoim mieszkaniu schronienie indywiduom obojga płci - jak mawiały ciotki Adama, pokaszując z odrazą - więc dlatego on stał teraz pełen wahań przed bramą tego domu, pełen nocnego chłodu i niepewności. Wszedł. Na szczęście w mieszkaniu była tylko dziewczyna.

Obudził się, zerwał z łóżka na dźwięk tłukącego się szkła i słowa „przepraszam” skierowanego nie wiadomo do kogo, bo przecież w tym przejściowym pokoju, przez który zmuszony był prześlizgnąć się wczoraj późnym wieczorem, mieszkała tylko ta dziewczyna. Była uprzedzona o przybyciu Adama - oczywiście, proszę się rozgościć, ja jutro, pojutrze wychodzę za mąż, cha, cha, śmieszek jej nonszalancki zawisł w przedpokoju, długim ciemnym, zakurzonym (stosy szaf, jedna na drugiej, o różnokolorowej inkrustacji i czarnych szczerbach).

Chyba do niego skierowane było to „przepraszam”, bo do kogóż by? Tymczasem drzwi powoli zaczynają się otwierać, ledwo zdążył skoczyć z powrotem pod kołdrę, ona już wychyliła się z tamtego pokoju. Zupełnie naga, niewątpliwie przecież naga zupełnie. Wytrzeszczył mimo woli ponocne oczy, ona podeszła nieco bliżej, swobodnie, w całej swojej proporcjonalnej cielesności, promieniowała ciepłem, innością, stała o pięć kroków zaledwie i nic, jakby pozapinana na ostatni guzik.

- Przepraszam, ale pan wczoraj prosił o obudzenie...

- Tak, tak - potwierdził, a czaszka pusta, zimno, obco mu się zrobiło nieoczekiwanie. Też był nagi mimo szczelnie naciągniętej kołdry, jeszcze bardziej nagi niż ona.

- Proszę uważać na maszynkę w kuchni, gaz się ulatnia, bułki w kredensie, to ja nie przeszkadzam, będę wieczorem - mówiła tonem przewodniczki wycieczki i nagle wycofała się, znikła. Pozostał mu tylko w uszach szmer skóry ocierających się o siebie ud.

Nigdy nie czuł się bardziej zgubiony w swoim świecie traw, ptaków i bolących nadziei.

Ubrał się szybko, zamierzał napisać krótki list do Z., ale zrezygnował. Usiadł na łóżku, wstał, usiadł, wstał. Nie chciał spotkać tej dziewczyny w przejściowym pokoju. Ostrożnie zapukał, przyłożył ucho do drzwi. Nic. Może zaczęła się za meblem, zupełnie nie wiadomo, czego się można po niej spodziewać. Jeszcze raz zapukał, gwałtownie otworzył drzwi. Nikogo. Chwila ulgi, ale tylko moment, bo zaraz nadciągnęła druga fala niepokoju: o której miał się zgłosić w redakcji? O ósmej? Siódmej? Dziewiątej?

Rewolwer

Był wczesny dzień kwietniowy nazywany prima aprilisem. Szedł do pracy pierwszy raz w życiu.

Ulica, domy, drzewa, ulica, strach.

Szybciej.

Niepewność i Strach.

I nagle zdarzyło się coś, co przybrało w jego pamięci kształt symbolu.

Na środku jezdni trzy czarne koty wpatrywały się w siebie z elektryzującą uwagą. Koty prześladowały go od dzieciństwa. Tamte trzy były zatrute. Stara historia.

Z bocznej ulicy wyjechał samochód. Ruch na jezdni był mały w latach powojennego rozpoczynania. Obejrzał się ciekawie. Dzwoniący blachami pojazd zbliżał się ze znaczną prędkością. Zwarty trójkąt kocich namiętności trwał w bezruchu. Kierowca zatrał, koty nic. Adam odwrócił głowę, żeby nie patrzeć, ruszył biegiem przed siebie. Zatupać ewentualnego pecha, dopaść realnej bramy rozgłośni radiowej. Ale nie wytrzymał, obejrzał się. Na jezdni koty siedziały nadal łeb w łeb. Wola utrzymania gatunku ostała się między pędzącymi kołami.

Odetchnął. Wtedy rozległ się huk. Samochód uderzył w słup latarni. Może kierowca też obejrzał się, ciekaw widoku kociej plamy na jezdni?

Skręcił w przecznice, biegł byle dalej. Uparta wróżba goniła go echem jęku kotazalotnika.

Kwietniowy poranek trwał nad miastem w obojętnym przymgleniu.

Po chwili - zziązany i półprzytomny wchodził do secesyjnej willi, gdzie mieściły się redakcje. Dyszał ciężko. Było kilka minut po ósmej, pora uświęcona dyscypliną pracy minęła. Naciśnięcie klamki drzwi wejściowych kosztowało go kilka dni życia.

W hollu za szybą siedział człowiek z pistoletem u pasa, pod nosem gęsty wąs przetykany siwizną, znak bliskiej emerytury. Wzrok strażnika jednakże mocny jeszcze, badawczy.

Chwila wahania. Adam nie miał żadnego papieru ze stemplem, który mógłby służyć

zadowolić. Uzgadnianie z nim formalności potrwać może długo, a w redakcji czekają. Był zaanonsowany przypuszczalnie na ósmą, on - nowicjusz, robak, nikt.

Błyskawicznie sprężył się.

- O! Rewolwer fruwa panu nad głową! Tam! - krzyknął desperacko.

- Kto?! - zainteresował się strażnik. Odruchowo zadarł głowę.

Adam skoczył w kierunku schodów.

- Wyżej! W rogu! - odkrzyknął już z bezpiecznej odległości, kiedy strażnik jął macać ręką kaburę. - Prima aprilis. Prima aprilis! - I zniknął strażnikowi z pola widzenia.

Po obu stronach korytarza rysowały się w półmroku rzędy drzwi. Kiedy otwierał na chybił trafił któreś z nich, dobiegł go jeszcze krzyk strażnika:

- Stać! Stać! Przepustka! Przepustka!

I w tym momencie Adam usłyszał cichą muzykę. Była jak oddech motyla, tym bardziej balsamiczna, że kontrastowała z piekłem na parterze wszczętym przez stróża bramy. W pomieszczeniu, w którym się znalazł - od podłogi po sufit stały półki ze stosami płyt i taśm magnetofonowych. Na wyleńiałym dywanie siedział chłopak - włosy kręcone, bardzo jasne - i dyrygował koncertem fortepianowym płynącym z głośnika. Ruchy rąk miał precyzyjne, nakazywał raczej pianiście kadencje, niż podążał za nim. Nawet nie obejrzał się na Adama, owszem, zerknął kątem oka i tyle. Profil drapieżnego ptaka harmonizował z zapamiętaniem, z jakim prowadził koncert. Tutti orkiestry narastało melodyjnym szumem niewidzialnych lasów, dyrygujący coraz szerszymi ruchami ramion starał się wzmóc pełne brzmienie, unosił się niemal z podłogi, kołysał do taktu głową, znał każdą nutę na pamięć jak rzeczywisty dyrygent.

Adama przebiegł dreszcz. Coś niewytłumaczalnego działo się w tej ciasnej płytoce. Wyteżył wzrok, chciał zobaczyć każdy szczegół, sprowadzić wszystko do zwykłych wymiarów, odnadzwyczajnić zdarzenie, bo niby co w tym dziwnego, że jakiś człowiek siedzi na podłodze i udaje dyrygenta, słuchając koncertu ze zwykłej płyty. I wtedy właśnie po raz drugi przebiegł Adama dreszcz. Dopiero teraz zauważył, że zamiast palców dyrygent miał szpony, to znaczy może niezupełnie, ale jakby palce pozastygały mu sztywno w różnych fazach skurczu. I te szpony zakłóciły konwencjonalny prostopalczy świat Adama.

Muzyka koncertu dochodziła do burzliwej kulminacji, by u jej szczytu eksplodować potężnym akordem fortepianu.

Za drzwiami na korytarzu zadudniły szybkie kroki, ktoś biegał tam i z powrotem, trzaskały jakieś drzwi.

Chłopak wstał szybko, choć z wysiłkiem, przekręcił klucz w zamku. Sztywno kulejąc,

podszedł do Adama, uśmiechnął się, wokół dużych zielonych, niemal kobiecych oczu rozsunęła się siatka zmarszczek. Wyglądał jak ucharakteryzowany na starszego od siebie.

- Cze... eść, jestem Ro... ro... oman. A ttty kto? - Bardzo się jąkał.

Adama onieśmiałą dziwność tego chłopaka, nowo poznanego a jednak bliskiego. Energicznie zapukano do drzwi. Roman położył szponiasty palec na ustach.

- Nie ma nas - szepnął.

Ktoś szarpnął klamką z tamtej strony, po chwili kroki oddaliły się.

- Szukają - mówił Roman ciągle uśmiechając się, świadomy do bezczelności swojej wady wymowy. - Tu zawsze ktoś kogoś szuka.

- Jestem nowy - rzekł Adam, korzystając, że chłopak manipuluje przy adapterze. - Uczelnia skierowała mnie do rozgłośni.

- A to ty - ucieszył się Roman. - Mówili, że masz pracować ze mną i Robertem. Ale jak tyś trafił tu do płytoteki?

Opowiedział mu o incydencie ze strażnikiem.

- Niedobrze - rzekł tamten po namyśle. - Strażnik-emeryt to żyła. Już pewno sporządza raport.

- Raport? - Całą skórą Adam odczuł panikę. Jakaś siła wplątywała go w tryby nieznaney maszyny. Dotychczasowa swoboda kurczyła się rozpaczliwie szybko.

- Wszedłeś do gmachu bez przepustki, a tu ceregiele, kto przyszedł, kto wyszedł, po co, do kogo.

- I co będzie?

- Lepiej zgłoś się sam do sekretariatu. Poczekaj! - Roman machnął dziwną ręką. - Spokojnie. Najpierw posłuchamy Gieseekinga, co?

- Nie znam.

- Konce... cert a-mol Griega w jego wykonaniu dobrze ci zrobi na początek. - Puścił niegłośno płytę.

- Coś jakbym kiedyś słyszał - szepnął Adam i spiekł raka ze wstydu, że brnie w banał.

- Taka muzyka odgłupia. Sam bym zagrał, ale teraz byłoby mi trudno. - Uniósł nad głowę szponiaste dłonie. I zachichotał.

Adam wbił wzrok w podłogę. Znów fala obawy. Jeżeli nie zespoli się teraz od razu z tym Romanem, straci pierwszy punkt oparcia w nowym, obcym środowisku. Wściekła ośmiornica - nieśmiałość, atakująca go od dzieciństwa nie pozwalała zapytać o przyczynę kalectwa. A tak byłoby najprościej. Mógłby naturalnością odpowiedzieć na naturalność Romana. Czuł na sobie jego wzrok, spod oka, ale nie ukrywany, jakby nawet spod oka

przymrużonego życzliwie, a może ironicznie? Nie był pewien, spocił się, pogubił. Znów okaże się nijaki, a chciałby chociaż częściowo dorównać temu kalece, mógłby tu zaraz oślepnąć albo żeby mu wyrósł garb. Związałby się tym garbem z pokrzywionymi palcami Romana i już koleżeństwo mogłoby na tej więzi zakiełkować. Co za męka, nic nie wkłęsa, nic się nie wypucza. Roman - z wysokości swojego autentycznego kalectwa lada chwila znów mrugnie okiem i unicestwi niedoszłego garbusa, a mrugnięcie pozostanie, tego już się nie wymaże z pamięci. Pęknie magiczna sekunda zadzierzganania, w której dwa osobne światy albo się miną, albo się nie miną, o co przecież głównie, do diabła, chodzi w tym życiu bolesnym. Więc stojąc nad urwiskiem imienia Męki Podejmowania Decyzji i patrząc nadal w dół, powiedział Adam cicho:

- Słuchaj, chciałbym cię zapytać... - i uniósł nieznacznie rękę, spojrzawszy Romanowi prosto w oczy. Nareszcie.

Roman roześmiał się: - Bardzo dobrze, no bardzo, czekałem, jak to zrobisz, bo różni różnie się do tego zabierają i wtedy wiem, kto jest kto.

Mówił to po swojemu, czyli okropnie jękając się, więc trwało to długo i było uciążliwe. - Oczywiście opowiem ci, siadaj. Urządził mnie jeden taki, co lubił patrzeć, jak gram na fortepianie, a dobrze grałem, miałem mocne palce mimo czternastu lat. Ale trafił chciał, że on też grywał. Co? Nie, on grał na skrzypcach, ale gorzej niż ja na fortepianie, choć udawałem, że to ja gram gorzej, lecz on się na tym poznał, znawca był. Pewnego wieczora, kiedy graliśmy w duecie i już myślałem, że wygrałem swój los, jemu musiał wpaść świetny pomysł do głowy, żeby mnie zacząć szkolić inaczej, odwrotnie, według jego prywatnej metody arcymistrza, nadczołowie... ekkka...

- Rozumiem! - wtrącił szybko Adam. Nie mógł wytrzymać tego jękania.

- Nic nie rozumiesz, takie sprawy są niepojęte dlatego, kto nie był tam. No więc temu facetowi chodziło o to, żeby mnie nauczyć grać na fortepianie coraz go... orzej.

- Jak?

- A widzisz. On był wyjątkowy, wybitny pedagog. I skrupulatny jak zegarmistrz. Myślisz, że taki nie może nauczyć grać coraz gorzej? Bez udawania i nieodwracalnie? On udowodnił, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych, bo to był ktoś! Ktoś w odwrotnym znaczeniu, rozumiesz? To dobrze, ale nie wierzę ci, bo kto tam nie był, nie zrozumie.

Roman zorientował się, że Adam kurczy się pod naporem opowieści i zachciało mu się jeszcze bardziej bryknąć przed nowym kolegą, tym bardziej, że miał atuty wyjątkowe. Zaczął więc mówić jak ktoś, kto źle opowiada dobry dowcip, czyli chichocząc naprzód z treści. Jękanie się Romana i puszczona przez niego płyta z koncertem Griega - dopełniały

kakofonii nastroju.

- No, więc ten wielki artysta skrzypek, chi, chi, podczas naszego wspólnego grania, proszę cię, łamał mi przy pomocy smyczka jeden palec u ręki, co wieczór jeden, uderzał sztywną stroną smyczka w mój kolejny palec, to bardzo proste, co? W dodatku nie przerywając mi gry. Przez wrodzoną subtelność nie chciał przerywać mi tego grania, a mnie nie wypadało przerywać, żeby JEMU nie robić przykrości. Wyrafinowany miał smak. I rewolwer też miał, chi, chi. Po naszym wspólnym recitalu, kiedy wolno mi już było popłakać trochę z bólu - on do mnie mawiał tak: Z prawdziwym artystą, takim jak ja, mein Schatz, trudno jest grać w duecie nawet tak ambitnemu dziecku jak ty, nicht war?

Adam pogubił się, stracił grunt. On, jałowy, grzeczny dyletant bez przeszłości wobec rówieśnika bohatera.

- Pojmujesz? - ciągnął Roman już bez pozy. Przez całą wojnę, pięć lat, trzecią część mojego życia byłem w obozie. Lubawa. Konzentrationslager dla krasnoludków. A ten artysta był TAM komendantem. No, leć do sekretariatu, zamelduj się naczelnemu. A jakby czepiał się, powiedz że... czy ja wiem co? Wymyśl coś najgłupszego. Poważnie. I upieraj się przy tym - choćby naczelnemu zzieleniał. Ja go znam. Najważniejsze, mieć konsekwentną metodę na całą tę karuzelę. Inaczej pożą cię i przetrawią na miazgę.

- Spróbuję - odrzekł i spociał się ze strachu. Dużo by dał, żeby znaleźć się w tej chwili na pustej łące, gdzie każdy badył byłby tylko normalnym badylem a żaden najdziwniejszy nawet robak nie oczekiwałby inteligentnego zrozumienia jego robakowatości, gdzie wszystko by jednoznacznie kwitło, pachniało, łąziło sobie bzdurnie w tę i z powrotem, byle jak i byle gdzie.

Poszedł do sekretariatu jak do rzeźni. Sekretarka lalka-zabawka, usta obrysowane płaczkowym grymasem, wzrok posępnego buldoga. Starał się nie zajmować wiele miejsca swoją osobą, mróz obawy przed śmiesznością ścinał mu krew. Słabym głosem poprosił o rozmowę z naczelnym redaktorem. Sekretarka wskazała brodą krzesło pod ścianą. Czekał, w głowie dziura. Tymczasem ona zadzwoniła do kogoś, nie spuszczając wzroku z petenta.

- Tu sekretariat. Co? Nie. Owszem. Tak. Jasne. Proszę. W porządku. - Odłożyła słuchawkę, gapiała się na niego lekko, trzymała tym spojrzeniem jak ręką za gardło. Powoli, skutecznie pąsował.

Nagle nieśmiało wsunął się do sekretariatu strażnik w mundurze; szpakowaty wąs, śledcze oczy. Adam wrósł głębiej w krzesło.

- To ten! - radosny okrzyk, po czym diametralna zmiana tonu, dojmujący ból w głosie:
- Wprowadził w błąd, zbecześcił funkcjonariusza na posterunku. Tu w raporcie opisałem.

Położył przybrudzoną kartkę na biurku. - Duplikat posłałem przez gońca do naszego komendanta straży - uśmiechnął się krzywo.

- Dziękuję, panie Rozpłyń. Może pan odejść.

- Tak jest - dumnie zaszalutował i zaczepiwszy w półobrocie butem o chodnik, potknął się, po czym opuścił pomieszczenie.

Sekretarka zagłębiła się w lekturze kartki, a po przeczytaniu końcem trzymanego ołówka zsunęła ją do szuflady. Odwróciła się na obrotowym fotelu w stronę okna i tak trwała czas jakiś.

Minuty oczekiwania kapały na wierzchołek czaszki Adama, złościąc w niej dziurę coraz głębszą.

Naczelnny wszedł raptownie i od razu wypełnił sekretariat. Adam wstał. Powietrzem targnęło kichnięcie zwierzchnika. Sekretarka życzyła zdrowia.

- Dzięki, pani Zofio, pogoda jak w maju, katar z grudnia, były do mnie telefony? a to kto? aha, co? nowy, witam, niech pani zawiadomi redakcję, kolegium jutro, jedenasta, a co z Wiśniewskim? Potrącić z poborów, dużą kawę poproszę, wejdźcie, kolego, bez ceregieli, tu jak w głównej kwaterze, no.

Sekretarka zrobiła tajemniczy gest głową w kierunku Adama, naczelnny zamilkł na moment, porozumieli się wzrokiem.

- Wejdźcie, kolego, do gabinetu, śmiało, zaraz tam przyjdę.

Wszedł szybko, żeby nie zauważyli drżenia jego spodni. Zza półprzymkniętych drzwi doleciało dyrektorskie no, no, później znów coś sekretarka i tak na przemian. W nieskończoność. Napór wrażeń tak spustoszył wewnątrz Adama, iż wkroczenie naczelnego przyjął już niemal obojętnie. Dyrektorstwo kipiało teraz pianą dostojeństwa.

- Cóż to, panie kolego, dowiaduję się? - zaczął od progu, zamykając za sobą dokładnie drzwi. - Myślałem, że przysłano mi kogoś odpowiedniego, a tymczasem wy szydźcie...

- Ja wyjaśnię! Dziś jest prima aprilis, zażartowałem sobie tylko z rekwizytu, nie z człowieka.

- Ccco? - przerwał mu sycząco naczelnny i szarpnięciem rozluźnił sobie krawat. - Żarty z broni palnej?! Może wy w ogóle nie czujecie więzi ze sprzętem obronnym, a? Dobrze, że tu trafiliście, poznać mnie lepiej, jeżeli będzie okazja, chyba, że kolegium redakcyjne was nie zaakceptuje, nie uważacie? Przedtem jednak odpowiecie karnie za wrogi stosunek do powagi instytucji publicznej. Instytucja zaczyna się już od schodów.

- Nnnie rozumiem... to znaczy...?

- Jest dowód na piśmie. Tu w raporcie napisane: szydził przy użyciu śmiechu z

paragrafu numer 15 przepisów o strukturze urzędów państwowych.

Adam zbladł. W ciągu ostatnich sekund krańcowa desperacja zaczynała utwardzać mu kręgosłup, tak, iż raptem poczuł jego nieznaną dotąd prężność. Uniósł się z krzesła. Zamigotały mu w pamięci słowa Romana.

- Bardzo przepraszam - zwrócił się już niemal bez strachu do osobistości zza biurka. - Ale nie widziałem żadnego strażnika, nikt mnie nie zatrzymywał.

- Jak? - zadudnił tamten, jakby przelykał rurę.

- Na pewno nie! - rozpędzał się Adam. - Nikt mi niczego nie zakazywał, nikt mnie nie zatrzymywał.

- Coś takiego! - naczelny skrzywił się z politowaniem.

- Ja ominąłem wartownię, dostałem się tu przez okno... - rzekł i zamarł.

- Że co? - naczelnego zaczynało to bawić. - No, no, wysoko podskakujecie, tu drugie piętro! - rozkaszał się wewnętrznym śmiechem.

- Dla mnie nie ma przeszkód - brnął Adam półprzymtomnie. - Mogę i na czwarte.

- Ha! Teraz zaczynasz mi się podobać, młody człowieku. I co mi jeszcze powiesz, no? Powiedz coś, powiedz!

Adam nabrał powietrza w płuca i wyrecytował z naciskiem:

- Ja mam skrzydła.

- Słucham? - Postać za biurkiem przestała podrygiwać. - Nie dość, że jesteś głupi, to jeszcze i bezczelny! No, ale dalej, dalej, co jeszcze. No?

W powietrzu zawisło coś żalnego.

Rysy Adama zaostrzały się. Walczył o ostatnią redutę. Musiał tę pracę dostać. Z. i Mercedes czekają na to.

- ...Owszem, chitynowe mam, składane, specjalne skrzydła.

- Specjalne? Cha, cha! Pokażcie dobry człowieku, śmiało! Zdejmijcie kapotę, nie krępujcie się!

- Nie pokażę - zaciął zęby.

- Czemu? A może mojej sekretarce pokażesz, co tam masz! Cha! Cha!!!

- Nie pokażę, bo... bo to jest tajemnica państwowa, proszę was - zakończył lodowato, wpatrując się w naczelnego oczami bandyty, a ponieważ jedno oko wpadło mu w nerwowy tik, więc je przymrużył i mrugał tak czas jakiś, patrząc dalej wprost w oko tamtego.

Naczelny z wolna przestawał się śmiać. Przelknął głośno ślinę.

Adam nie czuł nic, był nieobecny. Jego cielesna powłoka zapaliła powoli papierosa i zaciągnęła się ze smakiem. Duch natomiast wstępował w nieznaną dotąd najwyższe rejony,

zastrzeżone wyłącznie dla istot szczególnie wyróżnionych przez los, uświęconych poczuciem władzy, w rejonach, gdzie wszystko lśniło słusnością, a byle jaka nawet bzdura owinięta sztandarem patosu radości waliła w łeb logikę.

- Byłoby lepiej... - rzekł Adam dobitnie nienaturalnym basem niby brzuchomówca, nie zdając sobie nawet sprawy ze znaczenia słów gdzieś kiedyś zasłyszanych lub przeczytanych - ...żeby wam też wyrosły skrzydła, przydatne w każdych warunkach i oczywiście tajne. Tak byłoby lepiej dla was, redaktorze naczelny, czy jak wam tam. W przeciwnym wypadku, to znaczy bez uskrzydlenia możecie okazać się niepełnowartościowym redaktorem naczelnym, rozumiemy się, co? No, to tyle.

I stało się, że w tym momencie dziwnym Adam-Nieadam, żeby zgnieść w sobie do reszty Adama i zaprzeczyć się go, splunął siarczyście na dywan.

W gabinecie zapadła cisza przerywana tylko dialogiem szybkich oddechów oraz krakaniem ptactwa za oknem na drzewie, w którego konarach dokonywał się także cud. Cud narodzin pierwszych wiosennych pąków. Kończył się właśnie prima aprilisowy poranek, obowiązywał czas gumowej prawdy i rzeczywistej odbudowy kraju. Było wtedy możliwe wszystko, a nawet nieco więcej.

Adam z wolna trzeźwiał z euforii nawiedzonego władzą, opadał coraz niżej, aż dotknął twardego gruntu rzeczywistości, wcisnął się z powrotem w swoją cherlawą skorupę, owinął pośpiesznie kokonem nieśmiałości. Naczelny w tym momencie odbywał drogę w kierunku akurat odwrotnym. Kiedy ich psychiki skompensowały się, powiedział wbrew swojej woli do siedzącego przed nim w skromnej pozie młodego człowieka:

- Ciepła wiosna latoś idzie...

- Ciepła - odrzekł z pewnym wahaniem Adam, mozolnie poruszając wargami.

- A wczoraj padało, co?

- Padało.

- A co tak w ogóle słyhać?

- Dziękuję. Nic...

- To i bardzo dobrze. Myślę, że mniej więcej, o to chodzi. Życzę powodzenia w pracy na nowym stanowisku młodszego redaktora.

Zwany odtąd młodszym redaktorem wstał powoli z krzesła, uklonił się krzywo i wyszedł.

Od tego też czasu zaczął uważać metafizykę za potężny czynnik w życiu społecznym. Jednak jako materialista z wykształcenia nabrał do siebie niejakej odrazy.

Po zarejestrowaniu się w wydziale personalnym, gdzie każdy z trojga urzędników miał

wytrzeszczone oczy rozduszonego kota i gdzie panował mróz mimo ciepłego dnia - pojechał tramwajem nad morze.

Ta ruchoma płachta wody czyniła zawsze z jego wnętrzem najróżniejsze sztuczki. Nie potrafił ich nazwać, a nawet nie miał na to chęci. Idąc wilgotnym brzegiem - zapłakał z głębi piersi nad swoim losem. Po chwili płacz zmienił się w cichy śmiech, najbardziej szczery, bo samotny.

Raptem wzruszenie nad sobą przeszło mu jak ręką odjął. Korzystając z chwili wewnętrznej ciszy, wszystkimi komórkami ciała jał wchłaniać słoność pluszczących hektarów. Pusta przyjazna plaża wpełzła w jego organizm najśłodsza słodyczą wolności, rozlewała się po całym ciele bezsprzecznym szczęściem niemożliwym do przeżycia w okolicy bezwodnej. Co kilka chrzęszczących piaskiem kroków przełykał zdziwienie, że wolno mu pływać się swobodnie w tej niepilutowanej przez nikogo rozkoszy, jaką stwarzała wielka, niczyja przestrzeń zasobna we wszystko: w las zawydmy, w ulotność wędrownego piachu i stada powolnych mew nad tym kapitalnym zjawiskiem, które profani i miłośnicy nazywają morzem.

Doznania Adama na plaży raz były logiczne, raz znów zaskakiwały go samego absurdalnością skojarzeń - lecz o każdej porze dnia i nocy wpływały na niego oczyszczającym elektrycznym strąsaniem o umiarkowanie bolesnej mocy. Rozpacz i radość formowały się tu w cichy strumień tożsamości i dlatego życie zaczynało być zupełnie znośne.

Z wydmych krzaków wyskoczyło nagle trzech mężczyzn. Przecinając plażę na ukos, biegli w jego kierunku. Odruchowo rzucił się do ucieczki.

Z sekundy na sekundę byli coraz bliżej.

Strach zaciskał mu gardło.

Morze, plaża, strach.

Nawet tutaj.

Uciekał ostatkiem sił, potykał się.

Mężczyźni dogonili go i... wyprzedzili.

Upadł dysząc chrapliwie.

Strach z wolna przycichał wraz z oddalającym się piskiem piachu rozgniatanego bosymi stopami biegaczy.

Więc skąd ten strach? Wszechobecny i uniwersalny.

Był pierwszy kwietnia któregoś roku po wojnie.

Prima aprilis.

Szczury i nóż

Adam miał powody, żeby gubić się w swojej dorosłości - dopiero od niedawna uświadomionej. Włócząc się po plaży - tu i tylko tu był w stanie myśleć precyzyjnie, jakby liczył słoje na odciętej gałęzi własnej przeszłości. Ale i tak rachunki mu się fatalnie myliły.

Przyjechał z miasta T., gdzie zostawił - nie porzucił tylko zostawił - oczekującą nań niecierpliwie Z. I to nie samą. Pół roku temu urodziła mu córkę - Mercedes. Z tym imieniem obcojęzycznym, wymuszonym na Adamie - szczerym i bezpretensjonalnym patriocie - Z. łączyła pewne nadzieje. Jako Hiszpanka, sierota, dziwnym trafem znalazła się w starym mieście nad Wisłą, by studiować nauki humanistyczne. Czyniła to z miernym efektem - wliczając nawet poznanie i związaną się uczuciową z Adamem. Swoją dalszą rodzinę pozostawiła w Sagunto nad Zatoką Walencką. Chrzcząc córkę imieniem zmarłej matki - początkowo drobnej handlarki, a następnie bohaterskiej przemytniczki dostarczającej wieprzowinę oddziałom antyfrankistowskim - usiłowała na wszelki wypadek nawiązać do rodzinno-rewolucyjnych tradycji. A może myślała przede wszystkim o zapewnieniu Mercedes przychylności krewnych, co rokowało pewne nadzieje na materialną pomoc dla małej. Praktyczna była dziewczyna z Z., młodej żony Adama - fantasty i dziwaka - na którego zapobiegliwość nie miała co liczyć.

Niestety wyłącznie tę praktyczność odziedziczyła po przodkach swoich Y Morallezach, w prostej linii dawnych konkwistadorach, odważnych, przedsiębiorczych, chorobliwie skorych do bitki, wina i uciech cielesnych. W czasie walk z Falangą gen. Franco Y Morallezowie tak wstawili się przemytem schabów i szynek dla armii republikańskiej, że ich zasługi opiewał każdy postępowy mieszkaniec wybrzeża południowo-wschodniego, gdy tylko w jego polu widzenia pojawiała się pierwsza lepsza wieprzowina.

Po dojściu do władzy czarnych koszul bohaterska rodzina podupadała coraz bardziej, zaniechała kontrabandy, aż wreszcie - na skutek inicjatywy dziadka rodu, wspaniałego caballero don Juana Y Moralleza - zupełnie zesłała na psy, zakładając niewielką hodowlę szczurów dla potrzeb instytutów naukowych w Walencji.

Tego już wszakże nikt w pieśniach nie sławił a i sami zainteresowani, kombatanci,

unikali rozmów na temat źródeł swoich dochodów czerpanych z tuczu ohydnych gryzoni bądź co bądź niegłupich, a jednak z góry przeznaczonych na bohaterskie męki w laboratoriach.

Życie w czasach pokoju plecie się paskudnie, największym nawet bojownikom trudno się w nim połapać.

Adam - człowiek dobrej woli i czystych rąk - dowiedział się dopiero po ślubie o niepięknym procederze uprawianym przez swoich dalekich, lecz niestety autentycznych powinowatych. Z. wyznała mu to w dniu urodzenia się Mercedes, prosząc jednocześnie o kupienie dla małej - jako prezentu urodzinowego - świnki morskiej. W swej subtelności nie dał po sobie poznać, jak przykrą ambiwalencją napawać go odtąd będzie każde zwierzę z gatunku świnio-szczurowatych. O kupnie świnki udało mu się zapomnieć.

Poza tym trawił go nie cichnący od chwili ślubu, a nawet coraz bardziej narastający ból utraconej wolności osobistej. Z. otaczała go skutecznie misterną, wręcz mauretańską siecią zazdrości. Była to zazdrość zbliżona do ideału, wysublimowana tak, że każda godzina spędzona wspólnie z Z. niepostrzeżenie czyniła z Adama niemrawego trutnia. Czysta postać tej zazdrości polegała głównie na jej bezsensie - mówiąc inaczej - nie prowadziła do ukoronowania samiczych wybiegów żadnym biologicznym spełnieniem. Wbrew bowiem pozorom, czyli pirenejskiej urodzie - wysmukłości ciała, kasztanowym włosom, suchej pędnie, kształtnym piersiom i oczom o rzęsach powabnej trzepotliwości - Z. nie potrafiła emanować kobiecym ciepłem. Posiadała wewnątrz doskonale antyhiszpańskie (biorąc za wzorzec obiegowy stereotyp), o czym przekonał się za późno, bo dopiero po owej wspólnie spędzonej z okazji oblanego przez nią egzaminu nocy, kiedy to żałość i rozpacz rzuciła Z. bardzo skutecznie w jego zdziwione ramiona, co też mechanicznie dało początek małej Mercedes. Kłam zadany przez naturę śródziemnomorskiemu pochodzeniu Z. przejawiał się także w skandynawskiej niemal flegmatyczności. Potrafiła godzinami siadywać na kanapie i patrząc tępo w okno nucić melodie.

W tej pozornej nieobecności, wyizolowaniu i szybowaniu w sennym locie nad meblami - potrafiła jednak reagować z czujnością starego wyżła na każdy ruch Adama.

- Dokąd idziesz? - pytała ledwie poruszając wargami, gdy kierował swoje kroki w stronę kredensu, by wziąć szklanekę.

- Czy kochasz moje myśli? - chciała wiedzieć, gdy zaciął się w nos podczas golenia.

Pewnego razu wrócił późno ze studenckiego zebrania. Mieszkali wtedy w mieście T. w pokoju wynajętym u starego niegroźnego schizofrenika-gołębiarza. U niego było najtaniej. Zdjął buty w korytarzu i nie zapalając światła zamierzał niepostrzeżenie wślizgnąć się do pokoju. Zanim jednak dotknął klamki, rozbłysło światło zapalone ręką gospodarza.

Schizofrenik - postura chłopca, twarz splaszczona jak u flądry, myślące oczy, jedno nieco wyżej drugiego - był ubrany wizytowo, co zdarzało mu się nieczęsto. Położył palec na ustach, uśmiechnął się z uszanowaniem, puścił oko i wyszeptał: gratuluję! Bardzo pięknie zrobione, czysta robota, majster z pana...

- Dziękuję - odrzekł równie cicho Adam, chcąc uciąć rozmowę z gospodarzem, który często mijał się z logiką.

- Dobra robota, oj dobraaa! - gospodarz zbliżył się ziejąc walerianą. - A w razie czego... ja byłem na dachu przy klatkach, kamień w wodę, wszystko wiem, ale nie powiem, sza, ciii... mnie nie ma...

- Panie Sewer - zniecierpliwził się Adam. - Pan się połóż, wypocznie. Stary gołębiarz, a straszy po nocy, kiedy wszystkie ptaki dawno już śpią.

- Jak zabite! - ucieszył się mały człowiek i zacierając rączki świszcząc zanucił: siedzi baba w kałamarnicy trzymając nogi na cmentarzu...

- Cicho! - syknął Adam. Pchnął drzwi do pokoju, odruchowo zapalił światło.

Z. leżała na swoim pościeli na wznak, głowa odchylona w kierunku brzegu łóżka, włosy spływały aż do podłogi. Była piękna. W ciemnozielonej koszuli. Ręce niedbale na piersiach. Wszystko normalnie, gdyby nie pionowo wbity poniżej lewego barku - nóż. Wbity i z lekka chwiejący się. Od tego chwieiania Adamowi zaczęła cierpnąć głowa. Kiedy toczące ją mrówki dopelzły do czubka - skoczył na korytarz rycząc: „morderca!!”. Dopadł pana Sewera, ścisnął go za gardło. Tamten wydał odgłos gruchania.

- Ty, ty... - rzęził Adam, zdając sobie jednak coraz wyraźniej sprawę z bezsily wobec tego fantasty orbitującego bezkarnie w półrzeczywistości.

Puścił gospodarza, który osunąwszy się po ścianie usiadł spokojnie na podłodze, pogwizdując z cicha jak przedmuchane organki.

Powlókł się do Z. Ukląkł przy niej. Przycisnął swój drewniany policzek do jej policzka. Kilka centymetrów dalej chwiało się nóż. Nawet nie uświadamiał sobie tej chwiejby. Nagle poczuł na wargach rytmiczny, choć słaby oddech Z.

Oddech??!

Wyszarpnął nóż. Poszło gładko. Ostrze tkwiło zaledwie czubkiem w kości obojczyka. Na skórze pozostał ślad nie większy niż zadrapanie.

Z. powoli wyplątywała oczy z hiszpańskich rzęs. Uśmiech spływał skądś na jej usta, jakby spod sufitu, jakby od dłuższej chwili już tam krążył i czekał tylko żeby osiąść na swoim miejscu.

- Och, dobrze, że jesteś... - powiedziała sennie. Kątem oka dostrzegła w jego ręku nóż.

- Przepraszam... Myślałam, że już nie wrócisz. Przytul mnie mocno... - wyciągnęła do niego dłonie pełne obietnic. Całą kwietną naręcz przyzywać.

Uległ nadziei, może teraz, w tej chwili niezwykłej, kiedy powróciła opornie zza węgła rzeczywistości, nareszcie głodna materii, może teraz zagra w niej hejnał krwi, tkliwa toccata samicza, wreszcie normalna do diabła. Więc z nożem w ręku - zapomniawszy go w nagłym uniesieniu odłożyć - nachyla się nad Z., odzyskaną na nowo, ciepłą przecież, tętniącą żywym pulsem młodej Pirenejki, przyciska twarz do jej twarzy - teraz już po przesileniu radośnie, coraz to bardziej rozjaśniony radością nabrzmiała, nabrzmiewającą do granic, rozlewa się po nim ta gorącość, już już zespoli się ona z gorącością Z... i nagle... łapie kątem ucha coraz wyraźniej delikatny, cichy psi odgłos obwąchiwania...

Subtelnie i systematycznie, z lodowatą pedanterią Z. obwąchuje jego twarz. Znał ten jej przekłety zwyczaj.

Zielona łąka Adama spopiela się od tego szmeru, kwiaty, które miały ją zaludnić wykluwają sobie nawzajem oczy ostrymi pręcikami.

A Z. węszy dalej, by dowąchać się śladów zapachu swojej domniemanej rywalki, bo przecież jego późna pora powrotu o zdradzie musi świadczyć, tylko o niewątpliwej zdradzie oczekiwanej masochistycznie, z lubością przeraźliwą... I ta jałowa lubość przenika Z. na wylot, w poprzek i w głąb, wypełnia ją tak szczelnie, że na nic innego miejsca w niej już nie ma.

Adam tężeje, unosi się znad Z., prostuje plecy i raptem uświadamia sobie chłód trzymanego w ręku noża. Chwilę walczy z sobą zacisnąwszy szczęki i powieki, zwarłszy palce na rękojeści - lecz, jak to u niego w zwyczaju - zwycięski lęk przed przekroczeniem progu jednoznaczności rozkurcza mu palce, z których wymyka się nóż, nie przeszkadzając Z. (nieusatisfakcjonowanej ujemnym wynikiem ekspertyzy) w dalszym systematycznym wywieszaniu wroga.

Wrzasnęła mewa, ucięła wrzaskiem tok rozmyślań. Adam zaśmiał się nieskrępowanym śmiechem hieny. Tu, nad brzegiem morza mógł się śmiać każdym śmiechem, płakać każdym płaczem i oddychać do woli i bólu najswobodniejszą ze znanych mu piersi - własną.

Tak mniej więcej kształtował się wpływ masy zasolonej wody na psychikę nowo mianowanego pracownika redakcji, u którego rozhuśtana wyobraźnia - od szczytów dziecięcej liryki do dna obezwładniającego krytycyzmu - komponowała się nieźle z jego życiorysem wymiętym w pacholęctwie przez wojnę, a następnie wygniatanym przy pomocy państwowej maszyny do zablizniania wojennych ran.

Po wykrzyczeniu w pustkę plaży jeszcze kilku dramatów średniego kalibru - wrócił do mieszkania wuja, gdzie nie zastał współlokatorki. Na noc też nie wróciła.

Gra w chowanego

Następnego dnia Adam miał zostać przedstawiony zespołowi redakcyjnemu. Skóra na nim cierpła. On - żaloszny dyletant, profan, pajac - stanie za chwilę przed doświadczonymi specjalistami sztuki dziennikarskiej, analitykami i prześmiewcami. Te odyńce wezmą go na kły - porozrywają panczerzyki wstydu, dobiorą się do jego galaretowatej chłopięcości.

Ohydna nieśmiałość znów panoszyła się we wszystkich zakamarkach jego ciała, dławiała, toczyła mózg z zajadłością wygłodzonego kornika, pęczniała w brzuchu - gdy na brzegu krzesła siedział w pustym jeszcze pokoju redakcyjnym. Przyszedł wcześniej, pokazał - tym razem strażnicze - swój dowód osobisty. Głęboki ukłon, jakim ją obdarzył, wywołał na jej twarzy wyraz podejrzenia.

Chciał być w redakcji przed wszystkimi, żeby ich powitać niejako z pozycji zasiedziałego. Analizował naprędce swój chorobliwy stan, by opanować sytuację.

Starął się narzucić spokój przede wszystkim rękoma. Ujarzmić nienawistne drżenie palców, które - obserwowane przez obcego, (tym gorzej, jeżeli spod oka, a już bardzo źle - spod przymrużonego) - zaczęły żyć własnym życiem, gdy tylko spróbuje podać komuś - na przykład - ogień. Dlatego przeszukał kieszenie i wyrzucił do kosza rozpoczętą paczkę papierosów. To samo zrobił z zapalkami. Będzie udawał niepalącego. Ręce mogą zwisać luźno. Na wszelki wypadek wyrzucił również znaleziony w kieszeni ołówek. Gdyby ktoś polecił mu tego pierwszego, krytycznego dnia zanotować cokolwiek - natychmiast zauważyłby nieskoordynowanie ruchów jego rąk. Może nawet posądzono by go o alkoholizm albo inną wstydliwą chorobę. I precz.

W kieszeni został tylko portfel. Też wyrzucić.

Kosz na śmieci nie wchodził w rachubę. Błysnęły mu okupacyjne opowieści o zjadaniu ważnych dokumentów w celu najpewniejszego ich ukrycia. Odrzucił ten pomysł jako przeterminowany. Więc gdzie? Wystarczy, by któryś z kolegów poprosił go o fotografię żony na przykład lub o dowód osobisty, aby dopełnić jakichś formalności. Wyciągnie dokument, rozedrga go, rozhušta, minie się z ręką kolegi i gotowe. Zaczną go po kątach nazywać „rączka-drżączka”, inne rymy do tego dorobią. Skończony będzie.

Przeszukał wzrokiem pokój redakcyjny. Cztery duże biurka, dwie szafy, kilka krzeseł. Na jednej z szaf stos papierów, bezład, kurz, pewno nikt tam nie zagląda. O to chodzi. Tam! Nie. Za wysoko, nawet z krzesła.

Jedno ze starych biurek całą szerokością przystawione było do ściany. Odsunął je gorączkowo. Nadśluchiwał. Nic. Tylne ścianka z dykty nieznacznie odstaje. Odciągnął ją, zagłębił dłoń, namacał tylną część szuflady, jakieś papiery. Spocony ze strachu działał jak w transie. Jeżeli ktoś wejdzie zniecka, koniec.

Szybkim ruchem wtłoczył portfel w otwór.

Przyklepał odstającą dyktę. Gwóźdź wszedł lekko w stare miejsce.

Przysunął biurko z powrotem do ściany.

Odetchnął.

Nadśluchiwał.

Nic.

Siadł na krzesło w przeciwległym kącie, żeby skromnie a jednak godnie: siedzi - nie stoi. Zerknął w stronę biurka. Ani śladu manipulacji.

Dopiero teraz opamiętał się. Po co to wszystko? Wyczyn podszytego tchórzem idioty. Siedzi teraz obcy nawet sobie, nietożsamy. Męka!

Zerwać się z krzesła, odsunąć biurko, wziąć portfel i w porządku. Ba. Zacznie odsuwać i ktoś wejdzie.

Poprawił nerwowo okulary. Ręce mu latały. Otóż to. Spokój, nie ruszać się. Niewykluczone, że w tym biurku są jakieś tajne papiery. Niechby ktoś zobaczył, jak w nich gmera. Koniec z pracą, a może jeszcze gorzej. Teraz wiele spraw jest tajnych. Właściwie wszystko. A już na pewno to co napisane. Wróg jeszcze nie wytopiony co do nogi. Obcy wywiad tylko czeka na lukę w szanču. Ukartuje, sfinansuje, poszczuje dywersją. Trzeba będzie dać odpór. Przeprowadzą inwigilację całej załogi. Kto? Kiedy? Na czym żołdzie? W dodatku to przecież radio - najsmaczniejszy kąsek dla agentur. Załedwie kilka lat po wojnie. A może doba przed następną? Plakaty ostrzegają: no, no.

Nagle przypomniał sobie o istnieniu naczelnego. Niby z nim remis, ale emocje robią swoje. Niewątpliwie gryzł się później do bólu utraconego prestiżu. Może kazał śledzić śmiałka? Sprawdzić z czyjego polecenia, jakie powiązania, pochodzenie i czy rzeczywiście.

Podśluch! Zapomniał o tej ewentualności. Rozejrzał się dokładnie po kątach. Otwory wentylacyjne w ścianach trzy. Każdy ział głębią podejrzanej czerni. Szmer przysuwanego do szafy krzesła i szelest papierów może jest już zarejestrowany na taśmie. Tego wykluczyć nie można. Jeżeli straci tę pracę - Z. znajdzie się bez środków do życia razem z Mercedes. Mały

pokój u schizofrenika, piec kopci. Trzeba je sprowadzić jak najprędzej. Z. z tęsknoty i determinacji może strzelić znów jakiś pomysł do głowy. A jeśli on zostanie izolowany? Do wyjaśnienia. Oczywiście z pracą koniec. Pozostanie mu posada fizycznego. Dla absolwenta filologii. Traktorzysta, pomocnik murarski? Odruchowo napiął muskuły. Niewiele tego było pod marynarką.

A może by tak na wszelki wypadek?... Nic nie zaszkodzi, a może pomóc... Głupio, ale przemawia za tym kilka racji.

Natężył słuch. Na razie za drzwiami nikogo.

Cisza.

Najpierw stęknął głośno, kichnął, żeby naturalnie było, później wstał, zaczął chodzić po pokoju, odsuwał krzesła, otworzył i zamknął okno. Zanucił pod nosem dla niepoznaki, przerwał, znów zanucił motyw ze znanej pieśni agitującej do odcięcia się. Tyle wstępu - teraz najważniejsze, żeby nawet debila przekonać. (Wywiadowca, który otrzyma zadanie może być cofnięty w rozwoju).

Zaczął mówić. Zrazu byle jak, sepleniąc, niby że głośno myśli, następnie coraz wyraźniej i basem. W razie gdyby mikrofon podsłuchowy zainstalowany w wywietrzniku - słabo brał albo obcinał niskie tony.

- ...eee ...aaa ...nie wiem jak kto, ale ja mogę stanąć ramię w ramię, zwalczać, oddam siły, zbuduję zręby, nie ma takiego szkodnika, którego bym nie zmógł, wroga klasowego wytropię, rozkułaczę, mam wolne popołudnia, mogę tropić bez tchu, zatracę się dla słusznej sprawy, której na imię... - podniósł głos do umiarkowanej emfazy.

Drzwi otwały się bez hałasu, lecz raptownie.

- Czołem! Kto to? Sam? Co pan tu robi, przepraszam? Słyszałem głosy. Aaa, nowy! Coś ty - stary, brzuchomówca? Robert jestem, kierownik tego cyrku na widelcu.

Kierownik redakcji szedł ku niemu z wyciągniętą ręką, dużą, ciastowatą i uśmiechniętą jak cały jej właściciel. Krępy, bary atlety, główka-makówka błyskała też pogodą i glancem. A oczka świdrowate aż łaskotały go w twarz. Nawet nie zdążył spotnieć ze strachu i nieśmiałości.

- Jak ciebie zwa, kolego?

- Adam.

- Adaś, Adek, Ad, no jak?

- Adam.

- Proszę bardzo. A do kogo ty gadałeś? Chyba że... - zajrzał pod biurko, jedno, następne - ...jest was dwóch, na różne okazje. - A ujrzawszy na twarzy Adama zakłopotanie,

puścił do niego oko.

- Nic się nie bój. Tu wszyscy swoi. A przynajmniej co trzeci - klepnął go w ramię. - Tylko trzymaj się mnie.

Rzucił płaszcz na jedno z biurek, usiadł na blacie, oparłszy nogę o półotwartą szufladę. - A teraz powiedz coś o sobie - zwrócił się życzliwie do Adama. - Wal śmiało, ja nie pajak, za obraz cię nie wciągnę.

Adam przycupnął na brzegu krzesła, uśmiechając się głupawo. Milczał. Milczenie przedłużało się. Robert zaczął starannie czyścić długie, czarne paznokcie, jeden o drugi. Adam gorączkowo przerzucał myśli, lecz żadna z nich nie nadawała się do ujawnienia. Za to pospiesznie charakteryzował Roberta: pogodny półinteligent, koleżeński w miarę, prostacki na wskroś. A jeżeli pozuje tylko? Okres pierwszych lat rewolucji ma swoje wymogi. Czuł instynktownie: nie wystawać z szeregu, spsieć, zszarzyć, wklęsnąć. Więc teraz na początek może by jakieś symptomy prostoty a chociaż braku wychowania w postępowym, dobrym guście: siąkanie nosem przykre dla otoczenia inteligenckiego, popluwanie w garść, podciąganie portek? Pochodzenie miał karalne: ojciec - sanacyjny porucznik, matka - historyk sztuki, nieuchronnie dekadenckiej. Para dziejowych trupów. A on - ich produkt o cechach zwielokrotnionych przez symbiozę. Dziwne, że dotąd nikt z tych tu nie dostrzegł ohydy gniazda, z którego wypadł.

Przebiegł go dreszcz.

- Tyś nie chory? - zapytał kierownik Robert.

- Nie, nie...

- Miałeś opowiedzieć.

- No cóż... Głównie to... ja się boję - wyrzucił z siebie i zawstydził się nieoczekiwanego przyływu szczerości.

Robert roześmiał się też zupełnie naturalnie.

- Czego? Masz coś na sumieniu?

- Nie, ale...

- Ty, bracie, nie wpadaj w panikę. Czysty ideologicznie jest tylko nieboszczyk. Chcesz być czysty?

- Jeszcze wolałbym zaczekać.

- I mnie się nie spieszy. Szybko to ja mogę wyłączyć jedno.

- Co?

- To! - Błyskawicznym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągnął stamtąd płaską butelkę, wprawnym ruchem palca odkręcił z szyjki metalowy kubek, drugim

uderzeniem zdjął kapsel. Nalał do kubka.

- Brzdęk, mów mi Robert.

Adam rozejrzał się trwożnie. Robert przytknął go palcami w ucho.

- Ty się za resztą paczki nie rozglądaj. My będziemy paczka, kapujesz. Rączka w rączkę a włos ci z głowy nie tego, no!

Adam przechylił napałek alkoholu, łyknął i wybałuszył oczy, łapał powietrze otwartymi ustami.

- Na drugą nogę!

Rozpaczliwie pokręcił głową, rozkaszał się świszcząco.

- Albo spirytus ci nie smakuje, albo rząd ci się nie podoba - rzekł poważnie Robert, nalał sobie, odetchnął głęboko i chlusnął zawartość prosto w gardło, powtórzył, zakręcił, butelkę wpuścił do kieszeni i już powolnym ruchem podał podwładnemu papierosa, zapalili. Zaciągnął się i znów dech mu zaparło. Robert klepnął go potężnie w plecy.

- Jak na początek nieźle. Wypraktykujesz tę sztuczkę, nauczysz się. Niezawodny sposób na troski i radości. Cóż, uroczyście witam cię w redakcji masowej. Od tej chwili czuj się jej członkiem.

- Bardzo dziękuję. Co to znaczy masowa?

- Cmentarz rozrywki, skąd roznosimy strawę dla mas. Teraz widzisz czym to pachnie?

- wyskandował Robert, obracając wokół palca srebrny sygnet z białym orłem.

- Widzę... w pewnym sensie.

- Kto tu mówi o sensie? Nasza redakcja przygotowuje głównie koncerty rozrywkowe, które nie mają nic wspólnego z rozrywką. Publiczność udaje, że o tym nie wie, więc klaszcze i śmieje się, występujący artyści udają, że to słyszą, więc śpiewają i grają, jakby wierzyli, że publiczność nie udaje. Najtaniej wypada, kiedy takich koncertów nie nagrywa się w ogóle i nie puszcza na antenę.

- A jeszcze taniej, kiedy ich się zupełnie nie urządza - palnął Adam na chybił trafił.

Robert przyjrzał mu się ze smutkiem zawiedzionego psychiatry.

- Popracujesz, zmądrzejesz. Byli tacy, co drogo zapłacili za nieurządzenie koncertów masowych. Przynajmniej na papierze. No, ale do roboty, za coś musisz brać zapomogę. - Zeskoczył z biurka. - Dam ci kilka arcydzieł, poczytaj, naucz się, za tydzień mamy następną szopkę, jak będziesz chciał, to możesz napisać konferansjerkę i wystąpić w tym balu.

- Ja? na scenie? - Adam spocił się na samą myśl, że mógłby stanąć przed tłumem ludzi i mieć do nich wszystkich jednocześnie jakiś interes.

- Kiedyś i tak zaczniesz, bo pecunia non olent. „Olent” powiedział wyraźnie - nie

„olet”. Nie mógł powiedzieć inaczej - pomyślał Adam z satysfakcją stawiającą go przecież ponad tym kolegą, u którego dyletanctwo grało w oko z cwaniactwem.

A więc nie jest aż tak źle. Czuł, że jego obawy przed wyrafinowanymi intelektami kolegów-dziennikarzy były nieco płonne. Przynajmniej tak mówił Robert. To dało mu pewne uspokojenie. Ale dłonie nadal zaciskał w pięści na wszelki wypadek, żeby Robert nie zauważył, co się z nimi dzieje.

Do pokoju wszedł Roman z niskim, garbatym panem. Pańskość biła mu z garnituru, z włosów siwych i bujnych, z nosa ponad wszelką wątpliwość pańskiego, tylko garb pod szykowną marynarką zakłócał idealny portret dżentelmena. Roman przywitał się z Adamem jak kuzyn.

- Jakbyś chciał posłuchać czegoś, to wpadnij.

I wyszedł. Niewątpliwie do płytoteki.

Robert - traktujący podopiecznych z życzliwością przedszkolanki zwrócił się do garbatego pana: Ty ułan, wiesz że zostałeś ojcem?

- Wiem, twoim - westchnął pan Ułan. - Ale umarłem ze wstydu zaraz po połogu. Matka ci o tym nie wspominała?

Powiedział to i poważnie się zafrasował. Podeszedł do okna, zagapił się na park po drugiej stronie ulicy, zaczął obgryzać paznokcie.

Adam w tym czasie podniósł się z krzesła z uszanowaniem i stał. Pan go nie zauważał.

- Nieprawda - Robert na to. - Zostałeś ojcem duchowym tego młodego człowieka. Poznajcie się. Pan Słowacki, pan Edison.

- Jakże mogłem kolegi nie zauważyć? - tu Pan zajrzał pod biurko. Proszę wyjść.

Adam stał obok, stał, a najchętniej wyrwałby spod siebie podłogę, zapadłby się i przeczekał w tej wyrwie.

- Nie chce wyjść - rzekł Pan garbaty, uderzając nogą w szczyt biurka. - Po czym nagle odwrócił się na pięcie, podeszedł znów do okna, zagapił się. Niczego już sobie nie obgryzał.

- Miałby do kogo, to by wyszedł - znów na to Robert. - O, tak jak ja.

I wyszedł z pokoju.

Czemu Adam wcześniej nie powiedział: Panowie pozwolą jestem ten a ten, przyjechałem stąd i stąd, bardzo się cieszę, że będę z panami pracował. Dlaczego tego nie powiedział, tylko pozwolił przyszpilać się prześmiejami. Od potu, który go oblał, zaparowały mu okulary, wszystko widział przez mgłę, a wytrzeć szkielec nie był w stanie. Palce obu rąk splatał kurczowo za plecami.

Co robić? No co? - były mu o czaszkę pytania, aż huk szedł. Powie coś normalnie,

realistycznie - wyjdzie na naiwnego, nie powie nic, wskoczą mu na łeb od razu pierwszego dnia i długo się spod nich nie wydobędzie. Zajeżdżą paradoksami, zna ten sposób ogałacania słów z treści, sam bym sobie z wami bryknął, koledzy, ale na razie nie wiem, jak was napocząć, poczekajcie trochę, niech się oswoję, niech was ujrzę wyraźniej, niech was opukam, ostukam, gdzie wasza słabizna, ile w każdym z was chama, ile liryka - to może kiedyś, kiedyś dobiore się do was, nadgryzę wasze pancerzyki i do żywego ukąsę. Żeby uspokoić drzenie rąk, żeby o suchym, nie spoconym czole wychodzić z waszych dwu ogni.

Tak to wewnątrz na razie próbował rozwijać skrzydła do samodzielnego lotu przez swoją nową rzeczywistość. A wątle jeszcze były to pióra, nienawykłe do lotu pod wiatr.

Tymczasem w pokoju pełnym biurowych gratów - zwanym redakcją - rozpoczynała się szara codzienność.

Stojąc na uboczu w swoim wstydzie i zapoconych okularach, nawet nie spostrzegł, kiedy redakcja zapełniła się. Ci, którzy przyszli po Romanie i Panu zwanym przez Roberta Ułanem, wzięli go po prostu za interesanta. Nikt nie zwracał na niego uwagi i uważał to za cud.

Stał sobie coraz mniej spotniały, mniej drżący, ze szkieł w okularach powoli opadała mgła, widział więc wszystko wyraźniej, na przykład kobietę o ruchach somnambuliczki i czystej twarzy z przylepionym uśmiechem zamyślenia. Mówiono do niej „Kira” i to z szacunkiem. Siedziała na uboczu u szczytu jednego z biur. Czytała książkę. Plecami do niej - brunet około czterdziestki, męska piękność. Pisał coś szybkim makiem bez zastanowienia, gotowe arkusze zsuwał do niedomkniętej szuflady, często nie trafiał, szukał ich na podłodze, strony mu się myliły, sprawdzał co chwilę ich kolejność, by znów - uporawszy się - dać nura w twórczość. Elegancki Pan Ułan wystukiwał tekst na maszynie jedną ręką, paznokcie drugiej - tym razem już bez żenady - tarosił zębami z wielkim apetytem.

Wrócił Robert.

- Już was tyle? Poznaliście nowego kolegę? Nie?! Typowy objaw staczania się w bagno złych obyczajów. Proszę, kolega przedstawi się obumierającej klasie urzędniczej.

Wątpliwe dowcipy Roberta wywołały pewne zawstydzenie na twarzach obecnych, lecz odwstydzwały Adama. Nastąpiła prezentacja.

- Siadaj koło pana Władysława. Pozwolisz, Ułan - zwrócił się Robert do ułomnego. - Pan Władysław kończy akurat swój piąty w tym tygodniu dramat, zapytaj go o szczegóły.

- Czwarty - sprostował pogodnie garbaty. - Dwa dni zmarnowałem na robienie audycji za pana.

Robert odwołał Adama do swojego biurka w centralnej części pokoju.

- Jutro ktoś ma pojechać do portu i nagrać wypowiedzi dokerów. Nie widzę przeszkód, żebyś ty to zrobił. Dostaniesz ekipę techniczną, wóz transmisyjny. Jutro dziesiąta rano.

- Nigdy nie nagrywałem...

- Żadna sztuka. Koncert życzeń dla robotników. Każdy z nich nagada trzy minuty na taśmę, dodasz trzy minuty muzyki, zwiążesz komentarzem. Czytałeś już przed mikrofonem?

- Nie, skądże! Wolałbym nie...

- Spokój! - krzyknął nagle szef - będę telefonował. Dostaniesz zaraz przepustkę do portu. Dawaj numer dowodu osobistego. Wpisz, przystempluj, będziesz dla nich swój.

Podniósł słuchawkę telefonu.

Adam zamarł. Blednąc wykrztusił:

- Nie mam... przy sobie...

- Bez dowodu strażnik cię wpuścił?

- Tak... to znaczy...

- No, dawaj, dawaj. Chyba, że się krępujesz jakichś adnotacji?... Siedziałeś? A może wręcz przeciwnie... co? Może ty...

- Nie, nie! Skądże! Ja...

- Ty serio nie masz przy sobie dowodu? W dzisiejszych czasach czujności?

Siedzący przy biurkach zastrzygli uszami.

- Może bym jutro...

- Kręcisz. Masz, czy nie masz? - Robert trzymał słuchawkę przy uchu, drugą ręką naciskał widełki telefonu. Jeszcze rozciągał usta w uśmiechu miłym, ale już jeden kącik zaczynał mu drgać nieznacznie, opuszczał się ku brodzie, odmilał fizjonomię. Reszta kolegów opuszczała głowy nad wykonywanymi pracami, trochę jednak zbyt nisko. Adama opuszczały siły. Zaczął się odbywać proces następujący: on wiotczał z niemocy - a kolegów to wiotczenie coraz bardziej napinało, roziskrzało ich ciekawość, rozżarzało do białości, na której tle Adam czerniał coraz bardziej jako element wyizolowany.

Znał siebie i wiedział, że gdy zostaje przyparty do muru, zwykle zdarza się cud. Wystarczy biernie na ten cud czekać. A teraz właśnie do muru został przyparty. Cud mógł sprawić tylko nie podlegający woli aparat sterujący emocjami. Uruchomi system awaryjny, któremu należy się poddać. Doświadczał tego już nieraz - chociażby wczoraj u redaktora naczelnego. Toteż z pustką w głowie czekał. A sytuacja pęczniała jak bezkształtny balon. Zaraz pęknie z hukiem... trzy... dwa... jeden... zero...

- Bardzo przepraszam... - wydobył mu się świszczący głos z zaciśniętej krtani - ...ale

tydzień przed moim przyjazdem do tego miasta mój portfel wraz z dowodem osobistym... opuścił mnie...

- Niby co? - Robert odruchowo odłożył słuchawkę, spoglądając szklanym wzrokiem na Adama. Nawet garbaty Pan zwany Ułanem zatrzymał palec na klawiszu maszyny do pisania, ładny brunet zasłonił się drwiącym śmieszkiem, pani Kira wyrwana z lektury zdjęła okulary.

A on mówił dalej z trudem, jakby odłupywał słowa od ich znaczeń.

- ...zdarzały już mi się takie przypadki, choć rzadko, bardzo rzadko...

- Kolego, co wam się stało? - zapytał już na dobre zniecierpliwiony Robert bez normalnej u niego dobrodusznej kpiny.

- Robert, pozwól mu się jakoś odnaleźć. - Na to pani Kira łagodnie, a później do Adama: - Proszę kolego, niech pan mówi słuchamy, słuchamy.

- Ja przepraszam... powiem - brnął powoli, jakby z ociąganiem, na zewnątrz taki sam jak dotąd, nieśmiały, przestraszony, lecz wewnątrz już łapiący oddech, już nabierający właściwych obrotów jak precyzyjna maszyna po chwilowym braku dopływu energii. Zdawało się przecież, że da za wygraną, już rozkładali go na łopatki, już widzieli go fajtającego bezbrinnie nóżkami, już stawał się dla nich robakiem tuzinkowym, którego uda się zaszufładować jako młodzika pocziwca, nabijać go będzie można z lekka w butelkę, syfona robić - oczywiście jak najzyczliwiej, po wujowemu - aż tu nagle ustawianie go sobie do wygodnej obróbki wychodzi im krzywo, wyślizguje im się smaczny kąsek.

Z miną dziewicy uzasadniającej kompanii wojska słuszność zachowania cnoty, ciągnął dalej:

- ...bywa, że kiedy usilnie przenoszę się gdzieś myślą to zanim dotrę tam faktycznie, już cała moja tożsamość tam jest, a z nią niektóre przedmioty osobistego użytku...

W pokoju rozległy się chichoty taktownie stłumione.

- ...przepraszam, ale to jest telekineza, przenoszenie przedmiotów siłą woli... przodujący uczeni pracują nad zastosowaniem jej w przemyśle ciężkim... zgodnie z zasadami dialektyki...

Na dźwięk tego słowa - w redakcji z nagłą przycichło.

Nabrał powietrza w płuca niby spiętrzając trud wyznania najważniejszego, upoczwił wyraz twarzy.

- ...więc gdy kilka dni temu, zanim tu przybyłem... zginął mi portfel, to pomyślałem sobie od razu, że on musi być tu! - powiedział i zamknął oczy. Wyglądał jak nawiedzony duchem postępu.

Zapadła kompletna cisza.

- Dupa - rzekł raptem garbus, po czym spokojnie zabrał się do wystukiwania na maszynie wodewilu.

Dopiero teraz zawrzało.

- Jak można! Coś niesamowitego! - wołała pani Kira.

- Kolega nam tu transcendencją chce szklić oczy?! Balona robić!? Za twarz i do widzenia! Tu redakcja nie cyrk! - grzmiał ładny brunet, tłukąc ołówkiem w blat biurka.

- Całkiem urwał się z choiny, ale całkiem - kręcił głową Robert. - Ktoś ty jest? No, wytłumacz, co ci wpadło do łba? Tak na kolanie wymyśliłeś?

Przeczekiwał burzę ze zwieszoną głową. Pewny swego, pozwalał im się wyszumieć.

Ładny wstał z trzaskiem krzesła. - Proszę za mną! - rzekł z roziskrzonym wzrokiem. - Zaprowadzę pana do działu kadr i tam pan wszystko wyjaśni.

- Nie, chwileczkę! - zerwał się Robert w nagłym postanowieniu. - Jak draka, to draka! Niech on znajdzie!

- Koledzy, przecież to nonsens - uspokajała pani Kira - może on ma jakieś obsesje, trudności z przystosowaniem.

- Nie pieścić się! Za drzwiami! Za drzwiami! - rozpalał się ładny.

- Spokój! - grzmotnął pięścią w biurko Robert. - Kto tu rządzi! Dawaj! - Złapał Adama za ramię. - Szukaj, ale jak nie znajdziesz, to się, bracie, pożegnamy.

- Robert, nie męcz go - próbowała jeszcze pani Kira. - Wymyślił coś, chlapnął, może ma stany lękowe?

Ale Robert z błyskiem figlarnym w oku już prowadził Adama za rękaw w kierunku szafy. Nagle przystanął. - Ty, a może masz przy sobie?

Adam bez słowa ujął z ostrożnością jego rękę i zaczął przykładać kolejno do swoich kieszeni.

- Nie ma. No to szukaj, byle prędzej.

- W biurkach też można? - zapytał cicho Adam.

- Wszędzie. Szybciej! - Robert był na pół wściekły, na pół podniecony.

- Ktoś wejdzie i może być dziwnie - mitygowała pani Kira.

- Chcecie pozwolić sobie grać na nosie, w porządku, ale beze mnie - rzekł obrażony brunet i zabrał się do pisania.

- Nie gap się - przynaglał Robert Adama.

Zaczął od szafy. Zajrzał na szczyt, gdzie leżały stosy zakurzonych papierów, później przeszukał systematycznie wszystkie półki. Skończył z szafą - zabrał się do pierwszego z

brzegu biurka.

Robert zapalił papierosa, zaciągał się głęboko, od czasu do czasu podjudzał jak psa: - No szukaj, szukaaaj!

Pierwszy nie wytrzymał pan Władysław. Przerwał wystukiwanie na maszynie, odchylił się głęboko w krzesło i wybuchnął długim, charkotliwym śmiechem palacza.

- Ja tego kolegę jednak zatwierdzam! - krztusił się w przerwach rechotu. - Zwracam panu honor, Adamie! Pierwszy faktyczny poeta w naszej redakcji! - zapiął cienko i zagryzł łąpczywie paznokciem.

Ładny brunet wzruszył ramionami i popukał się palcem w czoło. Wyraźnie w kierunku garbatego. Ten nie pozostał mu dłużny.

- Kropla moczu tego nowego kolegi dolana do pańskich wypocin, panie Wapo, zrobiłaby z nich bestseller dla wdów po rzeźnikach.

- Jak pan śmie, panie Władysławie! - obruszyła się szczerze pani zwana Kirą.

Drzwi się otworzyły, wszyscy drgnęli. Na szczęście był to Roman.

- Re... re... wizja? - zapytał, zobaczywszy Adama grzebiącego w biurku Roberta.

- Przeciwnie, chwila wytchnienia - na to pan garbaty.

Kolejne biurko. Cisza. Szukał coraz szybciej.

- Teraz twoje szuflady! - Robert odsunął bezceremonialnie ładnego bruneta, uprzedzając jego ewentualny protest.

Też nic. Zimno, zimno.

Adam zbliżył się do biurka Kiry.

- Nie odczułam żadnych fluidów, więc chyba w moim biurku też nie będzie - powiedziała, siłąc się na spokój.

- Jak wszędzie, to wszędzie - rozkazał Robert.

Adam usiłował otworzyć drzwiczki biurka, nie ustępowały. To było to biurko.

- Nie mam klucza - rzekła Kira. - Tu siedział poprzednio Wapo... odstąpił mi to miejsce, bo wolę przy ścianie.

Ładny brunet zwany Wapem wzruszył ramionami i popatrzył w sufit.

- Spróbujemy moim - Robert nie ustępował. Ale żaden z kilku jego kluczy nie był dobry. - Wyrwać drzwiczki! - zaproponował z uporem. Adam nie bez premedytacji na to: - Może już dosyć.

- Miękniesz? Odsuń się, kopnę.

Pani Kira zaniepokoiła się. - Koledzy, tak nie wolno. Nie będziemy demolowali mebli dla kawału.

- Spróbujcie tymi - pan Ułan rzucił w Roberta pękiem kluczy.

Zamek puścił. Portfel był.

- Pokaż! - Robert odsunął Adama tak silnie, że ten aż się zatoczył. Udawał zawstydzonego całym zdarzeniem. Mógł już udawać, a nie wstydzić się rzeczywiście. I to było lepsze.

Wyjął ostrożnie dowód osobisty, pokazał wszystkim. Ukrywali się za sardonicznymi śmieszkami. Pan garbaty bawił się całą gębą.

- Czysta robota - pochwalił Robert. - Siłę woli masz jak koń.

Brylował, ale nie z taką swadą jak poprzednio, już jakby mu rezon wiądnął, jakby zwietrzył coś nienazwanego, co podważało jego knajacką zwierzchniczość.

- Niech pan powie, panie Adamie, jak pan to zrobił? - dopytywała się po matczynemu pani nazywana Kirą. - Bardzo to efektowne, bardzo!

Pan Władysław poszedł dalej: - Proponuję panu współautorstwo powieści sensacyjnej. Główny podejrzany może być szanowanym debilem z jedną damską piersią. Zginie, trafiony w skroń pomysłem własnego brata.

Tylko kolega o imieniu Wapo - ładny brunet - już od dłuższej chwili kontynuował pracę pisarską. Sprawiała mu ona większą satysfakcję.

Leżąc nocą w łóżku Adam odtwarzał w pamięci ten ważny dla niego dzień. Wyszedł na zupełnego błazna, czy tylko na idiotę? Czemu ciągle wpada w doły, czemu nie wolno mu drobić kroczeniem równym i bezpiecznym.

Żalność, żalność.

Ranny

Noc. Kontury antyków wujowego apartamentu. Adam płynnie zespala się z wielkim łóżkiem. Szmer księżycowych promieni jak daleka fontanna. Ostatni wydech wymiata z pamięci najgorsze dzienne sprawy. Szmer nasila się, przybliża, rozkosz zapadania się w niezbadane... Nagle czuje, a może tylko przeczuwa sennie jakieś obce istnienie tuż przy sobie, nie sprawia mu to cierpienia, przeciwnie, jakby doznawał ulgi, że nie sam zapada w ciemny spokój... może nawet gotów byłby garnąć się do tego czegoś... przybliżyć się miękko... Próbuje włączyć świadomość. Próbuje uwolnić się od jakiegoś ucisku przygniatającego twarz, czuje już wyraźnie alkohol i coraz wyraźniej czyjeś usta...

- Ciiiiii - słyszy szept napęczniały tajemnicą, skąd ten szept?... - Chce zapytać, otworzyć usta, lecz nie może... Odepchnąć! oderwać się? uwolnić!!! - robi nagły uskok, brak oparcia w ciemności - pada z łoskotem na podłogę, leży, ból, lepiej tak zostać. Chichot dochodzący z ciemności: - Zającuuu! wracaj... tu jestem... Czemu wypadłeś z łóżka?

Pozbierał się, wstał, odszedł w przeciwległy róg pokoju, oparł się gołymi plecami o szafę, oddychał szybko.

- No, chodź, chodź! - mówi ta dziewczyna - Zmarzniesz pod lustrem, mały szklany, zającu ty. - Niegłośne czknięcie rozległo się i było kojące, swojskie po tym dziwnym „zającu”. Wszystko, co tu się działo, tchnęło obcością a głównie tandetą. Tak obrzydliwą, że pociągającą.

- No, chodź!

Zaczynało być mu zimno, trzął się. Jakie szczęście, że może być inna przyczyna trzęsienia się niż nieśmiałość.

- Nie przyjdę, bo nie chcę - rzekł twardo. Szczekał zębami.

Czas pracował dla niej. - Wolisz stać, a ja leżę.

Zapaliła papierosa, zaciągała się łapczywie, po pijacku.

Nieznacznie jął przedeptrywać z nogi na nogę dla rozgrzewki. - Czy mogłaby pani wrócić do swojego pokoju.

Dopiero po dłuższej chwili zapytała sennie: - A po co, kotku?

- Nie jestem kotek.

- Zając! Szklany, tak? Odpowiadaj!

- Tak, tak.

- Nikt cię tak nie nazywał? Lubię być pierwsza! - krzyknęła, po czym zaśmiała się histerycznie. Śmiech przeszedł w krótki szloch. Zaległa cisza. W pokoju chłód, ciemność. Księżyc zakryła chmura. Stał nagi pod szafą, szczekał zębami, aż dzwoniło. Utknął w martwym punkcie, nie wiedział, co dalej.

- Wiesz - odezwała się głosem stłumionym poduszką, widocznie leżała na brzuchu - bardzo mi się podobaasz.

- Proszę się liczyć ze słowami - na to on z pewnym zadowoleniem, że znalazł wreszcie punkt oparcia w całej tej rozchwianej sytuacji. - Ja pani nie obrażam.

Poczuł się pierwszy raz od długiego czasu jeżeli nie panem sytuacji, to przynajmniej równorzędnym partnerem. Kompletna ciemność jak gdyby poszerzała ramy swobody, nie musiał robić uprzejmych min, garbić się skromnie, ręce mogły mu dowolnie drżeć (nie drżały!). Jej mimiki też nie dostrzegał, odpadł więc cały sztafaż zewnętrznego, którego tak się zawsze bał.

Czarne-białe - to było wybawienie! Żadne półcienie, pastele nastrojów krępujące wolę i zmysły, precz z letniością, od której nie mógł się dotąd uwolnić wytresowany przez matkę i stado dobrze ułożonych ciotek. Piekło. Stąd te wszystkie męczące pozy, w których szukał ratunku.

A tu nagle stoi goły, oparty o lustrzane drzwi szafy, o kilka kroków dalej leży ta dziewczyna kompletnie jednoznaczna, niczym nie maskująca swoich intencji. Nawet jej słownik wydał mu się mniej tandetny, ba, nawet sympatyczny, służył jasno określone mu celowi. Zdawał sobie jednak sprawę, że na jedno nie może sobie w tej sytuacji pozwolić: na podporządkowanie się. Wtedy przysłaby autentyczność i jednoznaczność. Nic z grzeczności, z przyzwoitości czy dla świętego spokoju - jak to bywało dotychczas. Nie ulegać żadnemu z jej chwilowych popędów. Tylko czysta w formie i treści rozkosz równopartnerstwa. Pełna demokracja, cudowny, nowy smak wolności!

Raptownie usiadła w łóżku, siedziała chwilę spokojnie z twarzą w dłoniach przypuszczalnie, bo kiedy się odezwała głos jej był błagalny, ale i dudniący. - Chodź... dłużej nie chcę czekać...

Przenigdy! Przełomowej chwili przemyśleń nie przeżył na darmo, po trzykroć nie! Odrzekł pogodnie: - A ja jakoś nic... - Delektował się pierwszymi momentami rzeczywistego wyzwolenia.

- Jesteś sadysta? - zapytała z rezygnacją.

Słyszając takie słowo skierowane do siebie w innych warunkach, oblałby się potem. A teraz nie, cudownie nie. - To takie proste... - rzekł w zamyśleniu, napinając mięśnie szczęki, żeby nie latała wskutek coraz bardziej dokuczliwego chłodu.

- Co proste? - krzyknęła, jak gdyby z nadzieją w głosie.

- Wszystko. Proste i nieskomplikowane.

Zakłęła. - Ty durniu! Chodź natychmiast!

I nie czekając, aż przyjdzie wysunęła nogi spod kołdry i dotknęła nimi podłogi. Widział w mroku ich jasny, bardzo niepokojący zarys. Ale nie były one dla niego w tym momencie nogami kobiety, lecz tylko i wyłącznie dolnymi fragmentami ośrodka dyspozycyjnego, który robił wszystko, żeby odebrać mu szansę swobodnego decydowania. Znów ktoś chce zniszczyć mu to cudowne uczucie łopoczącego proporca.

Odrzuciła kołdrę, stanęła chwiejnie, a jej nagość rozjaśniła ciemności. Adamem wstrząsnął dreszcz zimna.

Po kociemu zaczęła podpełzać w jego kierunku. Uskoczył za stół gotów okrążyć go w razie potrzeby. W głębokim półmroku był to najbezpieczniejszy sposób ucieczki.

- Stój! Rozkazuję ci stój! - dławiała się tymi słowami rozmazanymi żalonym szlochom, który chwilami przechodził w pisk tłumionej wściekłości - ...Poczekaj, przecież to nic wielkiego... posłuchaj mnie... - Z hałasem obtarła nos otwartą dłonią. - ...Czemu uciekasz? Nie widzisz, że mnie jest źle? - wyciągnęła w jego stronę obie ręce. - Ty draniu...! Nie, nie chciałam, przepraszam to nie do ciebie! - Jej zdyszany głos był już nie do zniesienia - błagalny. - ...No nie uciekaj... proszę... obejmij mnie... pogłaskaj po głowieeee!!... - Zaniósła się wewnętrznym suchym łkaniem.

Była taka jedna zaczarowana przez nią sekunda, że zawahał się. Pryśła nieufność, uleciały podejrzenia o podstęp z jej strony, o grę, której się bał najbardziej, tak bardzo, jak ośmieszenia swojego męsko-dziecinnego świata. Brzęknął w nim ton, który zwykł był przeradzać się we wspólną muzykę. Ale to jego wahanie trwało o następną sekundę za długo.

Skoczyła w jego kierunku z rykiem wściekłości. Odskoczył w ostatnim momencie, blat stołu wyślizgnął mu się z palców. Pchnęła mu pod nogi krzesło, dopadła go. Runęli spleceni, przewracając półkę z donicami pełnymi roślin. Skorupy, ziemia, badyle. Poczul jej zęby na swojej szyi. Zacisnęła je bez opamiętania, soczyście, aż pękła skóra. Łokciem podbił jej szczękę w odruchu samoobrony. Jęknęła, by jeszcze silniej ugryźć go w gołe ramię. Pięściami waliła na oślep po twarzy i głowie. Wściekle i celnie. W ostrym bólu odepchnął ją, zanim zdążył pohamować impet swojej pięści. Przewracając się - zdołała kopnąć go w

brzuch.

Ich walka miała świeżość trzęsienia ziemi, walka płci w formie oczyszczonej z całego arsenału krygowań się, mizdrzeń, przyłgnięć i sztuczek. Energia dziewczyny koncentrowała się już teraz na niewytłumaczalnym dla niego odwecie, przeradzała się w żywioł, siła ciosów i wściekłe zapamiętanie było niewspółmierne do jego przewiny. Wierzgając, drapiąc, plując - umęczona do ostateczności, coraz wolniej poruszając rękami i nogami - usiłowała go zniszczyć.

W pewnej chwili krwi i potu - ona raptownie zastygła, przerwała bitwę tak nagle, jak ją rozpoczęła. Po krótkotrwałym bezruchu wstała ciężko. Potykała się o poprzewracane meble, szukała oparcia, natrafiła ręką na stół.

Oslupienie i ból całego ciała nie pozwalały Adamowi wstać z podłogi. Leżał na boku. Nawet nie pomyślał o własnej nagości, choć księżyc dociekliwie oświetlał wszystkie szczegóły pobojuwiska.

Trzymając się oburącz stołu, dziewczyna dyszała, pochyliła głowę, opuszczone włosy zakryły jej twarz. Trwała tak czas jakiś.

Nagłym szarpnięciem wyprostowała się.

- Łajdaku!... - powiedziała chrapliwie - pożałujesz... zniszczę ciebie, zaszczuję!... - nabrała powietrza w płuca jak przed kieliszkiem spirytusu. - Ty... wiesz kto ja jestem?! - wyrznęła pięścią w stół.

Zaległa zdumiona cisza.

Dziewczyna sztywno jak w transie cofnęła się i opadła na łóżko. Naciągnęła kołdrę na głowę. Dał się słyszeć stłumiony płacz. Szloch. Ryk. Powoli, bardzo powoli uciszał się.

Póллеżąc na podłodze poruszył opuchniętymi wargami.

- Proszę mi wybaczyć... nie chciałem... Może wody?... Nie? To ja już sobie pójdę. Przespać się... - zawahał się. - Można w pani łózkę? - I nie doczekawszy się odpowiedzi wyszedł kulejąc do drugiego pokoju, to znaczy do jej pokoju.

Starannie zamknął drzwi, rzucił się w obco pachnącą pościel. Poleciał w sen jak w czeluść.

Obudził go ból szyi. Było jeszcze ciemno.

Poszedł do łazienki. Ślady walki przedstawiały się w lustrze paskudnie. Między uchem a szyją - krwawa bruzda. Koszula z wysokim kołnierzykiem nie zakryje, gruby szal? Można usprawiedliwić ostrą anginą. Ale co z okiem? Siny amarant wypełzał na górną część policzka i otaczał lewe oko. Ucho też z obrzękiem, naderwane z lekka.

Łzy bezsilności płynęły mu po twarzy. Jak pokazać się w redakcji? Kpiny, aluzje.

Sensacja. Może lepiej nie iść? Nieusprawiedliwiona nieobecność w pierwszych dniach pracy? Kierownik personalny czeka na takie kęsy. Rzuci się, wbije paragraf w serce, włóczyć będzie po majdanie patriotyzmu, z rozkoszą powyrywa szpony, którymi szkodnik zamierzał podstępnie rozdrapać nowy porządek. I tu któryś z personalnych wyszczerzy kły obrońcy ludu i splunie - w przenośni chyba - na Adamowskę, która powinna się wtedy skurczyć i opluwać się dalej już na własną rękę. Lepiej iść do pracy z gębą pooraną i siną.

I stało się w tej łazience wujowej wykaflowanej w piękne lilie, iż strach zrodził w Adamie myśl, żeby udać ofiarę napaści ulicznej. Zamiast kpin i prześmiejców - gorące współczucie. Właśnie jego - nowo mianowanego pracownika, napadli w drodze do domu po wytężonej pracy niezidentyfikowani sprawcy, a może rewizjoniści. Chcąc wyłudzić kilka banknotów z wizerunkiem bojownika o wolność, równość i braterstwo, emitowanych przez lojalny aż do piwnic Bank Narodowy - pobili go, gdyż z narażeniem młodego życia nie pozwolił sobie papierów wartościowych odebrać. Spełnił patriotyczny obowiązek. Nie wymaga słów pochwały ani medali, drobiazg.

Ujrzał w lustrze człowieka zasłużonego. Z podbitym okiem, przeżartą szyją i wyszczerzonym zębem, którym błyskał śmiało spod opuchniętej wargi. I ten zasłużony zrodzony ze strachu przed Urzędnikiem Personalnym (chorym ze strachu przed Inspektorem Personalnym) tak go zachwyił - że pospiesznie ubrał się, by już, zaraz uwiarygodnić swój heroiczny wyczyn, zatwierdzić go urzędowo.

Do najbliższego posterunku nie było daleko. Stara, nadwątlona kamienica z kratami w oknach. Przed nią kilka czarnych citroenów, wozów szybkich i dyskretnie osobowych. Zaraz po wejściu do zimnego budynku został wnikliwie wylegitymowany i pod opieką doprowadzony przed biurko osoby, która potraktowała go jak znajomego - a to z racji stanowiska w rozgłośni, instytucji godnej szczególnej ochrony.

Oczywiście, redaktorze, jak najszybciej postaramy się wykryć sprawców i ze szczególną starannością ukarać (porozumiewawcze spojrzenie sympatycznej osoby) - najpierw odręcznie na miejscu, a później zgodnie z surowością litery prawa. Wszystko. Szczerze współczuję, życzę dalszych sukcesów w pracy kulturalnej dla szarych mas, czyli dla nas, nieprawdaż, he, he, do widzenia.

Do widzenia. Wyszedł. W górze błyszcząły gwiazdy, gdzieś daleko Z. śniła o wykryciu jego zdrady, garbaty śnił puentę komedii, strażnik czuwał z nogą w wiadrze przeniknięty czuwaniem jak sklerozą, naczelny fruwał koło okna, żeby wypróbować tajne skrzydła. Do diabła z tym, dopóki śpi spokojnie Mercedes, dopóki przelewa się morze i szumi wiatr szumiący tak samo każdej samotności człowieczej. Chwila wzruszenia. Pierwszy raz od

dłuższego czasu zaczął biec wymachując rękami, głową, nogami. Oddychał głęboko, zdrowo.

Tego dnia w pracy nie musiał poskramiać drżenia rąk ani wstydliwie pętać się po kątach. Skancerowana twarz i szyja dawały mu moralny glejt na prawdziwość, czyli uspokojenie.

Wszyscy napotkani koledzy - znani oraz dopiero poznawani - wyrażali współczucie, oglądając go ze wszystkich stron jak małpę. W tych pierwszych dniach życzliwość była mu potrzebna za wszelką cenę.

Błogosławił więc w myślach dziewczynę, której imienia nawet nie znał, posłał w jej kierunku pierwszą strzelistą wiązkę sympatii za kaśliwość jej zębów, za rozpaczliwą siłę jej pięści, za prężność wykopu łydek. Bardzo mu pomogła w kształtowaniu własnej autentyczności. On - chodzący dotąd okrężnymi ścieżkami przez świat faktów - wydostawał się wreszcie na szerszą drogę, z nadzieją uutorowania sobie jasnego, prostego szlaku przez rzeczywistość. W dodatku odczuwał coś na kształt szacunku do samego siebie, że nie uległ, że utrzymał równopartnerstwo. Po raz pierwszy poczuł się mężczyzną z ducha. Dotknął palcem plastra na szyi, zamrugnął opuchłym okiem.

Raz tylko - kilkanaście lat temu jako dziecko doświadczył czegoś podobnego. Czegoś, co też smakowało satysfakcją z podjętej decyzji.

Pamiętny pożar kurnika w czasie wojny. Wieś otoczona czołgami dwóch przeciwstawnych armii, chichot przelatujących górą pocisków, wydłużone przerażeniem twarze mieszkańców. Raptowny wybuch tuż za oknami. Poprzez jazgot histerycznych gdakań wybija się jedno najbardziej żalosne jak solo w piekielnej orkiestrze wrzasków ptasich, krowich i ludzkich. Na ratunek kurom popędził on i ciotka Alojza, katalog wszystkich cnót gospodarskich, taran dobroci wyręczający w pracach polowych największych leni, głównie starszych kuzynów Adama, popijających samogon i gżących się w zbożu z wsiowymi kobietami, udających bohaterów ruchu oporu, a z tym ruchem nie mających nic wspólnego, o czym każde dziecko wiedziało we wsi z Adamem włącznie, po harcersku oburzonym. Więc wtedy w tym kierunku - z narażeniem życia, w ogniu i dymie, wśród walących się stropów - brnął po tę najżałośniej wyjącą kure, dusząc się i płonąc wyratował właśnie ją, a nie ciotkę przyciśniętą belką, którą wprawdzie chciał odciągnąć, ale nie dał rady. A może za słabo ciągnął. Nie, wtedy już chyba zdecydował. I kiedy z tłącą się kurą pod pachą i sam tłący się i podduszony wybiegł na zewnątrz, a kurnik zawalił się z hukiem i sykiem - wtedy dostał po pysku od stojącego w bezpiecznej odległości kuzyna, jednego z tych, którym ciotka była niezbędna. Won z powrotem po ciotkę! I wtedy drobny, chudy, nadpalony Adam stojąc przed osiłkiem kuzynem, podjął drugą ważną decyzję: wywalił na niego język i uciekł.

Leżąc później pod krzakiem agrestu, kiedy ucichły strzały, a wokół zgliszcz kurnika zaczęli gromadzić się ludzie, by odmawiać pacierze za nieboszczkę - Adam z twarzyczką czarną, poraną śladami łez głąskał zmordowaną zdrowo kurę i wcale nie żałował, że to nie ciotkę Alojzę głąszcze. Od tego czasu każdą kurę - nawet w rosole - uważał za symbol osobistej odwagi.

Ogarnęło go wzruszenie wywołane głębokimi dygresjami, gdy tak siedział zagapiony w gołą deskę biurka w redakcji. I byłby nawet gotów zaliczyć ten kolejny dzień pracy do udanych, gdyby w pewnym momencie nie zajrzał przez uchylone drzwi naczelny redaktor. Wszedł, uśmiechnął się odsłaniając górne zęby jak koń - Adam z uszanowaniem stanął obok biurka - pospacerował po pokoju, ręce na plecach założone, siadł, noga na nogę, pokiwał stopą.

- No, jak tam praca, panie kolego?

- Dziękuję. Próbuję powoli przyzwyczajać się.

- Chwali się. Są kłopoty?

- Na razie nie.

- A koledzy?

- No, cóż...

- Wszyscy bez wyjątku? - dopytywał się tak jakoś najsympatyczniej, na ile mu pozwalała aureola szefa.

- Przepraszam - Adam zdjął z nosa okulary, przetarł je drżącymi palcami, po czym założył z powrotem. - To znaczy?... nie rozumiem...

- No... czy któryś z kolegów nie jest według was jakiś taki niewyraźny, co? Jak uważacie?

- Nie, wszyscy są wyraźni.

Naczelny parsknął przychylnie. Jakby tym śmieszkiem polizał Adama po głowie. - Bardzo ładnie wyrażacie się kolego. W ogóle mimo wszystko, wiecie... - powiedział to „mimo wszystko” z naciskiem i jakby tego nacisku było za mało, jakby chciał uwyraźnić swoją aluzję jemu, adeptowi przestraszonemu, zamachał rękami niby skrzydłami.

- Ja was cenię za wasz sposób mówienia i zachowania. Taaak - pokiwał znów butem w prawo, później w lewo. - Choć przyznam się wam, że na pierwszy rzut oka robiliście wrażenie idioty.

Adamowi pąs uszkarłatniał powoli policzki, ale starał się patrzeć naczelnikowi prosto w oczy lub przynajmniej na jego uszy patronujące mięśnie całej nawisłej tłuszczem twarzy.

- Jednak errare humanum... nieprawdaż? jak to mówią marksieści, he! Jesteście

obiecujący. Chciałbym doczekać się z was oddanego sprawie dziennikarza. No - podniósł się ciężko z krzesła, wypiął brzuch. - Zajrzałem tu do was na moment i niech to zostanie między nami, prawda. A jakbyście coś zaobserwowali, coś niewyraźnego, to walcie do mnie jak do ojca, rozumiecie?

- Nie bardzo... - gardło Adama było suche jak wiór.

- No, nie udawajcie, kolego. Przynajmniej przede mną nie potrzebujecie. A muszę podkreślić, że robicie to bardzo dobrze, naprawdę jestem w pełni uznania dla waszej podwójnej gry...

- Słucham???

Śmieszek, który nie schodził przez cały czas z grubych warg tym razem rozpełzł się szerzej. - Mnie, staremu lisowi nie trzeba wiele. Ufajcie mi, a daleko zajedziecie. Tak, to byłoby tyle - rzekł i położył rękę na klamce. - Co to ja jeszcze?... Aha... dzwonili do mnie z posterunku. Bardzo się o was martwili... Powiedzieli, że staną na głowie, a sprawców złapią. Są już na tropie...

Przyjrzał się szyi Adama i zielonej plamie pod okiem.

- No to czołem. - Szarpnął drzwiami i zamknął je cicho za sobą.

Adam stał z półotwartymi ustami, w głowie czuł silny przewiew, który wywiewał wszystko, co jeszcze w niej sensownego pozostało. Najsilniej trzymał się skorupy czaszki jeden pewnik: iż poza faktem śmierci, poza bólem i miłością - wszystko na tym świecie urządzone jest na niby.

Wuj

- Kierownik działu artystycznego chce cię ujrzeć - rzucił w przelocie Robert. - Ja jadę na dokumentację w teren. Pamiętaj, że to nasz bezpośredni szef. Pokaż mu się z najlepszej strony. Wejdz do niego tyłem. Masz zdaje się niezłe plecy - zawołał już z korytarza. Na szczęście nikt nie usłyszał.

Kierownik artystyczny nazywał się Drag, miał w sobie coś z Napoleona, który wszedł do historii kuchennymi drzwiami, a mimo to bronił do nich dostępu po cesarsku. Niski, pierś wklęsła, brzuch przeciwnie, ale głowa! Głowa imperatorska - istniała autonomicznie, gardząc wszystkim, co poniżej. Przedziałek we włosach bujnych, szpakowatych - jak strzelił, czoło, nos - godne dłuta, podobnie zarys zuchw pracujących śmiało do przodu.

Drag spacerował z jedną ręką na plecach, drugą poszarpywał przetarty kołnierzyk, jakby dusił się pod maskującym majestat przyobleczeniem. Poruszał się z trudem między meblami - nadwątlonymi przez czas i wojny - bardziej pasującymi do poczekalni weterynarza niż gabinetu lidera działu artystycznego.

- Do waszych obowiązków, mój młody kolego - mówił jak do emisariusza wysłanego za linię frontu - będzie należało opracowywanie audycji dla robotników oraz udział w pisaniu scenariuszy imprez dla przodujących zakładów i fabryk, to znaczy de facto dla wszystkich. Proszę zapamiętać: nowe idzie, totalne gnicie starego czuje się aż tu w naszym mieście...

Zapatrzył się dumnie przez okno na ruiny garażu.

- ...Trzeba jednak podchodzić do tego delikatnie. I tak: terminu „rewolucja” możecie używać mniej więcej raz na pięć minut emisji programu, podobnie jak „przodująca klasa robotnicza”, którą możecie się podpierać do woli, dalej, żadne dziesięć minut słowa na antenie nie powinno być ogołoczone z „więzi mas pracujących” oraz z „sojuszu robotniczo-chłopskiego”. Te terminy spełniają swoje zadanie w każdej audycji, nie wyłączając czystych w formie erotyków ludowych. Co jeszcze? Będziecie pracowali pod kierunkiem kolegi Roberta, który jest wprawdzie wypróbowanym osobnikiem, ale zbyt mało czujnym, za łatwowiernym... zbyt częste zagładanie do kieliszka... mówię wam to w zaufaniu, bo doszły mnie słuchy, że jesteście człowiekiem odpowiedzialnym, o zdrowych przekonaniach i ojcem

rodziny, choć niezbyt czystym klasowo, zgadza się? - powiedział to z nagłą, niejako z marszu po pokoju, celując palcem między oczy Adama, ale Adam nawet nie drgnął.

Wywód kierownika podziałał na niego błogo. Kpi, czy nie kpi? - zastanawiał się, patrząc bacznie na poważnego człowieka tak przejętego swoją grą, że aż ogarniały dreszcze. Grą?

- No, zgadza się? - powtórzył Drog podchodząc jeszcze bliżej.

Siatka zmarszczek wokół bystrych oczu, ledwo dostrzegalna blizna od czoła do ucha, usta boleśnie, choć stanowczo zaciśnięte - wszystko to stwarzało wrażenie autentyzmu.

- Tak, proszę pana, niczego nie ukrywam - powiedział Adam ze swobodą tak rzadką u niego a przez to uroczystą. - Pochodzenie mam żalosne, ale ja rzeczywiście chciałbym...

Mówiąc to uświadomił sobie, że balansuje na linii rozpiętej między taktyką a prawdą. Trzeba zachować równowagę za wszelką cenę.

I nagle zza tej cyrkowej przenośni napłynęła fala strachu przed tym człowiekiem obcym i dorosłym. Dorosły bywa wielowarstwowy. Skrzyżowanie lisa z tęczą. A gdyby tak oddoroślić go na moment - wtedy łatwiej by mu zajrzeć w zęby.

I podczas gdy Drog krążąc po pokoju, dalej odsłaniał przed nim tajemnice mieszania radiowej fikcji z polityką - Adam ściągał z niego wytłuszczony garnitur, wsuwał go w krótkie majtki, na generalską głowę o orlim profilu wciskał uszatkę z pomponem zapiętą pod brodą na guzik, w usta pełne wytycznych włożył mu palec jego własny i pozwolił ssać, ale z przerwami, bo szczebiotać chłopczykowi nie wzbraniał, przeciwnie, wpatrywał się w jego buźkę z napiętą uwagą i słuchał, słuchał chciwie.

- Co się tak na mnie gapicie? - doszło w pewnej chwili do uszu Adama - ogłuchliście?

- Nie, nie! To są dla mnie nowe sprawy, więc staram się zapamiętać! - Adam replikował z takim przekonaniem, że kierownik zdecydował się kontynuować. Ale tego już Adam nie słuchał.

Więc chyba tak, rzeczywiście, Drog wierzył w to, co mówił. Krótkie majtki i czapka z pomponem też pasowały do treści słów. Nie było w tym żadnego komizmu, po prostu pokraczny, chłopczyk wyssał z mlekiem matki poważny stosunek do świata i wytrwał w tej powadze aż do wieku przedemerytalnego.

Komedia, dramat czy codzienność? - zadawał sobie pytanie, siedząc przed biurkiem starszego pana, którego widział po raz pierwszy, kierownika ważnej placówki, a więc skażonego władzą. Czyż nie bezpieczniej będzie przełknąć po cichu i bez smakowania pigułę ulepionych przez tę władzę mądrości, podziękować i wyjść do swoich zajęć? Ale do jakich? Co robić po wyjściu z tego pokoju? Gdzie się podziąć? O co się oprzeć? Każdy z krążących

po tym gmachu ma swoje zajęcia. Roman? Na pewno autentycznie przyjazny, ale to tylko rówieśnik, może mądrzejszy o ten obóz koncentracyjny, o wiedzę tam nabytą, ale jakby nazbyt uniwersalną, zbyt ciężkiego kalibru, a tu chodzi o drobiazg infantylny: kogo udać, żeby nie stracić skarbu dziecięcej świeżości?

Adam od dłuższego czasu żył nadzieją zdobycia sobie wuja. Miałyby to być wuj-panaceum, na słoty i akademie, krewny czy obcy, byle wujowatość od niego była serdeczna, mądrość a głównie życzliwość. Przyzwyczał się do mitu wuja jak do cienia, był z nim w chwilach samotnych. Wuj pancerny - uodporniony na najcięższe ataki losu, noszący swój krzyż jak mocarz pięść: z pokorną nonszalancją.

Niestety - wuj taki majaczący w marzeniach przedsennych, do zmaterializowania się skory nie był. Może więc chociaż wuj-atrapa? Umieścić go w Drażu na próbę? Nigdy jeszcze Adam nie odczuwał tak silnej tęsknoty za wujem. Napór pytań przyciskał go do milczącego muru. Co dalej? Czy jak gdyby nigdy nic zacząć wznosić okrzyki zwycięskiego patosu, czy też zasłonić zdziwioną gębę tarczą wygłupu?

Rozterki przygwoździły Adama do krzesła, wokół którego krążyło pół cesarza, pół socjalisty. Która z tych części była prawdziwsza? Obie składały się na coś pokraccznego i to przyciągało.

- ...zwróćcie uwagę, panie kolego, iż czas przez nas przeżywany wyzwalać musi w człowieku zachwyty i podziwy dla zrywu. Proszę spojrzeć przez okno. Wszędzie ceglastość budulca, wszędzie rusztowania. Naród, który niedawno rzucony na kolana przez hordy hitlerowskie wegetował półżyciem - teraz twardo budują swoją nową historię! Czy to nie cud?

Adam z lekka poruszył prawą nogą, ustawił ją z ostrożną nieco wygodniej, bo ścierpła w pozycji pełnej uszanowania.

Draż zauważył ten drobny ruch kątem bystrego oka.

- Wiem, wiem. Wyrażam się zbyt patetycznie jak na pana młodzieńczy gust. Pan się niecierpliwi.

- Ależ...

- Wiem, co mówię. Samokontrola w naszym zawodzie jest konieczna. Czy pan wie, co powiedziała mi pewna stara wieśniaczka, przypadkowo spotkana w czasie jednego z moich wieczornych spacerów za miasto? - mówił głębokim barytonem, ze staranną dykcją dyplomaty opisującego przedstawicielowi obcego państwa jakieś epokowe wydarzenie. Dumnie uniesiona głowa celowała klasycznym profilem w szybę małego okna upstrzoną naszymi odchodami. Było coś wspaniale fałszywego i jednocześnie autentycznie

sympatycznego w żywym popiersiu tego człowieka. Czuło się, że ma on pełną świadomość efektownej dynamiki bijącej z jego twarzy, a przecież transmitującej jedynie małą część potężnych fluidów, których główne źródło mieściło się w całej reszcie rachitycznego ciała.

Adam po raz pierwszy w życiu spotkał taką potęgę zamkniętą w takiej pokraczności. Po raz pierwszy też ogarniała go fascynacja na widok jednego człowieka uosabiającego jakąś bliżej nieokreśloną mnogość. Nie zdziwiłby się, gdyby i tak już wyraziście gestykulujący Drąg zaczął wymachiwać sześcioma rękami jednocześnie.

- ...Ta kobieta, proszę pana, zgrzybiała starucha - ciągnął z emfazą - powiedziała mi tak: trzasnął mi dziewiąty krzyżyk, ksiądz dobrodziej w naszej wsi radzili, że już czas na pochówek w dobrym suchym miejscu, pod galantą sosną, a ja mu na to, że gdzie mnie będzie lepiej jak tu, elektrykę w chałupie założyli, łąkę dla krowy wytyczyli, szosę do miasta twardo ubili i po rękach nikogo za to wszystko nie muszą całować, umrę dopiero jak prawnuk traktor kupi i mnie potraci. Czyż to, proszę kolegi, nie poetycka apoteoza zdrowego rozsądku godna Sancho Pansy? No ale ja tu pana za długo zatrzymuję. Proszę wrócić do redakcji, mam nadzieję, że kolega Robert omówił już z panem plany audycji na najbliższy tydzień?

- Mam jechać do portu i zrobić koncert życzeń dla dokerów.

- No, to powodzenia. Zobaczymy, co pan nam stamtąd przywiezie panie... jak panu?

- Adam.

- Po nagraniu i zmontowaniu proszę mi audycję przedstawić do przesłuchania. Aha, jeszcze jedno. Proszę poczekać z tym wyjazdem do portu przynajmniej kilka dni. Tak pokancerowany na twarzy nie może pan, panie Adamie, reprezentować naszej instytucji. Kolego redaktorze! - zaakcentował to ostatnie słowo z ojcowiska, lekko uderzając Adama po ramieniu.

Przebiegł go dreszcz. A więc stało się. Nieoczekiwanie szybko mianowano go utytułowanym pracownikiem.

Czy można przyjąć w siebie redaktora bez stażu? Bez sensu. Gdzie zniknął ciężar tego słowa tradycją obrosły? Nie było redaktora - jest redaktor. Nie w porządku. Spocił się. Ale już niewątpliwie jako redaktor. Tyle wysiłku - żeby się ujednorodnić, wygrzebać z fałszu, a tu nagle nowy zwalisty pozór przygniółł go trudny do udźwignięcia. Miał nadzieję że kilka miesięcy beztrudnie popraktykuje jako adept w nowym zawodzie, a tu nic z tego.

Czy ten świetny, najprawdziwiej ze wszystkich ludzi udający kogoś innego niż był w rzeczywistości - Drąg - tego nie rozumiał? A może działał świadomie?

Mimo tylu wątpliwości Adam stwierdził z niepokojem, że redaktor jak kleszcz wrzepił się w jego flaki, przyssał i siedzi. Zbyt smaczny był to jednak kąsek, żeby go wydalić. (Gdzie

wy, łąki, parowy i plaże chłopięce?)

Adam pożegnał Draga z rozterką w duszy. Najchętniej zostałby jeszcze i słuchał. Jednakże z uwujowaniem tego wspaniałego człowieka postanowił zaczekać.

W pokoju redakcyjnym zastał tylko ładnego bruneta zwanego Wapo. Na „dzień dobry” tamten nie uniósł nawet głowy. Pisał, był nieobecny. Budził podziw i grozę. Adam usiadł w kącie. Nie miał jeszcze własnego miejsca, niczego własnego tu nie miał. Nawet myśli snuły mu się po głowie niczyje. Może tak wygląda mentalność urzędnika? Nie umiał przekroczyć progu między prywatnością a tą tu urzędową oficjalnością. Już teraz odzywały się pierwsze symptomy tremy przed wyjazdem na zapowiedziany reportaż. Odczuwał nagle dreszcze i nieprzepartą chęć ucieczki. Gdyby nie Mercedes, nie zastanawiałby się ani minuty. Wyszedłby zamknąwszy drzwi za sobą, przesłałby całusa strażnikowi - i koniec. Czego początkiem byłby ten koniec, nie zastanawiał się. Wiadomo tylko, że wielki ciężar spadłby z niego z melodyjnym trzaskiem. A może mimo wszystko wyjść?

Gdzie znaleźć Romana. Natychmiast musi poczuć jego upośledzoną obecność. Autentycznie upośledzoną.

- Proszę tak nie siedzieć, to mi przeszkadza. Proszę coś robić - syknął brunet nie przerywając pisania.

- Przepraszam - wyjąkał Adam.

- Kaszleć, chrząkać, szurać!

- Proszę?

- Czy nie dość jasno się wyrażam? - cedził przez zęby brunet znad stron gęsto zapisanych równymi literami.

Stanowcze polecenie zakłócania ciszy podczas pracy twórczej przez samego tworzącego musiało mieć jakieś logiczne uzasadnienie, ale jakie? Masochizm, przekora, nawyk? A może szczególny sekret pracy pisarskiej, o której nie miał pojęcia. Dotąd nie zetknął się z zawodowym pisarzem. Ten był pierwszym, oglądał go z bliska i to w czasie tworzenia. Więc patrzył z wielkim uszanowaniem. Tak oto wygląda inżynier dusz - jak to mawiał w liceum profesor od polskiego, stosujący oficjalną frazeologię, gdyż brał łapówki za stopnie.

Adam zaczął szurać butem, zrazu cicho, później denerwująco. Przestał. Coś kazało mu przestać, chyba wpojony od dziecka kult dla sztuki a pośrednio dla tego pisarza... Miernikiem jego niepospolitości był przecież dziwny kaprys, artyści takie miewają, sporo o tym słyszał. Podobno dziwactwa pomagają budować osobowość twórczą mistrzów. Jeżeli więc spełni kaprys pisarza, może stać się współuczestnikiem aktu twórczego. Zaszczyt. Szurając butem o

podłogę, ułatwi artyście budowę dramaturgii, snucie intrygi... Może na tym właśnie polega fenomen talentu, by wykorzystując bodźce zewnętrzne wzbudzać mechanizm skojarzeń? W takim wypadku on chętnie pomoże, przyczyni się, współwzbudzi. Przemógł więc opór nieśmiałości i pchnął krzesło. Szurnęło po podłodze, wpadło pod biurko. Zaklinowało się. Brunet zerwał się na równe nogi. - Chamie! Nie widzisz, że tworzę?! Won za drzwi.

Adam odetchnął głęboko, dotlenił sobie mózg. Tak, niewątpliwie miał do czynienia z jeszcze większym talentem, niż przypuszczał. Chimeryczność bruneta przechodziła oczekiwania. Na palcach podszedł do drzwi, by spełnić kaprys artysty, jednakże pokusa współtworzenia z nim dzieła literackiego nawet za cenę upokorzeń była na tyle silna, że już naciskając klamkę pozwolił sobie jeszcze w imię sztuki - głośno zawyć jak pies.

Brunet jednym susem znalazł się przy Adamie, wrzeszcząc z ogniem w oczach:

- Jak śmiesz pęta! Wiesz, kto ja jestem?

- Wiem - odrzekł poważnie Adam. - Pan jest pisarz. A jeżeli bicie pomoże w pisaniu to proszę bić, ja nie oddam, bo kocham sztukę.

W brunecie aż się zagotowało. Odskoczył, zacisnął szczęki, chwilę coś przeżuwał. Wreszcie wykrztusił:

- To jest prowokacja! Czy wy zdajecie sobie sprawę?!

I nie mogąc osiągnąć szczytu swojej wściekłości, gdzie już się wspinał z satysfakcją, nie mogąc ani zaatakować z powodu wytrącenia argumentów, ani bronić się z nadmiaru pychy - z całym impetem kopnął biurko. Uczynił to tak nieszczęśliwie, że but przebił drzwiczki, wpadł do środka a wyszarpięta stamtąd stopa wróciła na zewnątrz w skarpecie. Wyjąc z bólu i litości nad sobą podskakiwał na jednej nodze. Adam zaczął przeproszać, chciał rozmasować, ale twórca odtrącił z obrzydzeniem pomocną rękę, poskakał jeszcze chwilę posykując boleśnie, następnie siadł i jakby nigdy nic, nie próbując nawet odzyskać buta - zagłębił się w tworzeniu. Adam przyglądał mu się z zachwytem. Chcąc zachować w sobie cząstkę sztuki, o którą miał okazję otrzeć się - poszedł do płytoteki. Roman był, słuchał muzyki.

- Zaa-a-palisz?

- Z chęcią. Wiesz... to wstyd, ale ja w obliczu wielkiej sztuki czuję się jak karzeł.

- Ciii... to koncert Griega, a-moll. Popo-po-słuchasz go ze sto razy po kolei to uuu-rośniesz.

Siedzieli na podłodze w zacisznym rogu pomieszczenia pełnego półek z taśmami i płytami. Koncert fortepianowy o czystym brzmieniu zaczynał powoli wypłatywać Adama z gmatwaniny lęków, które szarpały jego dziewiczą duszę. Wreszcie Roman wyszczerzył pełen

garnitur szeroko rozstawionych, poszkorbutowych zębów.

- No jaaak?

- Lepiej.

- Ja mógłbym tego słuchać od rana do wieczora.

- Ciągłe tego samego?

- Jasne. Gdyby nie to... - podniósł dłonie o powykrzywianych palcach na wysokość swoich oczu, zerknął na Adama jak zza powyginanej kraty - ...ćwiczyłbym ten koncert po kilka godzin dziennie. Może kiedyś, jak mi urosną nowe palce, będę już znał partyturę na pamięć. Wierzę, że mi urosną. Dlatego siedzę tu całymi dniami, słucham i uczę się. Kierownictwo już się z tym pogodziło. Wytłumaczyłem im zasadę materializowania się idei. Ze strachu przed filozofią uwierzyli mi na słowo.

Roześmiali się obaj antynaukowo, zdrowotnie.

- Poza tym - ciągnął Roman - wolę spokój, przesypywanie piasku. Nie chcę walczyć z nikim. Wygram - stracę pokorę, przegram - stracę równowagę. Teraz mi dobrze, robię programy muzyczne, szczypta klasyki, szczypta folkloru, dla smaku coś z awangardy, żaden z pretorianów nie przyczepi się. Ze strachu, żeby nie wyszło na jaw, że jest głuchy.

- Słuchaj a... co ty sądzisz o Drağu? Wydaje mi się że on cały czas gra kogoś innego, świetnie zresztą to robi.

- Iiii tam... Ze strachu każdy zagra każdego.

- To on też się boi?

Roman przyjrzał mu się badawczo spod opuszczonej powieki. - Kogo ty teraz przede mną chcesz udawać? Dziecko?

- Roman!

- Przee-epraszam. Myślałem, że zażartowałeś.

- Nie, to znaczy tak!... żartowałem.

- To w poo-orządku. Puszczę tę płytę jeszcze raz. Zapalisz?

Niezmiernie trudno jest na świecie o dobrego wuja - pomyślał Adam w przyływie nagłej melancholii.

Oczy

- Cześć - powiedział ktoś od progu - zasłaniały go półki z płytami. - Jest tam kto?

- Czego? - rzucił Roman.

Podszedł, średniego wzrostu, battledress, torba zawieszona na ramieniu, fajka w zębach, pociągła twarz, nos długi prosty, rude włosy gładko do tyłu. Wydawał się podejrzenie domyty.

- Poznajcie się. To jest Adam, nowy na-na-nabytek.

- Cezary Zbrs... Potrzebuję kogoś do przeczytania komentarza. Nawalił lektor, a za pół godziny mam wejście na antenę.

- Sam nie możesz?

- Nie. Po komentarzu leci mój reportaż z terenu. Nie chcę się dublować. A może kolega, co? - mówił wyraźnie do przesady, nosowo, przyglądając się podejrzliwie Adamowi. - Czytał już kolega coś do mikrofonu?

- Ja? Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Bardzo dobrze. Będzie nowy głos na antenie.

- Łap szansę, jak już zacząłeś się w to bawić. - Roman wypchnął Adama za próg, Cezary wziął go pod ramię.

- Bez tremy kolego. Zdaje się, że dykcję macie względną, nie zdążył pan jeszcze zarazić się jąkaniem od Romana. Kiedyś trzeba zacząć.

- Wolałbym nie tak od razu. Nie znam się na tym.

- A masy ludowe pan kocha?

- Słucham?

- Formułuję pytanie nie dość wyraźnie? - rzekł z naciskiem tamten.

- Nie... to znaczy... ja do żadnej organizacji...

- Bez filozofii. Hien imperialistycznych pan nienawidzi?

- Nie bardzo rozumiem.

- Kolego, tu nie ma czego rozumieć!

- Właściwie...

- Więc kocha imperialistów, czy nienawidzi?

- No, oczywiście...

- W porządku. Jest pan więc pewny. A jeżeli tak, to każde zajęcie może pan wykonywać z powodzeniem. Czyli, że każdy może być spikierem? Co?

- No... poniekąd...

- Słucham? Poniekąd czy absolutnie? - uniósł brwi.

- Tak.

Był to ktoś z kim należało mieć się na baczności.

- Proszę tu chwilę zaczekać, przyniosę tekst z hali maszyn - pyknął fajką i poszedł.

Adam zaplatał i rozplatał spocone palce, przedeptywał nieznacznie z nogi na nogę, stojąc tak straszliwie samotny na końcu długiego korytarza, machinalnie patrzył przez okno na nieśmiało zieleniejącą trawę, lecz nie widział jej. Uciekać stąd!

Raptem poczuł na plecach coś jak dotknięcie iskry. Obejrzał się. Zobaczył człowieka z laską. To było pierwsze spotkanie. Stał w odległości kilkunastu metrów na drugim końcu korytarza i wpatrywał się w Adama niewspółmiernie na wąskiej twarzy dużymi, wyrazistymi oczami. Przez moment wzrok ich się spotkał. Człowiek miał na sobie szary garnitur, szare buty, kołnierzyk koszuli nieokreślonego koloru wyłożony na marynarkę, na głowie szary beret, w lewym ręku szara laska. W półmroku byłby niewidoczny - pomyślał Adam i odwrócił się do niego plecami, ale i tak czuł, że człowiek z laską nadal stoi i patrzy.

Kiedy usłyszał za sobą kroki, nie wytrzymał i znów się odwrócił, ale to był Cezary z tekstem. Szary zniknął, jakby nigdy nie istniał. Adam nie mógłby na pewno określić, czy nie uległ złudzeniom wzrokowym.

- Niech pan pozwoli, panie kolego, do spikerki. Naczytamy sobie wspólnie.

Wszedł za Cezarym do małego pomieszczenia wyłożonego dźwiękochłonnymi płytami. Nad stołem okrytym pluszową zielenią wisiał mikrofon rozpięty na sprężynach jak tłusta mucha. W czarnym pudle konsolety stojącej obok stołu wesoło migwały światła zapalając się i gasnąc na przemian. Część ściany zajmował wielki zegar, prócz niego tykało z cicha coś przypominającego kompas. Widok tych urządzeń mógł spowodować bałagan w głowie.

- Proszę się nie gapić, panie kolego, za kwadrans zaczynamy audycję. Pija pan zdaje się sporo lub też nadwrażliwość, co? Proszę wytrzeć ręce o krawat i czytamy, niech pan myśli intensywnie o czymś interesującym, na przykład o zdradzie swojej dziewczyny, to pomaga opanować tremę. Nad tym, co pan czyta, nie zastanawiać się, tego nikt słuchał nie będzie a szkoda, bo tematyka zajmująca, proszę spojrzeć, o betoniarce, niech pan to tak przeczyta, żeby pewien procent słuchaczek przestał się uchylać od kursów betoniarskich, proszę, jest

tego tylko strona maszynopisu.

Adamowi zakwitł w głowie silny, szkarłatny pęk i delikatnie rozpieął czaszkę. Oczy pełne rozmazanej tęczy.

- Nie mogę... - wykrztusił. - Nic nie widzę...

- Niech pan nie udaje, do diabła! Jesteśmy na podsłuchu!

- Naprawdę nic nie widzę! Mam koła w oczach...

- Czytać! Jeszcze nie wchodzimy na antenę.

- Czy ja muszę? - wyszeptał żelaznymi wargami.

- Teraz już tak. Ma pan dobre brzmienie, wyciągnie mi pan tekst, no proszę, proszę. Wolno, wyraźnie artykułować, bez wybijania się. Frazować logicznie.

Adam wyluskiwał litery z bielma zachodzącego na oczy, mózg jego był dokładnie wyżęty z myśli. Stopniowo, powoli zamajaczyła mu w wyobraźni Mercedes. Jej tylko czytał bajkę o dziewczynie, która marzyła, by zostać piękną betoniarką w zwiewnej brezentowej sukience. Czemu właśnie w tej chwili wydostawała się na powierzchnię jego doznań ta paląca kropla miłości do córki. Wypierała skutecznie histerię, lęk i tremę, rozrastając się rozkosznie, swojsko, ale i tęsknie ponad wytrzymałość.

Rozległo się skrzekliwie w głośniczku konsoly: - Za minutę emisja.

Długa, czerwona wskazówka na zegarze z doskoku dobijała sekundy, mikrofon czytał - a on był mimo wszystko spokojny, bo znów wróciła Mercedes.

- Przepraszam - powiedział szeptem do Cezarego - ilu ludzi będzie mnie słyszeć?

- Sądzę, że nie więcej niż cztery miliony - odpowiedział tamten bez zastanowienia.

- Tylko tyle?

Cezary spojrział na niego po raz pierwszy uważnie. - Nie licząc marginesu społecznego, kułaków, reakjonistów, dywersantów oraz antykolegów z nasłuchu rozgłośni zagranicznych. Kilkadziesiąt ton uszu, kolego.

- Słyszeć mnie? Po sygnale wchodzić - powiedziało w głośniku.

- Uwaga na czerwone światło nad mikrofonem - rzekł Cezary aksamitnie, położył dłoń na dłoni Adama, nacisnął ją lekko, gdy zabłyśła czerwona lampa. Adam czytał równo, któryś wyraz przekreślił, Cezary na migi, że w porządku. Czytał dalej, w gardle paliło, litery przeskakiwały, oblizął się, przełknął głośno ślinę, pogubił linijki tekstu, Cezary wskazał mu palcem, wodził nim po papierze, tak było lepiej, cztery miliony ludzi w swoich domach słyszało przełknięcie Adama. Czytał. Silnik maszyny do mieszania betonu wprawiony w ruch jego językiem zagłuszał wszystko.

Przyjemne, przywódcze swędzenie skroni. Słuchają go w tej chwili, muszą go słuchać,

chcą, czy nie chcą. Mówi do czterech milionów czegoś co jest posłuszną masą, magmą. W tej masie szarej, dalekiej, pełga płomyk, wykwita, rośnie, Mercedes! To ja, to mój głos, poznajesz?... - Mercedes! - wyrwało mu się czule słodkie imię, choć litery tekstu już się skończyły. Trzask.

Cezary wyrznął pięścią w stół okryty zieloną ceratą. - Co mi pan reklamuje szkopskie auta! - I do mikrofonu: - Wykasować natychmiast ostatnie słowo! - sapał wściekle, wyrwał Adamowi tekst spod ręki. - Ma pan szczęście, że nagrywaliśmy na taśmę! Tylko mikser słyszał. Inaczej to byśmy obaj... - opuścił kciuk ku podłodze. Ma pan też szczęście, że akurat lubię tę markę. Ale co ci przyszło do łba, młody człowieku? - popatrzał na Adama z sympatią, a kiedy ten chciał coś mówić, przerwał mu ruchem ręki i z obrzydzeniem w głosie mruknął: - Pyskaj!

Adam wyszedł na korytarz. Nogi bez mięśni, mrowienie w dłoniach. Chciał być sam za wszelką cenę. Przechodząc na parterze obok oszklonej budki strażnika, zobaczył człowieka z laską. Siedział jak chochoł, świeciły tylko oczy, nieruchome, dziurawiące na przestrzał, stężona uwaga w nich była. Adam zaczepił o te oczy jak o gwóźdź w podłodze, potknął się, odruchowo powiedział przepraszam. Szedł coraz szybciej, biegł dysząc ciężko jak goniony. Dopiero na ulicy zwolnił, odetchnął pełnymi płucami, wmieszał się w tłum.

Pogoda była słoneczna, mijani przechodnie, już kolorowi wiosennie, przeskakiwali przez wyrwy w chodnikach, przez gruzy i różne żelastwo. Miasto podskakujących ludzi. Starsi przystawali koło każdej budowy, gapiąc się miłośnie. A ciągnęło się to budowanie wzdłuż całej szeroko wytyczonej przez spalone dzielnice dwujezdniowej arterii. Na różnych wysokościach murów pracowali robotnicy systemem trójkowym, co było dużym sukcesem technicznym, nie licząc elektrycznych wind do wciągania cegieł i mechanicznych mieszadeł do zaprawy. Natomiast hasła rozpostarte na płótnach wzdłuż nowych ścian i płotów tchnęły postęmem bez żadnych już hamulców. Wiara i nadzieja biła z napisów na wałących się balkonach starych domów, na ocalałych płytach chodnikowych, na poniemieckich piwnicach i schronach.

Ślady niedawnej wojny dawały o sobie znać w tym mieście portowym, zwłaszcza w obrębie murów starego grodu. Obok artystów - cyzelujących ozdobne sztukaterie na frontonach wąskich kamienic wznoszonych od fundamentów - gmerali poszukiwacze skarbów, zakwefieni szmatami, ociekający żądzą materii. Zapach pleśni i przyschniętego do ruin dymu opornie ustępował przed aromatem świeżej wapiennej zaprawy. Wąchanie jej wzbudzało u nowych mieszkańców tego miasta strzeliste uczucia.

Idąc ulicami starego centrum - Adam odkrywał nowy świat. Był tu kilka lat temu, lecz

wtedy wąwozy wśród zgliszcz nie próbowały nawet udawać ulic, a stada krążących mew z powodzeniem mogły imitować sępy. Pamiętał dobrze trupi swąd, który mieszał mu się z zapachem rolmopsów jedzonych naprędce w budzie z blach po zestrzelonym samolocie obok przystani statków.

To co znajdował teraz - przeszło jego oczekiwania. Miasto wracało do stanu znanego mu jedynie z rycin w podręcznikach historii, nigdy nie dość gruntownie przyswojonej. Nie znał nazw potężnych bram i baszt rekonstruowanych w pierwszej kolejności. Nie wiedział o istnieniu bystrej rzeki płynącej pod domami i ulicami, której koryto ukazało się raptem zza ściany gotyckiej budowli ocienionej truchłem płaczącej wierzby. Pod nią niewątpliwie siadywały wykrochmalone cnotą kupcowy na zmianę z portowymi dziewczkami.

Usiadł tam również, spróbował uwzniościć się, by łatwiej pożeglować w rejony historycznych wzruszeń. Na razie sycił uszy pluskiem mętnej wody, szumem gałęzi rachitycznego drzewka i dalekim łoskotem buldożerów spychających gruz, by miasto mogło się szeroko rozpostrzeć. Czuł, jak zespala się z ruinami budowli, z kierowcami ciężarówek załadowanych młodymi ceglami - i na tym właściwie jego zespalenie urwało się, gdyż nie potrafił przytulić do serca więcej symboli renesansu tego starego, mądrego miasta. Nie, nie był materiałem na barda - co go przygnębiło. Więc żeby nie sponurzeć, skierował strumień swoich marzeń ku nieuniknionej codzienności, która jawiła mu się w barwach jasnych, co z kolei kojarzyło się już w sposób natrętnie oczywisty z własnym mieszkaniem, własnym radioodbiornikiem na półce koło własnego tapczanu i własnym rowerem w przedpokoju, a jeszcze gdyby ze dwa prawdziwie nowe ubrania w szafie i do tego dwie pary skórzanych butów a nie ciągle od zakupu do zniszczenia jedna i ta sama para świąteczno-codzienna, skrupulatnie naprawiana u życzliwych szewców. (Uniżenie proszę Mistrza - koniecznie na jutro, proszę wziąć pod uwagę, że niestety pozostają mi tylko tenisówki, a tu pojutrze nagły wyjazd, ślub, pogrzeb, wniebowzięcie, zmartwychwstanie.)

Oderwał wzrok od postrzępionej wieżyczki którejs z kamienic, obejrzał się czujnie, czy ktoś przypadkiem nie podpatrzył jego przyziemnych marzeń, nie odczytał ich z maślanego wzroku. Poczul się sam przez siebie przyłapany na gorącym uczynku pospolitości pod tą wierzbą malowniczą, nad rzeczką sędziwą, historyczną, wzniosłą.

I żeby się porządnie uwzniościć, napromieniować blaskiem dziejów tego świetnego miasta, którego został mieszkańcem, żeby samemu przed sobą nie spowszednieć - postanowił zaraz, natychmiast tu w tym miejscu uczynić coś specjalnego, coś wielkiego, ale co?

Stał na szeroko rozstawionych nogach, żeby nie stracić równowagi i nie stoczyć się ze skarpy do bystrej rzeki. Tuż obok szumiała wierzba płacząca nad dramatem bogatego portu,

ulicą obok jakaś dziewczynka pchała wózek, na nim kot i lustro, w oddali z lewa na placu otoczonym pagórkami gruzu chudy żołnierz kradł z rabaty róże, wysoko przepływały chmury mew, uderzył też dzwon z wieży kościoła a słońce nad zachodem zdążyło zapalić szyby w kupieckim pałacu o smukłych ścianach... - Jeszcze chwila i wzniosłość mnie rozsadzi - stwierdził ostatkiem sił. Jednym szarpnięciem zerwał z ręki zegarek i wrzucił go wielkim, uroczystym łukiem do rzeki.

Natychmiast się opamiętał, ale było już za późno.

Leżał w mętnej wodzie na dnie pokrytym falującymi wodorostami. Upadł między dwie butelki po wódce, tkwił głęboko jak brylant w niegustownej oprawie, widoczny tylko z miejsca pod wierzbą. Wydobyć go teraz nie wchodziło w rachubę, zbyt głęboko i chłodno. Może kiedyś latem. Bądź co bądź był to dar od chrzestnego, dobry mechanizm. Albo nie, niech leży na wieki, niech zastygnie w nim czas wmiastowstąpienia.

Pułapka

Przez sen usłyszał skrzypnięcie drzwi w sąsiednim pokoju, obudził się natychmiast, drzemał bardzo czujnie, długo nie mógł zasnąć, właściwie czekał na nią, choć już dwie noce jej nie było, nie powinno go obchodzić, że nie przychodziła, miała swoje sprawy, jakie sprawy? A może potrzebowała pomocy? Może już wtedy, pierwszego ranka potrzebowała oparcia. Oparcia? Świecąc nagością niby bezinteresowną, a jednak wyuzdaną? Bo przecież nie mogła przewidzieć, że on będzie cały ulepiony z nieśmiałości, że wbije wzrok w podłogę i wytrwa w chłopięcym wstydzie.

...trzask zapalniczki zza drzwi, drugi trzask, kilka kroków po pokoju...

...odsunęła krzesło, cisza, pewno usiadła i spokojnie pali...

Niech siedzi do rana.

Albo ta następna noc już jawnej prowokacji, już zupełnie obnażonych intencji, noc gwałtu, bólu i grózb...

Niech teraz siedzi tam i zmarznie.

Pomogła mu jednak w odzyskaniu poczucia równopartnerstwa...

Nateżał słuch. Cisza.

Cisza to cisza.

Naciągnął koldrę na głowę, próbował zasnąć. Przywołał w pamięci Z. i Mercedes. Jutro napisze do nich list. Może już wkrótce będzie mógł obie tu sprowadzić.

Denerwująca ta cisza za drzwiami, prawdopodobnie znów jakaś sztuczka tej histeryczki.

Zawsze unikał kontaktów z takimi. Irytowała go gwałtowność w każdej postaci. Kiedykolwiek zdarzyło mu się brać udział w zbiorowych imprezach - zniknął, zanim w uczestnikach zdążyły się wyzwolić instynkty.

Tylko raz - podczas studniówki - a było to już nad ranem, gdy cienkie wino zmieszane z piwem rozbełtało umysły, a ciało pedagogiczne sfatygowane stróżostwem ulotniło się dyskretnie - ktoś zainicjował grę w rybkę. Polegała ona na rzucaniu się śledziami ociekającymi octem, prosto z półmisków. Gdy już wszyscy zebrani miotali się po parkiecie z

rybami w kieszeniach, za kołnierzami i dekolantami - ktoś wrzasnął, że sprawiedliwość obowiązuje w każdych okolicznościach, każdemu według potrzeb, a pomijanie kogokolwiek jest niedopuszczalne. Powstał zgiewk, aplauz, duch postępu zapanował nad pobjowiskiem biesiadnym, wszyscy podnieśli głowy i zauważyli tych, których nie wolno było pomijać nigdy i w niczym. Zabawa w śledzie dopiero od tej chwili nabrała treści.

Zacząło się więc celowanie dzwonekami ryb w portrety ludzi poważnych. A to w klasyków literatury, a to w ideologów. Wśród ogólnej euforii bombardowano dostojników, wznosząc pod ich adresem okrzyki. Po raz pierwszy martwo wiszące podobizny jakby ożywiły się adorowane przez klasową - w znaczeniu szkolnym - społeczność. Sławni pisarze i brodaci mędracy z filuternym błyskiem w szklanych oczach sami prowokowali niejako do zdjęcia ich ze ścian i włączenia do spontanicznego pochodu wokół auli - co też się stało natychmiast. Dlatego i tylko dlatego - panie dyrektorze, iż nie chcieliśmy nikogo pomijać w grze - zmuszeni byliśmy zdejmować ich ze ścian, wskutek czego popękało trochę szkła - naprawdę bez złych intencji, panie dyrektorze - przecież nie chodziło o jakiś zamach, stało się to wyłącznie ze spontanicznej woli uczenia ich poprzez obnoszenie, a fakt, że jeden z nich noszony był po auli ze śledziem w ustach - to znaczy w małym, rzeczywiście niewielkim otworze w portretowych ustach - to już wyłącznie nieporozumienie, po prostu jego podobizna pomyliła nam się z klasykiem literatury, o którym wiadomo z lekcji, iż był zapalonym marynistą.

...Jak to? Za co? Za co, panie dyrektorze? Za śledzie? Cała klasa? My natychmiast wszystko uporządkujemy, usta zalepi się portretowi od tyłu, nie będzie śladu... czemu mamy stać bez ruchu, panie dyrektorze? Jaka prowokacja? Panie dyrektorze? To wina piwa! No, może kilka kropel wina... przecież koleżanki też zostały zbezczeszczone... Co nie ważne? Cześć kobiety nieważna, a tych na portretach ważna? Kto udaje idiotę? Tylko te trzy portrety? Panie dyrektorze! Przyniesiemy z magazynu nowe, pan woźny da klucz, tam jest jeszcze z dziesięć duplikatów każdego z nich, o co chodzi? Za kilka minut śladu nie zostanie po tym wszystkim, dobrze, nie będziemy się nigdzie rozchodzili. Co? Śledztwo? Panie dyrektorze! Cała klasa niedopuszczona do matury?!?! Panie dyrek...

Cała klasa stała martwą bryłą, dookoła zgwałcone stoły biesiadne w promieniach wschodzącego pięknie słońca, które wylizywało resztki, krzesiło iskry z kropel octu w dekolantach licealistek, głaskało czaszkę dyrektora. Chodził tam i z powrotem, potykał się, sapał, bruzda przecinała mu czoło, odpowiedzialność zżerała mózg. Co chwila zerkał ukradkiem na portret zawieszony na ścianie z wywalonym jak język - śledziem.

Zostawić to świadectwo zbrodni do przyjazdu komisji, czy ukręcić łeb sprawie? A

jeżeli któryś z tych pętałów sypnie? Wtedy indagacje, degradacje, izolacja.

Minuty mijały, stojąca nieruchomo klasa nabrzmiewała trwogą, cisza, dyrektor zatrzymał się w marszu po decyzję, ale widocznie nie dotarł do niej, bo tylko sapał.

I wtedy nagły krzyk. Zwarta grupa uczniów pękła na dwie części, ze szczeliny w ten sposób powstałej wyskoczyła tęga dziewczyna, wypite alkohole jeszcze się w niej widocznie nie przegryzły, bo chwiejnie stanęła przed dyrektorem, jednym szarpnięciem rozdarła sobie bluzkę i stanik. Z międzypiersia wysunął się i plasnął o podłogę tłusty śledź.

- To ja, panie dyrektorze fajdam na portrety! W całej rozciągłości! Aresztować mnie! Dupa! Dupa!

Osunęła się pod nogi dyrektora i zastygła z jego nogawką w rękach.

Zakotłowało się. Jedni rzucili się do oporządzenia portretów, drudzy do sprzątania auli, dyrektor z kilku dziewczynami ciągnął zastygłą na zaplecze.

Adam gapił się na wyzywającą twarz wleczonej koleżanki. Podziw mieszał mu się z odrazą. Chamska odwaga, trywialna prostolinijność. Coś, czego nie byłby w stanie wykrzesać z siebie w żadnej sytuacji. Ta dziewczyna budziła w nim drażniące uczucie odpychania i przyciągania. Przeklęta dwoistość.

Przypomniało mu się to zdarzenie właśnie teraz, gdy leżał i nadśluchiwał jakiegokolwiek szmeru z sąsiedniego pokoju. Też pełen niechęci i podniecenia jednocześnie.

Jak długo trwa już ta cisza? Sądząc z poprzednich odgłosów - zapalenie papierosa, przesunięcie krzesła - ona teraz siedzi przy stole, pali i czyta, albo pisze; a jeżeli pali i nie czyta? Lub pali i nie pisze? Może tylko pali i myśli? O czym można myśleć tak długo w absolutnej ciszy i co wymyślić? Przypuszczalnie nic dobrego, biorąc pod uwagę osobę rozmyślającej. Może jest na tyle wyrafinowana, iż nie mącąc ciszy ani kasznięciem tłumionym, ani chrząknięciem, nawet westchnieniem - cynicznie liczy na potęgowanie napięcia. Podła intrygantką. Świństwo.

Obraz tej osoby czerniał z upływem oczekiwania na byle dźwięk zza drzwi. Dopiero dwie noce, a jak gęsto zapisana karta kompromitujących faktów. Zaciskał do bólu pięści, żeby nie sięgnąć po but albo krzesło i nie rzucić w te drzwi nieme i ślepe, szydzące z niego coraz natarczywiej. Coraz wyższa też nuta ciszy wkręcała mu się w uszy z niemożliwą do wytrzymania ostrością. Tak był ogłuszony tą ciszą, że nie usłyszał w pierwszym momencie rumoru, jaki rozległ się w sąsiednim pokoju. Dopiero po chwili dotarło do niego dalekie echo trzasku. Nagłym ruchem zsunął się z łóżka na podłogę. W ciemności dotarł do drzwi, gorączkowo poszukał klamki, nacisnął i... pozwolił jej wrócić do poprzedniego położenia. Strach przed niespodzianką paraliżował go.

Nie, nie pozwoli się sprowokować. Na pewno umyślnie zrzuciła coś, żeby wreszcie wtargnął do jej pokoju. Wtargnie i zastanie ją znów w odrażająco jednoznacznej pozie.

Zawrócił. Był już zmordowany tym pastwieniem się nad nim zza drzwi, wściekły, skrzywdzony. Wyzywał ją przez zaciśnięte zęby, półgłosem, coraz głośniejszym, wszystko jedno usłyszysz, czy nie usłyszysz. Usiadł na łóżku, walił pięścią w poduszkę. Nie dość szarpany w pracy, jeszcze tu... Łzy napłynęły mu do oczu, tęsknota za Mercedes, w ostateczności i do Z. - która tęskni wyłącznie do niego. Kocha go chyba rozpaczliwie po swojemu, jak to ona. Z wściekłością naciągnął kołdrę na głowę i znieruchomiał w obłoku nieutulonego żalu nad sobą. Lecz nie był mu sądony odpoczynek tej nocy. Jakiś dziwny impuls zmusił go do opuszczenia legowiska i udania się lunatycznym krokiem do sąsiedniego pokoju. To co tam ujrzał, oprzytomniło go błyskawicznie.

Pod stołem - w świetle przewróconej na podłodze lampy nocnej, głową tuż obok niej, leżała na podłodze dziewczyna. Jej twarz była spokojna, cicha, piękna, głowa spoczywała w kałuży długich jasnych włosów. Innych szczegółów Adam nie był w stanie uświadomić sobie. Patrzył, oślepiiony twarzą widzianą z bliska po raz pierwszy, błyszczącymi włosami oraz żarówką lampki, która w tym magicznym momencie zmieniła w jego wyobraźni poprzedni wizerunek leżącej. Oddychała równo, zaciśnięte usta zdawały się przesyłać wyłącznie do niego adresowaną daleką gorycz.

Fala tklivosti rozmyła do reszty wściekłość Adama.

Przyklęknął, wyciągnął ręce, żeby podnieść nieznajomą, ale nagle trema przed dotknięciem tego ciała cofnęła mu dłonie. Tym bardziej obca wydała mu się dziewczyna, tym większą nieśmiałość odczuwał wobec niej, że była ubrana. Biała jedwabna bluzka, zdobna koronkami, granatowa spódnica podniesiona wysoko, ukazująca świetnie uformowane uda, ażurowe obuwie na wysokim obcasie - cały ten wystrój tętnący oficjalnością bardzo go onieśmiała. Gdyby była naga - to co innego, znał jej nagość siostrzaną niemal, bezrodzajową, zetknął się już był z jej dotykiem boleśnie.

Przemógł opór, delikatnie, żeby nie zakłócić jej spokoju, wziął ją wreszcie w ramiona. Ciężka była, bezwładna. Śpiąca? Zemdlona?

Niosąc ją w kierunku łóżka - potknął się nieznacznie, lecz to wystarczyło, by westchnęła głębiej i wtedy z bliskich (głowa przy głowie) zmysłowych ust wydobył się wonny niezmiernie oddech przypominający, dawny, w dzieciństwie z rozkoszą wdychany zapach leżących na strychu jabłek, może nawet zbyt długo leżących, nieco sfermentowanych.

Jęknęła z cicha, objęła jego szyję ruchem zmęczonego dziecka, miękko, nadzwyczaj delikatnie, zachwycająco zwiewnie przytuliła się całą powierzchnią swoich szczelnie

przyodzianych piersi do jego nagiego - w tym momencie - wyjątkowo męskiego torsu.

I gdyby nawet jeszcze gorszy los sprawił, że byłaby sto razy bardziej pijana niż teraz - to i tak Adam wybaczyłby to jej stokrotnie.

Położył ją na łóżku, rozebrał, nie ocknęła się, ufna i bezbronna, co rozczerowało go do reszty. Jej nagość przyprawiała o wzruszenie, garderoba natomiast niepotrzebnie podniecała.

Dotknął ustami jej czoła, było chłodne, koloru zakurzonego alabastru. Okrył ją szczelnie kołdrą, jeszcze raz zapatrzył się na opuszczone powieki, na harmonię rysów, na wargi bez cienia wulgarności w rysunku, na cały ten skłamanym obraz. A nuż prawdziwy? Siłą woli przerwał ten seans i wrócił do swojego pokoju nie zamknąwszy jednak drzwi.

Za trzy godziny powinny zacząć śpiewać ptaki...

...I nigdy już nie przestać - pomyślał zapadając w sen.

Ranek zajrzał mu w oczy strachem, czy ona jeszcze tam jest.

Była. Ubrana kompletnie siedziała w otwartym oknie, plecami oparta o jedną framugę, stopami o drugą. Pałała.

Adam chciał wycofać się taktownie, ale nagły przypływ pewności siebie osadził go w miejscu. Ostatecznie znali się nie od dziś, lecz od trzech dni, łączyły ich wspólne przejścia.

Stał przed nią w kąpielowych majtkach, prężąc nieznacznie mięśnie torsu nie tyle z koguciej chępliwości, co z chęci wyeksponowania zielono obrzeżonych sińców. Nie patrząc na nie powiedziała cicho:

- Cóż... nie chciałam.

- Drobiazg... - wyduł wargi. Jako sąsiad do bicia odpłacający jej chlebem za kamienie mógł sobie z czystym sumieniem pozwolić na takie wyduęcie.

- Jeżeli pana przepraszam, to widocznie mam za co - rzekła z naciskiem. - Nie robię niczego bez powodu.

- Nic się przecież nie stało.

- Nic? Pan tak uważa naprawdę, czy to kpina ze mnie? - uniosła brwi.

Szybkim ruchem zsunęła nogi z parapetu.

- Nie, nie, proszę się uspokoić - Adam cofnął się odruchowo o krok. - Nie, przeciwnie!

- Co przeciwnie? - nacierała na razie tylko słownie. - A może pan mi współczuje, co? Głupiej furii?

- Nie, nie. Proszę się nie denerwować.

- Nie pan mi będzie dyktował! Niczego, co zrobiłam, nie żałuję i nie mam zamiaru tłumaczyć się przed panem. Jeżeli przepraszam, to za to, że pan był świadkiem mojej słabości. Nieczęsto mi się to zdarza.

- Wyobrażam sobie - bąknął.

- Bzdura! - krzyknęła. - Gdyby pan miał więcej wyobraźni, to by pan mi wtedy, tej nocy pomógł. Przeliczyłam się.

W piersi Adama wezbrał jakiś nieokreślony żal. Było to widoczne również i wyżej. Rzekła łagodniej: - Teraz już nic nie trzeba. Co miało się stać, to się stało.

- Co? Proszę powiedzieć. Tak trudno mi się z panią porozumieć.

- Jesteśmy z dwóch biegunów - powiedziała cicho. Opuściła głowę, twarz zniknęła w jasnych włosach. - ...Może gdyby pan mi oddał... Ale teraz już za późno...

Nagle uniosła głowę, wpatrzyła się w niego wściekle, wykrzywiła usta: - Czemu nie oddałeś mi, co? Liczyłam, że dasz mi po pysku i byłoby wszystko w porządku...

- Nie uderzyłem kobiety - wypowiedział to i zaraz zawstydził się, bo słowa zapachniały jak perfumowane konwalie. Na szczęście zdawała się nie słuchać pogrążona we własnych myślach.

- ...I zostałabym tutaj - ledwie poruszyła wargami.

- Jak to? - głos mu paskudnie zadrżał, a tak się wyteżał żeby grać siłacza. - Tu, w tym mieszkaniu?

- Tak, no tak, tak - mówiła coraz ciszej, coraz bardziej pochylając głowę, bo łzy ściekały po jej policzkach. Zeszła z okna, siadła na łóżku, twarz zanurzyła w kołdrze, plecy jej podrygiwały nieregularnym rytmem. Przysiadł obok, objął ją delikatnie. Nie wierzył uszom ani oczom, tkliwość rozsadzała mu serce, męska duma też wgryzała się w nie ukradkiem. Czyżby ta świetna, proporcjonalna w każdym calu dziewczyna - od suchych pęcín przez smukłość łydek, wrzecionowatość bioder, jędrność i giętkość całej reszty - gotowa była rzucić wszystko? Dla kogo!?!... Niemożliwe...

- Zostałabym tu - łkała w pościel - ...Z każdym mogłabym zostać...

- Co?! - zlodowaciał.

- Tak, byle uwolnić się, byle tam nie wracać.

- Dokąd nie wracać? - szukał gorączkowo chociaż cienia swojego udziału w jej sprawach.

- Do niego! - Nabrała powietrza w płuca i wyrzuciła jednym tchem. - Do mojego męża! Przedwczorajszego pana młodego!

- To znaczy, że przedwczoraj...??

- Przedwczoraj był mój ślub - rzekła twardo, podniosła się, przetrąła oczy, obciągnęła spódnice, energicznym ruchem głowy doprowadziła do porządku włosy i wykonała jeszcze kilka ruchów, przy pomocy których jakby się rekonstruowała. Nawet uśmiech na jej twarzy

zakwitł, zupełnie nowy, szyderczy. - A tak niewiele brakowało... Żebyś się nie bronił, byłabym uratowana.

Myśli skakały mu w głowie jak pluskwy.

- Nie mogłem tak od razu... nie mam praktyki, nie wiedziałem...

- Dziwka, co? Ty zgniły inteligencie. - Starła się nadać słowom najbardziej obraźliwe brzmienie. Znów wykrzywiła usta, jakby chciała się zeszpeciść. Musiała to kiedyś wytrenować przed lustrem.

Zaczęła chodzić nerwowo od ściany do ściany. Zapaliła drugiego papierosa, na Adama przestała zwracać uwagę. Ale to był znów tylko pozór. Nagle stanęła naprzeciw niego, patrząc mu z bliska prosto w twarz. Drażniąco blisko, tak, że mógł zajrzeć w głąb niebieskogrnatowych oczu i zajrzał, i zobaczył w nich ciepły błysk, na co jego organizm zareagował mrowieniem w kręgosłupie. Ale na tym nie koniec, bo ona jeszcze przekrzywiła wabiąco głowę i westchnęła.

- Słuchaj - ściszyła głos aż do zmysłowego szeptu - coś ci powiem... - Wytrzymała pauzę, po czym dalej. - Mój ojciec... gdyby wiedział, że mnie tu nie zatrzymałeś... kazałby któremuś ze swoich ludzi napluć ci w ten twój inteligencki pysk.

Oczekiwania Adama na tyle minęły się z rzeczywistością, że tylko odchrząknął chrapliwie.

- Wiesz - cedziła powoli - on sam brzydziłby się to zrobić, a może nawet machnąłby na ciebie ręką, ale ja bardzo bym chciała, żeby ci ktoś tę gębę pobrudził. Byłoby mi lżej.

W Adamie coś pękło. Miał dosyć szarpaniny, koniec, niech się dzieje, co chce. Nawet gdyby ten jej ojciec - którego nie wiadomo po co wywleka - był najgrubszą rybą do spraw straszliwie wewnętrznych i nieograniczenie specjalnych. Nie bał się w tej chwili niczego i nikogo. Z tą dziewczyną przekroczył granicę strachu i udawania. Z nią jedną. Odtąd wolno mu być z nią prawdziwym bez kontroli i hamulców. Los sprawił, że to ona, a nie ktoś inny jest dla niego przeciwwagą fałszu. Co za rozkosz mieć taką żywą przeciwwagę!

Rzucił się na nią w odruchu radości, całkiem wyzwolony, nieskrępowany już niczym, przewrócił, przygniótł do podłogi. Bez cienia złości czy żądy, nic prócz chęci udowodnienia jej, że jest prawdziwy, bez zahamowań. - Teraz powiesz wszystko! - dyszał prosto w jej usta wyszarpujące się spod jego ust.

- Puść!

- Tak się cieszę! Cieszę się!!

- Puść!!

- Powiedz mi wszystko, co masz do powiedzenia. Tylko mnie możesz mówić...

- Puść, bo pożałujesz!
- Nie zleknie się, choćby twój ojciec był szefem nadwywiadu!

Nieoczekiwanie wybuchnęła nerwowym śmiechem.

- Śmiejesz się, co? Wiesz, że jesteś górą, nietykalna.

- Tym bardziej, że leżysz na mnie! - śmiała się już ciepłej.

- Zdaje się... lubisz takie pozy! - wyrzucił z siebie z mimowolną wściekłością i żalem jednocześnie.

Jej śmiech urwał się nagle.

- ...Możesz być ze mną szczerą. Teraz już tak. Ja też.

- Puść! - syknęła.

- Nigdy nie rozmawiałaś w ten sposób?

Plunęła mu w twarz z odległości kilku centymetrów. Spod uniesionej wargi zabielały po psiemu zęby. I zanim zdążył coś postanowić, błyskawicznie złapała go tymi zębami za nos. Zdołał wyrwać się i w odruchu uwolnienia się od niebezpieczeństwa trzasnął ją w twarz, odskoczył.

Oboje zastygli w tym odskoku.

Cisza, pustka.

Gdzieś za oknem zagwizdał szpak, ulicą przejeżdżał czołg lub traktor łomocząc dieslem. Rozległo się bicie zegara z jakiejś wieży. Adam odfrunął tam bez namysłu. Był lekki, pusty w środku. Musiał w tej chwili przenieść się gdzie indziej. Usiadł na czubku wieży i liczył uderzenia.

Dziewięć.

Redakcja! Już pewno tętni rytmem pracy. Szakał - kadrowy na liście obecności odfajkował nieobecnych.

Ona odezwała się pierwsza głosem pełnym rezygnacji.

- No, więc nareszcie oddałeś mi. Ale za późno. Teraz to już liczy się odwrotnie. Na twoją zgubę.

„Na zgubę” powiedziała. Tak się mówi w bajkach albo melodramatach.

Siedziała na krześle tępo wpatrzona w ścianę. Jak pięknie jest - pomyślał - jak ciepło, miło zgodnie. Lecz nie był mu straszny w tej chwili ani kicz, ani kadrowy, ani tajemniczy ojciec tej dziewczyny, który jak sęp - w mundurze dostojnika państwowego albo we fraku dyplomaty, lub zgoła w cywilnym prochowcu z podniesionym kołnierzem, wysokich butach i rękami w kieszeniach - czyhał gdzieś w pobliżu, gotów pomścić krzywdy swojej córki. Niestraszna wydała się także Adamowi jej bogata bez wątpienia przeszłość na miarę

niecodziennej urody.

Nic nie było mu straszne w tym momencie, ponieważ niespodzianie rozbłysła w jego sercu iskra i zapaliła aureolę wokół głowy tej bliżej nieznaney osoby.

- Jak ci na imię? - zapytał. Własny głos nabrzmiały nagłym uczuciem przejął go dreszczem. Jej za to nie drgnął ani jeden mięsień twarzy. Więc mówił dalej.

- Wiesz, że nie chciałem uderzyć - mówił ze wzrastającym przejęciem. - Widocznie wszystkie granice sądzone mi z tobą przekraczać. I to mnie z tobą łączy. Ale najbardziej prawda. Jesteśmy wobec siebie prawdziwi. Czy ludzi może łączyć coś bardziej niż prawda?!

Bezdźwięcznie zakłęła, spojrzała na niego z ukosa.

- Owszem. Łgarstwo. - Ociężała zwróciła ku niemu całą twarz. Patrzała prosto w oczy. Z trudem wytrzymał jej wzrok.

- ...Czekałem na ciebie. Na taką, jak ty.

- Nie wierzę. Nikomu nie wierzę. Boję się - rzekła spokojnie.

- Ja też. Dlatego nie musisz mnie się bać.

- Teraz to nie ma sensu, za późno.

Usiadł na progu, podkurczył gołe nogi i objął je rękami. W czasie całej tej porannej rozmowy przemieszczali się oboje często, ogarnięci niepokojem jakby w oczekiwaniu czegoś nieprzewidzianego.

- Posłuchaj - zaczął Adam. - Opowiem ci bajkę, chcesz? - Gapiała się w chmury za oknem, więc zaczął mówić. - Pewnego razu szło przez las dziecko i płakało. Czuło się skrzywdzone przez los i ludzi. Myślało, że usłyszy je dobra wróżka, weźmie na ręce i odczaruje zmartwienia. Ale wróżka nie zjawiała się, zajęta była swoimi sprawami, czyli najważniejszymi. Więc dziecko poczuło się jeszcze bardziej nieszczęśliwe, płakało coraz głośniej i tak się zmęczyło, że wpadło w złość, iż nikt nie słyszy jego płaczu. Znienawidziło drzewa w lesie, które stały obojętne w swojej drewnianości, znienawidziło trawę za bezduszną trawiastość i kolorowe kwiaty za ohydnie przyjemne zapachy. Zaczęło je wrywać i tratować, aż twarde łodygi pokiereszowały mu rączki i nóżki. Wtedy żal nad sobą sięgnęła szczytu. Rzuciło się w trawę wierzgając z wielkiej rozpacz. I wtedy natrafiło na coś miękkiego i puszystego. Był to dziki królik przebudzony z głębokiego snu, który ujrawszy piękne małe dziecko, tak się na nie zagapił, że pozwolił złapać się za uszy. I kiedy dziecko poczuło z radością, że królik - zamiast twardej kory, zamiast ostrych łodyg i kaleczących kolców - ma puszystą sierść - zaczęło go walić z całej siły za swoje krzywdy, za swój płacz, za niezjawienie się dobrej wróżki. Zmęczyło się wreszcie tym waleniem - wyciągnęło się z rozkoszą na trawie i zasnęło. A sen miało piękny. Śniło mu się, że idzie żalosne samo przez

las i widzi dzikiego królika. Już miało go dopaść i przyłożyć mu za swoje krzywdy, gdy wtem obudziło się i stwierdziło, że królika nie ma. Wielka była rozpacz dziecka, bowiem bardzo się do snu o króliku przywiązało. Więc poszło go szukać. Szło i szło, aż wreszcie przyszło tutaj.

Roześmiała się szyderczo, odrażająco do tego stopnia, że aż sama się przestraszyła. I nagle jej śmiech przeszedł w szloch.

Kiedy się wreszcie uspokoiła, powiedziała, wycierając sobie oczy pięściami: - Wydaje mi się, że znam cię od dawna. Jesteś pierwszym, który mnie nie chciał. Dlatego jeszcze tu wróciłam. Tu czuję się bezpiecznie.

- A mówiłaś przed chwilą, że mnie się boisz.

- Tak, bo jest mi z tobą bezpiecznie.

Podniosła się energicznie z krzesła, zapaliła któregoś z rzędu papierosa i spacerując między szafą a łóżkiem mówiła:

- Dotychczas bałam się wyłącznie o ojca. O to, żeby szczęśliwie wrócił. Teraz zlekłam się tego, że za długo tu jestem.

Spojrzała na zegarek.

- Powinienem być w pracy - rzekł Adam.

- Będziesz miał przeze mnie przykrości.

- Teraz ty jesteś ważniejsza.

- Po moim przedwczorajszym ślubie?

- Tak. Mimo to.

- I po nocy poślubnej? - wykrzywiła z sarkazmem usta. Ten jej grymas.

Adamowi dał się we znaki nagły ból w okolicy mostka. Nie przypuszczał, że w tym miejscu ma coś, co boli.

- Tak... - rzekł z wysiłkiem.

- Co to jest... Co się stało...? Czemu, do diabła, właśnie teraz, kiedy już za późno? Musisz mi pomóc. Odepchnij mnie... - mówiła coraz mniej wyraźnie.

Przyłgnęła do niego, miał pod brodą jej głowę, zapach włosów, nie wiedział co zrobić z rękami, objąć? Ją? Pannę młodą jeszcze nie wystygłą? Wolał identyfikować tego kogoś z beztwarzym konturem niż z żywym organizmem, który...

Mimo wszystko - objął ją. Wydała mu się z bliska trochę dalsza, może jakby zbyt konkretna. Lecz już w następnej chwili, kiedy odsunęła się i usiadła po przeciwnej stronie stołu - już wtedy tęsknota za jej bliskością i trzepocząca myśl: jak błyskawicznie przebiega ten proces.

Nagle ona otrząsnęła się jak po deszczu. - Już w porządku. Opowiedz o sobie. Znam

cię tylko z ekscesów. Siadaj i mów - wskazała miejsce obok siebie Już była znów władca, opanowana. Wolał ją inną, ale trudno. Niech będzie jaka jest, byle była.

W miarę jak mówił - wypływał na szerokie wody szczerości, było to wspaniałe i przestronne uczucie. Nie ukrywał szczegółów, nie kluczył i nie wyważał - przeciwnie, mówienie aż do dna sprawiało rozkosz zaspokajania głodu.

Dopiero po dłuższej chwili raptem urwał w pół słowa, z żalną rozpaczą w twarzy.

- Co się stało? - uderzyła go lekko po rękę.

- Nic - cofnął dłoń.

- Co ci jest?

- Odpowiedz mi szczerze... - patrzył w bok.

- Pytaj!

- Czy ty... ufasz swojemu ojcu? Wierzysz mu?

- Ojcu? - zdumiała się. O co ci chodzi? To mój najbliższy człowiek na świecie.

Skoczyłabym za nim w ogień.

- No, to jestem załatwiony - powiedział tępo.

- Nie rozumiem? - Jej zdumienie wydało mu się prawdziwe. Albo tak dobrze maskowane.

- Nie sądzę, żeby władze były zachwycone tym, co ci tu przed chwilą opowiedziałem.

- Jakie władze? Mów jaśniej.

- No, jeżeli powtórzysz ojcu niektóre szczegóły mojej biografii...

Jej twarz nabrała raptem wyrazu smutnego rozbawienia. - Ty mnie chyba źle zrozumiałeś! Mojemu ojcu?...

- Tak, tak - przyznał drętwiąc z wolna. - ...Wierzysz bez granic...

- Jest komunistą - powiedziała. - Jeszcze sprzed wojny.

- Aha - powiedział.

Uniosła brwi i z naciskiem, już zupełnie poważnie: - On jest najlepszy i najmądrzejszy.

- To jasne - potwierdził może nieco za skwapliwie. Czynił wysiłki, żeby jego twarz nie straciła przy tym dobrodusznego wyrazu.

Zapaliła kolejnego papierosa, zaciągnęła się łakomie, ze smakiem. - Ojciec jest już piąty rok w więzieniu.

- Gdzie? - Sądził, że źle słyszy.

- Mówię niewyraźnie?

- Wyraźnie. - Odetchnął bardzo głęboko, co wypadło na tyle nietaktownie, że ze

wstydu rozkaszał się sztucznym kaszlem i żeby wszystko czym prędzej zatuszować powiedział byle powiedzieć: - Mój ojciec też siedział. Może coś mógłbym pomóc?

Zabębniła palcami po stole.

- Sama musiałam sobie poradzić. Zrobiłam to przedwczoraj. Jeszcze nie wiem, z jakim skutkiem. Właściwie wszystko dotychczas robiłam tylko dla ojca. Dla siebie niewiele. Dopiero teraz... Choćby to, że w tej chwili jestem tutaj. - Zerknęła w jego stronę, nieoczekiwanie znów powróciła do oschłego tonu. - Mógłbyś się ubrać. Tylko ja mam monopol na nagość. - Zaśmiała się sztucznie. - Niewiele brakowało, a byłbyś moim pierwszym mężczyzną. Ojciec mnie tak po staroświecku wytresował. Nie, nie matka. Pospiesz się! - podniosła głos, bo Adam w sąsiednim pokoju wkładając koszulę przez głowę, zamarł w pół ruchu z rękami w górze.

- Zrobię śniadanie, przyjdź do kuchni - wyszła, zostawiając za sobą smugę goryczy.

Wyplątał wreszcie głowę z koszuli. Zapinał guziki ciągle o jeden za nisko albo za wysoko.

Żal i zniechęcenie. Poczul się dzieckiem z posiniaczoną duszą.

Śniadanie zaczął jeść milcząco. Za to ona uległa nagłemu przeobrażeniu. Ogrzewał ją każdy promień słońca wpadający do dużej kuchni urządzonej przez wuja archeologa na wzór magazynu odpadów muzealnych. Biła warząchwiał w indyjskie patelnie na ścianach, kopła peruwiańskie skopki pod stołem. Jadła żarłocznie, wypychając oliwkową skórę na policzkach, nagłymi ruchami głowy odrzucała włosy z twarzy, jasne, gęste, błyszczące włosy, mówiła przy tym z pełnymi ustami, nie zachowując ani śladu dobrego wychowania. A nuż umyślnie demonstrowała modne prostactwo niby to ludowe? Wykluczone! Cała jej witalność - Adam przyznawał to z niechęcią - była czysta i szczerą jak jej rysy. Podpatrywał je z ukosa, znajdując ciągle nowe szczegóły, a to w prostej linii nosa, a to w miękkim konturze brody, to znów w sposobie ułożenia ust. W tajonym podziwieniu jej urody gotów był posuwać się do ryzykownych porównań z rzeźbami klasyków. I to kiedy? W chwilę po ataku żalości. Skończyć śniadanie i uciec póki czas. Natychmiast, bez pożegnania i nadziei na powtórne spotkanie.

Szli brzegiem plaży, od strony wydm wiał wiatr. Morze próbowało odpląnąć od lądu. Ciepło jak na połowę kwietnia, pusto, nikogo. Milczał. Za dużo miał jej do powiedzenia, ona widocznie za mało. Może idzie z nim przez grzeczność? Może uciekła myślami do sobie wiadomych miejsc? Osób? Osoby?... Tępy świder zazdrości wkręcał mu się pod czapkę. Wreszcie oderwał wzrok od niej - tak lepiej - i spojrzał w stronę morza. Cóż? Woda jak woda.

Fale. Piana. Horyzont. Pod nogami piach żółtawy, ewentualnie muszle. Gdzie zniknęły plażowe zachwyty, gdzie rozkosz bezkresnej swobody, w jakiej zwykł był pływać się samotnie w tym miejscu jedynym.

Odwróciła do niego głowę. - Nie byłam tu od dawna. Nie lubię morza. Ojciec był marynarzem. Morze to jego nieobecność.

Usiedli na wydmie. Z trzech stron zakrywały ich krzaki. On był w stanie gorączkowego niepokoju o dalszy ciąg ich kruchej wspólnoty.

Z nagłą, bez żadnego ostrzeżenia, pocałowała go w policzek.

- Powiedz coś, szybko. Chociaż tylko, jak masz na imię.

- Adam.

Czuł jeszcze kształt jej warg na swojej skórze. Przewrócił się w bok policzkiem do wilgotnego piasku.

- Co ci jest? - krzyknęła.

- Utrwałam w piasku ślad twoich warg.

Pociągnęła go za włosy, aż syknął z bólu. Wgłębienie po jego policzku zatarło się.

- Nie będzie po nas żadnych śladów, rozumiesz? Nigdzie! - wykrzywiła po swojemu usta. - My jesteśmy jak wiatr.

Pocałował ją znienacka. Objęła go.

- Słuchaj - mówiła, gdy leżeli na tym wiosennym piasku. - To smutne, ale nie mam ci nic do powiedzenia o sobie. Każde słowo mogłoby się obrócić przeciwko mnie. Czemu nie przyjechałeś wcześniej o dzień?

- I tak był jeszcze czas. Ale to moja wina.

- Nie, moja. Piłam przedtem, żeby nie wiedzieć, kim jesteś i kiedy to się stanie. Piłam następnego dnia i trzeciego, żeby zapomnieć, że już jestem sobie obca. Sprzedałam się za ojca - mówiła rysując coś palcem po piasku. - Żeby go ratować. Jest chory, bili go. Teraz może uda mi się go stamtąd wyciągnąć. Ale gdy się dowie, za jaką cenę... Nie wiem, co robić. On taki jest. Dobry i twardy. Tyle razy w więzieniu, już przed wojną. I teraz. Nie mógł uwierzyć, gdy go brali. Byłam przy tym, widziałam. Wstydział się za tych, co po niego przyszli.

- Powiedz mi prawdę...

- On mnie uczył mówić tylko prawdę. Teraz muszę się oduczać.

- Czy ty go... kochasz?

- Nienawidzę tych, co go krzywdzą.

- Nie, nie chodzi o ojca...

Zerwała się z wydmy, energicznie otrzepała płaszcz. - Idziemy. Za dużo chciałbyś

wiedzieć. Właściwie nie znam cię. Może jesteś podstawiony i świetnie zagrałeś rolę. Jesteś szpicel?

- Uspokój się. - Chciał ją pogłaskać po głowie, ale odchyliła się.

- Przyznaj się chłopczyku, kto ci kazał mnie rozpracować? - mówiła przejmującym szeptem, przepadła gdzieś cała jej miękkość, stała się szydercza i władcza.

- Bardzo cię proszę, nie bawmy się własnym kosztem.

- Słuchaj, naprawdę sądziłeś, że zlekłam się? Ze mną nie musisz być nigdy pewnym siebie. Przeszłam twardą szkołę błaznów. Mój ojciec pracował w dyplomacji, zaraz po wojnie, że niby najpewniejszy z pewnych, przedwojenny towarzysz. Ale z jego charakterem nie utrzymał się. Byłam z nim na placówce. Mówię, żebyś wiedział, że niczego się nie boję. Bez świadków zawsze ci powiem prawdę, zapamiętaj to. A zresztą mam doskonale plecy - wydeła wargi - nie wierzysz mi? Od przedwczoraj mam własnego goryla!

- Już słyszałem.

- Dostyc, idziemy.

- Poczekaj! - chwycił ją za rękaw.

- O co chodzi?

- Kocham ciebie...

Błyskawicznie zakryła mu ręką usta.

- Milcz! Tego już nie wolno! - A później, stojąc blisko przy nim, z ręką na jego ustach, już mniej napięta, dodała: - Ślicznie grasz swoją rolę ty inteligentny kapusiu do specjalnych poruczeń!

Szarpnął się, chciał coś powiedzieć, lecz ona zręcznie jeszcze silniej przygniotła mu wargi swoją dłonią.

- Przestań mnie obejmować - syknęła. - I też zakryj mi usta, żebyś i ja nie powiedziała czegoś głupiego.

Coraz głośniejszy poszum morza towarzyszył ich poszarpanej balladzie.

Adam wykonał nagły unik głową. - Coś sobie przypomniałem!

- Co? - roztarła swoje wargi wierzchem dłoni.

- Wtedy, tamtej nocy, kiedy mnie pobilaś zgłosiłem się na posterunek.

- Proszę! A więc jednak! - Cofnęła się o krok autentycznie przerażona.

- Musiałem mieć alibi! Nie mogłem pokiereszowany pokazać się w redakcji.

- Przypomnij sobie dobrze, może jeszcze gdzieś komuś coś meldowałeś?

- Błagam, uwierz mi! W tym tunelu musi być jakieś światło. Chociaż jeden człowiek, który wierzy bez stempla. A zresztą możesz mieć i ze stemplem. Moje zeznania są tam

zapisane!

- Cicho już, cicho, do diabła...

Stali twarzą w twarz, raz bliscy sobie, raz dalecy, rozchybotani do kresu wytrzymałości. Podmuch wiatru przyniósł tym razem niegłośny jazgot miasta utopionego po kominy w fałszu i strachu. Na tle przepływających z tamtej strony różowozłoty obłoków krążyło stado sępów - pierwszych zwiastunów wiosny. Niewykluczone, że były to bociany. Dzień błyszczał słońcem.

Wyczuleni na odgłosy - stwierdzili raptem oboje, że w szum morza i dalekiego miasta wdarły się jeszcze jakieś przenikliwe dźwięki. Dochodziły z bliska, zza krzaków tarniny.

Odruchowo przykucnęli w zagłębieniu wydmy. Dźwięki zbliżały się, wyraźniały, z kakofonii piskliwych krzyków i blaszanego harmideru wybijał się wysoki ton dzwonka na zmianę z głosem fujarki.

Przykucnięci, dotykając twarzami gałęzi tarniny - sami ukryci - widzieli, co działo się kilkanaście metrów dalej - za ścianą krzaków na piaskowej polanie. Wkroczyło na nią - nie weszło, lecz wkroczyło - kilkoro dzieci w indiańskich pióropuszcach, w czapkach z gazet na głowach. Małe figury obwieszane leszczynowymi łukami i mieczami z patyków. Grupka kroczyła za tłustym chłopcem, może dziesięcioletnim, który niósł na kijku podartą pończochę - flagę. Centrum gromadki stanowił jednak chłopczyk ciągnący na sznurku deskę z przytwierdzonym do niej tłumokiem na kształt wzdętej lalki. Dzieci potrząsały puszkami po konserwach napełnionymi czymś twardym i to właśnie powodowało ów blaszany hałas. Dziewczynka w grubym puszystym płaszczku, z małym noskiem jak u misia - dmuchała w piszczalkę, pochód zamykał wyrostek o twarzyczce złośliwego debila. Machał nierytmicznie dzwonkiem. Z wszystkich gardeł dobywały się co chwila groźne okrzyki. Dzieci zdawały się być podniecone, uwidoczniło się to w gwałtowności ich ruchów.

Pochód okrążył polankę, po czym zatrzymał się u szczytu górki piaskowej. Krzyki stopniowo cichły, uczestnicy zabawy skupili się wokół deski z lalką, zakryli ją swoimi ciałkami, nastąpiła kotłowanina, znów krzyki, wrzaski, poleciał w górę piasek wyrzucany kilkoma parami rąk, ich właściciele starali się jedno przez drugie wykopać w piasku dół, odpychani przez silniejszych wciskali się w środek skupiska między tych bliżej dołu. Płatanina nóżek. Później nastąpiło zasypywanie, nagarnianie piasku, szuranie, wreszcie cała gromada zaczęła rytmicznie podrygiwać, jakby zatupywała wykopaną przed chwilą jamę, jazgot doszedł do zenitu, dzieci darły się ochryple, waliły puszkami o puszkę, debil stał z boku i podskakiwał, naśladując ruchy pozostałych, machał dzwonkiem, śliniąc się obficie.

Adam przypatrywał się widowisku z rosnącym napięciem, dziewczyna kurczowo

przyciśnięta do jego ramienia. Obojgu udzielał się frenetyczny nastrój rozwrzeszczanej gromady, jakiś niepokój zawisł w powietrzu, gęstniał. Ona pierwsza krzyknęła, Adam odepchnął ją od siebie i skoczył w tamtym kierunku między kolczaste krzaki.

Gromada dzieci ucichła na moment, by już w następnej sekundzie rzucić się do ucieczki. I zanim on zdołał wyplątać się z kolców tarniny - piaskowa polanka opustoszała.

Dyszząc ciężko oglądali świeże ślady małych butów, porzucone puszkę po konserwach, pajaca o szklanych oczach wbitych w niebo.

- Popatrz, tu! - szepnęła nie ruszając się z miejsca. - Tu, koło mojej stopy...

Szczypta ziarenek piasku pośrodku wgłębienia po dziecięcym obcasie - nieznacznie usunęła się.

- Stój spokojnie - powiedział ochryple Adam.

- Stoję przecież.

Piasek pod jej stopą był nieruchomy. Ale już w następnej chwili kilka ziaren uniosło się znów o milimetry. Adam klęknął. Szybko odgarniał piasek na boki. Odgarniali razem. Nagle piasek osunął się w głąb dołka o kilka milimetrów. Pracowali coraz szybciej nie oszczędzając paznokci. Piasek poruszył się tuż pod ich palcami bardziej zauważalnie. Poczuli miękkość czegoś żywego. Ratowali to coś z wzrastającym pośpiechem.

Dziewczyna w pewnej chwili przestała odgarniać. Przykucnęła obok i odwróciła głowę w kierunku morza, jakby szukając otuchy w jego skotłowanej siności.

Adam pracował dalej, odrzucił jeszcze trochę piasku, spróbował podważyć ręką tłumok, lecz był przytwierdzony drutem do deski. Należało wykopać szerszy dół. Wykopał. Ukazała się kukła i zamrugła oczami.

Kot - ponieważ był to kot w kapeluszu przyczepionym do łba przy pomocy wstążki zawiązanej pod brodą - oddychał otwartym pyskiem, chciwie, zza grobu.

Dziewczyna po głębokim wdechu zakrztusiła się. Adam przygarnął ją ramieniem, dygotała dość intensywnie. Patrzyli na kocią kopię wroga klasowego, którego sylwetkę znało każde dziecko z plakatów, pism, z kina. Ten sam kapelusik czarny, przepasany krajką, buty z obszernymi cholewami i siermiężna kurta opinająca duży brzuch. Wepchnięte w rękawki przednie łapy sterczały na boki. Żywa kopia wroga kolektywizacji.

Leżał w dalszym ciągu bez ruchu na desce, choć został już uwolniony przez Adama od krępujących go drutów. Szybko mrugał, poruszał wąsem. Najwyraźniej coś kombinował. Dosłownie jako kot - czy w przenośni jako kułak? Dziewczyna przyglądała mu się wilgotnymi oczami. Adam na sucho, z zawiścią. Zazdrościł mu odporności.

Leżąc do góry brzuchem zwierzę - i przeciwnik sprawiedliwości wiejskiej w jednej

osobie - sprężyło się raptem, miauknęło, odbiło się od deski i wzniciwszy tuman piachu wystrzeliło w górę, po czym zniknęło w pobliskich chaszczach.

Adam gapił się tęsknie jeszcze czas jakiś w tamtą stronę, wreszcie zdołał odwrócić wzrok ku dziewczynie. Ścisnął jej rękę. - Słuchaj - rzekł najcieplej, na ile go było stać. - Jak ty masz właściwie na imię?

- Ja?... Mój mąż mówi do mnie „Kotku”.

Wracali do miasta gęsiego, milcząc, jak z dalekiej podróży.

Port

- ...to tyle, kolego Adamie - kończył swoją tyradę Draż, spacerując po małym, ciemnym pokoju. Jedną ręką na plecach, drugą na brzuchu. - Myślę, że przywieziecie nam piękny reportaż. Wierzę w was. Tylko pamiętajcie, żeby było ideowo, mobilizująco a ciepło. Naród tego potrzebuje - dodał i zagrał w kierunku Adama profilem imperatora. Światło lampy ślizgało się pięknie po drobinach tłuszczu wtartych w kołnierz jego marynarki.

Coś sobie przypomniał, przystanął.

- Aha. Na wszelki wypadek, żebyście kolego nie czuli się osamotnieni, pojedzie z wami kolega Muka, opiekun personalny. - Ściszył głos i uśmiechnął się sztucznie, jak czynią to ludzie pozbawieni poczucia humoru. - Wśród kolegów kolega Muka zwany jest Śledziem, ale nie radzę używać tego terminu w jego obecności. Moglibyście mieć komplikacje natury służbowej. No, to w drogę. Taśmy, notatnik, przepustki?

- Mam wszystko.

- Od tej chwili jesteście kierownikiem ekipy. Odpowiadacie za całość.

- Tak jest - przyznał Adam i wyszedł z trudem. Ciężar odpowiedzialności odczuwał aż w butach.

Przed gmachem rozgłośni błyszczał schludnie wóz transmisyjny. Dolna część karoserii jasnoniebieska, górna biała z niklowymi napisami „Polskie Radio” po obu bokach. Tuba głosu ludu, bastion wiarygodności.

Zanim wsiadł, odruchowo wytarł nogi o żwir przed wozem. Dopiero wtedy zauważył w kącie dużej kabiny człowieka z laską. A więc to był opiekun personalny - Muka.

Wskoczył do wozu jak do przerębla.

Technik nagrywający Makary, pomocnik i kierowca uzupełniali ekipę. Krótkie, męskie przywitania. Pojechali.

Przestronna pustka w głowie. Symptomy paniki Adam uświadomił sobie, kiedy za szybami zamajaczyły dźwigi portu. Wskoczyć w biegu czy pozwolić zatransportować się z uległością cielaka na rzeź? Gdyby mógł choć ruszyć ręką...

Brama wjazdowa, przepustki, legitymacje, przeciągłe spojrzenia strażników. Wpuścili,

pomachali dłońmi. Kochane nasze radio.

- Pan redaktor woli polski mikrofon czy francuski? - chciał wiedzieć technik Makary, o powierzchowności Kałmuka, zaciągający z lwowska. Widząc jednak wybałuszone oczy kierownika ekipy, dodał szybko:

- Dam francuski, szerzej zbiera dźwięk.

Poczuł do niego sympatię. Gdyby nie Makary - nikt by go nie zdołał wywlec z wozu do oczekujących karnie portowców. Siedzieli rzędem na belach bawełny. Tło stanowił dziób statku - najpiękniejszy obiekt ruchomy, jaki ludzkość zdołała wymyślić.

Boże, Marksie, Mercedes - skomlał bezgłośnie - sprawcie, abym przestał dygotać.

- Trzeba wychodzić - zwrócił się do niego ciepłym słowem technik Makary, wręczył mikrofon. - Tylko musi pan redaktor uważać na wiatr, ręką zasłonić albo co, bo stuki pójda na taśmę i wtedy montaż trudny.

Ujął ostrożnie mikrofon - naczynie duchowe władzy państwowej. Do niego powinien niezwłocznie wtłoczyć całą portową realność: tłusto-słodki zapach bawełny i smarów, kolory lin, mechanizmów, ich kształty, szmery, zgrzyty, huki a nad tym wszystkim snujące się opary marzeń o wspaniałych krajach, gdzie jednakże kapitalista siedzi okrakiem na robotniku i obaj socjaldemokratycznie gniją. Trzeba więc to wszystko razem odpowiednio wymieszać, doprawić do smaku optymizmem bojownika, a następnie zawieźć Drągowi, aby klasnął w dłonie.

Jak udźwignąć ten ciężar?

- Pan redaktor wyjdzie do ludzi, co? Czekają, trzeba nagrywać - zauważył dyskretnie technik Makary.

Nieruchomo siedzący człowiek z laską, czyli opiekun Muka, wytarł nagle nos głośniejsz niż trzeba.

Z podniesionym czołem, po którym ściekały strugi potu, Adam podszedł do dokerów widzianych z bliska pierwszy raz w życiu.

Ludu pracujący, przodująca klaso, bohaterscy dokerzy, spadkobiercy komunardów, dzień dobry! Tak powiedzieć? A jeżeli dadzą w mordę? Jakimi więc słowy ma się zwrócić do masy robotniczej - złożonej konkretnie ze szpakowatego pana w kombinezonie, z przystojnego młodzieńca o twarzy ascety, z krępego spryciarza i szczerbatego myśliciela - żeby powiedziała mu do mikrofonu to, co sobie życzył kierownik działu artystycznego Drąg. I czy tych czterech sympatycznych mężczyzn to jest już masa? A jeżeli nie, to kim są? Od ilu osób liczy się masa? Drąg zalecał odważne wejście w masy i szczerą rozmowę o pracy i życiu prywatnym, a także uwzględnienie całej romantyki zawodu dokera w walce o sprawiedliwość,

na koniec zachęcenie rozmówców do przesłania przez nich życzeń pod adresem ich własnych rodzin, zwłaszcza wielodzietnych. Do życzeń dokerzy powinni dołączyć tytuły piosenek, które chcieliby rodzinom zadedykować.

Wziął głęboki oddech.

- Dzień dobry - posłużył się na wszelki wypadek skrótem. Zaczepił nogą o kabel, który włókł za sobą i potknął się. Szpakowaty przyskoczył, pomógł się wyplątać.

- U nas na kei ciasno, pełno wihajstrów - zauważył przyjaźnie.

- Nie szkodzi, nie szkodzi. Ja przyzwyczajony - tuszował Adam. Odchrząknął, przełyk jak wiór. - Właśnie przyjechaliśmy tu do was w sprawie koncertu życzeń dla świata pracy...

Jeden z nich smarknął nosem.

- Wiemy, słyszeliśmy, czemu nie?

- Po... porozmawiamy sobie ot, prywatnie, prawda, ja jeszcze nie nagrywam. - Adam stuknął w mikrofon palcem.

- Z tym diabłem nigdy nie wiadomo - sprytny wskazał brodą trzymany przez redaktora przyrząd.

- Mogę odłożyć, proszę bardzo - na to Adam.

- Wiesiek, pomóż panu redaktorowi - rzekł szpakowaty. Wyraźnie dominował nad pozostałymi. Zwany Wieśkiem ujął mikrofon z czcią i umieścił go na beli bawełny.

Co dalej? O czym? - myślał gorączkowo Adam. Obejrzał się na wóz transmisyjny, jakby stamtąd spodziewał się odsieczy. Pustka w głowie dudniła, wóz milczał.

Z wysokiej na kilka pięter burty statku gapili się jacyś kolorowi, rechotali, pokrzykiwali zaczepnie. Któryś z nich upuścił niechcący lub też celowo paczkę gumy do żucia. Wytwór kapitalistyczny, symbol rozpasania. Spadła tuż koło buta Adama. Struchlał. Na szczęście strażnicy z karabinami spacerujący wzdłuż kadłuba statku nie zauważyli.

- Pomiot imperializmu - splunął łukiem do wody szczerbaty.

- Jaki tam pomiot? - na to młody asceta. - Niech pan redaktor nie słucha, on tak zawsze. To lud skolonizowany, ale niedługo my ich oswobodzimy, nie? - puścił oko.

- Jasne - dodał poważnie szpakowaty i zażył tabaki z wierzchu dłoni. Kichnął. Pozostali milczeli z godnością.

Paczka gumy wyrastała z betonu nabrzeża jak wrzód.

Adam próbował zbagatelizować jej obecność, lecz tym bardziej zauważyli ją pozostali. Tak już jest. Sztuczność do kwadratu prowokuje naturalność. Z trudem wybąkał: - ...No więc bardzo bym prosił, żeby każdy z panów opowiedział mi krótko, co robi w porcie, jak mu się pracuje, czy lubi swoją pracę i tak dalej...

- Teraz gadać? - zapytał sprytny.

- To znaczy... nie, chwileczkę, najpierw może bez mikrofonu, tylko z grubsza...
ogólnie - plątał się Adam.

Od strony wozu, który stał o kilkadziesiąt metrów, biegł pomocnik technika. Wszyscy zwrócili głowy w jego kierunku.

- Pan redaktor pozwoli na momencik - zawołał zdyszany.

- Jestem trochę zajęty.

- Pan redaktor pozwoli, co? - powtórzył z naciskiem.

- Przepraszam panów, zaraz wracam.

Odszedł z pomocnikiem za jakieś beczki. Hałasował traktor, ciągnąc kilka załadowanych przyczep. Na każdej siedział uzbrojony strażnik, tępo patrząc przed siebie.

- O co chodzi?

- A to Śledź pyta, co pan redaktor zrobił z mikrofonem? Bo przez mikrofon mamy podsłuch, a nie mamy podsłuchu. A on bardzo ciekawy jest, co tu się gada.

- Jaki Śledź? Aha. A co mu do tego? Ja odpowiadam za wszystko.

- Pan redaktor za wszystko a on za resztę. Co mam powtórzyć?

- Że wprowadzam ich w meritum sprawy.

- W co?

- Że planujemy uwolnić Afrykę spod jarzma kolonializmu! - Adama zaczynało już dławić w gardle ze złości.

- Że co? - Pomocnik cofnął się przezornie o krok. - Powtórzyć mu to?

- Proszę powiedzieć, że jeżeli ma interes, to niech sam przyjdzie.

- Mnie nic do tego, ale radzę niech pan redaktor weźmie mikrofon do ręki, wtedy będzie w wozie słyhać, co słyhać u was.

- Dobrze. Zaraz będziemy nagrywali.

Pomocnik pobiegł do wozu. Widać było przez szybę sarnie oczy Muki szeroko otwarte na świat.

Adam wrócił do robotników. Siedzieli na belach i gadali. Guma do żucia leżała spokojnie na swoim miejscu. Z wysoka, z burty przesyłali pozdrowienia murzyńscy marynarze. Chwyтали się dłonią za dłoń i unosili je w górę. Adam nie zwracał na nich uwagi. Wziął do ręki mikrofon. Siadł na beli bawełny obok robotników.

- Proszę panów, który pierwszy opowie coś o swojej pracy, ale tak serdecznie, ciepło. A później niech pan prześle życzenia rodzinie i dowolny tytuł piosenki proszę wymienić, a my ją w audycji nadamy - zwrócił się do pierwszego z brzegu. Był nim młody asceta. Ten

odchrząknął głośno i wyciągnął rękę po mikrofon. Adam cofnął swoją rękę z mikrofonem i ukrył go za plecami.

- Nie, nie, ja potrzynam, proszę mówić na próbę.

- No, co by tu...

- Śmiało - wyjąkał. - Jak pan się nazywa? Jeszcze nie nagrywamy, dopiero jak powiem „start”.

Młodemu krew nabiegła do twarzy, żyły wystąpiły na szyi.

- Spokojnie, Edek - szepnął szpakowaty. - Gadaj ogólnie, to co było omówione z radą zakładową.

Adam nie wiedział, jak na to zareagować, więc ograniczył się do poprawienia okularów.

Silny podmuch wiatru zawirował między żelazami dźwigów, stertami skrzyń i wagonami kolejowymi, których stały tu całe rzędy. Dzień był ponury.

Pamiętając o przestrodze technika, żeby chronić mikrofon przed wiatrem Adam - niewiele myśląc - schował go do kieszeni płaszcza. Jednocześnie gorączkowo szukał w drugiej kieszeni kartki, na której zapisał sobie treść ewentualnych pytań.

- Nazywam się Wenta Józef - rozpoczął doker wbijając skupiony wzrok w swoje buty, jakby z ich czubków odczytywał uprzednio zapisaną tam ściągę. - Swoją pracę kocham... wyrabiam 230 procent normy, co miesiąc oddaję pięć pomysłów racjonalizatorskich w ramach... w ramach bzpśckr...

I tu mu się zacięło.

- O współzawodnictwie dorzuć - wyszczerzył się krępy.

Nie wiadomo, czy kpił, czy bał się.

- Aha - ciągnął asceta - nasza brygada podjęła zobowiązanie ku czci pierwszego maja wykonania dodatkowego przeładunku towarów 750 procent ponad normę...

- Ale wiem pan... - Adam usiłował przerwać potok słów. Tamten jednak nie pozwolił wybić się z rytmu.

- ...w ramach współzawodnictwa międzybranżowego resortu o sztandar przechodni, moją rodzinę kocham, mam czworo dzieci i przesyłam piosenkę... - odetchnął, z gardła dobył mu się świst.

- Bardzo dobrze - nieśmiało atakował Adam - ale chodzi o to, żeby pan mówił jeszcze bardziej prywatnie, ja proszę. Prosto i ciepło! - przypomniał sobie nagle formułę Draga.

- Może by lepiej nagrać go już, bo na ciepło to mu się całkiem popieprzy - doradzał nieśmiało szpakowaty.

- Zaraz, już, tylko niech pan nie zapomni wymienić tytułu ulubionej piosenki. Jaką pan szczególnie lubi, co? Śmiało i prosto! No, jaką pan szczególnie lubi?

- Ja wszystkie lubię.

- Wszystkich niestety nie możemy nadać - próbował zmiękczyć go Adam. Rozmowa rozklejała się. Dokerzy siedzieli na belach i wydychali nerwowo dym z papierosów w stronę przymglonej zatoki. Adam nie dawał za wygraną. - No, ja bardzo proszę, niech pan spróbuje sobie przypomnieć, którą melodię lubi pan najbardziej. Może by pan zanucił, czy jak?

- „Do roboty ująć młoty” - rzekł bardzo młody asceta i poszybował wzrokiem za przelatującą mewą.

- Lubi pan tę pieśń? - nie dowierzał Adam.

- To piękna pieśń - uciał szybko szczerbaty.

- Ale mnie chodzi o to, żeby pan powiedział naprawdę, co pan lubi - Adam zaczynał się denerwować. Bezwiednie schylił się i podniósł z betonowej nawierzchni paczkę gumy do żucia w kolorowym opakowaniu, obracał ją w palcach. Nawet nie dostrzegł, że robotnicy śledzą każdy jego ruch z najwyższym zdumieniem. - Przecież zna pan chyba wiele pięknych piosenek, prawda?

- Ta jest najpiękniejsza - upierał się szczerbaty, zraszając Adama śliną.

- Edek, a jakby tak „Góralu, czy ci na żal”, co? - doradził ostrożnie szpakowaty.

- O właśnie! - ucieszył się nieszczerze Adam i obtarł ukradkiem twarz.

- Dobrze, niech będzie „Góralu” - asceta też się jakby ożywił. - Moja żona lubi góralskie pieśni. Pochodzi z Suwałk.

- A ile lat po ślubie? Dzieci dużo? - próbował dobrać się do jego wnętrza Adam. Pytał cicho, intymnie, jak dalszy członek rodziny w czasie jakiejś stypy.

- Będzie trzy lata. Dzieci dwoje. Żona przodownica pracy. 230 procent normy. Bierze udział we współzawodnictwie... - wyrzucił z siebie nie oddychając asceta.

Adamowi coraz silniej zaciskała się pętla wokół szyi. Jeżeli tak dalej pójdzie, Drąg wyrzuci go z redakcji. W jaki sposób zmusić tych czterech dorosłych mężczyzn, żeby mówili z przekonaniem a jednocześnie zgodnie z recepturą kierownika artystycznego? Czas leci, ci w wozie transmisyjnym niecierpliwą się, a on nie potrafi poradzić sobie z prostym nagraniem wywiadów.

I w tym momencie spostrzegł, że trzyma w ręku gumę do żucia. Jednym szarpnięciem rozerwał opakowanie. W środku było sześć pasemek produktu zwanego przez teoretyków łajnem burżuazji.

- Proszę, niech panowie się poczęstują. Kiedyś trzeba spróbować. Ja też czegoś takiego jeszcze nigdy nie miałem w ustach.

Dokerzy spojrzeli po sobie z niedowierzaniem. Po chwili sprytny zauważył półgłosem:

- Jak pan redaktor częstuje, to widać można...

Brali kolejno, ostrożnie odwijając papierki, nadgryzali i żuli.

- No, teraz nagramy sobie szybko i więcej nie będę panów męczył, nieprawda? - Starał się uśmiechać najbardziej lirycznie jak umiał. Oni też jakby rozluźnili się nieco.

- Niezłe - zauważył szczerbaty. Nawet asceta mlasnął ze smakiem. Szpakowaty łypnął w stronę Adama. - Cie diabli! Może nikt nas nie zakapuje, że żremy ten cymes, bo jakby co, to już chyba tylko pan redaktor da nam robotę u siebie.

- Na spikerów pójdziem - zarechotał szczerbaty. Zawtórowali mu nieoczekiwanie szczerze pozostali. Atmosfera zaczynała się rozluźniać. Teraz niechby tylko wydusili do mikrofonu ze dwa wdechy entuzjazmu o znoju w porcie, o zgrzebnym szczęściu domowym, nazwa pieśni - z nutą zadumy i odjazd do rozgłośni, robotniczy koncert życzeń zostanie zrobiony wzorowo, Drąg przesłuchując zdusi w sobie wzruszenie ojca duchowego Adama, załopocze senatorskim nosem, nadmie pierś wodza.

I nagle stało się coś, co przecięło tok redaktorskich marzeń. Oto z wysokości pokładu stojącego obok statku rozległ się ryk radości kolorowych marynarzy. Stwierdziwszy bowiem, iż ich skromny dar w postaci jednej paczki gumy do żucia został ze smakiem przyjęty przez białych tubylców - nosicieli idei antykolonialnych - sypnęli z góry kilkoma paczkami imperialnych papierosów i dalszych gum do żucia. Zrzut ten znalazł się na betonie nabrzeża, zanim przerażeni adresaci zdążyli zaprotestować gorączkowym wymachiwaniem ramion, co poniewczasie zostało tam wysoko odebrane jako gesty spontanicznej podziękii.

Adamowi krew uderzyła do głowy, robotnicy na odmianę zbledli jak chusty. Manifestacja nieoczekiwanego wybuchu kosmopolitycznej przyjaźni, nieuzgodnionej z władzami, mogła być lada moment zostać zauważona przez straż portową. W odruchu rozpaczny Adam rzucił się do zbierania darów, robotnicy pomagali mu w szale nagłej paniki. Upychał paczki po kieszeniach płaszczu, rozpaczliwie, byle jak, rozglądając się na boki.

- Trzeba gdzieś to wywalić - wyjąkał szpakowaty zbielałymi wargami. - Pan redaktor nie może ryzykować!

- Ale gdzie?

- Do wody! Do kanału z barachłem! - dyszał z trudem szpakowaty. Sprytny natomiast gapił się z opuszczoną szczęką na wypchane kieszenie Adama. Asceta miał twarz kamienną. -

Nie do kanału - zasyczał. - Zaraz zauważą. Najlepiej do kanalizacji, tam! - wskazał kratę studni w wąskim przesmyku między dwoma magazynami. Był najprzyjemniejszy ze wszystkich. Próbował na wszelki wypadek obrazić Murzynów pokazując na migi, gdzie ma ich przyjaźń. Zdeprymowani - dawali znaki, że na lepsze prezenty ich nie stać. Czar międzynarodowej przyjaźni przygasł.

Adam ruszył biegiem w kierunku wskazanym przez młodego ascetę, jednakże już po kilku krokach coś szarpnęło nim silnie do tyłu, potknął się i upadł, robotnicy przyskoczyli na pomoc, podnieśli. Okazało się, że ściągnął go kabel mikrofonu, który ukrył przed wiatrem w kieszeni płaszcza. Szarpnięcie zauważono w wozie transmisyjnym. Z otwartych okien wychylili się technik, pomocnik, a także opiekun Muka. Każde z jego przepastnych oczu zdawało się być okiem cyklonu.

Z pomocą dokerów wyrwał z kieszeni mikrofon wraz z kilkoma paczkami papierosów. Pozbierali, powtykał je z powrotem, ruszył biegiem w kierunku luki między magazynami, gdzie czekał zbawczy wlot kanalizacyjny. Dobiegając tam, usłyszał za sobą odgłos szybkich kroków, którym towarzyszył stukot laski o beton. Wrzuciwszy ostatnią paczkę lśniących, zagranicznych papierosów w czelusć okratowanej cembrowiny - obejrzał się. Zza rogu budynku wypadł zziąjany opiekun personalny Muka. Rozwiane poły szarej marynarki, rozmachana szara laska, zszarzałe usta z trudem łapiące oddech.

Adam zamarł na moment, lecz już w następnej sekundzie wykonał pełen obrót w stronę ściany magazynu, by oddać się bez reszty osobistej potrzebie.

Dobiegający Muka wydał się rozczarowany takim obrotem sprawy. Nie mogąc dopatrzeć się niczego podejrzanego w zachowaniu młodego redaktora ani żadnych odchyień w samej czynności - niewiele myśląc, sam stanął pod ścianą o kilka kroków dalej i dla niepoznaki szarpnął spodnie, by pójść w ślady podejrzanego. Ale - czy to zbyt energicznie szarpnął, czy też wskutek zmęczenia gonitwą upuścił laskę i zachwiał się na sztywnej nodze - dość, że obszerne spodnie raptem opadły mu aż do kostek.

- Chryste! - jęknął Adam, bowiem widok, jaki się ukazał, przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

Oto szamocący się z opadłymi nogawkami opiekun personalny Muka nosił pod spodem sute, łososiowego koloru majtki pysznie zdobione czarnymi koronkami. Emanowały takim luksusem, iż Adam nie mógł oderwać od nich oczu. W połączeniu ze sflaczałą, urzędniczą szarzyzną wierzchniego odzienia Muki, blask, jaki szedł od jego bielizny, był w stanie porazić księżniczkę krwi.

- Gratuluję! - wyrwało się Adamowi. I gapiąc się tak na niższe rejony Muki, został

powtórnie olśniony, tym razem myśląc, iż te ozdobne majtki stanowią dla niego ostatnią deskę ratunku.

- Przepraszam - rzekł z całą skromnością, ostentacyjnie gapiąc się na koronkowy fenomen. - Nigdy jeszcze nie widziałem z bliska burżuazyjnej bielizny.

Strzał był celny, Muka drgnął.

- Czego?! - wybełkotał walcząc z opornymi spodniami. Wskutek braku laski, która leżała na betonie zmuszony był oprzeć się o ścianę magazynu, by nie runąć w chwili doprowadzania się do porządku. - Nie patrzeć! Odwrócić się! - krzyknął.

- Nie ma czego się krępować, proszę pana - mówił Adam spokojnie. Wiedział, że musi kuć żelazo póki gorące. - Każdy korzysta z pamiątek rodzinnych jak może.

- O co chodzi? Co? Co?

Muka dopinał się gorączkowo, Adam usłużnie podał mu laskę.

- O nic. Cóż mnie może obchodzić, że przez sentyment do swojej ciotki czy babki obszarniczki używa pan ich rodowej bielizny.

- Niby jak?! - Muka skamieniał na sam dźwięk złowieszczych słów.

- Nijak. Po prostu nic nie widziałem.

- Czego nie widział? - zapytał niepewnie Muka, dopinając wreszcie ostatni guzik spodni.

- Niczego nie widziałem, nic się nie stało, było, minęło, grób.

Zza ściany magazynu ryknęła syrena statku tak przeraźliwie, że obu ich przeszył dreszcz. Żaden też nie zauważył chowającej się za narożnik głowy technika Makarego.

Muka wziął się w garść, postąpił dwa kroki bliżej. Niewyraźny uśmiezek zakwitł na jego wąskiej twarzy przypominającej toporek.

- Owszem - rzekł - popieram wasz głęboko ideowy stosunek do sprawy. Reagujecie pozytywnie, z wyczuciem klasowym. Ale w konkretnym przypadku racji nie macie. Bielizna damska, którą przez przypadek dziś rano założyłem z braku, powiedzmy sobie otwarcie, czystych gaci, jest dziełem rąk mojej żony, ludowej koronczarki, która kontynuuje stare tradycje naszych ojców na niwie rękodziela...

- Chyba matek - wtrącił nieśmiało Adam.

- Co matek? - Muka zdawał się być wybity z toku poważnej narracji.

- Chciałem przez to powiedzieć - nawiązywał Adam - że raczej matki nasze zajmowały się tym zaszczytnym rzemiosłem od wieków.

- Ma się rozumieć. Wy biegli jesteście w historii ruchów społecznych. Można na was polegać.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Ale wracając do zagadnienia. Żona moja posiada sztandar przechodni za ponadplanową produkcję w pionie ludowej bielizny kobiecej na eksport do zaprzyjaźnionych krajów.

- Gratuluję.

- Nie ma za co. No to wracamy.

Ruszyli powoli wzdłuż muru. Muka po kilku krokach zatrzymał się. Jął kreślić końcem laski esy-floresy na betonie.

- A tego... - zaczął spode łba - ...jakby gdzieś tam ktoś z kolegów coś niby tak i nie tak... to wy jak?

- Proszę?

- Niby... widzieliście coś?

- Nic! Tak, jak już uzgodniliśmy. Tylko za własną potrzebą obaj i absolutnie nic więcej.

- O to chodzi. No i wszystko gra. - Muka wytarł dużą, czerwoną chustką pot z czoła. Więcej go to kosztowało, niż można było przypuszczać.

Przyspieszyli kroku.

- A nagranie jak leci? Nieźle? - zapytał otrząsnąwszy się z resztek obaw.

- W porządku.

Ale sprawa wyglądała paskudnie. Czterej dokerzy stali karnie w szeregu. Wkoło nich uwijało się kilku strażników pod wodzą góry mięsa w stopniu sierżanta.

- Co jest? - warknął groźnie Muka i natarł na niego wątlym ciałem. - Na jaką okoliczność rewidujecie klasę robotniczą?

- A wy niby co? - napiął wszystko, co miał do napięcia dowódca patrolu.

Muka podetkał mu pod bycze oko swoją legitymację. Z góry mięsa raptem uszło powietrze. Powiedział niemal szeptem: - Melduję się na rozkaz! - I stanął na baczność.

- Meldować! - Muka odwrócił się do niego profilem.

- Melduję, że podejrzani - wskazał nosem robotników - weszli w kontakt z załogą obcego statku, skąd otrzymali zrzut.

- Co?

- Zrzut, zrzut pod postacią kontrabandy.

- I przyjęli?

- Melduję, że tak jakby.

- Tak czy nie tak?!

- Tak jest. Obserwator na dźwigu potwierdził.

- Wy sprawdzili?

- Tak jest. Ale rewizja nic nie wykazała.

- To w czym sprawa?

Sierżant oblizał wargi mięsistym językiem i trwał dalej w postawie na baczność, jak i pozostali trzej strażnicy. - Melduję - przełknął ślinę - że zachodzi podejrzenie działania w znowie. - I zerknął ukradkiem na Adama. Muka rzucił lodowato. - Sprawdzić.

- Wystarczyłoby zeznanie... - zachrypiał sierżant Spocił się.

- Sprawdzić - powtórzył Muka, patrząc ponad jego głową gdzieś w dal.

Adam ochoczo uniósł ręce w górę. Szpakowaty doker puścił do niego oko.

Sierżant z ostrożną, lecz precyzyjnie sprawdził kieszenie Adama.

- Nie wykryto - meldował coraz bardziej zachrypnięty w kierunku Muki, który ani drgnął wpatrzony w daleką połąć wody za falochronem. Było w tym martwym patrzeniu coś niewątpliwie dostojnego. Ledwo poruszył ustami. - Mnie też sprawdzić.

Mimo hałasu panującego na nabrzeżu - jazgotu dźwigów, pokrzykiwań ludzi, przetaczania wagonów - sierżant zrozumiał i teraz już wyraźnie drżącymi dłońmi musnął kieszenie Muki nadal wpatzonego w dal. Zrobił, co do niego należało i skwapliwie zasalutował. - Niczego nie wykryto! Proszę o pozwolenie odmeldowania się.

Muka ani drgnął.

- Proszę o pozwolenie odmeldowania się - powtórzył niespodziewanie cienko duży sierżant w postawie na baczność.

Bez zmian.

- Proszę o pozwolenie... - głos mu się załamał. Odchrząknął.

- Nie chciałbym być waszą matką - rzekł twardo Muka w przestrzeń. - Niewykrycie przestępstwa znaczy tyle, co popełnienie przestępstwa. Targnęliście się na specjalną ekipę służby Polskiego Radia, pojął? - przybił zwrotem dość popularnym w kręgach zbliżonych do organów wykonawczych. - Co z wami zrobić? - Pytanie zawisło jak topór.

W miarę słuchania tych słów sierżantowi ze strachu zanikały mięśnie, szczególnie łydek.

Napięcie rosło. Wszyscy wbili wzrok w Mukę.

A Muka zawiesiwszy pytanie w powietrzu portowym pełnym drgań i soli, odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku wozu transmisyjnego krokiem kulawego marszałka po odebraniu męczącej defilady.

Ciężko ukarany niepewnością jutra sierżant zgarnął swoich podwładnych gestem ręki i

powlókł się wraz z nimi w kierunku przeciwnym.

Nieoczekiwanie wytworzona pustka podziałała balsamicznie tak na Adama, jak i na dokerów. Poczuli się wszyscy złączeni niekonsumowanym przestępstwem. Autentyzm sojuszu robotniczo-inteligenckiego - utwierdzony tym co najbardziej cementuje od wieków polskie klasy niższe i średnie, czyli przechernym oporem przeciwko wszelkiej władzy - spowodował, że zaczęli się poklepywać po plecach, prześmiewać do siebie, radośnie kłąć. Jak po małym zamachu stanu, gęby rozwiązały się, wzruszenie Adama sięgnęło szczytu, gdy rozluźniony wreszcie młody asceta z błyskiem słońca w oku wydobył zza swojego kołnierza paczkę ukrytych tam zagranicznych papierosów, a szczerbaty myśliciel zza cholewki buta gumę do żucia. Natomiast szpakowaty chichocząc z cicha pokazał im mikrofon, o którym wszyscy zapomnieli nie wyłączając Adama - szczelnie owinięty chustką do nosa i wepchnięty dla pewności w roboczą rękawicę.

Ukryci bezpiecznie za belami bawełny, wchłaniali ze smakiem aromatyczny dym zakazanych papierosów, żuli potępioną gumę, spluwając nią co i raz to za siebie, bo nie mieli do niej cierpliwości. - Ciągnie się toto. Gówno nie cukierek.

- Alem ich wykołowali.

- Grunt to ręka w rękę!

- Mogła być chryja.

- A wała! - dawali upust serdecznościom. Adam był ich, oni byli jego. Uczucie, które go ogarnęło, nie miało sobie podobnych. Nić braterstwa zadzierzgnięta w pierwszym momencie zbierania z ziemi parszywych prezentów uzewnętrzniała się teraz i w tym również, że mówili do niego „redaktorze”, a on do nich „koledzy”. Zaufali mu, subtelnie i po męsku wyrażali swoje uznanie. Narażał się dla nich, wziął na siebie główne ryzyko, grożące co najmniej precyzyjnym śledztwem. Bowiem port, szczególne miejsce, gdzie tylko grubość blachy poszycia kadłuba dzieliła dwa odrębne światy - świat postępu od świata imperialnych pokurczy - był najcieńszym punktem żelaznej kurtyny.

- Koledzy, a teraz do roboty - rzekł w pewnej chwili, biorąc od szpakowatego mikrofon i zdejmując z niego rękawicę. - Nagramy sobie koncert życzeń. Okazja jest wyjątkowa, kto pierwszy?

- Ja!

- Ja!

- Dajcie mnie - wyciągnął rękę po mikrofon młody asceta. - Od początku miałem mówić pierwszy, to będę mówił. Cholera! - dodał podochocony.

I mówił.

Ściskając w dłoni mikrofon, wbijał wzrok w czerń sitka, jakby tam ukryła się daleka żona, do której przecież tęsknił szczególnie nocami, kiedy czas wreszcie należał do niego, a łóżko w hotelu robotniczym milczeniem sprężyn obwieszczało brak bliskiego ciała, do diabła, potęgując wszystkie dzienne żale do niesprawiedliwych brygadzystów, do szefów, do strażników, do pogody mroźnej, wietrznej, deszczowej, upalnej, bezwzględnej, nieczulej na wesołe hasła o podbijaniu norm pracy ku czci i chwale jego szefów głównie i dyrektorów odcinających kupony zaszczytów za jego całoroczne wyginanie pleców pod worami towarów i tak dalej, mówił swoim wsiowym językiem nie miejskim, jakiego tu się już nauczył, ale rodzonym, bo do rodzonej żony mówił, a pozostali słuchali i potakiwali głowami, zapomniawszy o wszystkich grzecznościach dobrego wychowania klasy robotniczej trzymanej w ojcowskich łapach przez naszą kochaną, panie, dyrekcję...

Właśnie tak w pewnym sensie wypowiadał się, bo jednakże robak strachu wżarty w jego flaki czuwał z łapą na hamulcu, ale przecież i żona ukryta w mikrofonie - robiła swoje.

Gdy wreszcie skończył - szpakowaty odebrał mu z ręki mikrofon i przesłał życzenia rodzinie w nieco bardziej zwięzłych słowach - niewiele jednak przypominających kindersztubę. Nie zapomniał też pozdrowić szwagra - gospodarza na roli oraz teścia gruźlika bez zawodu.

Później szczerbaty myśliciel powiedział kilka słów na temat nauki swoich dzieci, pochwalił najstarszego za dobre sprawowanie się w poprawczaku i przesłał mu „La Palomę”.

Sprytny doker ograniczył się do życzenia swojej żonie, aby wygrała w loterii z okazji zbliżających się imienin, co mogłoby jej wreszcie zapewnić kupno upragnionego patefonu oraz noży i widelców.

Adam poweselał.

Dokerzy na odchodnym zapraszali go do portu, gdy tylko pozwoli mu czas, bo takiego jak wy, redaktorze, jeszcze u nas nie było. Z daleka machali mu rękami, a on im nie był dłużny - czemu przypatrywali się z góry, z pokładu statku ponurzy Murzyni. Adam przesłał im też serdeczne pozdrowienie gestem dłoni. W odpowiedzi jeden z nich wskazał palcem w czym gotów umieścić taką serdeczność. Coś im się pokręciło.

W wozie panowała cisza. Muka siedział obok kierowcy, sztywno wpatrzony przed siebie, nie zwrócił uwagi na Adama, który próbował nawiązać z nim choćby wzrokowy kontakt. Ale nie doczekał się ani zerknięcia. Widocznie Muka zagapił się w dal służbowo.

Technik natomiast wodził zatroskanym wzrokiem za Adamem. Dyskretnym kiwnięciem zwabił go do tylnej przegrody wozu transmisyjnego, gdzie tylko kable na bębnach i stojaki mikrofonów. Rzucalo tu fatalnie. Makary rozpoczął tajemniczym

pólszeptem, choć przez warkot motoru i turkot kół i tak nic nie było słyhać w promieniu większym niż pół metra.

- Nie ma się czego martwić, panie redaktorze. Jakoś będzie.

- A o co mam się martwić?

- Tak ogólnie. W naszym zawodzie trzeba mieć mocne nerwy.

- Ale o co chodzi, panie Makary?

- A czy ja mówię, o co?

- Właśnie, nie mówi pan.

- I dobrze, po co mam pana redaktora denerwować.

- Czy coś z nagraniem nie w porządku?

- Nagranie pestka. Inne sprawy są gorsze, panie redaktorze.

- Jakie? - poczuł że nogi miękną pod nim. Mogło to być spowodowane wybojami, w które co chwila wpadał samochód opuszczając teren portu.

Technik wspiął się na palce, sięgnął ustami jego ucha.

- A to Śledź wyraził się dobrze o panu.

- Kto?

- Muka.

- Aha. To świetnie, bardzo się cieszę.

- Nie radzę. Jak on kogoś chwali, to później ten ktoś nie może się pozbierać.

- Nie żartuje pan?

- Żartuję. Dla zaszyfrowania mówię wszystko na odwrót. Ale najważniejsze, nie martwić się - zakończył Makary pełen życzliwości.

- Dziękuję panu.

- Proszę, proszę. Ja i tak w razie czego panu redaktorowi nie pomogę w niczym, a nawet jak zajdzie potrzeba to jeszcze dołożę.

- Panie Makary!?!...

- Szczery jestem, nic więcej. I lubię pana. Bo pan jest taka sama dupa jak ja. A Muka sprytniejszy. W dodatku to mój własny szwagier.

- No tak - szepnął martwo Adam. Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział do technika Makarego w czasie powrotu z nagrania.

Hodowla garbatych

Najbardziej dawało mu się we znaki poczucie osamotnienia po powrocie z redakcji. Pustka mieszkania wuja ziała zapachem archaicznych mebli, które znieawidził już po krótkiej nieobecności Agaty.

Pewnego popołudnia zbił młotkiem marmurową statuetkę Psyche w nadziei, że wyrzuty sumienia w stosunku do wuja zneutralizują choć trochę palące uczucie tęsknoty, które z dnia na dzień stawało się coraz dokuczliwsze. Bez skutku.

Na plaży nie był od czasu pogrzebu kota. Opary moralnego skażenia rozsnute nad tym terenem przez dzieci odebrały morzu subtelny zapach wolności. Piasek nadbrzeżny spopielał, kolor wody zbrunatniał. Trucizną mógł wessać jedynie czas. Przeczekał jego upływ niecierpliwie. Z podmiejskich wzgórz, gdzie zabijał włóczęgami wolne godziny, pozwalał sobie niekiedy na krótki rzut oka w stronę niebieskich obszarów, bez widoku których jego życie zupełnie straciłoby barwę. Obiecywał sobie, że opowie o tym kiedyś Mercedes i tylko jej.

W czasie jednej z wypraw powziął postanowienie sprowadzenia Z. do siebie. Od dawna nie mógł się na to zdobyć. Samotność tak mu dokuczyła, że nawet współlistnienie z Z. pod jednym dachem wydawało się mniejszym złem. Stracił już nadzieję na pojawienie się Agaty. Głównym motywem decyzji była tęsknota za Mercedes. Sądził, iż jej bliskość pomoże mu opanować wewnętrzny chaos. Wyłącznie Mercedes stanowiła odtrutkę na Agatę. Zresztą sprowadzenie matki z córką i tak było nieuniknione. Nie mógł utrzymywać na dłuższą metę dwóch domów za jedną pensję wynoszącą równowartość mniej więcej sześciu damskich parasoli.

O swojej szlachetnej decyzji zawiadomił Z. korespondencyjnie. Efekt listu nie dał na siebie czekać dłużej niż trzy dni. Z. przywiozła Mercedes, walizkę, patefon i wprowadziła się do pokoju na końcu długiego korytarza. Dochodziły stamtąd jedynie nikle odgłosy ich obecności. Adam zajmował nadal swój pokój obok dawnego Agaty, ciągle w nadziei, że kiedyś ona zjawi się i wtedy będą mogli wypłynąć w szczęśliwą dal choćby przez okno. Bez potrzeby zawiadomienia o tym Z.

Tak więc życie rodzinne Adama potoczyło się dawnym rytmem. Z. od pierwszego dnia rozpoczęła z podwójną pilnością wywęszanie śladów jego ewentualnych zrad, lecz natychmiast zgubiła trop w wielkim mieszkaniu, gdzie do niedawna rezydowało wielu znajomych wuja z różnych stron świata, o różnych zapachach i dyskretnie zróżnicowanych rodzajach płci. Pozostałościami ich garderób wypełnione były liczne szafy i szuflady komód. Pomady, pachnidła, pędzle, peruki, szczypce wraz z odłamkami skał i archaicznych skorup poprzekładane wielojęzycznymi czasopismami - zalegały kąty i zakamarki. Skrupulatne przeszukanie tych zwalów - w celu odnalezienia szczegółu świadczącego o krótkotrwałej choćby obecności domniemanej kochanki Adama - mogło zająć Z. kilka lat. Dlatego o wypełnienie wolnego czasu swej nominalnej żony i o jej rozrywki był spokojny. Fakt ten jawił mu się jako jaśniejsza strona powrotu na łono rodzinnej wspólnoty - nie licząc wiecznego święta, czyli przebywania na stałe pod jednym dachem z Mercedes.

Do domu wracał późno. Długie godziny zajął mu montaż taśm z wypowiedziami dokerów, taśm zdyskwalifikowanych przez kierownika Drąga. Montował te wypowiedzi bez szans nadania gotowej audycji na antenie. Zawziął się. Zamierzał udowodnić Drągowi, że nawet z parszywego pod względem politycznym materiału można wydobyć sens w granicach ideologicznej przyzwoitości. Więc montował w znoju. Ręce bolały od precyzyjnego nakładania jednego końca uciętej taśmy na drugi, w piersiach dusił zapach esencji octowej służącej do sklejania taśm. Czasem przerywał pracę, zagapił się, gotów zapłakać z żalości nad sobą.

- No i co tam? - rzekł Drąg przymilnie, liskowato, około południa następnego dnia po przyjeździe Adama z portu. Konwersacja odbywała się w cztery oczy, miejsce akcji - gabinet Drąga. - Jak tam nagranie?

- Dziękuję. Nieźle chyba... - odrzekł Adam.

- Nieźle? - upewnił się kierownik artystyczny, strojąc miny imperatora z nożem w plecach.

- Nieźle. - Podwładny postanowił twardo stać na swoim, tym bardziej, że poprzednio przesłuchał sobie taśmę w ciszy pokoju montażowego i wydała mu się ona nieszablonowa, ciekawa, uogólniająca świadomość klasową świata pracy.

- Tak pan kolega uważa? Co?

- Tak.

- I nie myli się?

Adam przekrzywił głowę. Jeżeli zawaha się, Drąg osiągnie swój cel, to znaczy spieszy podwładnego. Raz speszony podwładny pozwala się następnie bez przeszkód ugniatać jak

bloto, przeczuwał to, choć nie miał dotąd okazji sprawdzenia urzędniczego zjawiska. Więc nie. Mimo swojej chorobliwej nieśmiałości, której towarzyszyła ulewna nadpotliwość - przyciśnięty do muru nauczył się odskakiwać niczym sprężyna. Liczył na ten swój odruch jak na wiernego psa. Odrzekł więc z naciskiem:

- Nie myślę się, proszę pana.

- Nie myli się pan, kolego? To bardzo dobrze! - ucieszył się Drąg szczerząc garnitur wąskich zębów. - Właśnie to chciałem wiedzieć na pewno. W porządku - przyjrzał się Adamowi z wyraźnym obrzydzeniem. Nagle wzrok jego zmięknął nieco. Oparł ręce o biurko, uniósł niewielki korpus, przybliżył twarz do twarzy Adama.

- Panie kolego. Pan nagrywał ludzi pierwszy raz, prawda?

- Tak.

- Nigdy jeszcze nikogo pan w swoim krótkim życiu nie nagrywał!

- Nie nagrywałem.

- Czyli istnieje możliwość, że pana opinia jakoby wypowiedzi tych robotników były genialne, jest co najmniej błędna, co?

- Proszę pana, w tym wypadku nie myślę się. Oni mówią szczerze to, co myślą. Szczególnie jeden z nich, który chciałby ulepszyć pracę w porcie. Nie ukrywa tego co złe, uwypukla to co pozytywne.

- Pan twierdzi, że on to mówi szczerze bez jakiegoś podtekstu?

- Myślę, że na pewno zupełnie szczerze.

- Pan kolega żartuje, tak? - mrugnął porozumiewawczo Drąg.

- Nie. Po co?

- Doszły mnie słuchy, że pan ma poczucie humoru pokrętne jakies takie.

- Myślę, że normalne. Śmieszy mnie śmieszne, nie śmieszy poważne.

- Aha. Zwłaszcza, że i to, i to jest uwarunkowane dialektycznie - skandował po konesersku szef.

Głowa Adama wpadła w nieznaczny wahadłowy rytm. Dostał czkawki. To włączył się system zaczepno-obronny.

- Czy pan słyszał o tym, że kot może zniknąć po zjedzeniu myszy? - zapytał zniecierpliwiony.

- Proszę?? - kierownik artystyczny drgnął i opadł na fotel.

- Istnieje możliwość - tłumaczył rozwlekłe Adam - że na przykład kot znika w oczach myszy po jej zjedzeniu.

- Wy ośmielacie się ze mnie kpić? - Drąg z oburzenia nie potrafił zapanować nad

rękami, które kreśliły w powietrzu gwałtowne figury.

- Proszę się nie unosić. Na poparcie pana tezy o względności rzeczy, według której i pan może się mylić, cytuję po prostu fragmenty „Dialektyki pojęć elementarnych” Franciszka Zoltaja - wymienił z uszanowaniem nieistniejące dzieło, chrzcząc jego autora nazwiskiem hydraulika, który reperował od czasu do czasu urządzenia sanitarne w mieszkaniu wuja. Drąg poprawił się w fotelu.

- No i co z tego? - mruknął niepewnie.

- To genialne dzieło. Wywarło duży wpływ.

- Znam, znam. Ale nie o to chodzi. Wróćmy do naszej sprawy - kontynuował, wybity z poprzedniego rytmu. Zatarł silnie ręce, następnie z trzaskiem kości zaczął sobie wyłamywać palce, wsłuchując się uważnie w ten trzask, jakby chciał się nim zapłodnić i ponownie zrodzić w sobie wściekłość.

- Jak chyba pan kolega zdążył się już przekonać, polubiłem kolegę - rzekł ze wstrętem.

- I dlatego chciałbym dać panu ostateczną szansę. Proszę mi powiedzieć z całą odpowiedzialnością po raz ostatni, to bardzo ważne, czy rzeczywiście uważa pan, iż to co powiedzieli ci dokerzy na taśmę jest dobre? I czy według pana można to dać na antenę, ewentualnie po małym montażu? No?

- Tak sądzę, proszę pana. Ludzie chętnie tego posłuchają.

- Aha. Dziękuję. Zaczekajcie jeszcze moment - uniósł wyniośle piękny profil, uporządkował rysy i zaklaskał trzykrotnie w dłonie monarszym gestem. Wpijał przy tym wzrok w zamknięte drzwi prowadzące do drugiego pokoju.

Nic się nie stało.

Powtórnie zaklaskał, teraz już wściekle i na stojąco.

Nic.

- Wejść!! - ryknął pryskając śliną. Zaklaskał trzy razy.

Drzwi uchyliły się ostrożnie, ukazała się głowa technika, pana Makarego.

- Uzgadnialiśmy przecież, że na trzy kłaśnięcia wchodzicie, prawda? - skarcił go kwaśno Drąg. - I to ma być subordynacja?

- Przepraszam - Makary wśliznął się cały, skłonił grzecznie głowę. - Krępowalem się... Myślałem, że towarzysz kierownik jest zajęty, to znaczy że może ktoś kogoś... akurat po pysku albo czy ja wiem...

- Dość. Proszę odpowiadać na pytania. Co wy jako obywatel sądzicie o portowym nagraniu naszego nowego kolegi?

- Co ja jako obywatel? - zmarszczył wąskie czoło technik Makary i skierował na

Adama jasny, serdeczny snop spojrzenia. - Wszystko było w porządku.

- Nie rozumiem!?! - Drąg był o krok od plunięcia mu między oczy.

- Wszystko było w porządku... - spuścił wzrok technik Makary i zasepił się nagle - ...aż do czasu, kiedy pan redaktor poczęstował ich tym paskudztwem, i oni zaczęli knuć przeciwko władzy...

Drąg rozpromienił twarz, Adama oblał zimny pot.

- No dalej, dalej - zagrzewał Makarego kierownik, zerkając filuternie na Adama. - Nie krępujcie się jako obywatel!

- ...No i wtedy oni otruci tym ścierwem zaczęli siłą rzeczy, prawda, mieć jasny obraz naszej gospodarki... - sączył z siebie prawdę Makary, kwaśno skrzywiony, jakby brzydził się własnych zębów.

- Jak więc pan kolego sam słyszy - zwrócił się Drąg do Adama - tak właśnie wygląda rzetelna opinia prostego obywatela na temat waszej redaktorskiej premiery. Czy można tu coś dodać?

Adam milczał. Ścisnął kolana, żeby opanować ich drżenie.

- Owszem - ciągnął z emfazą Drąg - można tu jeszcze coś dodać, lecz sprawa jest zbyt poważna, abym dodawał wyłącznie przy jednym świadku, nota bene prostym człowieku pracy, jakim jest bez wątplenia uczciwy kolega Makary. W imieniu naszej instytucji dziękuję wam za troskę o morale zespołu, kolego techniku.

- Nie ma za co. Mogę wyjść? - szarpnął się ku drzwiom Makary.

- Nie! - Drąg machnął palcem w dół. - Siadać!

Technik przywarował posłusznie.

Drąg podniósł słuchawkę telefonu. Odezwała się centrala.

- Halo! Z sekretariatem naczelnego.

Sekretariat naczelnego dzieliła od pokoju kierownika artystycznego cienka ściana. Słysząc było, jak się tam rozdzwonił aparat. Dzwonił dość długo. Sekretarka znów się pewno czesała.

- Halo, sekretariat! Halo! - powtarzał cierpliwie Drąg. Wreszcie telefon odebrano. - Proszę poprosić do mnie naczelnego. Sprawa bardzo ważna. Tak. Dziękuję. - Odłożył słuchawkę na widelki i zaraz przytknął ją do ucha powtórnie. - Halo, z redakcją audycji masowych, szybko. Halo! Z kierownikiem proszę Kolega Robert? Proszę stawić się natychmiast u mnie.

Odłożył słuchawkę, obliznął ze smakiem sine wargi

Wpatrzył się w upstrzone okno.

Adamowi zdało się, że za chwilę brzęknie skalpel i że zostanie wybebeszony.

Cisza.

Technik Makary siąknął nosem.

Któremuś z nich trzech zaburczało w brzuchu.

Wszedł naczelny. Za nim Robert.

- Czołem - familiarnie zawołał naczelny. - O co chodzi?

Technik Makary zerwał się z taboretu robiąc mu miejsce.

- Sprawa jest bardzo poważna - zaczął Drąg i też wstał z fotela. Oparł się obiema rękami o biurko, wystawał zza niego zaledwie połową ciała, robił teraz wrażenie trybuna ludowego, który skurczył się jak sztandar w czasie spiekot i szarug na bojowym szlaku. - Nasz nowy kolega sprowokował, świadomie czy nie, jeszcze nie wiem na pewno, groźny incydent w porcie, podczas nagrywania wywiadów z dokerami.

- Ja... - wyjąkał Adam.

- Chwileczkę - uciszył go Drąg. - Jeszcze nie skończyłem.

- No, no - naczelny wpatrzył się przenikliwie w Adama. - Ciągłe z wami, kolego, kłopoty. Ale słucham, słucham.

Drąg kontynuował ze swadą.

- Mam tu raport opiekuna personalnego, kolegi Muki, mogę odczytać w całości.

- Walcie - sapnął naczelny, zakładając nogę na nogę. Błysnęły spod nogawki nie pierwszej białości kalesony działacza średniego szczebla.

Robert siedział obok Makarego i zerkał na Adama z budzącą się sympatią. Drąg zaczął odczytywać mozolnie z dość wymiętego arkusza.

- ...dnia tego a tego byłem obecny na wyjeździe służbowym i zapodaję niżej co następuje: Redaktor wspólnie z zaistniałą pod statkiem wskutek nagrania klasą robotniczą w liczbie czterech wywołał incydent. Podejrzani nawiązali więź z marynarką statku imperialistycznego skutkiem czego otrzymali zrzut nieustalonej zawartości, wielkości na oko małej. Po wykryciu czynu przeze mnie zapodany redaktor zbiegł za magazyn wraz ze zrzutem pod pozorem oddania moczu gdzie go dogoniłem pod pozorem jak wyżej. Tam to dla zastraszenia mnie podejrzany zaatakował moją bieliznę szydząc z rękodzieła żony mojej koronczarki ludowej i łącząc ją z pozycji wroga klasowego utrudniał mi także samo dokonanie potrzeby własnej skutkiem czego nie wykryłem gdzie pozbawił się zrzutu co stwierdziła następnie rewizja straży portowej nie wykrywając niczego podejrzanego co obciąża jeszcze bardziej wym. redaktora gdyż nie wiadomo co zrzut zawierał. Stwierdza się ponadto szkodliwe dla państwa wypowiedzi klasy robotniczej co do krytyki brygadzysty i

zaopatrzeniowca w porcie. Podpisano: J. Muka.

Drag położył arkusz na biurku, starannie wygładził zagięcia. Zaległa cisza, którą zakłócał jedynie łomot serca o kości żeber Adama.

- To wszystko? - spytał naczelny i kichnął sprężyscie.

Drag zmrużył oczy i zaszarżował z podwójną siłą. - Jako bezpośrednio odpowiedzialny za naszego nowego kolegę czuję się w obowiązku wyciągnięcia najdalej posuniętych konsekwencji służbowych. Nie możemy dopuścić, aby już pierwsze publiczne wystąpienie naszego nowego kolegi miało posmak wrogiej roboty.

Tego człowieka chciałem zaadaptować sobie na wuja - myślał Adam. Apogeum strachu mijalo powoli, przekształcając się w pierwsze, łagodne stadium agresji.

Drag z twarzą rozwichrzoną raz dosiadłszy swego konia, galopował dalej. - Przyjęliśmy kolegę Adama do naszego zespołu pełni wiary w jego morale. Ja osobiście pogłębiałem je, nie szczędząc ojcowskich rad, poświęciłem wiele mojego cennego czasu na zaznajomienie go z radiowym rzemiosłem. Zawiodłem się, fatalnie się zawiodłem. Odczuwam to jako cios moralny i polityczny. Dlatego też uważam, że należałoby natychmiast rozważyć celowość dalszego tolerowania takiego pracownika w naszym zespole.

- No, dalej, dalej! - Naczelnny nagle, absolutnie nagle, ni w pięć ni w dziesięć rąbnął pięścią w biurko. Wszyscy aż podskoczyli. - Jazda! Co tam jeszcze? - zachęcał Draga.

- Ja już w zasadzie... to wszystko - zakończył tamten półgłosem kompletnie wysadzony z siodła. Rozglądał się po obecnych z niedowierzaniem myśliciela, któremu parobek zagwizdał prosto w nos.

Robert mrugnął porozumiewawczo do Adama.

- A więc krótko mówiąc, kierownik artystyczny zamierza wyłączyć swojego pracownika bez wysłuchania jego wyjaśnień. Co wy macie do powiedzenia, kolego? - zwrócił się naczelny do oskarżonego.

Adam zrozumiał, że tych dwóch pała do siebie sympatią kanibali, ale z drugiej strony głupotą byłoby pozwolić wkręcić się między dwa główne tryby potężnej maszyny służbowej. Więc milczał. Czuł jednak instynktownie, że to za mało jak na powagę chwili. Należało coś przedsięwziąć, bo z opinią politycznie szkodliwego nie ujedzie daleko.

- Jak to? - oburzył się z ostrożną Drag. - Czy nie wystarczy czarno na białym notatka służbowa opiekuna Muki?

- Muka kuka a wy kolego kierowniku słuchacie z otwartą gębą! - ryknął na całe gardło śmiechem z własnego dowcipu naczelny. Zawtórował mu Robert chichotliwie. Nawet technik Makary wyszczerzył się grzecznie, porzuciwszy chwilowo lojalność względem własnego

szwagra Muki.

- Kolego Makary - rzekł naczelny poważniejąc.

- Tak jest! - poderwał się technik.

- Wy byliście na tym nagraniu?

- Tak jest!

- Opowiedzcie swoimi słowami jak było naprawdę.

- Zgodnie z raportem, panie redaktorze! Nic dodać, nic ująć. Ja nawet z wozu nie wychodziłem. Na stronę też nie.

- Właśnie! Jak to było z tą bielizną? Jak mamy rozumieć, że nasz młody kolega zbecześcił Muce bieliznę? Czy on, świnia, spuszczał portki publicznie w tym porcie?

- Może by zapytać o to kolegę Adama - wtrącił usłużnie Robert. - Zaraz dowiem się, czy on tam był. Byłeś tam? - zwrócił się rzeczowo do Adama.

- Ja wypraszam sobie kpiny! - zawiosłował rękami Drag. Czuł, że grzęźnie w wykopanym przez siebie dole. - Ja nic nie rozumiem! Ja sprawę postawię na ogólnym zebraniu. Ja protestuję! Widzę, że ten młody człowiek jest pod specjalną ochroną! - rozkaszał się.

- Spokój! Bez hysterii, kierowniku artystyczny. Wy mi tu Hamleta z kokluszem nie grajcie. Znam ja się na takich sztuczkach. Krótko, po pierwsze: Muka dostaje naganę z wpisaniem do akt.

- Za co? - zapytał osłupiały Drag.

Technik Makary powtórzył to samo pytanie bezgłośnie i dodał szeptem: - O Jezu!

- Za niewykrycie tej afery w porcie. Nie po to go wysyłam, żeby tłumaczył się spuszczeniem portek w obliczu zaistniałej dywersji - uciął naczelny.

Adam słuchał tych groźnych słów z przerażeniem. Czuł, że musi zaskoczyć czymś swoich szefów, ale żaden pomysł nie przychodził mu do głowy. System alarmowy w jego mózgu jakby zaciął się.

- A wam Makary potrącam premię kwartalną!

- Mnie?! - wybałuszył oczy technik. - Za co, panie redaktorze!?

- Za karę.

- Panie dyrektorze!!!

- Nie potrafię wam udowodnić, czy stanęliście na wysokości zadania, czy nie stanęliście wobec incydentu w porcie. A fakt, że ja, wasz dobry szef, nie potrafię wam czegoś udowodnić, źle by mógł o mnie świadczyć, nie uważacie?

- Uważam... - zaszeptał Makary.

- Ktoś więc z nas musi ponieść za to karę.
- Tak jest! - jęknął technik w przyływie lojalności.

- No właśnie. I co wy na to?

- Bardzo dziękuję, że pan redaktor naczelny ukarał mnie potrąceniem premii kwartalnej. Cieszę się - załkał mimo woli. - Mogę już wyjść?

- Pozwalam wam jeszcze posiedzieć jako świadkowi.

Naczelny wstał i zaczął chodzić z rękami na plecach po ciasnym pokoju. Objął się o nogi siedzących, ale nie przepraszał zagłębiony w swoich myślach. Adam podejrzewał, że rozważa formę zwolnienia go z pracy ze skutkiem natychmiastowym.

Tymczasem sprawa sięgała o wiele głębiej. Naczelny nie mógł się nie liczyć z zarzutami Drąga, z drugiej znów strony trafił go brak pewności, czy przysłany niby przypadkowo przez władze uczelni młody pracownik, rzekomy Adam, zachowujący się nader dziwnie - nie przyjechał tu ze specjalnymi poruczeniami. Inaczej przecież nie zachowałby się dziwnie. Muka natomiast jako wypróbowany służbista na pewno już zdążył przesłać odpis swojego raportu gdzieś wyżej. A więc ukarać Adama to narazić się jego ewentualnym mocodawcom (a nuż Centrali?), nie ukarać - Drąg gotów ryc pod nim dół w nadrzędnej instancji, która z kolei może dać posłuch, gdyż afera stanowiła smaczny kąsek dla wyższych urzędników, nosiła bowiem znamiona tak zwanego „berka służbowego” - zabawy bardzo uciechowej, chętnie uprawianej przez szefów wyjąłownionych z radości życia. Polegała ona na dyskretnym dźganiu niższych urzędników probierzem wierności, a następnie nadśluchiowaniu z wysoka jak piszcząc wygryzają nawzajem spod siebie stołki.

Z takich to powodów naczelny - dążąc uparcie do złotego środka - objął się o nogi siedzących w małym pokoju kierownika artystycznego. Toteż kiedy w pewnej chwili skutecznie potknął się o but Roberta, warknął:

- Umyślnie stopa wam wystaje!

- Nieumyślnie, szefie. Po co miałbym ją narażać?

- Od nienarazania się to wy jesteście specjalista.

- Socjalista, szefie.

- Milczeć! - ryknął już na dobre zwierzchnik. - Co tu tak ciasno?! Wszyscy do mojego gabinetu!

Przemieszczenie nastąpiło szybko. W trakcie szurania krzesłami Adam wreszcie wpadł na pomysł.

Naczelny poczuł się w siodle za swoim biurkiem. Od razu wyjął z szuflady pęto kaszanej kiszki, rozłożył je na gazecie i jął spożywać ze smakiem. Ten jego zwyczaj znany w

kołach służbowych, miał świadczyć niezbitcie o folklorystycznym zacięciu, czego wielu kolegów, dyrektorów wojewódzkich - nieznoszących kaszanki - skrycie mu zazdrościło.

Włożył w usta ostatni wielki kęs i wtedy Adam powiedział niezbyt głośno:

- No pasaran!

Początkowo zebrani nie uświadomili sobie znaczenia tych słów. Zdziwiła ich tylko niestosowność wystąpienia Adama. Spojrzeli po sobie.

- No pasaran! - powtórzył, nadając głosowi ostrzejsze brzmienie.

Pierwszy zareagował Drąg z czujnością neofity, jak na dźwięk dalekiej trąbki. Jego twarz przybrała wyraz napiętej uwagi, napoleoński profil zwieńczony grzywą dostojnej czupryny zarysował się czysto na tle okna. Wlepił wzrok w Adama i przypatrywał mu się w najwyższym zaskoczeniu. Milczał bardzo głęboko.

Naczelnym zastygł inaczej: policzki wzdęte kaszanką, oczy wybałuszone zdumieniem.

- Co wy? - wykrztusił. Kilka ziaren kaszy wypadło mu z ust na biurko. Makary spostrzegłszy, że coś się dziwnego święci - na wszelki wypadek wstał z krzesła.

A Robert, ten Robert którego dotąd Adam posądzał o czerne hochsztaplerstwo - wykazał pełnię koleżeńskiej solidarności i fantazję artysty godnego większych afer. W tej decydującej sekundzie stanął na wysokości zadania i stał prężąc pierś. Powtórzył też jak echo za Adamem: - No pasaran!

Naczelnemu całkowicie odjęło apetyt. Miał już na swoim koncie dwa doświadczenia z dziwactwami Adama, teraz pojął, że kroi się trzecie. O zabarwieniu międzynarodowym? Ten szczeniak nie mógł działać samopas. Kęs kaszanki wypluł na gazetę, po czym uniósł się zza biurka powoli, pełen najgorszych przeczuc - co obecni odebrali jako odruch szczególnej celebracji.

Czas ciszy w gabinecie nasiąkał kolorem historii. Hasło republikanów hiszpańskich - to było wszystko, na co Adam mógł się w tej sytuacji zdobyć. Ośluchał się z nim w domu. Kiedy wykypiała z garnka reszta mleka dla Mercedes, kiedy zabrakło pieniędzy do pierwszego - Z. wznosiła okrzyk: no pasaran! Teraz jednak efekt hasła przeraził go. Chciał już służyć wyjaśnieniami. Ubiegł go Drąg.

- Racja!! - palnął się w czoło radośnie. Rozwarł ramiona w kierunku Adama. - Jak mogłem zapomnieć! Przecież w waszych aktach personalnych jest czarno na białym. Jakże pięknie nawiązał kolega do tradycji rodzinnych! Wasi krewni osobiście brali udział w walce z Falangą! Ależ to wspaniały materiał do audycji, kochany kolego! Że też dopiero teraz! Cóż za skromność! - spojrzał na Adama, jakby go pierwszy raz zobaczył.

A naczelnym zsunął się w fotel jak kłoda puszczone z prądem rzeki. - Zaszczyt to dla

nas... - wybąkał niepewnie. Wzrastały w nim wątpliwości, czy sytuacja spowoduje wzmocnienie jego pozycji służbowej czy też zachwianie, z powodu chociażby tamtej sprawy z chitynowymi skrzydłami. Wtedy zbagatelizował szczegóły w ankiecie personalnej tego szczeniaka. Chytry milczek, inny chwaliłby się na prawo i lewo. Ciekawe, co jeszcze trzyma w zanadrzu. Szybkim ruchem zgarnął gazetę z kaszanką do kosza. Zastukał ołówkiem w blat biurka.

- W sprawie formalnej koledzy. Proszę! Jak sędzę, koledzy domyślili się, że nasze zebranie przeniosłem do mojego gabinetu celowo, żeby dać wam do zrozumienia, że tę sprawę z nagraniem w porcie uważam za bzdurę. Opiekun Muka przesolił, nie od dziś zresztą ma takie tendencje. Proponuję, żeby ukarać go dodatkowo potrąceniem premii półrocznej, tak jak i obecnego tu kolegę technika.

- Jak? - ocknął się z ogólnej euforii Makary. - A miała być kwartalna!

Naczelny zacisnął szczęki. - Sędzę, że oprócz półrocznej, opodatkujecie się jeszcze spontanicznie na rzecz walki ze stonką ziemniaczaną, Makary?

- Ja? - zapytał Makary.

- To piękny gest z waszej strony. Dziękuję wam!

- Proszę - rzekł Makary i odbiło mu się.

- Przepraszam - wtrącił się kierownik Drąg. - Będę chyba wyrazicielem całego gremium, jeżeli powiem, że my wszyscy zadeklarujemy składkę i wezwiemy do współzawodnictwa inne redakcje.

- Pan kierownik da przykład i zadeklaruje najwyższą sumę - powiedział Robert zza gazety. - Stonka wyżera kartofle przede wszystkim inteligencji.

- Oczywiście - przyznał Drąg - oczywiście...

Technik Makary nagle zbladł, zwarł kolana. Dało się zauważyć, że coś w nim dojrzewa. Szepnął przeraźliwie: - ...proszę wybaczyć panie redaktorze... dostałem sraczki...

Szybko opuścił gabinet bez wyraźnego pozwolenia.

Ważniejsze sprawy przesłoniły ten niuans.

- Ja osobiście chciałbym z kolegą nagrać wywiad - ruszył do ataku Drąg, korzystając ze sprzyjającego obrotu sprawy. - Czy nadal utrzymujecie kontakt ze swoją bohaterską rodziną w Hiszpanii?

- Owszem - powiedział prawdę Adam. - Żona koresponduje.

Naczelny nie chciał wypuścić z rąk inicjatywy: - A co tam porabiają teraz? Jak żyją?

- Hodują szczury.

- No jakże to? - uśmiechnął się wstydliwie Drąg. - Nasz drogi kolega zawsze żartuje.

Nawet krewnych nie oszczędzi!

- Serio mówię. Szczury teraz hodują.

Huknął familiarnie naczelny: - A co mieliby robić! W kraju czarnych koszul trudno dziś żyć normalnie ludziom postępu. Nie mogliby do nas przyjechać?

- U nas lepiej by im się opłacała deratyzacja - Robert na to.

- Bałwan - zmiłgował go Drąg, ale raczej na odczepnego, bo faktycznie brylował tylko w stronę Adama.

To samo zresztą można było powiedzieć o naczelnym, z ojcowiska tubalnym. Obaj oni bez żenady polizywali Adama śmieszkami, stroili miny obleśnie pogodne.

A Robert? Już drugi raz wytrzymał próbę. Zajął się prasą. Adam rzekł głośno:

- Moi krewni byli przemytnikami.

- Jak proszę? - zapytał grzecznie Drąg.

- Śmierdzący przemytnicy oni są.

- Wolnego, wolnego, proszę kolegi! - zażegnywał naczelny coraz wyraźniej zniecierpliwiony. - Czemu znów wypaczacie?

- A po czyjej stronie stali? - dopytywał się Drąg, dobroduszny wciąż, ciepły i okrągły.

- Na czyją korzyść przemycali?

- Republikanów, bo było bliżej - wyjaśnił Adam.

- No proszę! - upierał się naczelny.

- Broń przemycali, amunicję... - uzupełniał sympatycznie Drąg.

- Nie - ciągnął twardo Adam. - Kielbasy, schab, główiznę, jak to rzeźnicy...

Drąg zakołysał głową: - Żywność na froncie to jak amunicja!

Adam spojrział mu prosto w oczy: - Czy rzeźnik pułkowy na froncie to bojownik czy ubojownik?

- Ciszej!! - Drąg w przypływie paniki zatkał sobie uszy.

- Stulcie no... - naczelny zreflektował się jednak. - Nic, nic...

- Ja pytam pod kątem moich krewnych - Adam dalej otwarcie.

- Pytać możecie, ale czemu tak szczegółowo?

- Wróćmy do tematu. - Naczelny szybko zapalił papierosa, zaciągnął się, palce nieco mu drżały. - Tę taśmę z nagraniem portowców przesłuchamy sobie jeszcze raz w spokoju i przedyskutujemy, może coś da się z tego wykroić.

- Chciałbym jednak prosić o odpowiedź na moje pytanie...

- Kolego, nie bądźcie dzieckiem! - znów naczelny.

- Chwileczkę! - Drąg uniósł obie ręce jakby uciszał żywioły. - Spokojnie! Musimy

sobie coś wytłumaczyć.

- Chodzi mi tylko o prawdę - wtrącił Adam.

- Zaraz, nie przerywajcie.

- No... - naczelny z pasją zgniótł papierosa w popielniczce. Robert uśmiechnięty zagadkowo czytał gazetę.

- Otóż to - ciągnął Draż - wszyscy trzej jak nas tu widzicie jesteście wam ze wszech miar życzliwi, lubimy was - przyznał z zimnym błyskiem zębów. - Pomożemy wam wydobyć się z waszych kompleksów - bo to chyba rodzaj kompleksu, że musicie zohydzić każdą sprawę - ale i chcemy coś w zamian...

Adam milczał. Wolałby w tej chwili topić się powoli i o ciężale w przejrzystej wodzie jeziora, położyć się na piaszczystym dnie i zasnąć.

- ...Chodzi o to, żebyście byli z nami całkowicie szczerzy i w tym właśnie punkcie nasze i wasze oczekiwania spotykają się, nieprawdaż?

- Nie mam nic do ukrywania - zgodził się Adam. - Przed nikim - dodał.

- No bez przesady - rzekł naczelny - chciałem właśnie prosić żebyście na ten temat, co tu powiedzieliśmy sobie, ani słowa.

- Rozumiem, już się nie odezwę. - Adam nabierał szacunku do swoich rozmówców o gumowych językach. Następnie wpadł w zadumę, zagapił się w stęchlą muchę na parapecie.

Naczelny podrapał się w głowę: - Też nie o to chodzi... Musimy dogadać się, młody kolego, i to najlepiej teraz, od razu. My puścimy w niepamięć wasze ekstrawagancje, a wy nam odplaciecie zaufaniem. Więc...

Draż wszedł mu w słowo: - ...Bowiem mimo wszystko wierzymy w was całkowicie.

Naczelny szarpnął kołnierzyk, ale nie udało mu się wyłuskać guzika z ciasnej dziurki. - Trzeba kończyć, grajmy w otwarte karty - rzekł miękko. - Zostaliście przyjęci do instytucji, gdzie mogą pracować tylko pewni, oddani sprawie ludzie. Jesteście widocznie jednym z takich, skoro tu jesteście. Świadczą o tym też wasze powiązania rodzinne. To wiem, ale czemu pozwalacie sobie na różne wyskoki? Jak to się dzieje? Ja muszę mieć odpowiedź na to pytanie i wy to musicie, kolego Adamie, zrozumieć.

Draż kiwnął głową z powagą smutnego pajaca, Robert zrobił to z miną błazna wśród pajaców.

Naczelny zawahał się chwilę, pospacerował wzdłuż gabinetu pełnego dyrektorskich atrybutów, po czym w półobrocie zatrzymał swoje duże, wodniste ciało przed Adamem i bardzo lirycznie, ciepło bardzo zajrzał mu w oczy.

- Kolego Adamie... nasz młody kochany kolego... chciałbym was prosić żebyście

sami... po co mają ludzie snuć domysły... na dowód, że macie do nas w tym pokoju całkowite zaufanie... powiedzcie otwarcie: Kto za wami stoi?

Adam oderwał wzrok od zdechłej muchy na parapecie i obejrzał się z wolna w stronę naczelnego. Wytrzymał długą pauzę, żeby mieć czas na wypłynięcie z rozslonecznionego jeziora aż na brzeg porośnięty krzakami jałowca, a dalej lasem pachnącym grzybnią i wszystkim innym co niepodobne było do odoru gabinetu naczelnego.

Uświadomiwszy sobie sens pytania zapragnął nieodparcie wymazać z pola widzenia wszystkie kontury, które nie przypominały tamtego obrazu. Powiedział więc z siłą, lecz po cichu, wpijając tkliwy wzrok w naczelnego:

- Panie redaktorze naczelny... skończmy w końcu z tą obłudą! Kiedyś musimy powiedzieć ludziom prawdę... To pan! To przecież pan sam mnie chroni! Tato!... Na pamięć matki, którą uwiodłeś w stogu, dziękuję ci!... - zakończył wzruszony, skłonił się trzem mężczyznom o otwartych ustach i wyszedł.

Szedł korytarzem lekki i dostoyny dostojeństwem dobrze spełnionego obowiązku. Szedł sobie dalej prosto przed siebie - czyli nad morze.

Na ulicy otrzymał silny cios w plecy. To Robert, zdyszany, rozpromieniony wreszcie go dopadł: - Człowieku! Stary nabrał pewności, że stoi za tobą ktoś, kogo nie śmiał nawet o to podejrzewać. A może ma rację? - przyjrzał mu się spod przymkniętej powieki.

- Może...

- Jazda! Zapraszam cię do schronu!

Skręcili w ulicę słynącą z najgorszej spelunki w ruinach pałacu byłego przemysłowca. Tam przebywali do wczesnych godzin rannych. To znaczy do chwili, gdy Adam nie był już w stanie wybełkotać nic więcej prócz dwóch imion, na przemian ciągle w kółko i na przemian: Mercedes, Agata, Agata, Mercedes.

Kwadratura trójkąta

Wiosną wiatr przynosi zapach nadziei, ten wiatr jednakże targający drzwiami za oknem nie budził w Adamie żadnych dobrych skojarzeń.

Późnokwietniowa noc tłukła w parapety deszczem, szumiała w konarach pokrytych zaledwie drobnymi pąkami, wyła w olinowaniu anten radiowych na dachach.

Światło lampy na stoliku obok tapczanu denerwowało go swoim nieregularnym napięciem. Raz przygasało, raz znów raziło w oczy, odbite od stron czytanej książki. Ze złością rzucił ją na podłogę, zgasił lampę i leżąc na wznak z rękami podłożonymi pod głowę - próbował zasnąć.

Gdzieś tam w końcu korytarza, oddzielona amfiladą kilku pokoi - spała już prawdopodobnie Z. a obok niej Mercedes. Jej bliskość chłonał intensywnie. Z. była mu natomiast przyjemnie obojętna, przyjemnie, bo odczuwał satysfakcję z własnej decyzji sprowadzenia jej tutaj i zapewnienia względnej egzystencji w na pozór normalnie prosperującym stadle. Gwarantował jej także swoją osobą wystarczającą porcję doznań w sferze psychicznej, pozwalając snuć domysły na temat własnych pozamałżeńskich wybryków. Nigdy nie był pewien, czy ta pasja śledcza sprawiała jej ból czy masochistyczną przyjemność. Jak dotąd nie wytropiła ani śladu jego zdrady - chociażby z tej przyczyny, iż dotychczas jej nie popełnił. Od dość dawna przestał zabiegać o nawiązanie z Z. jakichkolwiek bliższych kontaktów.

Wychodził z domu i wracał o różnych porach dnia i nocy bez słowa wytłumaczenia. Często nie mógł się powstrzymać od dawania Z. do zrozumienia, iż jego znikanie nie zawsze bywa spowodowane nawałem pracy. Ba, odczuwał przyjemność, kiedy Z. z miną wyżła zaczynała niepostrzeżenie odprawiać swój rytuał dochodzeniowy. Ta przyjemność, obojętność do Z. i miłość do Mercedes - stanowiły nękającą i zarazem trudną do odrzucenia mieszankę. Przed snem wołał jednak nad nią się nie zastanawiać, kierując raczej myśli ku krainie dzieciństwa. Miało to tę dobrą stronę, że wprawdzie również nie dawało ukojenia - a nawet powodowało tęsknotę za światem żab, chrząszczy, poranków pełnych słodczy, dobrotliwych twarzy krewnych - lecz za to pozwalało szybciej usnąć, bo wyliczanie w

pamięci tyłu szczęście zużyło.

Owego wieczora, a raczej nocy zawiodła i ta metoda. Przewracał się z boku na bok, wsłuchiwał w płacz wiatru za oknem, w bębnienie deszczu. Tak przemęczył się czas dłuższy. Wreszcie zapadł w drętwotę, która owinęła go ciasno pólsem przetykanym koszmarami.

Pełzał przez zapowietrzone czeluście, uciekał przed drapieżnikami o twarzach pocziwych niegdyś ciotek, wypadł skutecznie z gondoli balonu unoszącego się nad grzędzawiskami, przyjmował defiladę lilipucich oddziałów opiekunów personalnych - mrowie czwórek o twarzach Muki zataczało wokół niego coraz mniejsze i mniejsze kręgi, aż spiralą owinęły mu stopy, przewrócił się przebity szpilami fosforyzujących oczu małych bojowników, jakaś postać przylgnęła do jego pleców dotykiem aksamitnego kota, uciekł przed nią na drzewo, zamienił się w ptaka - opadał lotem nurkowym ku ziemi, paniczny strach przed zetknięciem się ze skałą... wbił się w nią jak w puch... brodził w zielonej mgłę, jakiś podmuch wyniósł go na górę żelastwa, rękę powoli wkręcały mu tryby maszyny... Wyszarpnąć się! wyrwać! uciec!!

Ocknął się w panice hipnotyzowany czyjąś obecnością... Zapach był pierwszym uzmysłowionym doznaniem na jawie, drugim - strach przed jego zgubieniem.

Zerwał się z pościeli, sięgnął po zegarek. Godzina wczesna, lecz nie na tyle, żeby pozostać w łóżku. Do pracy chciał zdążyć punktualnie jak zwykle... Aha, niedziela. Jakiś nieuchwytny niepokój zmusił go jednak do wstania, trawiło go wielkie pragnienie, gardło miało suche, wargi spieczone, rzadko mu się to zdarzało, zwykle przed chorobą.

Poszedł do kuchni, napił się wody z kranu. Lekki, ledwo uchwytny, lecz przyjemny zapach błakał się wszędzie, towarzyszył każdemu ruchowi rąk, pachniało powietrze wokół głowy.

Dopiero po wypiciu następnego haustu wody poczuł się lepiej. Wrócił do łóżka, położył się i leżał uspokojony nieco ze wzrokiem wbitym w sufit.

Usłyszał kroki na korytarzu. Udał, że śpi.

Po cichu weszła Z. z Mercedes na rękę. Widział je nad sobą przez niedomknięte powieki. Z. przysiadła na jego łóżku.

- Śpisz? - zapytała ciekawie.

Nie chciało mu się odpowiadać. Dziwne zmęczenie powróciło. I niepokój. Z. pochylała się nad nim, dotknęła niemal nosem jego czoła. Dał się słyszeć nieznaczny odgłos obwąchiwania. Normalny rytuał. Długie włosy Z. opadły na jego twarz, łaskotały. Doznał od dawna już nie odczuwanego podniecenia.

Zapłakała Mercedes. Obudziła się w nim tkliwość do kochanej istoty. Przyjemne

uczucie bliskości. I... o dziwo także do matki jego dziecka. Nie umiał znaleźć w sobie miejsca dla tego nowego stanu.

Z. zeszywniała nagle, przestała węszyć, wyprostowała się. Spod rozchyłonego szlafroka błysnęła jej kształtna śniada pierś.

- Śpisz! - znów zapytała, tym razem z rozdrażnieniem w głosie. - Przecież ty nie śpisz.

- Nie śpię.

- Więc czemu udajesz? Wolisz, żebym sobie poszła?

- Nie - powiedział miękko. - Usiądź...

Ale Z. nienastrojona z natury rzeczy na nutę intymności nie zwróciła uwagi na jego propozycję - skoncentrowana na czymś zupełnie innym. Wobec tego on uniósł się z poduszki i oparł brodę o jej ramię. Nie tyle w celu dotknięcia jej ciała, ile dla odnalezienia źródła zapachu, który go od dłuższej chwili intrygował.

Pociągnął z lekka nosem. Niemożliwe! Powąchał jeszcze raz. Nie. To nie był ten zapach, który otaczał go po przebudzeniu. Z. pachniała zupełnie inaczej. Właściwie niczym, może tylko materiał szlafroka wydierał chemiczną woń proszku do prania.

Opadł z powrotem na poduszkę.

Z. przyciskając kurczowo zasypiającą Mercedes, patrzyła tępo przed siebie. Powiedziała ze źle ukrywaną obojętnością:

- Wychodziłeś z domu nad ranem?

- Nigdzie nie wychodziłem.

- Na pewno nie?

- Nie.

- Proszę cię, raz powiedz mi prawdę, jedyny raz! - zachłysnęła się szlochem.

- Mówię prawdę, nigdzie nie wychodziłem z domu. Ani wieczorem, ani w nocy, ani nad ranem, ani rano. Co jeszcze? - irytował się.

- Przysięgnij... - przysięgnij na świętą Letycję Nazareno! Nie! Ty nie znasz naszych świętych. Przysięgnij na kogoś kogo, znasz najlepiej.

- Przysięgam na ciebie.

- Na mnie?

- Na ciebie.

- A więc jesteś krzywoprzysięzcą! - załkała z satysfakcją. Łzy płynęły ciurkiem po jej pięknych śniadych policzkach. Potrząsała bezwiednie zasypiającą Mercedes. - Kłamiesz! Nie ma dla ciebie świętości! Gdyby byli tu moi bracia, zabiliby cię! Pomściliby mnie!

- Dlaczego mówisz, że kłamie? To jest absolutna prawda - cedził przez zęby ze

spokojem.

- Słyszałam wyraźnie.

- Co słyszałaś?

- Przekręcanie klucza w zamku w nocy i zamykanie drzwi wyjściowych nad ranem.

Poszedłeś gdzieś i wróciłeś.

Przebiegł go dreszcz. Opanował się mozolnie.

- A poza tym... - wstała i chodząc po pokoju rytmicznie kołysała małą.

- Co poza tym? - przyglądał się jej z rosnącym znów niepokojem.

Zatrzymała się. Twarz umęczonej dziewczynki, wargi przygryzione w histerycznym grymasie, poruszała nimi z trudem. - Powiedz... no raz wreszcie powiedz prawdę, przyznaj się. Ja już dłużej nie wytrzymam niepewności. Mnie węch nie myli.

Uklękła przed jego łóżkiem.

- Zlituj się! Zmiłuj nade mną i nad dzieckiem... Bo jeżeli nie... to ja... Powiedz, że tak, że byłeś...!

- Dosyć! - wyskoczył z łóżka, chwycił Mercedes, pobiegł z nią w głąb mieszkania. Z. czepiając się mebli i ścian dla utrzymania równowagi, biegła za nimi.

- Adam! Dokąd?! Wróć! Co chcesz zrobić? Litości! Ratunku! San Jacinto! Już więcej nie będę! San Jacinto!

Była w swoim żywiole. Doczekała się autentycznego konfliktu i pełnej dramaturgii. Tylko puenty ciągle brakowało.

Dobrnęła wreszcie w drugi koniec mieszkania, gdzie on schylony nad posłaniem Mercedes - rozbudzonej, gaworzącej i roześmianej - podsyczał jej dobry humor przy pomocy grzechotki.

Kiedy Z. spostrzegła, że Mercedes nic nie grozi, znów popuściła sobie cugli.

- Tylko nie milcz! I nie kłam! Chodzi mi o prawdę! Powiedz, kto to jest! Błagam cię, powiedz, powieeeeedz!

Uśmiechnął się z wściekłością: - Dobrze, powiem! Jest piękna, mądra, czysta jak łza, naturalna do absurdu i odważna do bohaterstwa! - rozpędzał się we wściekłej szczerości. - Kocham ją, kocham ją do dna świadomości i nigdy nie przestanę kochać... Na imię ma... - tu zakrztusił się z wściekłego wzruszenia - ...na imię ma Agata! Wystarczy?

- Łiesz! - syknęła. - Łiesz, żeby mnie uspokoić. Wymyśliłeś to wszystko w tej chwili! Nie masz dla mnie ani odrobiny litości! To podłe, niskie i obrzydliwe! Brzydzę się tobą! Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj! - jęczała choć on był już na korytarzu i kierował się w bezpieczną stronę swojego pokoju. Z daleka usłyszał jeszcze jej szloch.

Rzucił się twarzą w pościel, chciał zebrać myśli. I nieoczekiwanie owionął go znów ten zapach. Poduszka była nim przesiąknięta.

Skoczył na równe nogi. Ubrał się.

W jednym miejscu chodnik był lekko wilgotny i leżało kilka grudek błota...

Jak to się stało, że nie usłyszał?

Agato! Agato! Dotykałaś mnie, byłaś tu, oddychałaś tym samym tlenem, leżałaś przy mnie, moja najczystsza dziewczyno z deszczu! Nie wstydził się banału swoich myśli, wszedł w ten banal z rozkoszą romansowego neofity, cieszyły go błyszczące nowością odkrycia własnej wyobraźni wyolbrzymionej nieznanym dotąd uczuciem, które pęczniało tym silniej, im dłużej tłumił je w sobie przez dni i noce braku nadziei na znak życia od Agaty.

Czym wytłumaczyć jej nocną wizytę? Może potrzebowała pomocy? Rady? Bo nie śmiał nawet przypuszczać, że sprowadziła ją podobna tęsknota. Może zdecydowała się na odwiedzinę pod wpływem chwili słabości, ot, tak sobie dla spędzenia czasu z życzliwym człowiekiem, porozmawiać zamierzała na tematy różne?... Z ojcem jakieś nowe kłopoty? Lub z tym enigmatycznym kimś... zwanym mężem?

Uklucie w serce, dławienie w gardle jeszcze bardziej bolesne, korowód wyobrażeń objijający się o czaszkę z siłą młota, mdły ból dwunastnicy, jakieś szarpnięcia w podbrzuszu...

Więc tak jawi się zazdrość? - rozumował dwutorowo. Z mściwą satysfakcją brał siebie na warsztat jak chłop bierze między nogi koguta by wyrwać pióro po piórze z szyi, a po oskubaniu urwać mu łeb.

Ciekawość podglądała ból. Zabieg ten wprowadził go w stan rozedrgania. Miotał się po klatce pokoju. Uciec, zostać, rozbić coś, podrzeć na strzępy, krzyczeć. Zastygł wreszcie i milczał. Jak rozwrzeszczane może być własne milczenie. Do pawiego ogona uczuć dołączył jeszcze jedno: żal nad sobą. Co on tu robi w tej dusznej atmosferze rodzinnych pieleszy, on, postępowy inteligent pełen bolesnej poezji? Uciekać!

Ani szloch Z., ani nawet płacz Mercedes nie byłby w stanie zatrzymać go w tym momencie.

Biegł ulicą. Niedzielną pustką poranka odbijała kroki pustym echem. Transparenty na rusztowaniach nowo wznoszonych domów głosiły chwałę pogody i radości człowieka postępu. Mijał je w niemej aprobacie dla mistycyzmu autorów.

Jasne, biegł nad morze. W kim mógł znaleźć lepszego powiernika, niż w płynnym molochu. Tam też chciał odszukać na piasku ślady stóp Agaty.

Długo biegł, zgrzał się, zmęczył, chciał się zmęczyć, zagłuszyć rozpacz, tęsknotę, wszystko co do zagłuszenia miał po tej nocy niespełnionej. Słońce wyszło zza chmur i

dogrzewało ostro, jakby chciało mu pomóc w pokonaniu ciała. Nie dość tego. Żeby jeszcze bardziej wyczerpać siły - dobiegłszy już do pokrytych laskami terenów przybrzeżnych - zaczął kluczyć, kłusować zygzakami, koziołkował na ścieżkach piaskowych, wstawał, dyszał, biegł dalej. Wracały obrazy harcerskich igraszek potęgujących hart i cnotę cierpliwości, tak mu w tej chwili potrzebna. Zagrzany do czynu wpadał w wądoły, zrywał się mylił ślady za sobą z roztropnością ćwika - którym to stopniem szczycił się przed niewielu laty - stapał z lekkością sarny, krył się po lisieju, nasłuchiwał jak zajac - nikt nie zdołałby spostrzec, którędy wiódł jego szlak.

W pewnym momencie na skraju zagajnika zobaczył mały, biały punkt przypominający figurkę w długiej sukni. Przystanął, żeby przyjrzeć się lepiej dziewczynce, gdyż była to dziewczynka, biegła mu na przeciw coraz lepiej widoczna, z małym kotkiem na ręku i wiankiem kwiatów na rozpuszczonych włosach. Bił od nich promień, wabił tajemniczym blaskiem, więc Adam bez namysłu ruszył na spotkanie, nim jednak ubiegł parę kroków, dziewczynkę zakryło jakieś zielsko, a kiedy je wyminął, biała postać nie pojawiła się więcej, wsiąkała w zieleń bez śladu.

Jak tchnienie wiatru musnęła go lekka tęsknota za czymś nieokreślonym i wygasła raptownie. Biegł dalej lżejszy niż przedtem, bogatszy o świadomość przebytego zdziwienia.

Niech będzie błogosławiona pamięć chłopięcych lat. Ona zdolna jest odżegnać najgorsze cierpienia dorosłego. Dorosłego? Nigdy nie czuł się dorosłym i długo jeszcze nie zazna fałszywości przynależnej temu statusowi. Tak postanowił. Czyż jest coś bardziej rozkosznego niż ucieczka dorosłego od dorosłości ku chaszczom i wykrotom?

Nawet nie spostrzegł, kiedy jego myśli oddaliły się na bezpieczną odległość od udręki. Zbawienne zmęczenie. Dopiero gdy w zasięgu wzroku zamajaczyły wydmy - nagły skurcz żołądka dał znać, że w pamięci znów pojawiła się Agata.

Jeszcze chwila, kilkadziesiąt metrów - przedrzeć się przez krzaki i ujrzyć jej ślady na piasku. A może zasypał je wiatr? Deszcze padały - mogły rozmyć. To nic, niech rozwiało, niech rozmyło - ważne są fluidy, które unoszą się nad tym miejscem pamiętnym, gdzie najsilniej poczuł zapach jej ciała. Ten sam co dziś na poduszce. Jak mógł nie rozpoznać go przez sen!

Fluidy nie giną, podobnie jak nie giną w eterze wypowiedziane słowa, dźwięki i szmery, ktoś to już udowodnił, a jeśli nie, to powinien. Fizyka w służbie miłości. Czepiał się każdego pozoru byle nie stracić nadziei na odnalezienie śladów... Za tą ścianą krzaków, w zasłoniętej od wiatru kotlinie wydmowej... tam na pewno...

Ktoś mu nagle od tyłu zasłonił dłońmi oczy...

- Kto to?! - głos mu się załamał nadzieją. - Ktooo!??

Zamiast odpowiedzi - podcięcie nóg, krzyk.

Obezwładniono go błyskawicznie. Stał z rękami związanymi na plecach naprzeciw krzaków, w których roilo się od postaci w mundurach strażackich, celnych, junackich, straży kolejowych, dozoru mienia fabrycznego, a nawet - co go jeszcze bardziej zaniepokoiło - w szarych surdutach masztalerzy podmiejskiej stadniny ogierów.

Jakiś celnik krzyczał na kolejarza, ten na masztalerza, masztalerz na Adama. Zadawali mu pytania, których sensu nie potrafił pojąć ogłuszony zdumieniem. Bieganina wokół niego z tępymi przedmiotami gotowymi do ciosu, tu i ówdzie błysnął nóż. Wreszcie po krótkiej naradzie zaprowadzono go do kogoś ważniejszego. Ten leżał w złotym hełmie strażackim okopany w piasku tuż nad wodą i lornetował morską dal.

Dopiero teraz - kiedy wiatr od morza owiał mu twarz - Adam zdołał opanować nieco panikę i zdumienie. Pozwoliło mu to uważniej rozejrzeć się, dotąd bowiem widział wszystko jak przez mgłę.

Kilkadziesiąt metrów w prawo i w lewo leżała na usypanych szańcach pstra tyraliera mężczyzn. Z żółtobiałym tłem piasku kontrastowały pięknie plamy ubrań granatowych, ciemnozielonych, szarych. Z wydmowych zarośli sterczały tu i ówdzie lufy sikawek.

Nad szumem morza dominował daleki tenor silników. Prawdopodobnie były to kutry i motorówki, bo ich czarne sylwetki od czasu do czasu wyskakiwały nad zwały wody i piany. Przemierzały zygzakiem akwen przybrzeżny.

Wszystko to zrobiło na Adamie wrażenie odrealnionego widowiska. Trzymany pod pachy przez dwóch kolejarzy w czapkach nasuniętych na oczy z dużymi Francuzami zatkniętymi za pasy - stał przed leżącym strażakiem i uśmiechał się z zażenowaniem. Strażak odjął lornetkę od oczu, wstał z piachu, otrzepał ogniodporną kamizelkę, pozaciągał wszystkie sprzączki, które posiadał na sobie i spostrzegłszy grymas uśmiechu na twarzy Adama, nastroił do granic swoje bezwąse oblicze chłopca o za dużym nosie i cofniętym zgryzie.

Musiał kiedyś słyszeć, że śmiech jest skuteczną bronią, więc nie chcąc pozostać bezbronnym wobec uzbrojonego typu szybko sięgnął po toporek, lecz zatrask skórzanej pochwy zaciął się - może ziarenka piasku - mocował się chwilę, wreszcie zrezygnował, markując to przesunięciem toporka bardziej na brzuch, w pogotowie.

- Wy kto? - szczerknął przez nos.

- Podkraść się pod stanowisko naszej drużyny - zameldowali ochoczo kolejarze-

podtrzymywacze Adama. - Może był w zмовie z tamtymi...

- Dokumenty! - Strażak poglądził pochwę, a małym palcem usiłował niepostrzeżenie podważyć uparty zatrzask.

Co się zdarzy, jak wreszcie puści? - pomyślał Adam. Wzbogacony o doświadczenia z opiekunem personalnym Muką zdążył się już przekonać, iż wszelkie niewinne figle osoby urzędowej zobligowanej własną urzędowością nie muszą koniecznie kończyć się równie śmiesznie, jak się zaczęły. Postanowił uprzedzić bieg wypadków. Starając się zmodulować głos tak, by zabrzmiał możliwie najgłębszym basem, rzekł:

- Jestem ze służby specjalnej Polskiego Radia.

- ...polskiego radia? - powtórzył jak echo strażnik i natychmiast przestał gmerać palcem przy pochwie. - Aha... radia? Musimy sprawdzić - niezdecydowanie zsunął hełm z czoła.

Jeden z kolejarzy sięgnął ostrożnie do kieszeni Adama, wyjął portfel i oddał go strażnikowi. Ten sprawdził legitymację, zamknął ją starannie i oddał Adamowi.

- Bardzo przepraszamy, obywatelu redaktorze, ale w takiej chwili... różnie może się zdarzyć. Starszy wodomistrz... epcki - przedstawił się.

- Jestem zorientowany - odparł Adam z daleko posuniętą poufnością, rozcierając sobie przeguby uwolnionych rąk. - Ładna akcja, bardzo dobrze prowadzona - dodał przychylnie.

- Tak jest! Staramy się - przyjazny grymas pojawił się pod nosem kierownika odcinka.
- Dywersanci daleko nie odpłyną!

- Kanalie - oburzył się Adam.

- Tak jest! Zaplute karły reakcji.

- O to chodzi...

Chłopak w złotym hełmie z kogucim grzebieniem pokraśniał. - Odośne uświadczenie mam w małym palcu, o! - pokazał krytyczny palec i nagle zreflektował się. Szybko schował rękę do kieszeni.

- Obywatelu wodomistrz, rakiet! - krzyknęli chórem dwaj opiekunowie Adama czekający w pewnym oddaleniu na dalsze polecenia. Byli do siebie łudzaco podobni, wykonywali nawet podobne ruchy.

Wszyscy spojrzeli w kierunku morza. Nad horyzontem szybowała kula koloru białego.

- Mają ich! - rzekł radośnie zawiadowca odcinka plażowego, tym radośniej, iż mógł zaprezentować się przed wysłannikiem organu radiowego jako dobrze działające kółko w dobrze działającym mechanizmie.

- Niech no przybiją do brzegu! Obywatel redaktor będzie miał temat do audycji... -

Nie czekając na replikę Adama, ryknął na pokaz:

- Do mnie!

Na kolejarzach nie zrobiło to żadnego wrażenia. Jednak widocznie coś musiało ich tknąć, bo nagle podbiegli, wzniesając tuman piachu.

- Tak jest! - odrzyknęli dwugłosem, starając się dorównać swemu szefowi w popisywaniu się przed gościem.

- Wy! - zwrócił się do pierwszego. - Zająć moje stanowisko, obserwować teren wodny do czasu zakończenia akcji. Wy! - wskazał na jego towarzysza - odmaszerować do swoich zadań!

- Tak jest! - odezwał się znów dwugłos. - A nie moglibym razem?

- Czego? - strażnikowi zadrgał wściekle głos.

- Tak jest! - chór dwóch kolejarzy nieco ścichł.

- Obywatelu redaktorze, zapraszam na moje stanowisko bojowe.

- Chętnie skorzystam, wodomistrzu. Dziękuję w imieniu służby. - Odgrywanie roli zalegalizowanego nagle obserwatora sprawiło Adamowi nieznaną dotąd rozkosz. Mały, wyszczerzony symptom poczucia władzy, okrucuch zaledwie, ale jednak.

Idąc w kierunku nadmorskiego zagajnika - z tym obcym jeszcze nierozszyfrowanym osobnikiem - kalkulował z ostrożnością, jakby tu zebrać możliwie dużo wiadomości dotyczących niecodziennej akcji, co pozwoliłoby mu zasilić swój mit tajemniczości w oczach Drağa i naczelnego.

Już sam fakt, że znalazł się w oku cyklonu, sytuował go w pozycji korzystnej. To, że trafił tu przypadkowo stanowiło jego tajemnicę. Byłby ostatnim durniem, gdyby ją komukolwiek odsłonił. Napisze w swoim raporcie - jeżeli zajdzie taka potrzeba, a niewątpliwie zajdzie, bo afera z dywersantami miała zbyt wielką wagę - iż dziennikarska czujność podszeptała mu, by udać się nad morze i wszystko dokładnie zbadać i ponotować.

Z drugiej jednak strony prywatna świadomość sygnalizowała, iż żyje w czasach kiedy rak błędów i wypaczeń zżera logikę z radosnym apetytem - przeto sprawa mogła obrać kierunek zgoła odwrotny, a mianowicie:

Już sam fakt, że znalazł się w oku cyklonu sytuował go w pozycji fatalnej. To, że trafił tu przypadkowo stanowiło wprawdzie jego tajemnicę, lecz byłby ostatnim durniem, gdyby od razu po przyjsciu do pracy nie ujawnił naczelnemu, kto z nazwiska i imienia kazał mu podpatrzyć całą akcję, kiedy spotkał się z tym inspiratorem i za ile zgodził się pracować dla obcego wywiadu. Innej alternatywy być nie mogło, a wymawianie się czujnością dziennikarską wprowadziłoby tylko w dobry humor ewentualne organa, wpływając w

rezultacie na wyższy wymiar kary.

Z tych względów właśnie każdy krok Adama - idącego z sympatycznym wodomistrzem na jego placówkę - wyznaczał ścieżkę strachu. Nagły jego przypływ mroził członki, choć słońce w dalszym ciągu pięknie grzało nasady bosaków, siekierki, złote hełmy strażackie błyskające pogodnie wśród krzaków, chaszczy i lasków. Żelazne poczucie bezpieczeństwa - pomyślał i ucieszył się, że w tej sytuacji potrafi jeszcze budować wesołe zdania.

Placówkę wodomistrza stanowił czerwony, mały, chyba z demobilu, samochód ciężarowy z blaszaną budą.

Stał między dwiema sosnami, które nieznacznie go maskowały. Wyposażenie wnętrza: przytwierdzony do podłogi stół, na nim polowy telefon, dwie ławy kryte czerwoną ceratą, na ściankach zwinięty w ślimak parciany wąż, kilof, siekiera. Gospodarz zaprosił do stołu. Siedli po przeciwnych stronach. Pachniało dżemem i onucami.

- Miło tu - przerwał milczenie Adam. - Papierosa?

- Niedużo palę, ale z takiej okazji...

Rozmowa nie kleiła się. Rówieśnik Adama czuł przed nim respekt. Człowiek z radia zjawiający się nieoczekiwanie w apogeum hermetycznej akcji mógł być z powodzeniem przedstawicielem kontroli bez reszty nastawionym na wyłapywanie najmniejszych przejawów niesubordynacji, skazeń moralnych, czy wręcz sprzyjania siłom wstecznym, antystrażackim.

Adam natomiast wyprężony wewnątrz jak struna musiał zmieścić się w swojej roli bez najmniejszych uchybień. Każdy błąd groził postawieniem go w stan oskarżenia. Tu już nie było żartów. Każde zadane pytanie mógł jego rozmówca odebrać jako chęć wyłudzenia tajemnicy, każde źle modulowane słowo gotowe było wpaść w ucho tamtego zgrzytem aluzji, kpina z gaszenia lub - o zgrozo! - nutą litości dla tropionych aktualnie renegatów pragnących uciec dokądś przez morze.

Palili papierosy, nie spuszczały się z oczu, szczyrzyli dyskretnie zęby. Bzyknęła wiosenna mucha, chrzęściło skórzane oporządzenie toporka.

- Mucha - przerwał znów milczenie Adam i na tym urwał, bo palce lewej ręki ścierpły mu ze strachu. Słowo to mogło oznaczać jakiś kryptonim względnie element szyfru. Każdy rzeczownik mógł być od dawna zarejestrowany i spełniać funkcję. Dla tych lub dla tamtych. No, jeżeli dla tamtych...

- Mucha! - ucieszył się rozmówca i też zamilkł.

Przeciw czemu on się tak ucieszył? Z punktu widzenia normalnego cywila - nie było z czego, natomiast jako członek specjalnej grupy do zwalczania obcych podpalaczy mógł mieć

swoje powody. Może doszukał się u Adama obcego akcentu? Wystarczy cień pozoru. Najbezpieczniejsze będą samogłoski lub słowa nieartykułowane.

- Mhm - potwierdził Adam.

- Otóż to - nie sprzeciwił się tamten, patrząc rozmówcy prosto w oczy.

Więc chyba nie jest najgorzej. Adam zdecydował się oderwać od niego wzrok i spojrzeć w okno. Dopiero teraz spostrzegł, że było okratowane. Wyrwało mu się:

- Ho, ho.

- Taaak - westchnął wodomistrz i zabębnił palcami w stół. Adam na wszelki wypadek liczył. Dwa... pauza. Sześć... pauza. Osiemnaście... pauza. Trzydzieści... Czterdzieści cztery...

Tamten przestał bębnić. Włożył rękę za pas, w drugiej trzymał papierosa. Zagwizdał szeptem, po prostu puszczał ustami powietrze. Przestał.

Dlaczego akurat czterdzieści i cztery razy zabębnił? Mistyk? Z toporem u pasa i węzem na ścianie? Może przypadek? W akcji nie ma przypadków. Może chce dać znać, że nie samym toporkiem i węzem żyje. Że głębia w nim, żal, wstyd, rozterki.

Adam też spróbował zabębnić palcami w stół. Dojechał do czterdziestu trzech, czterdzieście czwarte zaakcentował silniej, osobnym uderzeniem. Tak się złożyło, że akurat małym palcem prawej ręki. Popatrzył przy tym wodomistrzowi jeszcze głębiej w oczy, wymownie.

Ten uniół brwi, a później jakby sobie coś uprzytomnił, spuścił wzrok i zawstydził się, zaczerwienił, całkiem po cywilnemu.

Adam dopiero teraz uświadomił sobie, że niezamierzenie wywłókł sprawę palca, którym strażak nie mógł odpiąć zatrzaska pochwy. Zaprzagnął dać mu do zrozumienia, że nie o to chodzi.

- I tam - powiedział i uśmiechnął się ciepło. - He, he.

- He, he - odpowiedział tamten spode łba.

- He, he - znów Adam, jeszcze ciepłej.

- He, he - tamten już wprost i też ciepło.

- He, he, he - userdecznił Adam definitywnie.

Tak zadzierzgnęła się nić sympatii między dwoma ciężko przestraszonymi chłopakami, wkleszczonymi w żelazną dorosłość.

Siedzieli czas jakiś przyjaźnie milcząc. Palili ostro.

Raptem wodomistrz spojrział w okno ciężarówki.

- O! Są! - wskazał głową morską dal. Od horyzontu w kierunku lądu zbliżał się zanurzony w pianach kuter rybacki.

- Aha!

- Zaraz tu będą.

- No.

- Pójdziemy na brzeg! - zaproponował z chłopięcym podnieceniem.

- Mhm.

Ze schowka w kącie kabiny wyjął aparat fotograficzny, sprawdził jego gotowość, obciągnął bluzę, klepnął toporek w pochwie, jakby chciał udobruchać niefortunny zatrzask. Wyszli na plażę. Kuter zatrzymał się w niewielkim oddaleniu od brzegu. Spuszczono łódź. Zeskoczyło do niej kilku ludzi. Łódź napędzana wiosłami wzięła kurs na plażę.

Wodomistrz zaczął robić zdjęcia, jedno po drugim, łódź zbliżała się szybko. Dostrzec już można było na jej dnie siedzących dywersantów. Zza burt wystawały dwie głowy w grubych czapkach uszatkach. Pięciu innych ludzi z siekierami, gotowych do działania siedziało nieco wyżej, pewno na ławkach.

- Sukinsyny, podpalacze - powiedział rzeczowo wodomistrz. Żyły na jego szyi z lekka nabrzmiały. - Niech ja ich dorwę...

Nić sympatii związana przed chwilą między Adamem a jego rówieśnikiem naprężyla się jakby, brzdęknęła żałośnie.

Na plaży nie widać było żadnego ruchu. Wszyscy zajmowali swoje zamaskowane pozycje zgodnie z założeniami.

Stanęli tuż nad linią wody. Adamowi udzieliło się podniecenie tamtego. Drżał, zapiął pod szyją kurtkę, choć słońce grzało w plecy. Nigdy dotąd nie widział z bliska ani dywersanta, ani szpiega, ani gwarantowanego wroga - podpalacza w akcji, o których to wyrzutkach tyle się naczytał i nasłuchiwał na wykładach, w radio, w prasie. Nikt jednak nigdy nie wyjaśnił mu, czym żywi się rasowy dywersant, jaką nosi bieliznę, w co ubrany bywa na zewnątrz. Drogą dedukcji - na podstawie teoretycznych założeń - należało jedynie przyjąć iż gdy zajdzie konieczność typ ten spożywa mikrofilmy tajne dokumenty i mapy. Pod plugawą odzieżą o barwach ochronnych nosić powinien lekkie, nie krępujące ruchów pancerne kalesony i takież podkoszulek ze specjalnym schowkiem na cichostrzelny sprzęt. W obcasach sprężystego obuwia odpornego na nize, wyże i średnie atmosferyczne powinien posiadać mikropojemniki, skąd czerpać gotów do woli zasoby śmierzających walut, by szastać nimi w celu przekupywania mętów, bikiniarzy, hien podpalackich.

Wodomistrz zacisnął szczęki w oczekiwaniu na konkret. Adam - na skonkretyzowane wyobrażenie - toteż poprzestał na zaciśnięciu pięści w kieszeniach kurtki.

Łódź zaryła dziobem w piasek. Wyskoczyło kilku rybaków. Wycelowali ostry wzrok

w stronę dywersantów siedzących w dalszym ciągu na dnie łodzi. Któryś z rybaków krzyknął:
- Wylazić!

Dwie postacie zaczęły gramolić się powoli - z ociąganiem przekładali nogi przez burty łodzi, szło im to z trudem, bo ręce związane im na plecach, czapy nasunięto na oczy. Mieli grube kurty i także kufajkowe spodnie koloru brudnego, buty gumowe. Jeden z bandytów zawadził nogą o deskę łodzi i upadł na piasek, drugi starał się mu pomóc, lecz szarpnął tylko związanym ramieniem. Tamten podniósł się wreszcie i stał chwiejnie. Rybacy otaczali ich obu ze wszystkich stron.

Teraz wodomistrz powinien wykazać się swoją strażackością i nie wykazał się. Czemu? Wszyscy czekali na jego polecenie, a tu cisza grała w uszach pluskiem drobnej, przymilnej fali o żwir usłany muszelkami różnokolorowymi, meduza jakaś wachlowała welonim ciałem na granicy ziemi i wody tuż przy obcasie dywersanta - i nic, wszyscy stali kamieniem.

Adam gapił się na ten obcas, nie chcąc tak od razu spojrzeć w twarz wroga, za blisko stał, o cztery, pięć metrów od niego, zszedł z plakatu i stał tuż, oddech jego słyhać, dwa szybkie oddechy wytropionej zwierzyny, gadów, sprzedawczyków, podpalaczy ojczyzny, sprawiedliwej czy nie, ale ojczyzny, do diabła, jedynej na świecie ziemi, deptanej przez wrogów i przyjaciół, poniewieranej od wieków - tak myślał właśnie, wprost, choć po inteligencku. Wzruszenie i wściekłość przepływały przez niego jednym strumieniem - kiedy wlepił wzrok w ten obcas kanalii i nie mógł spojrzeć wyżej, a może nie chciał, żeby nie uwidocznili wściekłości na twarzy, bo nawet w tej chwili ośrodek kontrolny jego mózgu pracował gorliwie i nie pozwalał utożsamić się z wściekłością wodomistrza.

Spojrzał na niego i zdumiał się. Zamiast zaciętości - twarz strażaka wyrażała zakłopotanie. Nareszcie opamiętał się, rozkazał rozstąpić się rybakom, podszedł do dywersantów i dwoma lekkimi ruchami postrącał im czapy z głów.

Oczom zebranych ukazały się twarze szpiegów w całej wyrazistości. Były to twarze chłopców. Trzynasto-, czternastoletnich, dobrze wyrosniętych szczeniaków. Włosy mieli krótko przystrzyżone, co jeszcze dodawało dziecięcości ich wyglądowi.

Wodomistrz patrzył z niedowierzaniem, nagle błysnęła mu jakaś nowa myśl, rzucił w stronę rybaków:

- Rozwiązać ich!

Rybacy zabrali się do rozwiązywania.

- Cie diabli! - zwrócił się do Adama - nie odrywając wzroku od zatrzymanych. - Ale przebrani, co? Kto by pomyślał! Dobra robota. Specjalista musiał ich umalować i przebrać za

szczeniaków, co?

Twarzyczki rozwiązanych pojaśniały jakby, choć nadal spozierali spode łba na otaczających ich ludzi.

- A teraz rozbierać się! - polecił wodomistrz, pewny swego. - Do pasa! Do pasa, już, już!

Adama tknęło nie najlepsze przeczucie. Powstrzymać strażaka, wytłumaczyć mu, że kwietniowe powietrze nie nadawało się zbyt do wystawiania torsów na słońce. Lecz tym samym stanąłby po stronie tamtych nie tak znów przecież wyraźnych chłopców.

Obydwaj oni spoglądali z rosnącym zdziwieniem na strażaka w złotym lśniącym hełmie.

Ten nieco wyższy powiedział rezolutnie:

- My niewinni panie. Chcielibyśmy tylko przejechać.

- Aby na Hel, na Hel - dorzucił drugi i rozejrzał się niespokojnie.

- Na Hel? Co? A nie za Hel? - zapytał zimno wodomistrz. - Rozbierać się, powiedziałem. Albo każę wplaw - szarpnął pochwę toporka. Tym razem zatrząsk puścił lekko. Z radości, że jednak, strażak spuścił nieco z tonu. - No, ja znam się na waszych sztuczkiach.

Rozbierali się szybko, byle prędzej mieć to za sobą, spod kufajek, swetrów i podkoszulków wychynęły białe, charcie ciała podrostków.

- Dalej, dalej - lodowato przynaglał inicjator zabiegu.

- Gacie też? - zapytał mniejszy płacząco.

- Gacie nie, tylko koszulki pancerne.

- Czego? - zapytali jednocześnie obaj rozebrani drżąc z zimna.

Ten i ów ze stojących półkolem rybaków zaczął przestępować z nogi na nogę, pokasływać. Ale wodomistrz parł do celu.

- Dalej, dalej! - podniósł głos.

- Co? - zapytał niższy. - Niby jak? My już goli.

- Goli? - rzekł przez zęby wodomistrz. - To się okaże.

Ręce mu się trzęsły, kiedy wy dobył toporek z pochwy i złapał go krótko przy ostrzu. - Ty! Daj tu rękę.

- Nie, co to to nie! - zapiszczał jeden z chłopaków. - Niech pan nam nie obcina!

- Nie, my nic nie tego... - popłakiwał drugi.

- Daj rękę! - Krzyknął strażak i zanim chłopak zdążył wykonać jakiś ruch, chwycił jego rękę i zaczął poskrobywać ostrzem toporka skórę na ramieniu.

Adam próbował wodomistrza od zamiaru odwieźć, lecz ten wczepił się w wątle ciało chłopaka. Poskrobywał je w różnych miejscach, pluł na nie i pocierał rękawem. Chłopak wierzgał nogami, wrzeszczał w obronie kolegi. Rybacy też próbowali strażaka od chłopca odciągnąć, ale bez skutku.

Ruchomy kłęb na plaży musiał zainteresować tych, którzy siedzieli w krzakach. Na wszelki wypadek skierowali na ruchomy kłęb zataczający się po plaży silny strumień wody z kilku sikawek naraz. Od razu kłęb się rozpadł, chłopcy zaczęli uciekać. Rybacy złapali ich i ubrali, lecz z wodomistrzem mieli niejakie trudności. Tak się zapalił do gruntownego zdemaskowania dywersantów, że trzeba go było na dłuższą chwilę unieszkodliwić. Kilku rybaków wspólnie z celnikami i kolejarzami siedziało na nim czas dłuższy, aż mu atak gorliwości nieco wychłódl. Wszyscy już zresztą szczękali zębami, gdyż woda z hydrantów miała temperaturę powietrza.

Wreszcie grupy interwencyjne otoczyły teren ekscesów. Roztoczono troskliwą opiekę nad wodomistrzem. Sanitariusze poddali mu środki kojące i doprowadzili strażacki mundur do stanu regulaminowego. Zbiegom rzucono suche koce i okryto pobieżnie - zgodnie z przepisami konwencji o humanitarnym traktowaniu wrogów. Następnie - łącznie z wodomistrzem i Adamem powieziono w niewiadomym kierunku.

Obaj podejrzani okrzepli znacznie przez drogę i choć mokrzy - zdradzali nawet dyskretnie pogodę ducha. Sprawiało im widocznie przyjemność, iż stanowią centrum zainteresowania tylu ludzi w pięknych różnokolorowych uniformach.

Adam natomiast przebył drogę pełen mieszanych uczuć. Trudno było przewidzieć, czy przyjęty zostanie u celu podróży normalnie, jak swój to znaczy przedstawiciel radia, czy też jego obecność potraktują miarodajne czynniki chłodniej, a to mogłoby już grozić nieobliczalnymi konsekwencjami.

Na leśnej polanie stało kilkanaście ciężarówek, między nimi obszerny autobus o wnętrzu urządzonej jak pokój konferencyjny. Jego załogę stanowili dwaj wyżsi rangą - strażak i celnik, jeden kolejarz i jeden cywil - odgrywający tu najwyraźniej rolę gospodarza. Już wstępna męska rozmowa - prowadzona w nieobowiązującym tonie, wykazała, że doskonale orientują się w całej akcji, znają minuta po minucie jej przebieg na plaży i na morzu.

Wodomistrza i Adama poproszono o zajęcie miejsca przy stole nakrytym zielonym sukniem. Podejrzanych poprowadzono dalej w głąb autobusu do pomieszczenia oddzielonego drzwiami. Zniknęli też za nimi dwaj wyżsi rangą strażak i celnik i ten średni kolejarz a także cywil. Został tylko niski pogodny blondyn w szarym luźnym garniturze, który pojawił się

niepostrzeżenie. Anonimowo uśmiechnięty usiadł na jednym z dalszych foteli i wpatrzywszy się w sufit - zastygł.

Po chwili dwaj celnicy wnieśli posiłek dla wodomistrza i Adama wyłącznie, bo temu pogodnemu wystarczyło najzupełniej uśmiechanie się jak gdyby coraz bardziej tajemnicze.

Nie odebrało to jednak apetytu ani strażakowi, ani Adamowi. Południe dawno minęło toteż obaj szybko opróżnili wagę pożywne krupniku a sznycle z jajkiem, groszkiem i ziemniakami sprawiły im nie mniejszą rozkosz - dobrze zasłużoną w akcji.

Po obiedzie poczęstowali się nawzajem papierosami - którym to gestem umocnić pragnęli więź, jaka się między nimi zadzierzgnęła już wcześniej. Jednakże do wymiany wrażeń nie doszło, po pierwsze - wskutek braku - podstaw do wzajemnego zaufania. Siedzieli więc i milcząc puszczali dym świadomi powagi chwili. Po wypaleniu papierosów potraktowali się następnym, później jeszcze dwoma i tak aż do zupełnego zeszywnienia języków. Głównie po to, by uniknąć konwersacji - bez osłabienia więzi towarzyskiej.

Czas płynął, natężenie tajemniczości w uśmiechu człowieka bez dystynkcji wzmagало się w sposób intrygujący.

Nareszcie szmer, otwarcie pękających uszczelnieniem drzwi w ścianie przepierzenia. Wszedł gęsiego cały komplet z cywilem na końcu. Trzej mundurowi usiedli w fotelach, cywil - wysoki brunet zaczesany gładko do tyłu o twarzy ptaka w locie - podszedł bliżej i oparł się rękami o stół naprzeciw Adama i wodomistrza. Obaj wstali.

- Chciałbym wyrazić uznanie - zaczął, patrząc to na jednego, to na drugiego - za wzorową postawę w dziele zwalczania dywersji, oraz dla was, redaktorze, za godne pochwały umacnianie morale wśród szeregow.

Skończył, podał Adamowi przez stół małą, twardą rękę, lewą sięgnął do kieszeni, szybkim ruchem niczym sztukmistrz wyjął z niej małą odznakę na szpilce i wpiął mu w sweter na piersi. Pozostali siedzący - wyżsi rangą oraz średni zaklaskali z cicha.

Adam speszony bąknął niestosownie: - Cóż znowu... ja tylko tak...

Cywil uciszył go ruchem dłoni, po czym równie szybko z pewnym cieniem zniecierpliwienia udekorował wodomistrza wyprężonego w gotowości - innego koloru odznaką na szpilce.

Pozostali zaklaskali nieco głośniejsz.

- Proszę siadać - zagaił cywil i sam też usiadł. - Bardzo się cieszę - odetchnął i zmienionym nagle tonem, luźno, prywatnie kontynuował. - No, gratuluję, gratuluję kochani... Taak... Pozostaje jeszcze drobiazg. Ale najpierw zapalimy, co?

Poczęstował udekorowanych. Wzięli ochoczo, z dobrze maskowanym wstrętem, bo co

jak co, ale papierosy wylażyły im już bokiem.

Jeden z wyższych rangą - strażak, zaczął chodzić po salonce. Błada twarz i siwe włosy nadawały mu wygląd dobrotliwy i dostojny zarazem. Oczy miał podkrążone, bruzdy na policzkach. Spacerował powoli z rękami założonymi na plecach, głowa opuszczona, zamyślenie, kojący brak orderów na piersiach.

Drugi, ogorzały celnik a także łysy niższy rangą kolejarz - usiedli w drugim końcu stołu.

- Obiad smakował? - nawiązał ciepło niższy rangą. Może był intendentem albo sybarytą.

Wodomistrz zasalutował wewnętrznie odrzekł: - Tak jest! Ku chwale... - Tamten uniósł brwi, wodomistrz urwał.

- Sznycel był świetny. - Adam odzyskiwał swobodę, w roli udekorowanego czuł się potrzebny.

- Dbamy o naszych - zażartował starszy rangą, strażak. Tłusty celnik rozkaszał się kaszlem palacza.

Dyskretnie podzwaniały sprzączki, pachniało wodą kwiatową i papierosami marki Belweder o długich ustnikach. Z zewnątrz nie dochodził żaden głos.

Cywil zaciągnął się głęboko, rzekł na wydechu z troską w głosie:

- Sprawa, proszę was, stoi następująco: musimy tu sobie, wszyscy pomóc nawzajem jako ludzie świadomi, to po primo jak to mówią. - Nieznacznym ruchem głowy dał znak osobnikowi w szarym garniturze w kącie, ciągle obserwującemu sufit. Ten rozplynał się bezszelestnie w którychś drzwiach.

- Po drugie - ciągnął brunet marszcząc ptasią twarz - chodzi o to, żebyśmy naradę traktowali jako tajną, prawda?

Adam skinął machinalnie głową, wodomistrz tylko sprężył się w sobie.

- Po trzecie... może to dziwi przedstawiciela kochanego radia, że tak tu sobie wszyscy razem ściśle omawiamy tajną sprawę, ale to celowo, chodzi o to, żebyście, młody redaktorze, przekonali się, do jakich poświęceń gotowi są nasi strażacy. - Puścił kłąb dymu. - Nie, nie chodzi nam, żebyście o tym pisali wprost, po co? Mogłoby to być szkodliwe. Wzmianki o konkretach mogłyby podbudować wrogów. Należy więc wspólnie dać odpór, skupić najlepszych, takich jak wy dwaj. - Zajrzał im głęboko w oczy, po czym mówił dalej. - Wracając do szczegółów... Otóż po wstępnym dochodzeniu stwierdziliśmy, że ci, których dziś schwytaliśmy nie są dywersantami. Zakład poprawczy w N. potwierdził, iż są to wychowankowie, od dawna planujący wycieczkę na morze po nacytaniu się podróźniczych

książek. Odeślemy więc ich tam, skąd uciekli. Dyrekcja zakładu poniesie konsekwencje za wadliwy dozór i brak uświadomienia. Narazili nas oni na wydatki związane z operacją. Brało w niej udział wielu ludzi. Byłoby więc błędem, gdyby ich ofiarność spełzła na niczym. Nie możemy ich zawieść. I dlatego zwracam się do was, żebyście nam pomogli, żebyśmy razem, prawda...

Zawiesił głos, poprawił krawat. Zapanowała cisza. Przerwał ją świszczący kaszel tłustego, wyższego rangą. Cywil odczekał i kontynuował z naciskiem, a głos miał głęboki, aksamitny:

- Powiem więcej: niecierpliwic się będzie również nasza dyrekcja, jeżeli nie dostarczymy podpalaczy. Również więc i dyrekcji nie wolno nam zawieść. Dyrekcję, tak jak każdą dyrekcję obowiązuje statystyka i w świetle tego...

- Ale skąd wziąć teraz dwóch dywersantów - nie wytrzymał zatroskany wodomistrz.

- Słusznie, bardzo logiczne pytanie. Chodzi o ustosunkowanie się celowe. Co więc należy zrobić według was.

Adamowi skulnęło się po czole kilka tłustych kropeł potu. Ogarnął go strach. Przed oczami przepływały zielonkawe koła, wtopił się w tę zieloną poświatę cywil, który miał teraz twarz kota, każdy strach miewał kocią twarz, Adam przywarł udami do fotela, żeby nie uciec.

- W takim razie... - dedukował z trudem wodomistrz jak uczeń, który uświadomił sobie raptem, że materiał tej lekcji ma słabo opanowany - ...należy ich znaleźć.

- Otóż to! - Cywil przejął rolę dobrotliwego doradcy. - Wiedziałem, że na was mogę liczyć. Macie może jakieś propozycje?

- Propozycje?...

- Propozycje.

Siwy, zafrasowany wyższy rangą strażak spacerował ciągle w kółko po miękkim chodniku z tym, że trzymał się raczej przeciwległego kąta salonki.

Twarz wodomistrza wyrażała namysł pogłębiony wewnętrzną walką.

- ...mam u siebie w oddziale dwóch takich... - urwał nagle i szybko dodał: - Ale, lepiej nie. Nie, nie.

- A więc sami widzicie, że jednakże to jeszcze nie to. Nie możemy ryzykować w obsadzaniu takich stanowisk ludźmi, co do których nie mamy całkowitego zaufania. Sprawa jest zbyt delikatna. Pomyślcie spokojnie. Na kim moglibyście polegać w stu procentach? Kto nie zawiedzie was w potrzebie? Kto w takim samym stopniu i nas nie zawiedzie, wszystkich jak tu widzicie... No, nie krępujcie się.

Wodomistrz poczerwieniał.

- Nie chciałbym...

- Owszem, owszem możecie być zarozumiały, macie pełne prawo!

- ...ale miało być dwóch... - zająknął się wodomistrz spoglądając wymownie na Adama.

Adam otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, lecz pozapominał w tej chwili wszystkie wyrazy, jakimi się dotąd posługiwał. Pozostał przeto z otwartymi ustami, którymi łapczywie łykał powietrze.

Cywil przemówił za niego: - Nie bawmy się w matematykę. Jeden w zupełności wystarczy. Drugi mógł się przecież utopić podczas ucieczki. Wypadki zdarzają się nawet najlepiej przeszkolonym...

- Tak jest - przyznał wodomistrz ze znawstwem. - Ale...

Na twarzy cywila pojawił się wyraz szczerzej troski. - Jakież wątpliwości?

- Tak... to znaczy... ja nie mam żadnego doświadczenia... nie wiem, czy podołam zadaniu...

- Ach, to najmniejszy kłopot! - wyraz troski zniknął jak za dotknięciem różdżki. Było mu z uśmiechem bardzo do twarzy. - Moi ludzie postarają się wam pomóc. Traficie w dobre ręce... - I zatarł dłonie aż skóra zaszeleściła wesoło.

- Będę bardzo wdzięczny...

- Nie ma za co - rzekł skromnie cywil i wstał. Wodomistrz też wstał.

Wszyscy podnieśli się z ulgą. Tylko Adam miał pewne trudności z utrzymaniem się na nogach. Na szczęście zdołał wesprzeć się ukradkiem o stół.

Cywil wyciągnął rękę do wodomistrza. - Mam zaszczyt pogratulować wam słusznej decyzji. W nagrodę postaram się usprawiedliwić wasze zniknięcie z jednostki straży pożarnej. Podróż też macie zapewnioną. Samolotem nie pogardzicie, co? Zaraz się po was zgłoszą.

- Nie wiem jak dziękować za wyróżnienie... - powiedział z trudem wodomistrz.

- Sami sobie dziękujcie. To wasza zasługa...

Dość długo potrzęsali sobie dłonie. Wzruszenie cywila, a zwłaszcza porucznika udzieliło się pozostałym obecnym. Podchodzili kolejno do niego i w milczeniu ściskali mu rękę. Adam również. Zapamiętał jej dotyk. Nie mógł sobie darować, że tam, na plaży stracił do tego człowieka na pewien moment sympatię.

Jak spod ziemi wyrósł człowiek w szarym garniturze. Podeszedł do wodomistrza, stanął przed nim i rzekł pogodnie: - Idziemy?

Wyszli.

Cywil narzucił na ramiona skórzany płaszcz. Dwaj wyżsi rangą i jeden niższy stanęli

w postawie pełnej uszanowania.

- Widzicie, redaktorze, takich ludzi potrzeba. Napiszcie o tym kiedyś, ale raczej tak ogólnie, w aspekcie psychologicznym.

- Postaram się. Tylko nie wiem, czy podołam...

Spojrzał na Adama spod oka, zmrużył filuternie: - Może trzeba wam pomóc?

- Nie wiem, czy akurat w tym macie wprawę... - na to Adam.

- A wiecie co? Podobacie mi się. Zawsze możecie na mnie liczyć.

- Z matematyką od dziecka miałem na pieńku...

Brunet klepnął Adama w plecy i zaśmiał się po raz pierwszy w czasie tego spotkania szczerze.

- W porządku. Cieszę się żeśmy się poznali. Puklak jestem. Góra z górą... No leczę, mam jeszcze sporo roboty. Kierowca czeka, podrzuci was gdzie trzeba.

- Chciałbym podziękować za to i owo...

- Sami sobie dziękujcie. Aha, tu macie mój numer telefonu. - Czołem.

- Do widzenia.

Adam schował wizytówkę do osobnej przegródki portfela. Powtarzał w myśli: Puklak, Puklak, Puklak.

Po wyjściu z salonki odetchnął głęboko leśnym powietrzem. Kazał się wieźć kierowcy w stronę morza. W nadbrzeżnej dzielnicy wysiadł. Kiedy samochód zniknął za rogiem, poszedł na plażę. Nie odnalazł na niej żadnych śladów akcji. Piasek był dokładnie zabronowany, wokół pustka. Tylko w kotlinie otoczonej krzakami pozostały odciski wielu butów. Wziął garść piasku do ręki, przyglądał mu się czas pewien dokładnie. Był taki sam jak zawsze sypki, koloru piaskowego, zapachu piaskowego, swój. Odciskał ślady wikingów, plażowiczów, także i Agaty.

Do domu wrócił późnym wieczorem. Mercedes już spała. Z. przywitała go kosym wyrzutem spod ciężkich powiek. Przyłgnęła na moment do jego ramienia, na tyle tylko, żeby dyskretnie pociągnąć nosem.

- Kim ona jest? Powiedz, przyznaj się, raz się przyznaj. Ja wiem, że z nią byłeś, wiem na pewno.

Rzucił się na łóżko, zasnął, jakby wpadł w dół.

Śniła mu się kolorowa łąka pełna, kwitnących siekier.

Czyn

Przez kilkanaście następnych nocy czuwał do kresu wytrzymałości, lecz nic się nie zdarzyło. Zamek w drzwiach wejściowych milczał zakłęty nieobecnością Agaty.

Za to dni wypełnione miał Adam emocjami natury służbowej. Przede wszystkim nie mógł się jakoś zdobyć na zgłoszenie naczelnemu lub Drągowi swego udziału w operacji chwywania dywersantów. Bał się. Sprawa jego zjawienia się na plaży w momencie przeprowadzania akcji mogła wydać się zwierzchnikom nazbyt już dwuznaczna. Kłamstwo o tym, jakoby został tam wysłany służbowo, mogłoby wyjść na jaw. Miał nadzieję, że sprawa z czasem przyschnie, ale też i nie mógł wykluczyć najgorszego. Wyobraźnia pracowała usłużnie.

Poza tym Drąg poddał go próbie pracy. Niemal codzienne wyjazdy do odległych miejscowości na reportaże kosztowały go po kilka deko ubytku wagi. Wprawdzie opiekun personalny Muka nie zaszczycał go już swoim towarzystwem, ale nigdy nie było wiadomo, któremu z kolegów techników obsługujących magnetofon, zlecił dyscyplinarnie szczególną opiekę nad bezpieczeństwem skorego do groźnych wyskoków redaktora. Toteż Adam w czasie licznych podróży w teren przeważnie milczał, a wywiady z dyrekcjami odwiedzanych instytucji i fabryk przeprowadzał według rutynowego obrządku: chwila rozmowy o pogodzie, zebranie danych o ilości załogi, o współzawodnictwie, o przodownikach pracy, o ruchu racjonalizatorskim, o wykonaniu planu, o bumelantach, o czynach społecznych, o bezpieczeństwie i higienie pracy, o wypoczynku zbiorowym załogi, chwila rozmowy o pogodzie, prężny uścisk pulchnych, dyrektorskich dłoni, wyjazd.

Po powrocie do rozgłośni montował nagrane wywiady, komentarze do nich pisał w domu, nocami.

Korniki z cicha żarły zabytkowe meble, Agata spała gdzieś w przestrzeni obok kogoś bez twarzy i nazwiska - a on ubierał w poetyckie słowa dane o współzawodnictwie, o przodownikach, o racjonalizatorach, o higienie pracy. O bumelantach też pisał, ale twardo, wprost - zgodnie z zaleceniem Drąga. Wymagał on, żeby w bumelantów wgrzyzać się bardzo zajadle, bowiem za plecami zwykłych leni i pijaczków kryć się mieli - według recepty Drąga

- wicherzyciele wszelkiej maści, czarne owce, rzekomi obrońcy chłopskiego rozumu krytykujący przerost formy nad treścią, czyli - ustalony porządek rzeczy.

- Do obowiązków redaktora - mówił Drag - należy piętnowanie tych pogrobowców reakcji. Możecie ich, kolego, nurzać bez pardonu, przy pomocy zgrabnego szyderstwa, w bajorze politycznej rozpusty... - podniecał się lubieżnie z postępowym błyskiem w oku. Wierzę w waszą uczciwość tym bardziej teraz, kiedy przekonałem się o waszym poświęceniu w walce z dywersją. Wczoraj rano miałem telefon w waszej sprawie. Gratuluję wam zaszczytnego odznaczenia. Cóż za skromność! Nie pisnęliście nawet, że was udekorowano. I to kto was udekorował, no, no! Jestem z was dumny. Chyba nie zaprzeczycie, kolego Adamie, że od początku was doceniałem, co? No właśnie. Rozmawiałem z naczelnym na wasz temat. Zdradzę wam, że on sam, z własnej inicjatywy postanowił dać wam podwyżkę. A ja - dodał szeptem nachylony przez biurko do Adama - zgłosiłem was do odznaczenia.

- Do jakiego odznaczenia? Nie, nie! W żadnym wypadku. Ja nie chcę!

- Co?! Macie czelność gardzić odznaczeniem, które słusznie wam się należy?

- Za co?

- Jak to za co? Za tamto odznaczenie.

- Przepraszam, ale...

- Nie strugajcie ze mnie wariata! - wrzasnął dotknięty do żywego. - Raz odznaczonego nie wolno pomijać! Wy sobie za dużo nie pozwalajcie. Możecie beknać za skrajny indywidualizm!

- Przecież ja...

- Tylko krok do rewizjonizmu!

- Ja nie chciałem! To znaczy dobrze, przyjmę...

- No - sapał, ocierając pot z czoła - wy mnie więcej nie próbujcie ściągać na pozycje lewackie.

- Dobrze, proszę pana.

- Wy zawsze z czymś wyskoczycie. To się może, źle skończyć dla was. Oj, mój żołądek! Wy mnie wpędzicie w raka!

- Ja nie chciałem, naprawdę.

- Nie udawajcie. Ja was już przejrzałem. Jesteście, kolego, sprytniejsi, niż wyglądacie. Nigdy nie wiadomo, co wy tam knujecie. I kim wy właściwie jesteście.

- Staram się być sobą... ale mam trudności.

- Mnie starego dialektyka na to nie nabierzecie.

- Nie śmiałybym nawet.

- Dość. Na razie ja jestem waszym zwierzchnikiem i żądam podporządkowania się. Poza tym uważajcie, mam wrzód żołądka.

- Tak jest.

- Co to znaczy, „tak jest”? Jeszcze nie wiem na pewno, nie zdążyłem się przeświecić, a wy mnie tu już, kolego, zasypujecie piachem?

- Przepraszam, tak mi się powiedziało.

- Sądzę, że zapomnieliście się. Tu was mam!

- Nie rozumiem, o co chodzi?

- Zapomnieliście, przed którym z waszych zwierzchników stoicie, kochany kolego. No - pogroził palcem.

- Nic nie rozumiem. Mam jednego zwierzchnika, pana właśnie.

- Na pewno? - Drąg uśmiechnął się kwaśno. - Co to za dzień mamy dzisiaj? Jak się zdenerwuję to tracę pamięć.

- Sobota.

- Aha. Jutro proszę się stawić o dziewiątej rano. Wyjeżdżamy wszyscy na czyn społeczny.

- Tak jes... dobrze, proszę pana. Będę na pewno.

Że też krótkie obcowanie z siłami zbrojnymi weszło mu tak w krew. Doznał nagle olśnienia, że duch czasu w szczególny sposób sprzyjał modzie na imperatywy. Postanowił wziąć to pod uwagę.

Wśród prześmiechów i dziennikarskiej gęźby upływał czas oczekiwań na samochód ciężarowy, który miał wywieźć cały zespół ochotników radiowych na czyn społeczny. Wszyscy stawili się w komplecie, nieobecność groziła napiętnowaniem na czarnej tablicy bumelantów. W nomenklaturze kierownictwa równało się to sabotażowi. Stróżem służbowej moralności była kierowniczką działu personalnego, młoda kobieta z jasnym warkoczem wokół głowy, o twarzy przeziębionej królowy. Oprócz wiecznie czerwonej końcówki nosa, zaczerwienionych policzków i oczu - miała również i głos jakby zniekształcony katarem. Było publiczną tajemnicą, że pewien wpływ miał na to alkohol wchłaniany przez nią z obrzydzeniem, lecz chronicznie. Tego poranka jeszcze dwa dodatkowe akcenty czerwonego koloru czyniły ją piękniejszą: kolczyki w mięsistych uszach i krawat kontrastujący z zielonością młodzieżowej koszuli. Personalna miała oprócz tego na imię Prakседа, duży biust, rower, na którym przyjeżdżała do pracy i słabość do mężczyzn skrzętnie maskowaną hasłem zacieśniania szeregów. Wszakże traktowała ich z tkliwością modliszki - nabierała wstrętu do

wyssanych. Pozwalało jej to utrzymywać wzmożoną dyscyplinę wśród grona byłych ofiar.

Spacerując po ogrodzie otaczającym budynek rozgłośni krokiem samicy goryla - sprawdzała spod ciężkiej powieki stan swojej trzody. A zadanie nie było łatwe. Stado indywidualistów opornie poddawało się zarządzeniom. Wprawdzie do podpisania listy obecności - pieczętującej dobrowolność czynu społecznego - wszyscy garnęli się ochoczo, lecz ten i ów już spozierał tęsknie na furtkę w płocie jako na jedyne wyjście z sytuacji, tym bardziej, iż zamówiony samochód nie nadjeżdżał. Nie będąc pewną swego, Prakseda oparła się wreszcie opiętym granatową spódnicą biodrem o słup płotu w pobliżu wyjścia. Dla niepoznaki wszczęła dyskusję z garbatym panem Władysławem o przywisku Ułan. Tworzyli parę godną pędzla Breughla. On sięgał głową do jej piersi, a przewyższał o niebo głębią wyrazu lisiej twarzy.

- Chciałbym kroczyć do czynu pod pani portretem. Praksedo, księżniczko Burgunda. Czy każe mi pani wystrugać odpowiednio długi patyk? - rzekł i zakąsił paznokciem.

- Jaki patyk? - zachichotała i natychmiast spoważniała. - Co pan znów bredzi, panie Władysławie?

- Patyk, na którym zatknę pani fotografię w pochodzie do pracy. Tylko pod pani patronatem mogę posuwać się ku Nowemu.

Zatrzepotała rzesami i rozejrzała się, czy nikt nie usłyszał.

- Niech pan się liczy ze słowami.

- Umiem tylko liczyć dni do naszego ślubu.

- Wolałabym się powiesić - znów zachichotała.

- Tylko pod tym warunkiem zrezygnuję z pani.

- Co?

- Nic. Kocham panią do szaleństwa. Jak Bazyli Doriana.

- Kogo?

- Graya. Czy pani ma chore uszy czy nie chce uwierzyć, że można ukochać własną personalną uczuciem czystym, czyli oddolnym?

- Panie Władysławie! Bo będę zmuszona sporządzić raport.

- Sporządzimy go kolektywnie i tajnie. Mam altanę w ogródku działkowym, osłoniętą tak zaraźliwymi przeszczepami Miczurina, że każdy kto tam wejdzie krzyżuje się z każdym na oślep.

- Nie chcę słuchać tych głupot.

- ...A w altanie gąsior wina z porzeczek kwaśnych jak pani myśli. Radzę wziąć chociaż to pod uwagę - łypnął w jej kierunku miłosnym zezem i odszedł, wmieszał się w

grupe, nadal ze smakiem odgryzając paznokcie.

Adam układał sobie w głowie klocki wrażeń. Z podpatrzeń i podsłuchań budował ostrożnie swój nowy świat. Pierwszy raz mógł to zrobić w pełnym słońcu i na lekkim wiosennym wietrze, nie w czasie zebrań, kolegów czy w redakcji, gdzie wieczna bieganina - której rzeczywistym celem było zdobycie możliwie wysokich honorariów zapewniających i tak zaledwie skromną egzystencję - rozmażywała koleżankom i kolegom ich prawdziwe twarze. Częste szkolenia, walka o rezerwację studia do nagrań, walka o magnetofon do nagrań w terenie, wyjazdy na reportaże, montaż, przesłuchiwanie gotowych audycji - codzienny kołowrót zdarzeń odprywatniał wzajemne kontakty.

Na zieleniejącym trawniku stał Drag w garniturze koloru myszy. Odcięty od biurka, оголоcony z kierowniczności wyglądał, jakby miał się za chwilę rozpaść na drobne członki. Jeszcze się bronił, jeszcze nateżał mięśnie za krótkich ramion, jeszcze opłatał nimi raz wzgórek brzucha, raz znów krągłe plecy, jeszcze od czasu do czasu unosił głowę senatora i łapał w nozdrza wiatr, ale ponieważ nie był to wiatr dziejów, lecz zwykły ogrodowy przewiew, więc zrezygnował po chwili, oklapł, opuścił ręce w bezradnym zwisie i uśmiechnięty ostatkiem sił, ruszył płacząc nogami w kierunku przysadzistej intelektualistki z działu społecznego, której akurat przestał dotrzymywać towarzystwa naczelny, jak zawsze pewny siebie i po proletariacku jowialny.

Cezary z fajką w zębach spacerował tam i z powrotem z niskim, przystrzyżonym krótko blondynem, kolegą Netem. Często omawiali razem następną audycję gdyż poprzedniej przeważnie nie udawało im się dokończyć. Pracowali razem w redakcji młodzieżowej - co też raczej pozostawało w sferze teorii, bo kolega Net - znany ze swej przedsiębiorczości - wołał szukać szczęścia w postaci dodatkowych dochodów poza obrębem rozgłośni. Jego szczeciniasta głowa pełna była pomysłów nie do odrzucenia. Potrafił zarażać nimi sceptyków i entuzjastów spod znaku różnych organizacji społecznych i politycznych. Raz - powołując się na zażyłość z ministrem skarbu - zorganizował gwiazdzisty zlot kasjerów z całego województwa uwieńczony konkursem na najlepsze podrabianie zachodnich, a więc godnych pogardy walut, a wszystko to przy akompaniamencie orkiestry burczybasistów z Kaszub. Skandalu - jaki po tym wybuchł - nie pamiętali najstarsi bankowcy. Kiedy indziej urządził wyścigi traktorzystów - przodowników pracy, którzy w ferworze walki zaorali lotnisko szybowcowe i zostali dotkliwie pobici przez zasmuconych pilotów. Mimo tych plam na honorze koledze Netowi udawało się utrzymywać opinię racjonalizatora wszechdziedzin, co zjednywało mu więcej wrogów niż przyjaciół. Do tych ostatnich należał właśnie Cezary, o umyśle zbyt ścisłym, by nie odczuwać potrzeby żerowania na cudzej fantazji. Przepelniony

nią po dziurki w nosie kolega Net spełniał więc wobec Cezarego taką rolę, jak pies wobec kleszcza.

Ta chodząca symbioza skierowała się w pewnej chwili ku stojącemu na skraju trawnika Adamowi i zagadała głosem Cezarego, poufale i przyjaźnie.

- Jak tam z przemianą materii, kochany kolego?

- Dziękuję, nie mogę się skarżyć.

- Przyjrzyj mu się - powiedział do kolegi Neta. - Tak wygląda pierwszy zadowolony.

On by się nadawał, co?

- Chcesz zrobić złodzieja - powiedział szybko Net do Adama, zapalając się w miarę mówienia - ...złodzieja, który wpadł, następnie zresocjalizował się dzięki wpływowi sekretarza w zakładzie karnym, następnie uwiódł mu żonę, następnie miał z nią dziecko, następnie dzięki sekretarzowi, temu samemu, przejrzał, przeprowadził samokrytykę, podjął pracę, został przodownikiem, zdobył dla swojej brygady sztandar przechodni na własność, co przekonało sekretarza na tyle, że zaczął z nimi razem, już we trójkę, wychowywać to dziecko, które następnie poszło do szkoły i zostało przodownikiem nauki. To będzie słuchowisko. Chcesz robić tego złodzieja? No co?

Adam patrzył w ziemię i grzebał w niej butem.

- No, kolego. - Cezary zajrzał Adamowi głęboko w oczy. - Zdaje się macie jakieś zastrzeżenia do naszego scenariusza.

- Nie, dlaczego? Podoba mi się, tylko można by...

- Co, no co? - natarł z ogniem w oczach kolega Net.

- Mogłoby być dwoje dzieci.

- Ty, on ma rację - kolega Net, zwrócił się do Cezarego. - Można by zrobić między nimi współzawodnictwo. Słuchacz to kupi z płaczem.

Pokiwali głowami ze szczerą dezaprobatą, pogadali jeszcze chwilę i poszli szukać dalszych wykonawców do nienapisanego słuchowiska. Adam znów został sam, Zapalił papierosa i usiadł na podmurówce płotu otaczającego ogród rozgłośni. Ni stąd ni zowąd - nagły atak tęsknoty za Agatą.

Inni też siadali, gdzie kto mógł, na schodach, na wyniesionych krzesłach. Rozległy się głosy zniecierpliwienia. Samochód nie nadjeżdżał.

- Tu, na miejscu zrobmy czyn - zaproponowała nieduża brunetka. - Wykopmy dół w trawie!

- Czemu nie? - podchwycił kierownik redakcji wiejskiej. - Później zakopimy go na cześć naszego czynu. Kiedyś, proszę was, pewien działacz sanacyjny zgłosił projekt

przesypania kopca Kościuszki do torebek i sprzedawania tej ziemi rodakom na całym świecie jako świętości. Za uzyskane pieniądze działacz proponował usypanie kopca Kościuszki w każdym mieście, po czym można by te kopce przesypać do torebek...

Brunetka zaperzyła się: - Skąd wzięliby tyle torebek?

- Za sanacji były plantacje papierowych torebek w majątkach obszarniczych - wtrącił zadowolony z siebie redaktor działu interwencji. - Od wschodu do zachodu pracowali w nich bezrobotni.

Na niefrasobliwych rozmowach schodziło oczekiwanie na fatalny samochód, który w dalszym ciągu nie nadjeżdżał. Naczelnym podobno marszczył już brwi - czego jednak oczekujący nie mogli dojrzeć gołym okiem, bo szef zamknął się w gabinecie i wzywał tylko osoby kompetentne. Dopiero po wyjściu stamtąd przekazywali oni kolegom na ucho pikantne szczegóły. Był to czas, kiedy wszystko co publiczne - osłaniał groźnie nastroszony woal tajemnicy państwowej.

Rozdzwoniły się telefony między rozgłośnią a bazą samochodową oddaloną nie więcej niż kilometr.

- ...podobno kierowca wyjechał z bazy już dwie godziny temu - powtarzano sobie szeptem z ust do ust sensację - miał nas zabrać i nie zabiera, nie ma go ani na trasie do rozgłośni, ani w stacji benzynowej po drodze, zniknął, w takiej chwili zniknął! Zawala czyn! - ubolewał gorączkowo spiker, przystojny mężczyzna w jasnym garniturze, godny zaufania w każdym calu, nawet w toalecie - jak głosiła fama - gdyż bez przerwy recytował sobie pod nosem wiersze postępowych poetów w nadziei, że go ktoś wreszcie podsłucha i sygnie i ktoś kto trzeba dowie się, że on nawet w takim miejscu nie przejęczy się ani o literę, jak na przykład któryś z jego poprzedników, który przeczytał wprost do mikrofonu zamiast „apel księży patriotów” - „apel preży patriotów”.

Ze strachu o to, żeby nie sypnąć się przed otwartym mikrofonem - przystojny spiker zawsze drżał na całym ciele, co było podobno powodem jego sukcesów erotycznych i co omawiano często na tajnych naradach kierownictwa.

- Czy on nie wie, co oznacza dla kraju bezczynność tylu radiowców? - oburzał się spiker. Jego doskonała dykcja pozwalała słyszeć każde słowo mimo szumiącej w pobliżu lipy.

Z budynku wyszedł szybko, kulejąc, z laską pod pachą opiekun personalny Muka. Nie spojrzał nawet na zgromadzonych w ogrodzie. Wzrok jego martwy, ponadczasowy, płynął górą nad głowami i trafiał w próżnię gdzieś po drugiej stronie ulicy między lipy małego parku a ścianę szarego domu.

Wszyscy poszli za tym wzrokiem i wszystkim zrobiło się straszno, podczas gdy Muka

uchylił furtkę, wyszedł na ulicę, stanął na krawężniku i - machnąwszy energicznie laską inwalidy - zatrzymał pierwszy jadący samochód osobowy, wsiadł i pojechał.

- Dokąd? Po co? Po kogo?

- Jak już ten wziął sprawę w swoje ręce... - mruknął szpakowaty redaktor działu morskiego. - Lepiej żeby ten kierowca w ogóle nie przyjeżdżał. Szkoda człowieka. Przejdźmy się spacerkiem na ten czyn.

- Spacerkiem? - zdziwił się przystojny spiker.

Jak żelazem po szkle zgrzytnęło to słowo. Bez transparentów łopoczących na wietrze, bez gałęzi zielonych i kwiatów przytwierdzonych drutem do skrzyni ciężarówka, bez wtłoczenia w nią grupy roześmianych ochotników - wyruszenie na czyn nie byłoby wyruszeniem, a bez wyruszenia - czyn czynem nie byłby. Spacerkiem!

- Coś szkodliwie przedłuża się to czekanie - powiedział głośno spiker, wystawiając męską twarz ku słońcu.

Ktoś, kto by mu się dokładnie przyjrzał, zauważyłby, iż mimo ciepłych promieni wszystko mu się trzęsie nieustannie. Lecz każdy z opalających się obok udawał, że tego nie widzi - wietrząc w tym jakąś prowokację. Jeżeli nawet kierownictwo maczało w tym palce...

Adam siedział na podmurówce płotu. Zamknął oczy i w wyobraźni podpatrywał Agatę. Widział skórę jej szyi, grymas ust, zmarszczenie nosa. Kiedy przypominał sobie szmer jej szybkiego oddechu, szarpnął nim ból tęsknoty.

- Hura! - ryknęło wokół.

Przed budynek wtaczała się ciężarówka, lecz nie radiowa, inna - udekorowana świeżymi gałęziami. W dwóch jej rogach zatknięte były czerwone szturmówki. Z szoferki wyszedł opiekun Muka. Oczy miał jak i przedtem przepastnie martwe, lecz zęby odsłonił ni to z radości, ni to z dumy. Pokuśtykał po schodach. W drzwiach zderzył się z naczelnym.

- Zuch Muka! - klepał go naczelnym po plecach. - Na tobie jednym można polegać! Pakujemy się! Za pięć minut odjazd! - krzyknął w stronę ogrodu, gdzie już gwar się budził. Kierowca - jakiś obcy, nieznanany nikomu - skoczył pomagać kobietom przy gramoleniu się na platformę. Najwięcej kłopotu było z Drajem, który zagubiony i przelekły nadrabiał miną skrępowanie intelektualisty, drogę z ziemi na wóz przebył w powietrzu, podrzucony przez tych, co na dole.

Adam wskoczył jako jeden z ostatnich. Spozrzegł, iż niektórzy trącają go życzliwie łokciami, całkiem bezinteresownie. Było to piękne odkrycie. Zapragnął wtopić się w tę stłoczoną grupę. Pierwszy raz w jakąś grupę. Pot nie oblewał go już, rumieniec nie mącił toku myśli, choć na jego plecy, ramiona, brzuch napierały ciała obce, ale jednocześnie swojskie,

przyciągające.

Cieżarówka ruszyła, masa wahała się do przodu, do tyłu, korpusy ubijały się miękko, zacierając różnice stanowisk, wreszcie buchnęło radością, bo wóz wjechał na prostą, przyspieszył, pęd uderzył w twarz, kłęb ciał zaczął się machinalnie przeplatać ramionami, utwardzać, ktoś jęknął pieśnią - reszta podchwyciła, jednoczyli się w śpiewie i szybkości, osobiste sprawy wypadały szparami w podłodze jak śmieci na bruk, na kocie łby, furczały szturmówki, szumiały gałęzie. Duch Patosu z błogo opuszczonymi powiekami uniósł się nad ciężarówką..

Którejś z młodszych koleżanek wyrwało się nietaktownie: O Chryste! - została bowiem podszczypana. To w którymś ze ściśniętych kolegów materia przeżarła ideę.

Szybka jazda nie trwała długo. Samochód zboczył z głównej trasy, nawierzchnia stopniowo dziurawiała. Za ostatnimi domami wjechali na drogę żużlową - gładkie falistości kołysały czworobokiem ciał, przypominało to rejs statkiem na sporej fali.

Tej i owej z koleżanek pieśń zamarła na ustach, rozległy się głucho pokasływania.

Osoba wparta kościstym udem w udo Adama jęknęła mu koło ucha, po czym spróbowała zakryć sobie usta, lecz nie mogąc w tłoku unieść rąk, zsunęła się powoli, tak że głowa jej zniknęła mu pod pachą. Zrobił z trudem pół obrotu - udało mu się złapać ją oburącz za szyję i pociągnąć w górę.. Jej pierś przejechała mu po brzuchu. Jakby kolizja z meduzą w wodzie.

- Lepiej pani? - spróbował przekrzyknąć silnik ciężarówki.

Odkrzyknęła nadszpiewanie silnym altem:

- Co pan mówi?

- Pytam czy kryzys minął?

- Lepiej panu?

- To ja chciałbym wiedzieć!

- Mnie już dobrze, ale pan coś nie bardzo. Pomogę panu! - podparła go szczelnie twardościami chudego ciała.

- Nie, nie!... Nic mi nie jest.

- Nie ma się czego wstydząć!

Uczepiła się jego barku silnym chwytem wątych ramion i trzymała, co chwilę zerkając w górę ku jego twarzy. Miała wąskie oczy zabiedzonyj czarownicy.

Nie, niech się pani nie fatyguje, jestem podparty wszechstronnie - chciał zawołać, lecz bał się, że zwróci uwagę swego sąsiada, siwego człowieka, który wgnieciony w jego lewy bok sapał przy każdym silniejszym podrzucie podłogi: - Niech to diabli! Aniechtodiabli! -

Najwyraźniej stępał na uroki podróży. Szturmówki spuściły z tonu, Duch Patosu muchą był już tylko nad lasem. Adam miał mętlik w głowie z powodu tej osoby, wiszącej u jego pasa z naturalnością sennego dziecka. Czerwienił się co chwila, zerkał wokół, czy ktoś już zauważył krępujący incydent. Ale nie. Wszystkie policzki podrygiwały obojętnie, aż nagle znieruchomiały. Wtedy cała ciżba westchnęła z ulgą: - Oach!

Cieżarówka stała pod lasem, na wielkiej łące. W oddali cicho szemrało miasto, bliżej rozpościerał się teren ogrodzony płotem. W jego obrębie widać było kompleks niskich, ni to hał, ni to hangarów. Na pierwszym planie budynek piętrowy z wieżą obserwacyjną, coś jak remiza straży. Do tego obiektu prowadziła ponura brama, nad nią napis z blaszanych liter nabijanych na kanwie z drutu: Instytut Wodny.

Z szoferki wyskoczył kierowca, pomógł wyjść naczelnemu, który zeszywniał, lecz grał entuzjastę. Następnie kierowca obiegnął ciężarówkę, odpiął klapę platformy - wtedy zaczęli spadać w trawę utrząsieni ludzie. Tych, którzy spadli dosłownie, podnosił naczelny pogodnym krzykiem. Każdy dość szybko wracał do siebie, bo też i trudno było trwać w odrętwieniu.

Podmiejska cisza dzwoniła w uszach muzyką skowronków rozwieszonych gdziegdzie, słońce dobywało z traw głębię zieleni, bądź też grało czernią gleby, gdzie woda nie pozwoliła źdźbłom rozplenić się zbytnio i tak dalej.

Koledzy z koleżankami rzucili się fikać kozły, zdejmowali odzież bez zastanowienia należnego ich stanowiskom.

Tu redaktor redakcji informacji rozgniatał trawę, leżąc krzyżem, tam sekretarka galopowała na czworakach, w pewnym oddaleniu redaktor od spraw ekonomicznych zataczał koła z rozpostartymi ramionami. Środkiem łąki brnął ostrożnie Drąg z podwiniętymi nogawkami.

Adam - uwolniony w chwili ogólnego zamieszania od osoby z ciężarówki - uciekł aż pod las i tam chodził sobie powoli pełen słońca. Udzieliła mu się ogólna atmosfera swobody i bez troski. W pewnej chwili zauważył, że od strony żelaznej bramy z napisem Instytut Wodny zbliża się grupa mężczyzn w roboczych kombinezonach. Nieśli naręczę łopat. Któryś z kolegów gwizdnał przeciągle, zawołał: - Zbiórkaaaa!

Powoli wokół kierownictwa skupiał się radosny tłumek. Naczelny czekał cierpliwie - z odświętnym stygmatem na twarzy - aż wszyscy weń się wpatrzą.

- Koleżanki, koledzy - zaczął mrużąc oczy pod słońce. - Przybyliśmy tu, aby dać swój wkład w dzieło budowy jutra. Jutro najwyższym szczęściem. Osiągniemy je poprzez swój czyn dla dobra przyszłych pokoleń, które dzięki nam doczekają jutra, aby następnie...

Raptem kichnął - bo promień słońca wdarł mu się do dziurki w nosie.

Rozległy się pojedyncze oklaski. Brzmiały pośrodku tej wielkiej łąki, jakby krowy były się mokrymi ogonami po bokach.

Takie porównanie musiało się nasunąć niejednemu z klaszczących i niejednej, która sama pasła chudą krowę na podobnej łące przedwojennej. Dlatego oklasków nie zakłóciło ani jedno chrząknięcie ironisty, jak to często bywało podczas podobnych przemówień.

Na odgłos oklasków krowich w swej istocie - w naczelnym też musiało się odezwać zdrowe, chłopskie dziecko, ponieważ zamasyście smarknął w trawę. Po czym zmarkotniał. - Wybaczcie - zdawały się mówić jego opadłe kąciki ust - cóż, nawyk dyrektora, druga natura, ale i ja swój chłopski rozum głęboko przechowuję i jak się wyteżę jeszcze coś potrafię... o!

- Ludzie! - głośno, choć nie bez oporów zawołał. - Mamy zniwelować teren pod stadion sportowy. Tu będziemy już niedługo skakać, rzucać, łapać i po głowie się drapać. Pewnie to luksus, kiedy tyle jeszcze domów leży w gruzach. Ale za długo byliśmy bici. Jak się teraz weźmiemy w kupę, to sobie zrobimy życie wolne, sprawiedliwe, godne i dostatnie. No! - skończył, spojrzął po ludziach, a zobaczywszy ich przerażone twarze sam się przeraził. Na wszelki wypadek zamknął oczy.

Sekundy kapąły przy akompaniamencie śpiewu skowronków. Koleżanki redaktorki, techniczki, montażystki, księgowy, koledzy redaktorzy, strażnicy i inżynierowie stali kołem nie wierząc uszom. Słowa naczelnego dziwnie proste i logiczne uderzyły w nich jak grom z jasnego nieba. Już się temu i owemu, tej i owej ręka sama zaciskała w pięść - dokąd to bracie? w szkodę? hajda! a zawracaj!

Naczelny stał jak słup w mrokach myśliwego chaosu. I kiedy już chciał paść na kolana przed tłumem koleżeństwa i prosić o łaskę - wtedy nagle strzelił mu do głowy najprostszy pomysł naprawienia błędu. - Do czynu! Praca! Dzieło! Zręby, zręby! Czyn, czyn! Wkład! Baza! Baza! - wrzasnął i zatupał zdygnitarzywszy się na powrót po białka oczu. Rozmokły grunt zapadał się pod nim z bulgotem.

Z okrzykiem: - Wkład! Zręby! Zręby! - rzucił się na pomoc naczelnemu przystojny spiker, wyciągnął z błota. - Hurra! Czyn! Czyn! Wkład! Zręby! Czyn! - zawtórowali z ulgą koledzy.

Kto stał bliżej sterty łopat, ten chwycił pierwszą lepszą, dopasowywał do dłoni, byle prędzej ruszyć na wyznaczony odcinek. Ludzie w zielonych kombinezonach, którzy już od dłuższego czasu mierzyli teren i wbijali w trawę paliki - teraz pospiesznie wtajemniczali chętnych gdzie, kto i jak powinien kopać, aby dać swój wkład.

Już po chwili łąka wyglądała niczym rozległe mrowisko. Wieniec ruchomych postaci

tworzył wielką elipsę. Gwar, krzyk, postękiwania mieszały się z kłaskaniem gliniastej ziemi. Migąła biel skóry spod zakasanych rękawów, przeżyły się kręgosłupy nie nawykłe do lewarowania ciężarów. Koleżanki wypinały zady w walce z kępami darni, koledzy starali się błyszczeć sprawnością, choć pot płynął im spod okularów przy każdym wsunięciu łopaty w zwartą płataninę trawiastych kłączy.

Na widok kierownika działu artystycznego Drağa, z podkreconymi nogawkami - litość brała. Łopata w jego rękach żyła własnym życiem, chwiała nim do przodu i do tyłu. Nabierał na nią coraz więcej i rozkraczał coraz szerzej cienkie łydki myśliciela.

Adamowi wyznaczono odcinek najbliżej wysokiego płotu okalającego teren Instytutu Wodnego. Tu będzie się kończył przyszły stadion. Marynarkę powiesił na płocie zwieńczonym kilkoma rzędami kolczastych drutów. Zastanowiła go warowność tego ogrodzenia - lecz wkrótce zapomniał o tym szczególe. Jak się po pewnym czasie okazało - za tę lekkomyślność drogo miał zapłacić.

Tymczasem jednak pochłonał go czyn. Zadanie, jakie otrzymał, polegało na zerwaniu pasa darni długości dziesięciu metrów, szerokości pół metra i głębokości dwudziestu centymetrów. Starał się z odrzucanej ziemi formować równą pryzmę. Honor, satysfakcja. Gdyby Agata widziała go zza pnia niskopiennej sosny... Smak tęsknoty napłynął mu do ust. Machnął łopatą jak cepem.

- A ku-ku! - krzyknęło coś zza rogu płotu. Czając się przesadnie, szła ku niemu znajoma z ciężarówki.

- To ja - powiedziała już z bliska, strojąc minę pewnej siebie.

Wysypała na trawę kanapki, z torby wyjęła termos, naląła pół kubka. Poczęstowała go. Wypił duży łyk. Zakrztusił się.

- Mocna ta herbata!

- A czy ja mówiłam, że to herbata! - klasnęła w dłonie jak dziecko, które oszukało dorosłego. - Przegryź kanapką!

Przyglądał się jej spod oka. Wszystko w niej było chude i nijakie. Twarz skazana na zapomnienie. Jedyne beżowe włosy gładko zczesane w krótki warkocz zaprowadzały pewien ład w bladobeżowym bałaganie.

Zaczęła mówić altem, co nie pasowało do jej dziecinności.

- Przyszłam ci podziękować za tamto w drodze. Nie znoszę spalin. Kiedyś chcieli mnie zagazować w autobusie, ale na szczęście wjechaliśmy na drzewo.

- Mhm.

W górze hałasował skowronek.

- Bardzo delikatnie mnie trzymałeś... - zmrużyła małe oczy.

Wypili jeszcze po ćwierć kubka.

- Ja myślę, że ta robota to psu na buty...

- O co ci chodzi? - zapytał ostrożnie.

- Jeden haruje, a pięciu zbiera miody.

- Nie boisz się tak mówić?

- Ja nikogo się nie boję - machnęła po dziecinnemu ręką. - Nikogo i niczego. - Było jej do twarzy z tym machnięciem.

- Mnie też nie?

- Absolutnie. Choć różnie gadają o tobie w rozgłośni.

- Co na przykład? - Oparł się na szpadlu.

Zamilkła. Wierciła obcasem w świeżej ziemi, nie zważając, że brudzi sobie tenisówkę. Uniosła rzadkie brwi, jakby miała za chwilę kichnąć albo rozplakać się.

- Ty jednak masz mnie za idiotkę - powiedziała z niespodziewanym przekąsem.

Dialog stawał się trudny. Czas mijał, darń leżała odłogiem.

- Posłuchaj.... - zaczął najcieplej, jak umiał, nie chcąc urazić tej Marty, której infantyizm mógł powalić konia a jednocześnie gorycz, jaką ona emanowała zdolna była postawić go z powrotem na cztery nogi. - Przyjdź później, to sobie pogadamy.

- Nie - ucięła twardo.

- Gniewasz się?

- Tu nie. Mogę się z tobą umówić tam - wycelowała palcem w las. - Nawet się nie domyślasz, ile o tobie wiem...

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

No.

Szpadel zaśpiewał w jego rękach, lecz zdążył odwalić darń na długości nie większej niż krok, gdy od strony miasta ukazał się jedyny wóz transmisyjny, jakim dysponowała rozgłośnia. Jechał ostrożnie, żeby nie uszkodzić na wybojach jedynej przenośnej aparatury nagrywającej, jaka w rozgłośni działała bez uszczerbku dla ucha.

Z blaszanego pudła wy dostał się redaktor zwany Bułą. Ogólnie szanowany za umiejętność wspinania się na drzewa bez użycia rąk.

Z szoferki natomiast wysliznął się Muka, a także - o dziwo! - cały i zdrowy kierowca, który nie dotarł na czas pod rozgłośnię. Wokół wozu powstało zbiegowisko. Muka zapytany wręcz powiedział: „wskutek usterki merytorycznej samochód nie nadawał się do transportu pracowników na czyn z powodów niezależnych od sumiennego kierowcy, który korzystając z

przestoju dokonał samoremontu siedzeń, za co otrzyma proporzec przechodni”.

Taki cud był możliwy i wszyscy odczytali go właściwie: kierowca zasnął, jako argument skruchy przyniósł pół litra z zakąską, wypili z Muką w sfoferce, plamiąc siedzenie paszтетówką. Wywabienie plamy potraktowano już jako wkład w dzieło odbudowy.

Tymczasem do akcji wkroczył kolega redaktor Buła, ciągnąc za sobą długi kabel łączący mikrofon z magnetofonem w wozie. Jął przeprowadzać wywiady, zadając pytania w rodzaju: Czy jest zadowolona, zadowolony z zamiany pióra na łopatę. Kiedy koledzy zaczęli rzucać w niego kamieniami, potraktował to jako utrudnienie wykonywania zawodu i uciekł w kierunku wozu.

W następnej chwili wszakże obie strony zapomniały o drobnej niesnasce, ponieważ specjalnym autobusem przyjechali koledzy z kroniki filmowej.

Nastąpiły rzeczywiste chwile satysfakcji i przyjemności dla koleżanek i kolegów. Poszły w ruch lusterka, grzebienie, szminki. Wyglądano się, dopinano - lub zgoła - rozchełstywano się, targano włos w zależności, jak tam który wyobrażał sobie wzór przodownika pracy. Na widok wytaczanej kamery koleżanki i koledzy rozkwitli pełną gamą odcieni.

Pękała z hukiem zespołowość, powiał zdradliwy wiatr indywidualizmu. Każdy wypinał co miał najlepszego, by jego podobizna na ekranie godna była jego talentu, a zwłaszcza osobistego zaangażowania się w sprawę. Młócka łopat szła o lepsze z grą profili, terkot kamery spręzał nadzieje, nadymał autorytety. Naczelny karczował korzenie rzezuchy z furią buldożera.

Tylko nieliczni pracowali normalnie, ci którzy nie mieli nic do stracenia ani nic do zyskania. Kopali mając za złe ogólnie.

Wtem kamera umilkła.

Większość wydała okrzyk ulgi, rzuciła łopaty i pognała w kierunku ekipy filmowej. Błysnęły dowcipy oraz szkło piersiówek. Przepijano do siebie, częstowano się bigosem uwag - jak po udanym polowaniu.

Pracująca nadal mniejszość poczuła się głupio. Coraz to który kładł ukradkiem łopatę w trawę i przemykał chyłkiem w stronę zwartej grupy światowców. Teren robót pustoszał szybko.

Adam pracował dalej. Ktoś z grupy, z daleka zawołał go, zamachał ręką. Na wołanie odpowiedział zamaszystym ocieraniem potu z czoła. Musi odpocząć. Wbił szpadel w trawę i nie oglądając się poszedł w kierunku lasu.

Dochodząc do pierwszych drzew dokonał kilku odkryć. Po pierwsze - świeżość liści.

Zieleniły pogodnie leśny świat niezależnie od kulejącego systemu gospodarczego. Nic, czysta natura, swoboda potężnej prawidłowości, absolut prawdy. Chłonał te pewniki pełną pierśią wraz z orzeźwiającym powietrzem. Zachciało mu się pić. Zerwał kilka liści brzozy, wyszał, wypłuł. Miały smak dzieciństwa. Bez przeszkód dał nura w przeszłość. Szczęście bez granic. Rzucił się na sprężysty mech, pokulał się w gąszcz, między jałowce. Leżał. Słońce stało już wysoko, promienie przesączały się cicho między gałęziami, dawały znać o sobie ptaki.

Zamknął oczy. Znów przywołał zielono-niebieskie obrazy chłopcstwa: Adaś w malwach przed domem rodzinnym, jeszcze mniejszy Adaś - na obłaskawionej maciorze sąsiada - podróż z podwórka do ruin zamku tuż za miedzę, wśród ruin stawek, u brzegu beczka, beczką do szuwarów, żaby kumkają, dziadek z kładki łowi ryby, refleksy słońca na wodzie, brzęczenie much...

Już, już miał przełknąć grudkę szczęścia i zasilić nią spragniony liryki organizm, gdy raptem skądś pojawił się lęk. W pierwszej chwili był zaskoczeniem odczuwanym jako rozkosz. Później ścisnął za gardło. Gałęzie, słońce, mech, ptak, obrazy przeszłości - pokryły się pleśnią.

Rozejrzał się na wszystkie strony. Nikogo. A powietrze dalej wibrowało strachem. Poddał się tej wibracji z uległością głaskanego pod włos kota. Wstał z mchu i czekał - nie było ucieczki. Zaszleszczą kroki, poczuje dotyk ręki na ramieniu...

Strach zniknął raptownie, jak przypląnął. Śpiew ptaka znów był tylko śpiewem ptaka. Zataczając coraz niższe kręgi nad głową Adama - spływało na niego znów powoli, powoli poczucie bezpieczeństwa.

Przeciągnął się, odetchnął, strząsnął zmoreę.

- Huu, huu! - odezwało się coś z krzaków.

Sprężył się od stóp do głowy. Dopiero w następnym ułamku sekundy uświadomił sobie, że to może być ta Marta. Gdyby nieco wcześniej przypomniał sobie o jej istnieniu, nie wchodziłby do lasu pod żadnym pozorem.

Podczołgiwała się przez gąszcz w jego stronę.

- Jednak przyszedłeś, przyszedłeś! - z tymi słowami wynurzyła się z krzewów. Jej policzki ubarwiały z wolna rumieniec zakłopotania. Czy na pewno zakłopotania?

- Myślałam, że ja tu będę pierwsza! A to ty czekałeś! Jednak czekałeś!

- Przyszedłem przypadkowo - rzekł chłodno, licząc, że odeprze pierwszy napór jej kobiecości.

- No, już dobrze - starała się panować nad sytuacją. Ciężko opadły jej powieki, niepokojąco ciężko. - Zdradzę ci tajemnicę... bardzo cię lubię... wiesz?

Coraz gorzej.

Kiwnął głową.

- Podobałeś mi się od początku... Przyszedłeś na montaż w beżowym krawacie...

Chciał powiedzieć, że nigdy nie nosił krawata, ale niewiele by to pomogło.

- Wydałeś mi się inny niż wszyscy...

No tak. Jeszcze gorzej.

- To znaczy jaki? Jaki? - ruszył do ataku, byle tylko uniknąć działań fizycznych.

Bliskość kościstej Marty sprawiła mu dotkliwe cierpienie.

- Zagadkowy.

- To bardzo ciekawe.

- Odkryłam, że w środku jesteś taki sam jak na zewnątrz.

- Co?

- Ludzie przeważnie udają ze strachu kogoś innego niż są, a ty szukasz strachu, żeby znaleźć siebie.

- Czyżby? - powiedział, a pomyślał: ona jest mądrzejsza, niż się jej wydaje.

- Dlatego ludzie wietrzą podstęp. I boją się ciebie.

- Mnie?

- Nawet naczelny. I Draż. Gdyby tak nie było, to by cię wylali. Denerwujesz ich.

Muka też nie może dać ci rady. A ja cię lubię.

- Dziwne, bo to ja się ich boję.

Jej oczy zaszklily się, kąci ust opadły gwałtownie.

- Czy ze mnie też chcesz strugać wariatkę?

- Nie, nie, wykluczone!

Adam pogubił się, Marta wprawiała go w przykry stan zawieszenia w próżni.

- Już dobrze - otarła łzę. - Niczego od ciebie nie chcę, tylko żebyś mnie lubił.

- Naprawdę polubiłem ciebie.

- Boję się, że udajesz.

- Mówiłaś, że nie boisz się niczego.

Odwróciła głowę i przygryzła wargi. Przysiadła na mchu. Tarmosiła paznokciami łodyżki. Była załóżnie poważna. Odezwała się dopiero po chwili, ciągle uciekając wzrokiem w las.

- Mnie też by zwolnili, gdyby mogli, bo ja mówię prawdę w oczy. Udławić się można.

Wszyscy łąą.

- Jesteś dzielna - powiedział, żeby coś powiedzieć.

Rozpogodziła się natychmiast, przeszła ze stanu przygnębienia w wesołość, jak czynią dzieci albo histerycy. Nieśmiało, z czułością pogłaskała go po głowie. - Ale to nie sztuka, że ja jestem dzielna. Nie to co ty... - A kiedy milczał, nie wiedząc jak ciągnąć ten krępujący dialog, dodała zalotnie: - Ja niewiele ryzykuję. Ja mam białaczkę.

- Nic innego nie potrafiłaś wymyślić?

- Serio. Za rok mnie już w radio nie będzie.

- A gdzie będziesz?

- Nigdzie.

Zrobiło mu się lekko i pogodnie.

- Posłuchaj Marto... możesz mi powiedzieć, jak to jest bez strachu, jak się człowiek czuje bez tego?

- Bierzesz mnie pod włos, ale ci powiem. To tak jak bym wszystko obrysowała wyraźną kreską, jak bym miała dwie nogi, dwie ręce i jedną głowę. A nie dwie.

- Ładnie cię nauczyli mówić.

- O co ci chodzi?

- O nic. Nieważne...

- Nie wierzysz mi? No to patrz... - nieśmiałym ruchem uniosła spódnicę na tyle wysoko, że zobaczył na jej udach grube blizny. Szybko je zakryła z powrotem. - Robili na mnie eksperymenty w obozie. Teraz dopiero boisz się mnie dotknąć, co?

- Przepraszam... - przełknął głośno ślinę. - A myślałem... zresztą nie ma o czym.

- ...Że ktoś mnie na ciebie napuścił?

- Mniej więcej.

- Więc udowodnij, że mnie teraz nie boisz się dotknąć...

Objął ją z lekka i pocałował w policzek. Zamknęła oczy. Osunęła się na mech, leżała wyczekująco, oddychała szybko. - No, nie bój się, to nie jest zaraźliwe... - głos jej się niebezpiecznie załamał.

Nie wiedział, co zrobić ze swoim ciałem, zawisł nad nią pusty, rozpięty między wiarygodnością a kłamstwem, między dobrocią a niemożnością.

Powinien coś przedsięwziąć, natychmiast, już. Fatalnie nie potrafił.

- Nigdy mnie nie zauważałeś... - jej głos zniekształcał nadmiar żalu - ...ani na montażu, ani na szkoleniach ideologicznych... - dodała chrapliwie.

Prawda, niech to diabli, jego wina.

Trzeba zamknąć oczy, stanąć na wysokości zadania.

Zamknął oczy.

Osunął się z powagą na chudą Martę. Przez bluzkę i spódnicę doznał tajemnicy jej ukostnienia. Na szyi poczuł gorący oddech.

Leżał niewygodnie i tępo wzywał swoją męskość na ratunek.

Bez echa.

Marta drżała od stóp do głów.

Żeby chociaż jakaś detonacja z daleka, albo żeby pies zaszczekał.

Tak trwali w oczekiwaniu.

Nic - prócz przeklętego śpiewu skowronków i szumu rozpaczy w uszach - nie zakłócało ich cichego splotu.

Niedaleko leżała łąka porzucona w krzywdzie niespełnionego czynu. Uświadomił sobie ze wstydem swoją winę. Fakt pozostawał faktem: jako jednostka społeczna drugi raz w ciągu jednego dnia uchylał się od powinności obywatelskich. Pomyślał o sławnych synach narodu. Każdy z nich na jego miejscu inaczej by się zachował. Taki Słowacki... na przykład... Mieszko... Traugutt powiedzmy... i Marta.

Dopiero przy Poniatowskim dało o sobie znać poczucie obowiązku. Idea materializowała się posłusznie, choć z trudem.

Marta załkała z radości.

Instytut Wodny

W czasie akademii poprzedzającej kolejne święto Adamowi wręczono nagrodę. Było to krótkie pismo wyrażające uznanie za obywatelską postawę w pracy i duży ładunek ideowy zawarty w jego audycjach. Prócz pisma dostał kopertę z pewną sumą pieniędzy jako zachętę do kontynuowania tak dobrze rozpoczętej działalności na stanowisku młodszego redaktora. Formalną zasadność wyróżnienia trudno było podważyć. Toteż nie uniosła się ani jedna brew oklaskujących go kolegów. Lecz Adam przeczuł w nagrodzie pierwszy niepokojący objaw faworyzowania go przez kierownictwo i to faworyzowania wymuszonego, gdyż faktycznie więcej przysporzył kłopotów, niż pozostali koledzy razem wzięci.

Na dźwięk swojego nazwiska wyczytanego przez Długą - zadrżał i jak zwykle oblał się potem. Wracając jednak od stołu prezydyjnego z odebraną kopertą i pismem - ochłonął, wysechł, a nawet spojrzął po zebranych z pewną dozą dyskretnej wyższości. Nie zdarzyło mu się dotąd odczuć satysfakcji z rezultatów własnego pajacowania. Wyszedł cało z kilku fatalnych opresji, z zadziwiającą prawidłowością omijało go fatum. Czyżby więc linia obrony, jaką ostatnio usiłował stosować, kryła w sobie wartość metody? - myślał, gapiąc się w ruchome usta naczelnego. Referat okolicznościowy trwał nadal.

Czy można tu mówić o metodzie, jeżeli dotychczas kierowała nim wyłącznie nieśmiałość i lęk? Lęk przed fatum wszechmocnym i wszechobecnym. Przed jego karzącym ramieniem, które dotknąć może każdego w każdej chwili, bo karanie jest istotą fatum. Jeżeli skarże wszystkich, którzy na to zasługują - szczęście zapanuje powszechne. Tylko kwestia czasu. Dlatego nie powinno się czekać z karaniem winnych. A winnym może okazać się każdy - bo każdy nosi w sobie zarzewie fatum. Zamknięta spirala. Wstrząsnął nim dreszcz. Otrząsnął się.

Krótko: nie ma się co wstydzić tej wynalezionej przypadkiem metody przewycięzania własnego lęku i nieśmiałości przy pomocy odruchów warunkowych zrodzonych z lęku i nieśmiałości. Trzeba jeszcze uporać się ze strachem przylepionym do pamięci szczególnie mocno, uwierającym już od siedmiu czy ośmiu lat. Chodziło o sąsiada i trzy koty.

Sąsiad był człowiekiem powolnym, poważnym, miał dobre, niemal babcine oczy, choć krył się w nich nieznaczny wytrzeszcz, jakby babcia wróciła dopiero co od dentysty.

Sprawa przedstawiała się dość zawile i Adam nieraz zastanawiał się, czy właśnie sąsiada mógł nazwać ojcem tego lęku, a matkami trzy potulne kotki wygrzewające się w różnych kątach podwórka - czy może jego chłopięcy lęk narodził się kiedy indziej. Trudno byłoby to ustalić. Ale ponieważ lęk nie bywa sierotą więc...

Otóż owego dnia szczerbatymi schodami przyszedł na piętro do rodziców Adama sąsiad z parteru. Usiadł za stołem, spojrzął na ponemiecki kredens, spojrzął w podłogę i rzekł, iż doszło do niego, że ktoś otruł koty i nie wiadomo kto, a jak nie wiadomo to wszyscy mieszkańcy posesji są podejrzani, ale ktoś musi być bardziej podejrzany od innych. Tak już jest i inaczej być nie może, a ponieważ proszę was, wy jesteście skarbnikiem ligi przyjaciół zwierząt, ale i niestety przedwojenną inteligencją, jak się mówi - skostniałym karłem sanacji, więc... I tu sąsiad zafrasował się nie na żarty i poprosił, psia krew, o kieliszek wódki, jeśli łaska. Więc pili wolno i poważnie, a sąsiad patrzył cały czas w podłogę i mówił, że kto jak kto, ale nikt nie może być lepszym trucicielem niż skostniały karzeł i jego rodzina, nieprawdaż? - czemu ojciec Adama nie przytaknął, ale też i nie miał po co zaprzeczać. Pili przeto dalej małymi łykami i już cisza zapanowała z powodu niejakiej rozbieżności poglądów na sprawę.

Następnie sąsiad podniósł się z krzesła, pocałował w rękę matkę Adama, podziękował za poczęstunek i rzekł, patrząc dalej w podłogę: - No to chyba pójdziemy...

I stało się, że poszli z sąsiadem wszyscy we trójkę, bo matka zasłoniła sobą ojca i powiedziała patrząc w podłogę, że albo wszyscy, albo nikt, na co sąsiad po krótkim wahaniu przystał. Więc udali się tam, gdzie takie sprawy jak podstępne trucie kotów i inne podobne załatwiano w miasteczku.

Na korytarzu podłoga pachniała ropą naftową, pod ścianą krzesła samoskładane jak w kinie. Sąsiad pożegnał się, kazał czekać, trzasnęły drzwi, ktoś z dala kaszlnął, zaległa cisza.

Z upływem godzin - ojciec, matka i Adam zaczęli obrastać kocia trucizną, aż obrośli, każde z osobna stając się trucicielem. Dopiero wtedy ktoś przyszedł i poprosił ich do piwnicy, albowiem byli winni otrucia zwierząt służących rozwojowi gospodarki narodowej, gdyby nie byli trucicielami, to by tu nie przyszli, dobranoc.

Siedzieli tak dwie doby o chlebie i zupie przynoszonej w milczeniu przez pewnego człowieka, nie wiedząc wcale na jak długo los ich razem złączy.

Przypadek chciał, że w tym czasie odbyły się wybory nowego prezesa ligi przyjaciół zwierząt, na które to stanowisko ojciec Adama kandydował... No, ale co tam.

Trzeciego ranka przeproszono całą trójkę za kłopot. Cóż - rzekł na pożegnanie urzędnik ewidencji - u nas miło, skromnie, ale drugi raz nie namawiam, nawet pająki zapadają na reumatyzm. - I zaśmiał się bezszelestnie, otwarłszy usta na oścież.

Tak zakończyła się sprawa otrucia kotów, które dalej wygrzewały grzbiety w słońcu, ciesząc się swoim kociarstwem. Jednak dla Adama straciły wiele ze swego uroku. Chyba nawet cały. A kto wie, czy nie jeszcze więcej.

Akademia z okazji święta trwała nadal. Adam - mimo wysiłków - nie potrafił się skupić, by jednak nie wystawać z tłumu kolegów - zwrócił korpus w stronę stołu przydzielonego, nadał twarzy wyraz stężonej dynamiki i tak udrapowany - już z czystym sumieniem - odleciał znów na zewnątrz. Tym razem ku Agacie. Fanfarowa muzyka słów kolejnego mówcy podbijała jego marzenia coraz wyżej. Roilo mu się mianowicie rychłe uwolnienie ojca Agaty, jeszcze szybszy rozpad jej enigmatycznego małżeństwa, niezaraźliwa i bezbolesna choroba Z. uwieńczona jak bukietem orchidei - cichym zejściem. Co miałoby nastąpić dalej, nie zdążył domarzyć, bowiem ktoś z tylnego rzędu zawołał przejmująco „niech żyje”, na co wszyscy wstali z miejsc, po czym rozbrzmiała pieśń stara i dobra, która towarzyszyła kiedyś dawno walce o rzeczywiste prawa ludu.

Dziewczynka w białej sukni! Właśnie wtedy ujrzał ją tak blisko, na wyciągnięcie ręki, poważną, z wiankiem na jasnych włosach i małym kotkiem pod pachą. Nie większym niż pięść. Szła szpalerem pomiędzy śpiewającymi. Byli tak zajęci podpatrywaniem się nawzajem, że nie mogli zobaczyć bijącego od niej blasku. Serce Adama ścisnęła tęsknota. Gdyby choć muśnięcie jej spojrzenia! Szła zapatrzona w czerwone płótno nad stołem przydzielonym. I nagle gdzieś się zapodziała.

Po uroczystości ruszono tłumnie pod „Gwiazdę morza” obmyć dusze piwem.

Do domu wrócił wcześniej. Nie zdarzało się to często. Stał przed drzwiami wejściowymi, wyjął z kieszeni klucz i obracał w palcach. Ilekroć miał go wsunąć do tego zamka, czuł się jak dozorca własnej klatki.

W korytarzu panowała cisza i zapach olla podrida - ulubionej, rodzinnej potrawy Z. Mercedes prawdopodobnie spała. Poszedł na palcach do jej pokoju. Rzeczywiście. Stał nad posłaniem. Różne uczucia tykały w nim jak w budziku.

Długo stał w strumieniu tęczy. Ruszył wreszcie do łazienki. Zdjął koszulę i oblał plecy zimną wodą. Spojrzał w lustro. Oczekiwał w nim widoku Z. Bywało, iż usłyszawszy, że myje się po powrocie - stawała w półotwartych drzwiach, aby podpatrzeć, czy nie usuwa z ciała śladów przebytych rozkoszy. Tym razem lustro wypełniała tylko jego twarz, podłużna, z oczami zdziwionego męczennika. Nie lubił swojego odbicia. Jako dziecko miał żal do matki,

że nie była Indianką.

Gdzie jest Z.? - pomyślał nagle z wzrastającym niepokojem.

Rzucił ręcznik na podłogę i pobiegł do jej pokoju. Pusto. W kuchni też. Do gabinetu wuja. Zaglądał do potężnych szaf pełnych kamieni, skorup, trupich czaszek. Pognał wreszcie korytarzem w stronę swojego pokoju, gdzie Z. rzadko zaglądała. Pchnął drzwi i osłupiał.

Pod oknem, na fotelu - swobodnie rozparta, z nogą na nodze, uśmiechnięta towarzysko - siedziała Z. A bokiem do drzwi na drugim fotelu... Agata!

- Przepra... - wyjąkał i już chciał się cofnąć, lecz Z. powstrzymała go skinieniem ręki.

- Pani do ciebie. Ma wiadomości od wuja.

Cofnął się i wrócił do łazienki. Powtarzał w kółko: Agata, Agata, Agata. Uciekać. Wymknąć się cichaczem. W ostateczności poczekać na ulicy. Agata? Jakikolwiek kontakt z nią w obecności Z. wydał mu się torturą.

Długo stał ubrany już i napełniony udreką po czubek czaszki. Kapiące minuty rozlewały się w czarną plamę bezradności.

Wreszcie usłyszał kroki. Zapukała Z. Weszła. Z niespotykaną u niej uprzejmością poinformowała go, że kuzynka wuja spieszy się i chce z nim zamienić kilka słów. Na to on wyszczerzył zęby w ohydny, niemym żalu, iż nie przebiła się wtedy skutecznie nożem - zerknął przy tym w lustro i przeraził się tych myśli odbitych na twarzy. Chcąc samemu przed sobą zatuszować tę morderczość, pocałował znieacka Z. w czoło, na co ona odskoczyła w wielkim strachu, spodziewając się raczej ataku niż czułości. No i ten kompletny brak zrozumienia jego intencji, to wieczne mijanie się z Z. tak go znów rozżaliło, że o mało nie trafił jej litrową butelką szamponu. Na szczęście butelka uderzyła w ścianę, a obryzgana Z. uciekła tłumiąc płacz. Wtedy on drżąc cały z wielkiego strachu, żeby Agata niczego nie usłyszała i nie dorobiła sobie fałszywej legendy do tych wszystkich szmerów - zamknął drzwi od łazienki i puścił sobie wodę z kranu na głowę, na biedną swoją głowę, którą rozsadały troski.

Wyszedł po dłuższej chwili, czaszka mu pękała, lecz niósł czoło wysoko, gotów na wszystko.

Z impetem wszedł do pokoju.

Widok samotnej Agaty siedzącej w fotelu osadził go w progu. Cisza trwała czas pewien. Piękna twarz Agaty wydała mu się jeszcze piękniejsza, niż udoskonalił ją sobie w pamięci.

- Ooch - jęknęła ochryple i przypaliła od niedopałka następnego papierosa. Nagłym ruchem głowy strząsnęła z twarzy opadające włosy. W efekcie zakryła się nimi kompletnie.

Znów milczenie. Nie mógł wykrztusić słowa.

- Inaczej nie mogłam... - wykrztusiła za niego.

Na pewno coś z jej ojcem - pomyślał, coraz bardziej opanowany, coraz spokojniejszy, może dlatego, że zauważył jej narastające zdenerwowanie, może też z upływem chwil tracił złudzenia, iż przyszła tu tylko dla niego. Boże, a on przez ten cały wiek rozłąki wypatrywał jej oczu w oczach każdej napotkanej kobiety, jej profilu w każdym zauważonym profilu, nawet męskim, każdy portret na ścianie był jej podobizną.

- Czy moglibyśmy stąd wyjść? - usłyszał wreszcie swój własny głos, który dudnił nienaturalnie.

- Tak, tak, tak, tak - powtarzała w takt pakowania do torby drobiazgów. Dopiero teraz dostrzegł, że nosiła się elegancko, co czyniło ją sztuczną, obcą jakby.

Na korytarzu ani śladu Z. Szkoda, miałyby okazję do ostatecznego ustalenia zapachu Agaty.

Ulica oddychała już świętem. Transparenty, napisy, flagi wystawały z załomów ruin, zalepiały dziurawe okna świeżo odbudowanych domów, z płotów okalających wykopy pokazywały zęby plakatowe traktorzystki.

Agata wsunęła rękę pod ramię Adama. Właściwie od momentu wyjścia z mieszkania zaczęła przejawiać inicjatywę w wydaniu dość popularnym, której zupełnie się po niej nie spodziewał. A to przyglądała mu włosy, a to poprawiała róg kołnierzyka koszuli, to znów przytulała się do jego boku miękko, samiczko. A wszystko to w marszu coraz szybszym, bo on nie wiedząc jak zareagować - przyspieszał kroku, sztywniał, czerwieniał, bladł, przełykał ślinę, pochrząkiwał, a ona przeciwnie - wiotczała, spoglądając coraz cieplej na jego profil, co stwierdził kątem oka. Nagle - ponieważ trafiła nogą na jakąś wyrwę w chodniku - potknęła się i byłaby upadła, gdyby jej nie szarpnął. Wtedy nagle chwyciła go oburącz za klapy kurtki, potrząsnęła nim i krzyknęła z odległości centymetra od jego nosa:

- Kocham cię, kocham, kocham...

Przechodnie obejrzeni się ciekawie, wymieniając uwagi, gdzieś z oddali, z wnętrza knajpy, jakich było tu pełno w piwnicach, zagrało tango - a oni stali w wyrwie chodnika i całowali się, samotni jak góra na stepie, obcy ludziom, ruinom i sztandarom łopoczącym wokół.

Z gromadki gapiów wysunął się milicjant, podszedł do gorszycieli, wyjął notes, sprawdził na zegarku godzinę, wypisał mandat, po czym popukał ołówkiem w plecy Adama, raz - nic, po drugim stuknięciu Adam odwrócił z wolna głowę, opuścił ręce a oswobodzona Agata rzuciła się do ucieczki.

Gapie - coraz ich przybywało - zarechotali, milicjant uniósł brwi, podsunął Adamowi mandat pod nos, ale Adam jeszcze nie spłynął z wyżyn, gdzie wzniósł się był wskutek gwałtownego podmuchu uczucia, jeszcze nie zdołał się odwznieślić, wodził przymglonym wzrokiem po sylwetce funkcjonariusza, aż z nagłą chwycił go w ramiona i ucałował w oba policzki szeleszczące kodeksem a jednak ludzkie częściowo, jeszcze raz ucałował gorąco - by tym raptowniej odskoczyć i posyłając mu pożegnalne pa! pa! popędzić za Agatą przy akompaniamencie dopingu gapiów: gorzko! gorzko! A władza odarta z władzy, z papierowym mandatem w jednej ręce i ołówkiem w drugiej, z mętlikiem doznań pod czapką - otarła nareszcie twarz rękawem i zawyła z ogromnej tęsknoty za smakiem kobiecych ust, za echem chłopięcych łąk, za bezmundurową swobodą: rozejść się! rozejść do kurrrr...

Za siódmą przecznicą była knajpa o ścianach zapleśniałych oddechami pijaków - gdzie spełnili pierwszy toast w kącie przy stole usianym petami, gdzie wypili drugi toast, żeby ich ręce trwały w szczelnym złączeniu na wieki, gdzie wypili trzeci toast pod zimne nogi cielejące za miłość nieskończoną, która zaczynała dawać się im we znaki z siłą postępującego paraliżu.

- Słuchaj... - mówiła Agata głosem ciężkim od treści.

- Słuchaj, słuchaj... - mówił Adam, odnajdując w swoim i jej głosie podobieństwo niespotykane.

- Nie wiem, co to... jak to... czekałam, wiedziałam a jednak... już dobrze, teraz już tak... już wtedy tamtej nocy...

- Każda minuta od tamtego czasu miała twój zapach, nie, bzdura, mówię jak list do ciebie, nie, wszędzie ze mną byłaś, ukradkiem, przy goleniu rozdrapywałem bliznę na szyi, żeby nie zapomnieć twoich paznokci...

- A zakażenie? To nie twoja skóra, to moja!

Dotykała jego blizny, jego włosów, wplątywała w nie swoje palce, które drżały oczekiwaniem nowych dotknięć.

- Czekałem na ciebie...

- Przychodziłam! Byłam kilka razy przy twoim łóżku, ale nie śmiałam cię obudzić, choć cały dom spał, klucz w zamku przekręcałam po milimetrze, koszmar, nie wiedziałam, co zastanę, kogo w twoim łóżku... Stawałam po ciemku na progu twojego pokoju i liczyłam oddechy... Na szczęście były pojedyncze wracałam do domu i piłam do rana...

- Tak cię prosiłem!...

- Żeby się nie udusić, kiedy byłam bliska ucieczki z tamtego domu musiałam odetchnąć tobą, szłam po twoją bliskość, później łatwiej znosiłam tamto.

- Mogłaś przy mnie zostać...

- Cicho... złamałabym słowo i wszystko przestałoby mieć sens.

- Jakie słowo?

- Nie zapominaj, po co tam jestem.

- No tak, no tak - pogładził delikatnie wierzch jej dłoni i nagle swoją rękę cofnął.

- Posłuchaj - zaciągnęła się głęboko papierosem, spojrzała mu prosto w oczy. - Musisz wierzyć. Nie ma znaczenia, że jestem tam. Jak manekin. Ojca nie zamienię nawet na ciebie. Wypełniam misję tylko dla niego.

- Niezupelnie - powiedział drętwą, bo tamten cień o nieznanym nazwisku przesłonił mu Agatę, zgasił blask.

- Nie kalecz mnie, proszę - ścisnęła mu kurczowo przedramię. - Nie uciekaj. Wracaj! Jesteś mi potrzebny.

- Dobrze - powiedział głucho. - Wracam. Już wróciłem.

- Posłuchaj, ratuję się, jak mogę - uporczywie patrzyła mu prosto w twarz. - Stałam się przesadna, za dużo zależało w moim życiu od przypadku. Traf chciał, że zabrali mi ojca, zbieg okoliczności, że mogę go teraz wreszcie odzyskać. Przez cztery lata chodziłam na widzenia z nim, nie wiedziałam, czy go zobaczę następnym razem. Liczyłam kroki z dworca do bramy i od bramy do sali widzeń, liczyłam drzewa po drodze, ptaki, psy, słupy, żeby doliczyć się szczęśliwej dacie zwolnienia albo ułaskawienia. Wróżyłam sobie z guzików na mundurach dozorców. Czepiałam się wszystkiego w zasięgu wzroku, żeby doliczyć się sprawiedliwości. Czy ja w tym liczeniu jestem zacofana? Co ojciec by na to powiedział?

Patrzył na nią i nie wiedział nic prócz tego, że ją wielbi.

- Tak - odrzekł dopiero po chwili, czując w czasie pauzy narastającą bliskość do tej innej Agaty - nie ekspansywnej, świadomej swojej kobiecej siły lecz - zgubionego człowieka. Odnalezienie w kobiecie człowieka czyni z mężczyzny dziecko - przypomniał sobie werset starokujawski.

- Tak - powtórzył. - Jesteś zacofana. Jesteś najdroższą kołtunką, jaką znam.

- Ty jesteś też w to zamieszany - ściągnęła wargi, zapaliła kolejnego belwедера.

- Ja?

- W moją kabałę. Wyliczyłam, że jeżeli my... jeżeli będziemy razem choć jeden raz przed jego zwolnieniem, on nie wyjdzie.

- Drobnomieszczańskie zboczenie.

- Jako kobieta mam prawo do błędów ideologicznych.

- Moja kobieta.

- Powiedzmy...

- Co?

- No chyba tak...

- Co??

- Tak, tak, tak! - raptownym ruchem chwyciła jego głowę, przybliżyła do swojej i pocałowała w usta, wdmuchując kłęb papierosowego dymu.

Zakrztusił się, łapał z trudem powietrze.

Każde słowo liczyło się na miarę ich nowego wszechświata, byli wspaniale hermetyczni, głusi na odgłosy knajpy. W pewnej chwili Agata wstała z krzesła, wyprostowała się, zrobiła minę uroczystą: - A teraz... prawdziwa nowina... podaj mi rękę, tak, mocniej... Uważaj! Dziś wypuścili mojego ojca!!

Zaniemówił. Też podniósł się powoli zza stołu. Stali naprzeciw siebie jakby się żegnali i nie mogli pożegnać.

- Chciałabym już stąd wyjść.

Potrząsnął jej rękę.

- Widziałaś się z nim? Agata, Agata!

- Jeszcze nie, ale ma przyjść do mieszkania ciotki, jego siostry, dziś wieczorem między ósmą a dziewiątą.

Spojrzał na zegarek.

- Dopiero piąta.

- No właśnie...

- Masz jeszcze trzy godziny czasu.

- Mamy jeszcze trzy godziny czasu...

- ...?

- W mieszkaniu ciotki nie ma nikogo, wyjechała. Tam będzie ojciec, zanim zamustruje na jakiś statek. On wypoczywa dopiero na morzu. Więc przyszedłam, żeby ci powiedzieć.

- I skłamałaś.

- Ja?

- Powiedziałaś, że w sprawie wuja.

- Z radości, nie chciałam żeby twoja żona...

- Jej obsesja dotyczy tylko osób urojonych. Te, które zna, są poza podejrzeniami. Z nudów została mitomanką.

- Dziś dzień łaski dla naszych wrogów.

- A... ten pan? - zdanie to z trudem przeszło mu przez gardło.

- Nie mam skrupułów. Nigdy niczego mu nie przyrzekałam. Na wszystko się zgodził. Zresztą on jest odporny, nic go nie złamie. W końcu cała sprawa wygasa automatycznie z chwilą uwolnienia ojca.

- Tak myślisz?

- Tak czuję i to się tylko liczy. Jutro składam podanie o rozwód.

- I on się zgodzi? Mówiłaś z nim?

- My niewiele rozmawiamy.

- Ale czy stawiałaś jasno sprawę?

- To byłoby szaleństwo. Ojciec nigdy by nie wyszedł.

- Uważasz, że tak dobrze?

- Tak, na pewno! - powiedziała z zaciętością. Jej usta miały znów ten grymas blaszanej lalki. - Próbowałam inaczej, ale traktowali mnie jak idiotkę albo samicę.

- Chodźmy już... - rzekł drętwo.

Na dworze panował popołudniowy upał. Po kilkunastu krokach ona nagle obejrzała się zniecka, jakby coś przeczuwając. Spojrzał śladem jej wzroku. Na kupie piachu, plecami do chodnika kuczał mężczyzna głaszcząc jedną ręką główkę dziecka, a drugą przytrzymywał je ukradkiem za nóżkę, bo dziecko za nic nie chciało się poddać pieszczocie.

Gwałtownie pociągnęła Adama do najbliższej bramy, przebiegli podwórko. Znów jakiś korytarz, ruiny, następne podwórko i z powrotem w kierunku ulicy, którą szli poprzednio. Zanim opuścili kolejną klatkę schodową, Agata oparła się całym ciałem o niego i ciężko dysząc uśmiechnęła się z wysiłkiem, kładąc palec na ustach: - Znam takie kawały... szybko! Zapamiętaj, ulica Leśna 3, mały domek za żywołotem, bądź za kwadrans, to niedaleko, dzwoni osiem razy bardzo krótko, nie pomyśl się, licz! Ja już tam będę. On tego adresu nie zna. A teraz na drugą stronę ulicy... najpierw ja. Wiem, kto nas śledzi, potrafię go zgubić. Czołem, do zobaczenia...

Wystartowała z półobrotu, nim zdążył dotknąć jej włosów. Na wszelki wypadek odczekał pół minuty i poszedł za nią, oglądając się co chwila. Tamtego już nie było. Agata miała wprawę. Adam drżał z podniecenia, lecz ani na moment nie zawahał się pójść pod wskazany adres. Wierzył jej ślepo - mimo, że czas był po temu, aby wszelką ufność składać na ołtarzu diabła.

Umówione dzwonki zabrzmiały niepoważnie choć tajemniczo.

Przywitała go, jakby wrócił z dalekiej wyprawy - z wylewnością niepozobawioną jednak pewnego zażenowania tym, na co czekali, na co oboje czekali całe miesiące, a co teraz wydało im się zbyt dosłowne. Toteż kiedy znikła za drzwiami kuchni pod pretekstem

przyniesienia herbaty, miał czas uświadomić sobie, jak bardzo kocha jej zniknięcie a potem jej pojawienie się, podczas którego pchnęła go niby żartem, gestem pogromczyni - na tapczan w pomarańczowe kwiaty - czym przypomniła mu tę Agatę z pamiętnej nocy walki i krzyku. Kochał także jej powtórne wyjście i powtórne przyjscie i całą jej nerwową bieganinę raz ze szklankami, raz znów z cukrem i czajnikiem - całe jej istnienie w czasie i przestrzeni kochał bez żadnego uzasadnienia, na wrywki.

Tak go to odkrycie zachwycało, że z rozkoszy wodził błędnym wzrokiem po ścianach pełnych makatek i fotografii - nie widząc ich kompletnie, nie rozróżniając obrazka od zegara.

Nasilające się objawy uległy nagłemu zahamowaniu, gdy jego wzrok napotkał okno a za nim w oddali las na pagórkach...

...Znów?

Wolno wyrażniała w jego świadomości sylwetka dziewczynki na ścieżce pod lasem, biała sukienka, wianek na rozpuszczonych włosach... Dziewczynka podskakiwała odrywając się obiema nóżkami od ścieżki, wlatywała niczym owad, po czym lądowała miękko kilka kroków dalej, wzniecając obłoczki kurzu na ścieżce...

Zamrugał, żeby wyostrzyć dziwny obraz, ale kiedy spojrzał ponownie w tamtą stronę - dziewczynka gdzieś się zapodziała w krzakach...

Cóż... - pomyślał i momentalnie zapomniał o zjawisku, jak gdyby pękła ciągłość myśli, a zresztą do pokoju wróciła Agata, zbliżając się do niego motylim krokiem z pełną szklanką herbaty. Nareszcie realna Agata wpatrzona w niego z oddaniem, potknęła się i upuściła szklankę, która z brzękiem...

- Na szczęście!

- Na szczęście! - powtarzali na przemian.

I rzeczywiście - Adama przeszły refleksja, że dziś nie widział żadnego kota.

I rzeczywiście szczęście spłynęło na mały domek przy ulicy Leśnej 3, drugie piętro, gdzie stał się cud najbardziej ludzki z możliwych, najbardziej odświętny z codziennych, jedyny w swojej powtarzalności.

...dotykali się z czułym lękiem, ostrożnie aż do utraty tchu - żeby nie powtórzyć ani jednego gestu zniechęconego od tamtej nocy, żeby nie zgubić w pośpiechu ani jednej z tęsknot, które pomagały im odnaleźć siebie prawdziwych w tej bolesnej gmatwaninie faktów i pozorów.

Adam bał się nagości Agaty, nazbyt dobrze poznanej wtedy, gdy znać jej nie chciał. Agata bała się lękliwej nieśmiałości Adama - w jej pojęciu nienaturalnej.

...niech będzie pochwalony ogień miłości spalający na popiół wszystkie grzechy

przeciw prawdzie.

Niskie słońce zza lasu oświetliło ostatnim swoim przymrużeniem główną scenę ich święta. Nie zdążyli zasłonić okna ani powiedzieć sobie najważniejszego. Czas na to przyszedł później, lecz wtedy wybrali milczenie i dotykem dziękowali sobie nawzajem za kształt ciała, za kolor tej jednej jedynej chwili, która miała przecież realny wymiar kilku godzin.

Stwierdził to Adam z niepokojem, zerwał się, podczas gdy Agata leżała jeszcze czas pewien nieruchomo, zwinięta w kłębek, z zamkniętymi oczami, niechętna światu konkretów.

- Ojciec! - krzyknęła nagle, spuszczać nogi z tapczanu. - Pierwszy raz zapomniałam o ojcu! Boże! - popłakiwała histerycznie, skacząc w jednej pończosze, a drugą nakładając mozolnie szwem do przodu. - Zaraz powinien przyjść... nie może cię tu zastać, słyszysz! Absolutnie! Już idź, idź, błagam... poczekaj! Kiedy?

Umówili się za tydzień w samo południe w parku obok rozgłośni.

Adam biegł ścieżką przez las. Rozpierało go sporo różnych uczuć przyprawiających skrzydła. Ostatnie domy miasta zostawił daleko w tyle, pragnął samotności. Wbiegł na pagórek, skąd ujrzał przez gałęzie młodej dębiny ciemniejący w oddali pas wody. Wrzasnął przeciągle, gwizdnął, wdrapał się na pochyły pień drzewa, zeskoczył, świsnął na palcach, zbiegł z pagórka, wbiegł z powrotem, powtórzył tę samą drogę ze trzy razy i kiedy siły go nie opuszczały - zmienił plan. Nie pójdzie nad morze. Wieczorna plaża ma w sobie smutek braku barwy. Piasek bez koloru traci wesołość, jest ziemią. A dziś jest dzień życia imienia Agaty!

- On - liryk raczej niż patetyk, reagował na apogeum intymności na przekór swojej naturze. Rwał się do jakiegoś czynu, którym mógłby ukoronować dzień spełnienia. Gotów był wykuć w skale posąg swojej kobiety, gdyby miał pod ręką skałę, albo usypać kopiec i ustawić na szczycie jej but. Powrotu do domu, do wywieszania przez Z. jego zdrady - zupełnie nie brał pod uwagę.

A gdyby tak...

Pomysł, który wpadł mu do głowy nie sięgał pięt ani posągowi, ani kopcu - był za to realny. Oto ku czci Agaty mógłby dokonać swego zaniechanego czynu pierwszomajowego. Zmaże obywatelską hańbę, którą okrył się był wskutek własnej opieszałości oraz świadczeniom na rzecz Marty... Lepiej nie wspominać.

Mrok powoli gęstniał. Gdy dobiegł na miejsce - ochota do czynu jakby nieco zbladła. Może wskutek zmęczenia szybkim biegiem, może z braku łopaty, o czym w nagłym zapale poprzednio nie pomyślał - a może też wskutek refleksji, iż pomysł z czynem był po prostu głupi. Ale skoro już tu się znalazł...

Spróbował oderwać pierwszą taflę darni gołymi rękami. Szło opornie. Pod paznokcie

wbijają się ziemia, opuszki palców bolały. Lecz strzelista lojalność wobec Agaty wstrzymywała go od rzucenia w diabły całej tej roboty. Wyrwał trawę coraz wolniej, odpoczywał coraz częściej, wreszcie ukląkł i zamyślił się. Głównie o miłości jako miłości. Cóż za magiczny impuls ducha, który potrafi wyprowadzić ciało na podmokłe manowce zarośnięte przekłętą darnią. Po ciemku! Co na to Petrarca?

- Ręce lepi unieść do góry - niespodzianie zachęcił go jakiś stary głos zza pobliskiego płotu.

Uniósł z ulgą. Bolały. Że też wcześniej na to nie wpadł.

- Tera ustać - poradził znów nie mniej przychylnie głos z ciemności.

Wstał z klęczek, rozprostował kości z ulgą.

- Dziękuję za radę. - Miał ochotę uściskać starca. - Dziś mój szczęśliwy dzień, proszę pana. - Był bardzo rad, że wreszcie ktoś utwierdza go w wątpliwościach na temat spełniania czynu nocą, gołymi rękami.

- Spokojnie, jeno spokojnie - zachęcał trwożnie stary.

Był już blisko.

- Niech pan tera idzie prosto na te bramę ze mną razem.

Adama coś tknęło: - Dziadku, a po co?

W odpowiedzi staruszek schował się za plecy Adama i pchnął go czymś twardym między łopatki. - Idziem, idziem...

- Przepraszam, ale nie pójdę. Jestem tu służbowo jako przedstawiciel pewnej instytucji! - próbował się obejrzeć, ale stary popychał go silnie, jakby nie rozumiejąc z kim ma do czynienia.

- Idziem, idziem...

Coś z tyłu prztyknęło. Stary cicho wezwał Jezusa.

Adama przeszły ciarki. Wolał nie oglądać się, żeby nie przestraszyć do reszty swego opiekuna, który mógł być niegroźnym, ale jednak wariatem. Na wszelki wypadek ruszył wolno w kierunku mającej w pobliżu bramy. Postanowił jednak nie dać za wygraną. Zwrócił się do starego z całą powagą.

- Sądzę, że jesteście strażnikiem tego ogrodzonego płotem przedsiębiorstwa. Proszę przyjąć do wiadomości, że jutro zadzwonię do waszego dyrektora i wy poniesiecie konsekwencje za utrudnianie pracy redaktorowi służby specjalnej Polskiego Radia.

Bez odpowiedzi. Ta magiczna formuła skutkowałą zwykle w każdych warunkach.

Poprzez szuranie butów dał się słyszeć z tyłu odgłos czknięcia. Coraz gorzej. Mimo narastającego strachu i ucisku twardego przedmiotu na plecy - Adam spróbował przystanąć i

zacząć z innej beczki. Najważniejsze, żeby nie pozwolić wpędzić się za tę bramę, nad którą - jak sobie przypominał - widniał napis Instytut Wodny. Gorączkowo starał się wymyślić jakiś ważny pretekst usprawiedliwiający grzebanie w trawie o zmroku w pobliżu Instytutu Wodnego.

- Proszę pana, niech pan się skupi i posłucha uważnie - rzekł dobitnie. - Pracowałem tu przy budowie stadionu i zgubiłem pieniądze, dużo pieniędzy, cały portfel. Dziś przyszedłem, żeby poszukać. Jeżeli pan mi pomoże znaleźć, podzielę się z panem jak brat z bratem po połowie, wracajmy.

- Idziem, idziem, pryndzy...

Stali przed półotwartą żelazną furtą.

Ucisk na plecach nieco zelżał, lecz zaraz wzrósł w dwójnasób. - No panie, toć mówię idziem za bramę, bo dłuży tego nie uniese - prosił starszek.

- Panie starszy - Adam stał w miejscu jak posąg - niech pan się nie denerwuje... niech lepiej upuści to, co trzyma w ręku...

- Ba! Palic mi się zaklyszczyl w cynglu... gdzie tyn Zdzisiek sie psia krew zapodzioł? No idziem! Idziem! - denerwował się nie na żarty.

Od silnego ucisku Adama zabolalo pod łopatką.

Stan był krytyczny. Ruszyli, minęli furtkę. Stary mruczając coś pod nosem usunął nogą cegłę i furta zatrzasnęła się ze szczękiem.

- Dziadku... - zaczął ostrożnie Adam. - Niech mnie dziadek już nie popycha...

- To sie odbezpieczyło, jak popuszczze, może wygarnąć i pójde do mamra.

Szli noga za nogą w stronę mającego w ciemności budynku. Trzasnęły drzwi - wyszedł ktoś, zbliżał się w ich kierunku. Ucisk na plecy ustąpił i nic się o dziwo nie stało.

- Zdzisieek! Chodzi tu pryndzy! - zawołał stary.

- Czego!

- Szybciej, proszę pana! Szybciej! - Adam chciał również zakończyć całą sprawę, lecz wołał nie przyspieszać kroku.

Zwany Zdziśkiem - podszedł, stanął w pewnej odległości.

- Jasiński?

- No...

- Kto jest z wami?

- Obcy...

- Co za jeden?

- Jestem, proszę pana, redaktorem i...

- Chwileczkę - przerwał młody człowiek, podszedł bliżej, zaświecił latarką prosto w twarz Adama. Zgasił. - Jasiński, wy go znacie?

- Ja? - zdziwił się stary.

- Jak on się tu wziął na terenie obiektu?

- Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do kierownika albo komendanta - powiedział z wyższością Adam.

- Chwileczkę - rzekł przeciągle strażnik. - Nie pana pytam.

- A to grzeboł czegoś w ziemi pod płotem...

- Chodziło o czyn... - wyrwało się Adamowi, reszta uwięzła mu w gardle, zakaszła.

- ...gołymi rencamy, o zobocz, jakie mo łapy, wej!

Adam odruchowo ukrył ręce za plecy. Milczał. Czuł, że chwytają go dreszcze.

- No, no! - strażnik cofnął się dwa kroki. - I co?

- ...A późni chcioł mi dawać forsy - zaskrzeczał.

- On?

- Powiedział, że tu ma zakopane gotówkę.

Adam nie wytrzymał: - Wszystko wyjaśnię komendantowi straży! Proszę mnie wreszcie zaprowadzić!

- Milczeń - rzekł strażnik. Zwrócił się łagodnie do Jasińskiego: - Zjeżdżaj dziadek, zuch z was. Wracaj do kotłowni.

- Ściongnij mi to Zdzisiek z palica, co?

- Co?

- Mój palic do cyngla za gruby widać.

- A skąd wy to wzięliście, dziadek? - zainteresował się strażnik, oglądając stary rewolwer.

- Stasiok naprawioł go w kotłowni i zamaczał w nafcie, żeby rdza puściła. Szkopski, ale Stasiok grzoł do wróbli z niego.

- Położ, skąd wzięleś, Jasiński. A my chodźmy - zwrócił się do Adama, puścił go przodem. - Schodami na piętro, drzwi na wprost. Tylko bez kawałów.

W pokoju strażnik zrewidował Adama i poszedł - zamknąwszy drzwi na klucz - po szefa straży. Biurko, szafa, dwa wysiedziane fotele. Adam usiadł, rozboleł go brzuch.

Czekał dość długo, wreszcie zgrzytnął klucz, wszedł mężczyzna, niewysoki, tłustawy, biała koszula, czysta, popielate spodnie obwisłe, twarz nalana. Nawet nie spojrzał na gościa, dał znak dłonią: bez pośpiechu. Siadł za biurkiem, noga na nogę, zatrzeszczał krzesłem, bujając się z lekka do przodu, do tyłu. Wokół ust mężczyzny błąkał się smutek. Adam też

posmutniał, żeby nie odstawać. Chciał już zacząć swoją relację, lecz tamten znów gestem ręki: mamy czas - i poweselał bez żadnej przyczyny. To i Adam spróbował poweseleć. Cicho trzeszczało krzesło, krzyżowały się uśmiechy.

Nie przestając się uśmiechać sympatyczny wyrznął pięścią w biurko, aż Adam podskoczył i spoważniał.

A tamten nic. Siedział, patrzył w sufit, uśmiechał się. I do przodu, do tyłu... do przodu, do tyłu...

O co mu chodziło?

Trzeszczenie.

Adamowi zadrgała powieka. Kto to jest? Jak śmie? Do przedstawiciela poważnej instytucji? - myślał intensywnie i nagle zreflektował się, że tylko myśli, a nie pyta. Już otwierał usta, żeby zapytać - gdy raptem mężczyzna zabecztał przeciągle. Jak baran.

Oczy w słup, beczenie.

Adam musiał wyglądać nieszczególnie, bo tamten wybuchnął kaskadą rechotu. Krztusił się, uniósł ręce, klaskał sobie nad głową, tupał nogami.

Wreszcie Adam: - O co panu chodzi? Gdzie ja jestem?

Pytania wywołały u mężczyzny jeszcze silniejszą wesołość. Opuścił głowę nisko, aż na biurko, wymachiwał rękami tak bezładnie, że ruchem pijanego siewcy zepchnął wszystkie papiery z biurka razem z telefonem. Wielki hałas.

Spoważniał, jakby zmienił maskę. Zwrócił się do Adama szeptem:

- Pozbieraj to. Ja nie wiem, co się dzieje, ale zawsze jak się nudzę, to wszystko leci mi z rąk.

Nie zastanawiając się ani chwili, że właściwie ma wolny wybór: pozbierać albo nie pozbierać - Adam wstał, pozbierał, usiadł z powrotem. Strzępy myśli wypełniały mu głowę, kłębiły się, wybuchały jakimś planem działania, lecz nikły, zanim zdążył zatrzymać ich sens. Robił nadludzkie wysiłki, żeby choć jedną z nich złapać jak szczura za śliski ogon. Nawal zdarzeń przeżytych tego dnia robił swoje.

Nie mając siły zebrać myśli - stanowią kupę mięsa i wody podpartą fotelem.

A tamten patrzył na swoje dzieło spod opuszczonych powiek. Patrzył i nic. Nagle zerwał się zza biurka, przycesał grzebieniem wyszarpanym z tylnej kieszeni spodni, szurnał butami: - Pan pozwoli, że się przedstawię - powiedział - i poczęstuję kieliszkiem wódki. Na pewno dobrze panu zrobi po tym wszystkim. - Ukłonił się, wyjął z biurka butelkę, kieliszki. Jego gesty znamionował spory wdzięk.

Adam wodził za nim zdumionym wzrokiem, jeszcze nie rozumiejąc, nie dowierzając

oczom, gdy mężczyzna zbliżał się do niego z dwoma pełnymi kieliszkami. Podał jeden z gracją.

- Na zdrowie - rzekł zalotnie. - No? Nie ociągajmy się. Na zgodę, na zgodę!

Kieliszek w ręku Adama dygotał, ale myśli wracały stopniowo na tory logiki.

Odetchnął głęboko. Poczul wdzięczność do tego człowieka. Gotów był mu wybaczyć.

Może ktoś go poprzednio wyprowadził z równowagi?

- No, to do dna! - gospodarz zachęcał gościnnie, serdecznie, trudno się było oprzeć.

Wypadało wstać. Obaj jednocześnie unieśli kieliszki i gdy Adam zbliżał swój do ust - mężczyzna zręcznym ruchem podbił mu rękę. Wódka chlusnęła w oczy, a szkło zatoczywszy łuk rozprysło się na ścianie.

Adam krzyknął, stracił równowagę, ostatkiem sił zdołał naprowadzić korpus z powrotem na fotel, oczy piekły niesamowicie.

Lecz nie to pieczenie było ważne, nie fizyczność. Paraliżował go podziw dla tego niezwykłego człowieka. Jakaż symbioza chama z ironistą! Udawanie barana bez żadnej przenośni.

To nie Adam grał tu pierwsze skrzypce kpiarza, lecz tamten przejął jego rolę. I to przy użyciu metody skuteczniejszej niż ta, którą Adam wypróbował w redakcji.

Podziw, a jednocześnie wstyd i zazdrość.

Refleksje pochłonęły go do tego stopnia, że z pewnym opóźnieniem dostrzegł przez zalane alkoholem oczy, iż mężczyzna biega dookoła biurka w paroksyzmie wesołości - biega, wymachując sobie nad głową autentycznym pistoletem, zgrzany dobrą zabawą. Wszystko było w nim autentyczne i cham, i kpiarz. Trudno się oprzeć nawiązaniu walki. A jeżeli już - to przyjdzie tę walkę stoczyć z pozycji niedogodnej. Bowiem zakpienie z niego leżało w możliwościach Adama, lecz przewyższyć go w chamstwie nie był w stanie.

- A ty jesteś szpieg - powiedział nagle mężczyzna, gdy już wyczerpał zasoby wesołości. Bardzo lubię pracować na takich. A teraz koniec zabawy. Gadaj wszystko, co wiesz, bo się robi nudno. Ot, życie sobacze - westchnął.

Położył pistolet na biurku. Ostentacyjnie zakasał rękawy, ostentacyjnie odszedł od biurka i oparł się o szafę, spięty, czujny, gotów w razie potrzeby skoczyć po broń. Znow taki fortel.

- No?!

Tępo wpatrzony w niego Adam, z kompletną pustką w głowie, nateżył się ze wszystkich sił...

Nic.

Żle. Wzmagające się drżenie łydek.

Nateżył się po raz drugi...

Duszno, smak żółci w ustach.

Dopiero za trzecim razem podświadomość włączyła awaryjny system obrony. Powinien już zacząć mówić. Tamten czeka.

...trzy... dwa... jeden... zero... Własny głos dobiegł go jak z oddali:

- ...Ciicho! Czy pan nic nie słyszy?

Mężczyzna zmrużył oko: - Od kawałów to ja jestem, sięgnął po butelkę, pociągnął duży łyk, przełknął głośno.

- Czy pan nic nie słyszał...? - powtórzył Adam.

- Co? - mężczyzna mimo woli skierował wzrok na drzwi, potem na okno.

- Jakby ktoś pukał...

- Nie słyszę. Zresztą tu sami swoi. Zamknij się - warknął, przysiadł bokiem na biurku, dyndał jedną nogą. - Posłuchaj, zanim otworzysz drugi raz pysk. Dziś jest wieczór przed świętem, tak? Tak. Pogotowie wzmożone, tak? Tak. Szpiegostwo także samo ma pogotowie, tak? Tak. Penetruje, węszy? Złapali cię o zmroku, jak podchodziłeś w celach szpiegowskich pod zakład specjalnie chroniony, tak? Złapali. Nikt inny nie podchodziłby o zmroku pod zakład specjalnie chroniony jak tylko po pierwsze: szpieg. Po drugie: ten co łapie szpiega. Skoro ty nie złapał, bo ciebie złapali, to ty jesteś szpieg, tak? Tak.

- Nie - wtrącił szybko Adam.

- Czemu nie? - zdziwił się tamten. - Milczeć, jeszcze nie skończyłem. Zrozum, nie masz szans, są świadkowie, ja mogę wszystko, mogę zastrzelić jak psa pod pretekstem usiłowania powrotu.

- Ucieczki - wtrącił usłużnie Adam.

- Powrotu, mówię wyraźnie, pajacu. Wracaleś do tego miejsca, gdzie był niemiecki zakład produkcji broni. Chciałeś podpatrzeć, co tu teraz, tak? Tak.

- Jestem redaktorem... - nerwowo, trochę zbyt nerwowo wtrącił Adam. Stabilizator napięcia nerwów jednak zawodził - drżenie łydek, dreszcze.

- Tym gorzej dla ciebie. Szpieg w ośrodku propagandy.

- Szukałem zgubionych pieniędzy. Poprzednio pracowałem tu w ramach czynu.

- Cha, cha! - mężczyźnie daleko było do śmiechu. - W trawie, tak? O zmroku?

- Mam świadka, że szukałem.

- Kto?

- Strażnik.

- Chciałeś go przekupić. Jeszcze i to.
- Wszystko pokręcił! Ma sklerozę!
- Znow łesz. To młody chłopak. Podpiszesz protokół i posiedzisz tu do rana. Jutro cię zdejmą i odwiozą, gdzie trzeba.

Wyjął z szuflady papier. Pisał mozolnie, zastanawiając się często. Bądź co bądź musiał wiarygodnie samooskarżyć się jako Adam.

Chwila była odpowiednia. Groźna - ale to był ten moment. Adam zdołał opanować się. Łydki przestały drżeć, pozbierał myśli. Mógłby teraz powiedzieć temu człowiekowi tak: jeżeli mi nie wierzycie możecie zatelefonować pod numer tu, na wizytówce. Właściciel wizytówki może już śpi. Tym gorzej dla was. Nie chciałbym być w waszej skórze, kiedy ten ktoś dowie się, jak zostałem przez was potraktowany. To tyle. Proszę dzwonić.

Tak mógł powiedzieć, ale nie powiedział. Chęć odegrania się za upokorzenia była zbyt silna. I jeszcze jedno. Ten przeciwnik stosował metodę psychologicznej zasadzki niejako zawodowo - a więc był rzemieślnikiem w tej specjalności. Nie to wszakże dyskwalifikowało go w oczach Adama jak też i nie gatunek kpiarstwa rodem z grubej rury. Dezorientował przecież, wprawiał w osłupienie i ogłupiał całkiem zadowolająco. Jednakże nie do przyjęcia był fakt, iż uprawiał swój proceder w celach agresywnych, czyli nie fair i to należało mu wytknąć. Uda się, nie uda - pokusa zbyt wielka. A więc start, no pasaran!

- Proszę pana - rzekł Adam. - Zdaje się, że ktoś puka...

- Powtarzasz się - rzucił mężczyzna znad protokołu.

- Ja wyraźnie słyszę, że ktoś puka.

- Ze strachu masz kota, kretynie.

- Ciiiicho!

- Nie przeszkadzaj, pracuję za ciebie!

- Proszę pana... tu wyraźnie ktoś puka... O tu! - Adam popukał się palcem w czoło. -

Puk, puk...

- Co takiego?! - podskoczył tamten, zawisł nad blatem biurka, już chciał uderzyć pięścią, ale błysk zębów Adama i jego raptowne zerwanie się z fotela osadziło mężczyznę w miejscu.

- Wy, kolego nie znacie tego hasła?!? - palec Adama celował prosto w jego głowę. - Wzmozona czujność przed świętem, a wy nic?? Was nie obchodzą polecenia?! - postąpił krok naprzód, nogi z ołowiu, wszystko na jedną kartę. - Odpowiadać na hasło!!

- Co jest?... Czego?... - mężczyzna zastygł wpatrzony czujnie w oczy przeciwnika.

- Liczę do trzech! Raz... - Adam puknął się palcem w czoło. - No!

- Jakie hasło?... O co chodzi? - tamten miał wyraz oczu psa gwałconego przez perliczkę.

- Tak wygląda wasza gotowość? - kontynuował ostro Adam. - To po to ja tu przychodzę, trudzę się? Niech to jasna kurrzz... - gwałtownym ruchem pasjonata zdarł sobie z nosa okulary i cisnął pod nogi, unosząc jedną by rozmiażdżyć szkła.

- Zostawcie! - zachnął się mężczyzna. - Ja tu w zastępstwie... kolega wyskoczył na imieniny i dlatego.

Adam powoli opuścił nogę obok okularów, podniósł je, założył na nos, usiadł spokojnie w fotelu.

Zaległo milczenie.

- Taaak... - rzekł po chwili przyjaźnie. - Imieniny, ładna uroczystość. Ale zastanówcie się, człowieku, coście powiedzieli! Co wyście po-wie-dzie-li!!

- Co? - zapytał człowiek.

- Nieznajomemu szpiegowi zdradzacie służbowe szczegóły!

- Co wy...?

- Puknijcie się w łeb! Ba! Wy nawet nie wiecie, jak to zrobić, choć jesteście niezły kombinator. Samowolnie zwalniate kolegę na imieniny w czasie wzmożonej czujności! Przekraczacie swoje kompetencje w postępowaniu z rzekomym szpiegiem, nie sprawdzivszy nawet, kim on jest. Fałszujecie jego zeznania, pisząc w protokole, co wam ślina na język przyniesie, a to jest wyraźnie zabronione. Tym samym wyrażacie swoją pogardę dla wszelkich ludowych papierów urzędowych.

- Nieprawda!

- Bądźcie uprzejmi zamknąć się w pewnym sensie...

Adam rozparł się w fotelu, tamten stał w dalszym ciągu. - Pomyślcie i spróbujcie się jednak puknąć w łeb o tak: Puk - lak, puk - lak! - błyskawicznie zerwał się z fotela, by krzyknąć tamtemu w nos: - Teraz rozumiecie hasło, tak czy nie?

- Puklak? - zachrypiał z przerażeniem mężczyzna. - Coooo?!...

Więcej mu nie było trzeba.

- Oooo... - wyszeptał. - Wy... od niego...? Że też ja od razu nie...

I puknął się machinalnie w czoło.

Adam na to: - Prawda, że ze szpiegiem można się dogadać? Nie, ja nie od niego, niech pan będzie spokojny, ja tak sobie wpadłem, po linii materiałów do audycji. Ale jak miałby pan ochotę porozmawiać o mnie z Puklakiem... to proszę. Jego numer powinien pan znać na pamięć.

- Tak, nie, nie trzeba. Nie!

Adam wyjął portfel, nie spiesząc się wyszukał wizytówkę człowieka poznanego podczas operacji desantowej, niejako tą operacją głównodowodzącego, którego nazwisko wbijał sobie w pamięć - jadąc wtedy łązikiem - i wbił tak skutecznie, iż wierna podświadomość nie zawiodła w potrzebie.

Podał wizytówkę mężczyźnie. Ten zerknął, uniósł dłonie: - Tak jest! Nie, nie!

- No, nie krępujcie się, dzwońcie.

- ...Głupio wyszło. Ale ja tu zaraz... jakoś postaram się... coś na zgodę... nie odmówicie mi chyba... teraz... kieliszeczka?...

- Całego, czy w kawałkach?

- Wybaczcie... - Tamten spuścił oczy. - Usiłował otworzyć szafę, nie miał klucza, zakręcił się w miejscu.

- Chwileczkę redaktorze...

Wybiegł na korytarz, jego podniesiony głos wzbudził jakieś inne głosy, echo trzaskania drzwiami...

Do uszu Adama dochodziło to jak przez kotarę. Leżał w fotelu, stwierdził, że brakuje w nim kilku sprężyn, zwykłych sprężyn z drutu w zwykłym fotelu, bez żadnego podtekstu, bez podwójnego dna, był to fotel i wszystko wokół było już tylko drewniane lub druciane, sprawdzalne, nie do wiary, że fotel jest tylko fotelem a sprężyna sprężyną, między nami fotelami wszystko jest fotelowe, między sprężynami sprężynowe, tylko między ludźmi - nieczłowiecze - rozmyślał sobie na własny użytek, bez wysiłku, luźno, rozkosznie, czuł przyływ miłości do ścian, a zwłaszcza do podłogi - za to, że była nią bez żenady, pozbawiona finezji, grubiaństwa, ambicji i że taką zostanie aż do zgnicia. Zatupał butami.

Następnie przeniósł się na plażę - to już luksus odpoczynku, poleżał sobie na wznak na piasku, patrzył na płynne linie rysowane bez sensu przez mewy, odczuwał lekki, przyjemny smutek wywołany tykaniem fal, czyli pluskiem czasu. A może to był puls w uszach?

Przyszedł ten zastępca komendanta straży przemysłowej, przyniósł chleb, pęto kiełbasy i butelkę wódki. Przepraszał, że skromnie, ale nic ciepłego już nie ma, jutro święto, każdy chce się przygotować na pochód, obecność obowiązkowa, tak trzeba, naród rozbestwiony, jak nie trzymać krótko przy pysku - skoczy na łeb, zresztą - co ja mówię, wy, tam w radio lepiej wicie, bliżej góry, a góra to ho, ho! Może herbaty? Nie? W porządku, wódka zimna, prosto z chłodni, tu urządzeń nie brakuje, jeszcze pohitlerowskie, później po wojnie też miało być ściśle tajne, chcieli produkować, ale trzeba by modernizację, fundusze,

mieli budować w Stolicy metro, fundusze okroili - ale i tak podjęli tutaj zobowiązanie na cześć pokoju, od rana do nocy, ofiarnie i oddali w terminie, na zdrowie, zagryźć, zagryźć redaktorze, żołądek pusty i nerwy, nerwy, obaj popędziliśmy sobie kota, moje uznanie, ręka, tak jest. No a jak już wszystkie urządzenia były gotowe, miało być przecięcie wstęgi to wtedy coś, komuś, w centrali... i odwołanie - siup! do dna, do dna! - owszem lubię sobie czasami chlupnąć - ...a później zrobili tu wytwórnię oczu dla lalek na eksport, naprawdę, oczy dla lalek tu się teraz produkuje, ale tajność zapomnieli odwołać i tak już zostało, serio, same oczy, różne, zielone, niebieskie, piwne, czerwone? A jakże czerwone też, jakżeby nie, ha! nie mogę... hi, hi, hi! Jak to radio coś powie to powie... lalki chore na jaglicę! No to na trzecią nogę... ze mnie też zgrywus, grunt to humor... taaak.

- A czemu nad bramą jest napis Instytut Wodny, jeżeli tu się robi oczy dla lalek? - dopytywał się Adam namolnie, po którymś już z rzędu kieliszku, z gębą pełną kielbasy przegryzanej kawałkami masła, odłupywanymi wielkim nożem kuchennym z pecyny przyniesionej w gazecie przez jego oprawcę, ofiarę, a teraz kompana, pana Czesia.

- A niby jaki ma być? Redaktorze kochany, co tam będziemy sobie panować - że się tak wyrażę, Czesiek jestem dla was, swój chłop, ze mną konie można kraść... brzdęk po maluchu... Baby na traktory! Chłopy na baby!

- Unrowskie?

- Co unrowskie?

- Konie kraść...

- Jasne, że unrowskie, kapitalistyczne, socjalistyczne też, wsio ryba, ja każdą robotę odwalę na trzysta, czterysta procent normy, suchą, mokrą i nijaką, he, he.

- Adam.

- Czesiek, graba! Bardzo mi przyjemnie, zaszczyt po mojej stronie, nie zdarzyło mi się jeszcze z redaktorem, inteligencja pracująca w sojuszu z masą... masełka?

- Weź mi to sprzed oczu... W życiu tyle masła nie zjadłem.

- Nie krępuj się, Adaś, kazonne, twoje i moje, chcesz, to możemy do tej pecyny masła postrzelać, położę na szafie i babababach!

- Daj spokój Czesiu, ludzie się zleca.

- O, tu mogą mi skoczyć, popatrz, tu! Ja tu jestem od mówienia, kto ma wisieć, a kto utonąć, nie? Tak... Zgadza się. Z tobą też mogłem gorzej... - na swoje nieszczęście... co ja ci będę mówił... ale jakby co, to powiedz tam im na górze... Puklakowi... że na mnie może liczyć.

- Do ilu?

- Co do ilu?
- Do ilu może liczyć na ciebie?
- Ty mnie Adaś pod włos?... Co to ja mówiłem? Aha... wy tam na górze, rączka w rączkę, a ja tu za was czarną robotę, pamiętaj.
- Zapamiętam Czesiu... na zawsze.
- Co? Adaś, ty mnie jeszcze nie znasz... popatrz mi w oczy... w oczy! Tu, nie w sufit... Adaś... wybacz... ja cię dziś zniszczyłem, ale i tyś mnie zniszczył... zero zero... Adaś... ty jesteś swój chłop i ja jestem swój chłop... nie myśl... mnie ojciec zawsze mówił: jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie... poczekaj... nie myśl, że ja wierzący... przeciwnie, Adaś, ja już dwóch od nas zakapowałem, co w innym powiecie ślub kościelny pojechali brać... widzisz... czasy twarde, wróg nie przysypia, a ja swój honor mam... Adaś... Adaś... cholera, po jednym, co? Na, weź kieliszek do ręki.
- Na mnie już czas, Czesiu... wszystko mi w oczach kołuje... no, w porządku... nie tak pełno, przelejesz!
- Poczekaj Adaś... strzeziennego... ja chcę żebyś ty wiedział, jaki jestem faktycznie... bo ja... ja... popatrz Adaś!! Siup!!! O!
- Czesieeeeeek!?? Co ty!??
-
- Czesiu!
- Nic, nic...
- Coś ty zrobił? Szybko! Chusteczką! Masz oko!? No masz? Odezwij się!
- W porządku...
- Cały policzek... żeby sobie kieliszkiem w oko?
- Nic, nic... już dobrze...
- Jeszcze kawałek szkła. Nie ruszaj głową... paznokcie mam za krótkie... no!
- Nalej mi do swojego...
- Teraz chcesz? Krew nie przestanie ci lecieć!
- Przestanie... Daj... Na mnie jak na psie...
- Mogłeś stracić oko!
- Ty też... jak ci podbiłem tamten kieliszek.
- Toś ty po to?... Przyłóż sobie moją chusteczkę... Niżej!
- Po to, nie po to... tak sobie.
- Ty, wariat, przecież ja ci to już przebaczyłem.
- Honor u mnie ważniejszy... nie?

- Tego się po tobie nie spodziewałem. Czesiu, Czesiu... Toś ty faktycznie swój chłop.
- A widzisz... Tak to jest. Niby pipka - a to rybka... Boli, psia krew.
- Zmoczę ci chusteczkę. Gdzie tu kran? Ale mnie zaniósło...
- Tam za szafą.
- Czesiu...
- Uwważaj!... Trzymaj się ściany... Sporo obalili...
- To teraz ja ci coś powiem... słyszysz Czesiu... ty!
- Słyszę.
- Ja tu przypadkiem trafiłem...
- Aha... masz, zapal...
- Poszedłem na łąkę, bo chciałem dokończyć mój czyn.
- Mhm... przypal mi.
- Bo ja nie lubię połowicznie, jak coś robię to już tego... Ojciec... ojciec mój... był przedwojenny oficer.
- Jasne. Mojego załatwiło gestapo... choć nie żołnierz...
- Inaczej nic nie odbudujemy, kraj ma się jeden.. co, nie tak.
- Pewnie.
- I ja chciałem tę moją trawę przekopać, żeby było w porządku... wszystko dlatego, że kocham moją dziewczynę... to tak jak kraj, kamienie, ptaki... co ja gadam?...
- Jak na akademii, Adaś.
- Pokaż, przyłożę ci... mokra chusteczka dobrze ci zrobi, potrzyмай sobie... nie tą ręką!... no i wtedy ten wasz strażnik mnie przyuważył. I wiesz, co ci jeszcze powiem...
- No?
- Że z tym całym Puklakiem to też lipa.
- Co ty?
- Poważnie. Tak tylko zagrałem, żebyś mnie puścił.
- Serio?
- Kiedy mnie ktoś przycisnie, to się ratuję, jak mogę. Owszem, poznałem tego Puklaka, ale przypadkowo. Ja zwykły redaktor, a on szycha.
- Nie może być!
- Ale jest. Taki mam sposób, Czesiu. Jeszcze niedawno każdy mnie mógł wykołować, jak chciał.
- Taki zgrywus z ciebie, Adaś?... Zupełnie jak ja.
- Komu innemu bym nie mówił. Ludzie teraz boją się prawdy. To nie jest w porządku,

nie uważasz?

- Pewnie.

- Wszyscy wdepnęliśmy w kłamstwo jak...

- Nie mów Adaś. Delikatny jestem...

- Przepraszam. To samo w radio, u nas. Inaczej między sobą, inaczej do mikrofonu.

Tak socjalizmu nie zrobimy. Ojciec mojej dziewczyny na przykład - komunista. Siedział za sanacji i teraz siedzi.

- Ty masz łeb Adaś! Słucha się, jakbyś czytał kryminał.

- Jak twoje oko?

- Przechodzi.

- Na mnie już będzie czas... mam córkę, wiesz?

- Z tą dziewczyną?

- Nie... mniejsza o to.

- Jak ma na imię?

- Mercedes.

- Jak samochód. He, he. Ty jednak jesteś faktycznie zgrywus, Adaś.

- Nie, to nie to. No nic... Było mi przyjemnie ciebie poznać, Czesiu.

- Chyba nie tak całkiem...

- Początkowo nie, ale później tak. I pogadać z tobą, i wypić. Ale głowę mam jak ceber.

- Uważaj na schodach. Weź mnie pod rękę. Wyprowadzę cię.

- Z takim policzkiem? A co twoi ludzie powiedzą, że idziesz pod rękę ze szpiegiem?

- Adaś, Adaś... ty wiesz... ty przecież wiesz...

- Nie. Powiedz. Co wiem?

- Ja wszystko mogę, ale robię wszystko tylko zgodnie z przepisami.

- Popatrz! Równiacha jesteś. Dobry temat do felietonu w radio.

- Naprawdę?

- Jasne.

- Bardzo się cieszę.

- Sylwetka człowieka z wytwórni oczu dla lalek.

- Żartujesz sobie, Adaś, żartujesz ze mnie.

- Wcale nie. Oryginalny temat.

- Oj zgrywus z ciebie Adaś, zgrywuuus!

- Czemu?

- No, tak. Co będziemy gadali...
- Powiedz, nie krępuj się.
- Oj bo nie...
- Proszę, powiedz. No.
- Tak jest, mogę jak chcesz. Bo tu się nie robi oczu do lalek.
- A co?
- Jeszcze mam mówić?
- Jasne.
- Nic się nie robi.
- Nic?... No dobra, w porządku. To czołem, Czesiu.
- Wyprowadzę cię. Żeby się nie czepiali. Aż za bramę.
- Tak daleko nie trzeba. Nie fatyguj się.
- Co tam... Muszę dbać o ciebie.
- Czesiu...
- Niby co?
- Ty coś kombinujesz... wyglądasz jakbyś coś tam... tego...
- Co ja miałbym kombinować, Adaś... O co chodzi?
- To ja się ciebie pytam?
- Przechodź, nie gadajmy tu przy strażniku. Uważaj! Brama jest automatyczna.
- No więc... wracaj już Czesiu. Zwalniam cię.
- Jak to?
- Po prostu przestań się już mną opiekować. Sam pójde. Dobranoc.
- Adaś...
- Nie podchodź tak blisko!
- Coś ty?... Przepraszam. Chwileczkę Adaś... jedno słówko...
- Stój tam, gdzie stoisz!
- W porządku. Chciałem cię tylko prosić... że jak będziecie gadali... z Puklakiem, to powiedz mu że ja... gotów na wszystko... nawet sobie oko wyłupię, bo ja bez tego... to jak bez powietrza... masz pojęcie?
- Czesiu...
- Tak jest, o co chodzi?
- Podejdź no bliżej...
- Podejść? Przecież...
- Jeszcze bliżej... no, jeszcze...

- Co ty, Adaś?
- Nie, już nic, rozmyśliłem się, właściwie już nic...
- Ale co Adaś? Coś ty chciał?
- Dobranoc, Czesiu, wracaj. Nic, nic.
- Oj stuknięty ty, Adaś, stuknięty. Zupełnie jak ja...

Święto

Dwupłatowy transportowiec zawył, szarpnął, ruszył. Adam zamknął oczy, napiął mięśnie brzucha, gmatwanina myśli owijała się - w rytm podrzutów samolotu toczącego się po murawie lotniska - wokół kilku elementarnych pojęć: wznoszenia, które zaraz nastąpić musi, spadania, które nastąpić może i finału, który bywa wypadkową tamtych dwóch. Ten finał kojarzył się z trzaskiem, sykiem i postrzępionym metalem. Drażniąca ciekawość podpowiadała scenariusz ostatnich sekund, a więc pęd powietrza, wirowanie, na koniec zderzenie jako rozkosz rozpadania się ciała na kilkudekowe ochłapy.

Bezwiednie zacisnął palce obu rąk.

- Pan redaktor puści mikrofon, co?! Mamy tylko jeden! - wrzasnął przez huk motorów siedzący obok technik. Znany był z tego, że powierzony mu sprzęt radiowy traktował jak własną kolekcję kanarków, które mył, skubał i krzyżował przy byle okazji.

Adam próbował uśmiechem zatuszować odruch panicznego lęku, ale zdołał tylko wyszczerzyć siekacze w odruchu panicznego lęku.

- Ja zawsze ściskam tak przy starcie! - zełgał, gdyż pierwszy raz w życiu miał wznieść się w powietrze, w dodatku za sprawą łatwopalnej benzyny.

Przestało podrzucać, wtoczyli się na płytę pasa startowego. Pilot dodał gazu, ryknęło, wszyscy odczuli raptowny skok maszyny do przodu. Albo pilot nowicjusz, albo luzy w zawieszeniu podwozia - pomyślał Adam, czując dopływ nadmiernej ilości śliny do ust. Chętnie by plunął na to wszystko, a zwłaszcza na kolegę Wytrawnego Reportera, który bokiem przysiadł na ławce, przytknął nos do szyby okna zwanego iluminatorem i gapił się na ogromniejący horyzont - jak się to mówi w audycjach o lataniu dla zorientowania słuchacza, że samolot oderwał koła od ziemi. Ale czemu to bujanie na boki ze skrzydła na skrzydło? O tym, że cały interes w każdej chwili może runąć, nikt jakoś nie wspomina w audycjach.

Jedyny ratunek w cenzurze. Adam z wdzięcznością zaczął myśleć o cenzurze. Dzięki niej katastrofy zdarzają się tylko w kapitalizmie.

Pogodny wytrzeszcz nie ustępował z twarzy Adama. Chodziło o zachowanie honoru nie tylko wobec kolegów, lecz głównie w oczach tych sześciu osiłek w zielonych

kombinezonach, siedzących pod drugą ścianą gondoli, opakowanych plecakami spadochronów. Ich twarzyczki starych wyg nie zdradzały przyjaznych uczuć, wyglądali jak czeladnicy rzeźnicy obserwujący spode łba galaretę z waśniaków.

Kolega Wytrawny Reporter w dalszym ciągu patrzył przez szybę. Adam spróbował też. Trochę pomogło. Przynajmniej nie psuł sobie oczu widokiem tych z naprzeciwka.

Słoneczny poranek silnie pogłębiał zieleń lasów na pagórkach od strony zachodniej, od wschodu granatowo rozlewało się morze, a między tą zielenią i granatem obramowanym żółtym kolorem plaż - bielilo się najdłuższe w kraju miasto, którego krańców nie było widać nawet z tej wysokości. Nitkami ulic pełzły ku śródmieściu zwarte prostokąty uczestników pochodu.

- Feliks. Nagrywamy! - krzyknął Wytrawny Reporter.

Technik podał mu mikrofon, mozoląc się z rozwinięciem kabla.

- Pan redaktor pomoże - zwrócił się do Adama. - Trzeba kabel naprężyć, bo będą trzaski na taśmie. Tym pudłem nie miało bujać, a buja.

- Proszę bardzo, mogę pociągnąć.

- Za bardzo. Trochę poluzować.

Kolega Wytrawny Reporter, który Adama nie dostrzegał, zbliżył mikrofon do ust.

- Uwaga, uwaga, start!

- Jest start! - technik odkrzyknął sakramentalną formułkę. Nacisnął klawisz w starej ponemieckiej skrzyni magnetofonu stojącego na podłodze gondoli. Szpule drgnęły z poślizgiem, powoli zaczęły się obracać, technik nałożył słuchawki kontroli nagrania.

- Halo, halo, - wołał do mikrofonu kolega Wytrawny Reporter. Znajdujemy się właśnie w szczerym błękanie...

Jak on parska, co za ohyda, świnia, bydlak - myślał Adam patrząc na niego z uszanowaniem.

- ...tu mikrofony sprawozdawcze specjalnej służby Polskiego Radia zainstalowane na pokładzie samolotu transportowego, skąd już za chwilę wyskoczą nasi dzielni spadochroniarze, aby ku czci radosnego święta zademonstrować nieprzeliczonym tłumom świata pracy tam, na ziemi swoje świetne wykształcenie i sprawność w akrobatyce powietrznej, którą osiągnęli dzięki współzawodnictwu międzyzałoga...

- Stop! Stop! - zawołał nagle technik. - Do bani! Cały warkot wchodzi na taśmę. Niech wyłączą ten hałas.

- Co pan, zidiociał!? - Kolega Wytrawny Reporter zdawał się być dotknięty. - Pan się przesiądzie na szybowiec. Proszę mi narzucić coś na głowę. Chcę nagrać sprawozdanie,

zanim nadlećmy nad trybunę. Za godzinę trzeba być w rozgłośni z gotową taśmą na antenę.

Technik zjadł zęby na radiowej robocie. Szybka i prawdziwa informacja - to zwycięstwo, szybka i nieprawdziwa informacja - to połowa zwycięstwa, a połowa zwycięstwa i tak daleka jest od klęski.

Bez namysłu złapał jakąś płachtę - zwiniętą w kłęb na podłodze - i usiłował narzucić ją na głowę Wytrawnego Reportera.

W gondoli zawrzało. Sześciu spadochroniarzy darło się jeden przez drugiego:

- Nie wolno!

- Puść to!

- Nie ruszać płótna!

- Co jest!?! - ryknął kolega Wytrawny Reporter. - Kto tu utrudnia pracę służbie specjalnej Polskiego Radia?!

„Specjalna służba” działała jak gaśnica. Jeden z młodych ludzi zaczął nieśmiało:

- Proszę się nie denerwować, ale to jest transparent. Mamy rozkaz rozpostrzeć go za samolotem, kiedy będziemy nad centralną trybuną.

- W porządku, nikt wam nie broni. Nie zjem go. Nagram dwie minuty i cześć. Tylko szybciej!

Technik z pomocą Adama jęli pospiesznie otulać transparentem głowę kolegi Wytrawnego Reportera. Tamci już bez protestu, lecz czujnie obserwowali te zabiegi.

W głośniku u sufitu przytknęło, zabrzmiał ochryple głos pilota: - Zapiąć pasy! Kładę maszynę na skrzydło.

Spadochroniarze posprawdzali swoje pasy. I tak byli zapięci od chwili startu.

- Panowie zapną pasy - wtrącił ostrożnie najśmielszy z nich.

- Duszę się! - Wytrawny Reporter wymachiwał ręką spod zwału płótna. - Idioci! - wołał przytłumionym głosem. - Nie siadajcie na mnie!

- Niech pan sprawozdaje - technik spojrzął w okno. - Już jesteśmy nad portem. Pewno okrążymy stocznię i nadlećmy nad trybunę, co chłopaki?!

Ale spadochroniarze patrzyli tępo przed siebie urażeni poufałym traktowaniem. Jako wyczynowcy uważali się za kadrę godną specjalnego szacunku. Poza tym - wbrew oczekiwaniom - nie mogli doczekać się śladów strachu na twarzach tych palantów z radia. Płatowiec jak na złość leciał równo i spokojnie.

Adam starał się uczestniczyć aktywnie w okrywaniu głowy kolegi Wytrawnego Reportera wraz z mikrofonem. Pochłonięty tą czynnością mniej myślał o przekłętej wysokości, na której znajdował się z całym bagażem swojej nadwrażliwości.

Ręka spod płachty dała znać, że można już włączyć magnetofon. Tuż pod rozpostartymi ramionami Adama przytrzymującego płachtę dał się słyszeć głuchy głos Wytrawnego Reportera. Drań był w formie, czekał jak maszyna.

- Halo, halo! Drodzy słuchacze! Za iluminatorem srebrnej kabiny rozciąga się widok miasta w odświetnej szacie! Flagi i szturmówki połyskują w słońcu kolorem krwi i bieli, kolorem zwycięstwa życia nad zimną wojną rozpętaną przez rewizjonistów pod egidą Adenauera, Trumana, Tito i Czang Kaj-szeka. Dziś w dniu rocznicy naszego Manifestu defiluje pod nami nieugięta armia pokoju. Widzę z wysoka zwarte szeregi radosnych bojowników o sprawiedliwość społeczną idących dumnie przed trybuną! Zakłady pracy, fabryki całego wybrze...

W tym momencie pilot gwałtownie położył maszynę na skrzydło. Strach, przerażenie, panika a przede wszystkim żal do kolegi Wytrawnego Reportera za to, że w ostatniej chwili zdecydował się bez polecenia redaktora naczelnego zabrać jego, Adama na tę karkołomną przejażdżkę - stopiły się w jedno pasmo nienawiści. Gdyby mógł, zadusiłby typa własnymi rękami, patrząc jak zastyga odrażająco pewny siebie pysk.

W gondoli zakotłowało się. Wytrawnym Reporterem, Adamem i technikiem rzuciło na spadochroniarzy, rozległy się przekleństwa i stękania. Przez wycie silnika dał się słyszeć świst dartego materiału.

- Puszczaj!

- Sku...

- A mówiłem!

- Podarli! Podarli!

Dwupłatowiec wyrównał lot. Spod stosu płótna wygrzebywało się trzech radiowców. Spadochroniarze odpinali pasy.

- Płosilem, ostrzegałem! - krzyczał rozpaczliwie jeden z wadą wymowy, robiący wrażenie dowódcy ekipy. - Nie zapięli pasów! To świństwo! Co ja złościę?! - biegał wzdłuż gondoli, potykając się o leżących. - Cały transparent padały!

- Cicho, cicho, kolego. Zaraz coś poradzimy - mamrotał Wytrawny Reporter, podnosząc się z chwiejnej podłogi. - Może nie jest tak źle!

- Nieźle? Było polecenie wypuścić transparent to trzeba wypuścić! A jak? W strzępach?

- Uwaga! Uwaga! - rozległ się głos spod sufitu. - Za chwilę trybuna. Przygotowali się do rozpostarcia transparentu? Po wypuszczeniu idziemy w górę i skaczeć.

- Co ja złościę? Co ja złościę? - powtarzał nerwowo chłopak. Spod pilotki ściekały mu

na bladą twarz strużki potu. Pozostali spadochroniarze również potracili głowy, bezładnie gestykulowali, krzyczeli. Ani śladu dumy herosów sprzed kilku chwil.

- Cicho! - ryknął Wytrawny Reporter. W mgnieniu oka przejął dowodzenie. - Rozpostrzeć szmatę na podłodze! Sprawdźmy!

Wszyscy rzucili się do rozplątywania płótna. Okazało się, że biały napis na czerwonym tle „Niech żyje 22 lipca” rozpruty był w poprzek na cyfrze „22”.

- No to koniec - powiedział wolno chłopak, który nie wymawiał „r”. Zaciął zęby, szczęka i ręce mu drżały, widocznie zrodziło się w nim jakieś szaleńcze postanowienie, bo zaczął odpinać sobie szelki spadochronu. Nikt tego jednak nie zauważył prócz Adama, pozostali patrzyli na płachtę.

- Spokojnie - Wytrawny Reporter na czworakach myślał głośno. - Gdyby zeszyć choćby drutem... Ma ktoś kawałek drutu?

Wtrącił się technik: - Mam, ale z tego może wyjść chryja. Ja do tego ręki nie przyłożę. - Wytrawny Reporter zasępił się.

- Tak, to mogłoby być źle zrozumiane przez manifestantów. - Nagle zawołał: - Wiem! - chwycił naddarty materiał i jednym ruchem przerwał go do reszty. Wszyscy zamarli.

- Teraz można rozpostrzeć! Trzeba mieć tu... - wskazał palcem swoje niskie czoło - a nie tu, koledzy! - napiął biceps.

Transparent skrócony o połowę głosił teraz: „Niech żyje”.

- Kto niech żyje?! Kto? Niech pan powie jak pan taki! - dopytywał się zduszonym z przejęcia głosem któryś z chłopaków. Pozostali przytaknęli skwapliwie.

- Synu - Wytrawny Reporter błyskawicznie zerwał się z klęczek i stanął oko w oko z pytającym. - Skup się i powiedz, czy ja wyglądam na idiotę?

Skoczek zbladł, następnie spiekł raka.

- A więc powiem ci, że jestem idiotą, podobnym do każdego z tych setek tysięcy ludzi pod nami.

- Co pan?

- Aha, nie? To znaczy uważasz, że tak ja jak i oni jesteśmy normalni?

- Tak myślę...

- W porządku. Otóż jako normalny człowiek twierdzę, że wiem i każdy tam na dole wie, komu trzeba życzyć „niech żyje”, a komu „żeby zdechł”.

Skoczek podniósł się z ławy i usiadł. - Ale... jak ktoś na przykład będzie chwiejny, to co? To my za to odpowiemy, nie pan, prawda?

- Synu - wpatrzył się w niego tępo Wytrawny Reporter - czuję, że ty sam masz

wątpliwości.

- Ja? - skoczek zbladł i nie zaczerwienił się.

- Tak, synu.

- Ja nie mam żadnych - zdecydowanie pokręcił głową blednąc niemal na niebiesko - i nigdy mieć nie będę!

- A koledzy? - reporter wskazał brodą pozostałych skoczków.

- Nie mamy, absolutnie! - rozległy się jasne głosy. Wszystkie głowy kręciły się zgodnie.

Samolot leciał cicho na najmniejszym gazie, wyraźnie tracił wysokość.

- A może moi koledzy mają jakieś wątpliwości, kto ma żyć, a kto zczeznąć jak wsza? - zwrócił się Wytrawny Reporter do technika i Adama.

- Co to, to nie! - technik pokręcił głową aż mu czapka spadła. Adamowi głowa pokręciła się sama, niejako z rozpędu, choć już w następnej sekundzie chciał kiwnąć, że jednak ma pewne wątpliwości, że nie jest taki stuprocentowo przekonany, lecz na wszelki wypadek zdecydował się kiwnąć w myśli, po co przedłużać eksperyment kolegi Wytrawnego Reportera, który teraz, raptem - kiedy dwupłatowiec płynął łagodnie, bez najmniejszych przechyłów - wydał mu się kolegą zupełnie sympatycznym, a nawet w pewnym sensie ideałem radiowca, człowiekiem operatywnym, odważnym, błyskotliwym, nieugiętym, o głosie niskim i drapiącym mile ucho jak chociażby teraz, gdy mówił: - No więc wszystko w porządku, koledzy. Sądzę, że możecie spokojnie rozpostrzeć połowę tego płótna, bo zdaje się, że akurat nadlatujemy nad trybunę.

I kiedy twarze przylepiły się do szyb, żeby przekonać się wreszcie, co dzieje się na zewnątrz - dał się słyszeć niegłośny szcęk metalu: to kierownik ekipy, ten niewymawiający „r” zdecydował się porzucić ukradkiem zamiar samobójczego skoku bez spadochronu i zapinał sobie z powrotem sprzączki pasów. A może w ogóle takiego skoku nie brał pod uwagę ten dzielny wyczynowiec, tylko Adam dorobił sobie do swoich obserwacji ciąg dalszy, równie katastroficzny jak jego strach przed spadaniem w pierwszej fazie lotu, który obecnie przypominał raczej spływ kajakiem leniwą rzeką i sprawił, że Adam nareszcie zaufał konstruktorom tego latającego autobusu, blachom, które go spowijały oraz pilotowi, który cały ten interes prowadził z godną podziwu wirtuozerią, pozwalając początkującemu pasażerowi rozluźnić mięśnie i zatęsknić wreszcie za Agatą.

- Halo, uwaga chłopcy! - zagwizdał głośnik, zwarcie w przewodach razilo uszy. - Trybuna mi uciekła! Rysiek robił wczoraj prawy ster, nie miał całej linki i dosztukował strunę. Wyciągnęła się, czy co, małpa, nie wiem, spróbuję nalecieć jeszcze raz. Zapiąć pasy!

Adamowi krew uciekła z głowy do łydek, przyływ nienawiści do Wytrawnego Reportera walczył o lepsze z totalnym obrzydzeniem do wszelkich skrzydeł i przestrzeni, gorączkowo zapinał pas na wypatroszonym brzuchu. Zaciął powieki i wszystkie przewody organizmu.

Maszyna ryknęła, zadarła łeb, nity w kadłubie zatrzeszczały, blachy wpadły w rytmiczny dygot. Kiedy pilot ustabilizował wreszcie lot, a błędni pasażerów przestały szaleć - Wytrawny Reporter dał znak technikowi, że chce kontynuować rozpoczęte dzieło. Obaj oni stanowili spójny organizm zdolny do radiowej produkcji nawet w piekle.

Wśród mlecznej poświaty - samolot przebijał właśnie jakąś chmurę - dochodził spod ławki okrytej resztką transparentu pogodny głos: - ...fabryki przysłały przed trybunę swoich przodowników, najlepszych z najlepszych! W łagodnym słońcu lipcowym widzę ich roześmiane twarze, pozdrawiają płynącą nad głowami naszą maszynę! Dzieci niesione na ich ramionach wyciągają do nas rączki i przesyłają całusy, wiwatują na cześć techniki, która unosi się dumnie nad ich główkami i na skrzydłach postępu wkracza do kopalń, stoczni, sztolni... niech żyje! zdają się głosić ich otwarte szeroko usta, które dostrzegam wyraźnie z tej wysokości, „niech żyje” mówią ich oczy rozwarłe i nieprzyto...

Raptowny przechył samolotu w lewo spowodował, że Wytrawnemu Reporterowi odjęło głos, wszystkim zresztą trzem radiowcom napęczniały oczy z przeciążenia, a szczęki zwały się w skurczu. Skoczkiem doczekali się wreszcie satysfakcji.

W okna uderzyło słońce, trasa pochodu była czarną nitką, gwałtownie grubiejącą. Lot nabrał miękkości opadania.

Głośnik znów zachrypiał: - Uwaga! Wywalać transparent!

Ci w kombinezonach ruszyli do pracy. Otworzyli dolny właz i silny podmuch wdarł się do gondoli, z podłogi wznosił się tuman kurzu. Jeden koniec transparentu umocowano do haków w podłodze a całą resztę wykopano na zewnątrz. Zafurkotała, szarpnęła.

- W porządku. Wisi! - krzyknął któryś.

Z dołu musiał to być piękny widok sprawiający radość uczestnikom pochodu, tym większą, iż pilot sprowadził maszynę trochę za nisko i ludzie łapali się za włosy, dzieci zakrywały rączkami uszy, chowając główki pod odzież rodziców. Powstała pogodna panika.

Wytrawny Reporter rzucił się z zapalem do mikrofonu. Samolot znów nabierał szybko wysokości. Żołądek Adama powoli stabilizował się gdzieś w okolicy tchawicy. Kiedy miasto zostało daleko w dole, nad drzwiami włazu zaczęła mrugać czerwona lampka. Skoczkiem zerwali się ochoczo z ławki. Widać było jednak, że woleliby zostać i gapić się z wyższością na kłopoty radiowców. Zaciekawiał ich zwłaszcza Adam, usiłujący nadrabiać miną swój

kryzys, a to już było smakowite do kwadratu.

Ale świetlny rozkaz nie pozostawiał wątpliwości, toteż posłusznie podchodzili do wjazdu - skąd zionęło wiatrem i pustką - ustawiając się w kolejce. Nie zaczepiali awaryjnych linek swoich spadochronów o drut u sufitu - jak to czynić zwykli skoczkowie przeciętni. Oni, wyczynowcy, skakali bez asekuracji, z opóźnionym otwarciem, co powinno stanowić powód ich dumy, którą raczej starali się teraz maskować, czy co? - bo twarze im zszarzały, stały się ostre, ruchy automatyzowały się. Coś w nich było z manekinów wypchanych trocinami cywilizacji, a coś z dawnych rycerzy oczekujących w zasadzce niewidzialnego wroga, który skrada się zza krzaka. Zaraz zadadzą mu cios, rozlegnie się jego przedśmiertne rżenie, buchnie smrodem gorącej krwi...

- Aaaa!... - skoczył pierwszy, jego krzyk ucięty świstem wiatru zamarł w przestrzeni.

Drugi kłął ciężko pod nosem, zanim odbił się prawą nogą i przewalił przez próg.

Trzeci milcząco, był - nie ma. Czwarty zawahał się, cofnął, pochylił głowę, zajrzał w pastelowe oczy przepaści, zaparł się nogami o listwy podłogi - lecz pchnięty brutalnie przez piątego poleciał jak worek. Piąty obejrzał się na radiowców, puścił do nich oko z miną alfonsa.

- Pardon, za moment wracam - krzyknął i wyskoczył tyłem kiwając dłonią pa, pa.

- Szóstym był ten bez „r”. Chwilę stał nad wjazdem, owiewany pędem powietrza, nie patrzył w dół, lecz w górę, wreszcie zwrócił się do Adama. - Czy mógłbym pana płościć, żeby mnie pan zepchnął?

- Ja!?! Może lepiej któryś z kolegów...

- Nie, pan.

- Czemu ja?!

- Mogę pana zepchnąć, proszę - znalazł się po koleżeńsku kolega Wytrawny Reporter.

- Nie, nie, pan nie. Ten pan.

- O co panu chodzi? - Adam przyssał się do ławki całym pośladkiem. - Czemu?

- Bo pan najbardziej się boi, a ja jestem przesądny. Proszę, szybko, bo wypadnę z szyku. Koledzy czekają na mnie w powietrzu. Jestem jądłem gwiazdy w figurze akłobatycznej.

Korpus samolotu wibrował na dużej wysokości. Czeluść wjazdu zionęła błękitną, przewiewną pustką.

- A sam pan nie może? - spróbował Adam ostrożnie.

- Nie, ja się boję. Ja zawsze tak... w powietrzu jestem najlepszy, najgorzej ze skokiem. Zawsze skaczę ostatni, skupię się i skoczę. Ale dziś pan mnie peszy, boję się, że może być

wypadek.

- Ja też się boję. Nie podejść do otwartego włazu. Nie!!

- Pomogę panu i skoczmy obaj. Będzie nam łaźniej.

- Neeee! Mówię przecież...

- Mam na sobie dwa spadochłony, jak zawsze, jestem ostłozny.

- Niece!

Adam zerwał się z ławki, pobiegł chwiejnie w kierunku ogona, wcisnął się w najwęższy kąt. - Może kiedy indziej. Dziś nie!

Skoczek nie słuchał, szedł w jego kierunku, oczy miał zwężone, niewidzące, strach Adama działał na niego jak narkotyk.

- Hola, hola! Co to ma znaczyć? - Wytrawny Reporter zastąpił mu drogę, wywijał groźnie mikrofonem. - Proszę się opanować!

Technik łagodził: - Chłopie, weź się w garść i wyjdź, jak ci się spieszy.

Bez skutku. Tamten wprawdzie przystanął, lecz tylko po to, żeby nacisnąć lepiej skórzane rękawice.

- Muszę pana chociaż dotknąć, dotknę i skoczę, na pewno.

- Nie wierzę panu! Proszę nie podchodzić!

- Zawracaj bracie i won! - kolega Wytrawny Reporter przestał owijać w bawełnę, uniósł mikrofon gotów do zaprowadzenia porządku.

- Panie Redaktorze. To nasz najlepszy mikrofon! - jęknął technik, ale za późno. Wytrawny Reporter trącony zręcznie przez Jądro Gwiazdy zatoczył się i machnął mikrofonem o ławkę. Posypały się jakieś druciki.

Tego technik już nie wytrzymał. Rzucił się szczupakiem pod nogi skoczka, obaj runęli na podłogę. Wytrawny Reporter dołączył do nich z pasją miłośnika radiowego sprzętu. Adam też wypełził z ogona, żeby udzielić kolegom wsparcia.

Przesuwanie Jądra Gwiazdy w kierunku otwartego włazu nie szło gładko. Utrudniał, zawadzał złośliwie o wystające przedmioty. Stękania przesuwanego i przesuwających mieszały się ze świstem wiatru w kabinie.

- Wszyscy poszli? - zaskrzeczało w głośniku. - Mają dziś dobrą pogodę! Halo, towarzysze z radia, przyjemnego lotu! Przewiozę was trochę!

Silny opór spadochroniarza wymagał eskalacji nacisku, eskalacja wzmogła emocje, emocje odkształciły nieco dobre maniere radiowców. Tarmosili nim coraz bardziej zajadle... Za rozbebeszony mikrofon! Za zakłócenie pięknej transmisji! Za nic, czyli za stawianie oporu...

Tarmoszony energicznie skoczek - może trochę za energicznie - gdy otwór włazu znalazł się tuż tuż wykrztusił: - Nie! Nie wyskoczę! Łozmyśliłem się!

Zręcznie szarpnął klamry pasów i wyswobodził się ze spadochronów. Dwie paki potoczyły się po szczeblach podłogi.

Cała operacja w jednej chwili straciła sens. Spadochroniarz bez spadochronów był już tylko jednym z nich, pasażerem. Wyrzucanie pasażera z samolotu, przez otwarte drzwi, jest niesmaczne, toteż zdegowstowani, zawstydzeni, zaczęli go przeproszać, otrzepywać z kurzu. Nastąpiło obopólne tłumaczenie się, razem też zamknęli właz. Wytrawny Reporter pierwszy zatroszczył się o najważniejsze - kiedy przysiedli wszyscy czterej obok siebie na ławie:

- Czy nie grożą panu, młody człowieku, nieprzyjemności z powodu niewykonania skoku w tak uroczystym dniu? Bądź co bądź miał pan stanowić piękne jądro gwiazdy.

- Nie, czemu? Ja swój skok wykonałem - rzekł pogodnie.

- Skok? Aha, tak. Nie rozumiem...

- No, to jasne.

- Aha... cha, cha. Dobrze, dobre! Czyli że tego pana tu nie ma! - zażartował technik. - Cha, cha...

- Jak to nie ma? Coś pan, wiałat? Przecież tu siedzę!

Technik zawstydził się: - Zażartowałem tak sobie...

- Co to ma do rzeczy? Skok był wykonany i udany. Dostaniemy pochwałę, a za tydzień popłyniemy statkiem na wycieczkę dla przodowników spadochłoniałstwa cywilnego. Ja i ci, co skoczyli. Panowie zapalą? - wyciągnął zmiętą paczkę papierosów.

- Tu wolno? - zapytał Wytrawny Reporter, ostrożnie wciągając nosem zapach benzyny.

- Nie, w czasie lotu nie wolno. Tam jest tabliczka.

- Jest, a jakże. - Wszyscy zwrócili oczy w stronę napisu i trupiej czaszki pod nim.

Skoczek stuknął palcem w zegarek na rękę. - Ale my już nie lecimy.

- Coś pan, a to! - nie wytrzymał technik i wskazał obłok płynący za oknem.

- Według planu lotów my stoimy już na lotnisku po wykonaniu zadania. Spławozdanie podpisał przewodniczący klubu wczolaj i pchnął wyżej. U nas planuje się płeczyjnie i wykonuje przedelminowo.

- Przewodniczący jest równy chłop - rzucił mimochodem Wytrawny Reporter.

Akrobata ucieszył się: - A skąd pan wie?

- Mam tu radiotelefon - wskazał palcem swoje ciemię.

Wszyscy parsknęli przez grzecność i zapalili. Nikt nie próbował skoczkowi

odmawiać. Wydawał się coraz sympatyczniejszy.

- ...A poza tym... przeważnie ktoś z nas nie wyskakuje, żeby zająć kolejkę w hangarze do składania spadochronów. Wszędzie ciasnota a skoczków dużo. O! - wskazał ręką iluminator. W oddali mijaly ich dwa podobne dwupłatowce. Leciały w odwrotnym kierunku, to znaczy nad trybunę.

- No jasne, racja, cha, cha, sprytnie pomyślane - zauważył Wytrawny Reporter, w czym basował mu technik.

Na tym miła pogawędka utknęła, zapadło kłopotliwe milczenie. W długiej, pustej gondoli samolotu zrobiło się jakoś poczciwie i bardzo nudno.

Adama zaczęło coś swędzieć w mózgu. Było to trudne do zniesienia.

- Przepraszam - rzekł - ale przecież kilkadziesiąt tysięcy ludzi widziało tam na dole, że gwiazda nie miała jądra. Niewątpliwie wśród tych tysięcy jest astronom i on może złożyć zażalenie. Jak to z tym jest?

Pozostali przyjrżeli mu się z uwagą.

- O co chodzi? - zapytał skoczek i mrużąc oczy wskazał brodę Adama. - Kto to jest?

- Nasz kolega - Wytrawny Reporter wymówił te słowa, jakby chciał zwymiotować. - Początkujący.

Adam speszzył się. Chciał ożywić nastrój, wywołać polemikę, a naraził się na inwektywy. Do skoczka nie miał pretensji, obcy, ale Wytrawnego Reportera nie posądzał o taką nielojalność, choć z drugiej strony mógł się tego spodziewać. Od pierwszych chwil lotu podkreślał on przepaść dzielącą go od młodego kolegi. Żadna celna riposta nie przychodziła Adamowi do głowy. Postanowił więc brnąć dalej swoim zwyczajem. Bywało, że im bardziej głupio - tym skuteczniej.

- Przepraszam - powtórzył - nie mogę tego zrozumieć. Przecież kilkadziesiąt tysięcy ludzi widziało tam na dole, że gwiazda nie miała jądra. Ktoś może złożyć zażalenie. Przypuśćmy, że astronom...

Wszyscy zaczęli przyglądać mu się z rosnącą ciekawością. Ponieważ milczeli, więc żeby ukryć zakłopotanie spróbował jeszcze raz.

- Jak to jest? Kilkadziesiąt tysięcy ludzi widzi na własne oczy, że coś jest nie w porządku z tą figurą akrobatyczną. Są tylko promienie a środek pusty, nikogo. I co? I nikt nie reaguje? Nie protestuje, nie złoży petycji gdzie trzeba, że coś co miało być gwiazdą na błękicie nieba, udaje tylko planetę, a nią nie jest de facto, ponieważ brakuje jej środka, treści niejako?

Milczenie utopione w warkocie motoru, szum w uszach i oczy. Trzy pary oczu

obserwujące Adama z coraz dziwniejszym wyrazem ni to niedowierzania, ni to podejrzliwości, ni to rosnącego lęku. Ten lęk odbija się szczególnie w rozszerzonych źrenicach Wytrawnego Reportera.

- Przepraszani kolego - zaczął ugodowo. - Nie wiedziałem, że tak was ta sprawa zainteresuje... to znaczy, że interesuje was każdy drobiazg... że śledzicie wszystko z urzędu...

Adam zreflektował się, osłupiał, teraz z kolei on się zląkł. Siedzieli obok siebie i bali się siebie nawzajem, każdy z nich z osobna ładował się podejrzliwością do każdego z osobna, jakby ich podłączono pod jeden zbiorczy zasilacz. Jak pięknie działał ten mechanizm. Adam odezwał się pierwszy.

- Proszę pana, ja tylko tak dla żartu, słowo daję. Nie jestem tym za kogo mnie pan bierze, absolutnie nie.

- Bywa, że czasem ciągnie kogoś w przestrzeń... - rzekł akrobata ni przypiął ni przyłatał patrząc w dal przez iluminator - ...albo ktoś drzwi w kabinie nie domknie... zapomni, nie przytrzyma...

Radiowcy zerknęli odruchowo na terkoczące w zawiasach drzwi wjazdu, za którymi szumiała pustka przestworzy. Następnie przenieśli wzrok na okrągłą szybę okna. Lekki przechyl dwupłatowca sprawił, że widać było tylko granatową połąć morza.

Całe ciało Adama zaiskrzyło się nagle tysiącem palących punktów przerażenia. Jąkając się i płacząc wyrazi - zaczął prosić ich, by przeprowadzili u niego osobistą rewizję na dowód, że nie ma przy sobie nic podejrzanego. Kiedy nikt się nie kwapił - zażądał rewizji kategorycznie, bo nie chce uchodzić za kogo innego, niż jest w istocie. A jest tylko zwykłym początkujący redaktorem nieprzynależnym do żadnego stowarzyszenia. Gdy i to nie pomogło, ubłagał technika - jako najmniej zainteresowanego - żeby dokładnie przejrzał ten oto portfel, proszę, niczego więcej w kieszeniach nie ma, zdjął marynarkę i wytrząsnął paprochy z kieszeni. Zapewnił na koniec skoczka, że plótł bzdury z wrodzonej przekory, dał słowo honoru, iż z powodu syfilisu i pijaństwa w jego rodzinie spłodzono wielu nienormalnych, do których i jego zaliczano przed podleczeniem.

Wszystkie te zabiegi nie wpłynęły wprawdzie na zacieśnienie więzów przyjaźni w kabinie, lecz pozwoliły na względnie bezpieczne doczekanie lądowania.

Skoczek dał się udobruchać na tyle, że gdy tuż po dotknięciu kołami ziemi pilot zawołał przez głośnik „Uwaga! Zapiąć pasy! Nawaliło podwozie. Może być krucho” - wybuchnął śmiechem i wyjaśnił posiniałym ze strachu pasażerom, iż jest to niewątpliwie dowcip dzielnego lotnika, który w subtelny sposób chce dać do zrozumienia radiowcom, żeby wspomnieli w audycji o trudnościach z częściami zamiennymi do samolotów lotnictwa

sportowego. - Na co nasz klub cierpi rzeczywiście - dodał skoczek wiarygodnie.

Gdy jednak dwupłatowcem zaczęło potwornie miotać na nierównościach gruntu, akrobata zbladł i wyznał, iż mógł się mylić co do poczucia humoru pilota.

Na szczęście samolot jakoś zatrzymał się na środku zielonego lotniska. Odurzony ciszą Adam zwlókł się z ławy jako ostatni - tamci pobiegli na przełaj ku hangarowi. Dotknął nogą stałego gruntu i natychmiast usiadł, oparłszy się plecami o koło. Siedział nieruchomo w cieniu skrzydła. Leniwie bzykały muchy, pszczoły, świerszcze przez sen tarły nóżką o nóżkę, nieruchomo wisiało słońce, nieruchomo stało śmigło, a gdzieś w oddali niewątpliwie siedział przy stole poeta realista i próbował wycisnąć hymn na cześć ruchu i dynamiki. Adam przeklął głośno dziada i zapragnął trwać wśród traw w bezruchu, półrealnie, do końca życia a przynajmniej z godzinę.

W kierunku dalekich krzaków, ku skrajowi lotniska uciekała dziewczynka w długiej, białej sukience, kołysząc płynnie w ramionkach małego, parchatego kotka...

Nawet się temu nie zdziwił. Wracał bardzo powoli do rzeczywistości, uwalniał się ze zwojów lęku jak z dławiącego szala. Jeszcze mu w uszach szumiało echo wiatru, wspomnienie pochodu z lotu ptaka. Właściwie nie był to już szum, ale jakby ciche syczenie. Dziwił się, że nie mija, że trwa. Coś nazbyt długo jakby. Powiercił palcem w ucho, w jednym, w drugim - syk nie przechodził. Czyżby przypadłość miała pozostać? Pokręcił głową. Syk trwał.

Nagle stwierdził, że nie w nim tkwi źródło syku, lecz pochodzi z zewnątrz, gdzieś zza głowy opartej o grubą oponę koła. Spojrzał - opona siadała powoli, aż obręcz oparła się ciężko o grunt, by wcisnąć się weń całym ciężarem dwupłatowca. Syk ustał. A więc jednak!

Z poczuciem humoru u pilota było jeszcze lepiej, niż przypuszczał spadochroniarz. Mając pewność, że z podwoziem jest coś nie w porządku, zażartował, że z podwoziem jest coś nie w porządku. Cóż za opanowanie i zimna krew. Trzeba będzie napisać coś o pilotach lotnictwa cywilnego. Śmierć i humor tworzą w tym ich podniebnym zawodzie piękną harmonię - pomyślał Adam ze wzruszeniem. Zatupał. Powrót do ziemskiego piekła wydał mu się niebiańską przygodą.

Rozgłośnia tętniła życiem. Koledzy przywozili nagrane taśmy z różnych miejscowości, kłócili się o pierwszeństwo na dwóch sfatygowanych stołach montażowych, zgrywali w studio słowa z muzyką, preparując kolaże.

Dźwiękowe sprawozdania wzdymał tak mięsisty patos, że nawet członkom wysokiego kolegium przesłuchującego pęczniały żyły na skroniach. Uczestnicy pochodów nie szli bowiem ulicami, lecz „płynęli stubarwną kaskadą, łopocząc wzniesionymi pięściami w takt

bicia spizowych serc ku jasno wytkniętym celem”, nie mieli oni nosów, pryszczycy, cofniętych czy wysuniętych zgryzów, ale „promienne oblicza” skierowane zwykle pod wiatr, gdyż włosy ich tak się musiały układać, by odkryć „dumne czoła prace nieugięte do zwycięstwa mas w świetlistym poranku, który rozkwita stubarwną tęczą...”

Ktoś, kto tego dnia przemykałby opłotkami spozierając spode łba - na przykład wskutek rozstroju żołądka albo spędzenia nocy ze zbyt muskularną spawaczką - mógł być wzięty za podżegacza czy wroga klasowego. Ale o takim żadnemu z zalotnych reporterów nawet nie śniło się wspominać, choćby zderzył się z nim czołowo w pogoni za „dumną wonią świeżej cegły”, za „żyłastym muskułem kowala postępu”, za pejzażem „złotych łąków ścielących brzemienne kłosa pod szerokie stopy przodującej klasy”.

Slogany-rabusie szczyrzyły się z każdego zdania, dopadały żarłocznie prawdziwych bohaterów tych dni, zdzierały z nich wszystko, co było do zdarcia - pozostawiając monumentalne kikuty.

Kierownictwo nie pochwalało żargonu, zachęcało „do poszukiwań świeżego nazewnictwa”, „do stosowania doskonalszych form” - oczywiście w granicach zakreślonych przez teoretyków - ale ponieważ takie nowatorstwo graniczyło z ryzykownym eksperymentem, żaden reporter nie kwapił się do odgrywania roli szczura doświadczalnego, czyli gadającego do mikrofonu po ludzku.

- To skandal! Skandal i wypaczenie! - miotał się po gabinecie naczelnego kierownika działu artystycznego Drąg, wymachując urzędniczą rączką nad swoją głową senatora. - Ja protestuję przeciw takim szkodliwym praktykom! Towarzyszu sekretarzu, co wy na to? Kolego Jerzy! Jako kierownika publicystyki ja się was pytam po raz trzeci, a wy milczycie, prawda? Ja się was pytam po raz czwarty kolego Dublet, jak mogliście posunąć się do takiego złamania podstawowych zasad? Jak? Po co? Prowokacja?!

Wytrawny Reporter siedzący w rogu z głową opuszczoną nisko, podpartą łokciem o kolano, że niżej już nie można - drgnął jak kopnięty w nos odyniec, ale nie odezwał się.

- Oczywiście! Wy wolicie przemilczeć swoje odstępstwo od linii głównych założeń, wy, wytrawny reporter, wolicie milczkiem, cichcem obracać wniwecz dorobek teoretyków postępu socjalnego, wy...

- Przestańcie dąć w rurę, kolego Drąg. Do rzeczy. Nie mamy czasu, trzeba przesłuchać jeszcze cztery taśmy z terenu - zniecierpliwiał się naczelny. Odsunął ze złością pęto swojej ulubionej proletariackiej kaszanki wraz z gazetą, w którą było owinięte. Paczka pojechała ślizgiem po szklanym blacie zabytkowego biurka, szszszsz...

Drąg zatrzymał się w półobrocie ciała. - Że jak? - powiódł wzrokiem po obecnych w

poszukiwaniu poplecznika. Członkowie kolegium uśmiechali się do niego z aplauzem, wyrażającym szczery wstręt. - Że ja niby dmę? Dmę dęto i rozdynam? Co?! - podniecał się z inteligencka.

Oto mój były kandydat na wuja, tego chciałem sobie uwujowić - myślał Adam, siedząc bez ruchu obok Wytrawnego Reportera, który w tej chwili odwytrawniał się, gasł napadnięty przez Drağa.

Sekretarz zaś był autentycznym stolarzem, więc rzekł: - Co się tu będziemy obdzyndalać, trzeba sprawę za pysk i wóz albo przewóz, nie?

- Słusznie - zmytygował się nagle Drağ, czując jak jamochłon, z której strony ciepło, z której zimno. - Racja! Może zbyt drastycznie zareagowałem na nieprzemyślane posunięcie kolegi Dubleta, wybaczcie mi, że w obronie słusznej sprawy gotów jestem spłonąć! - uśmiechnął się krzywo w stronę sekretarza. - Wewnętrznie raczej, drogi kolego... Tak więc powtarzam: samowolne udanie się kolegi Dubleta samolotem nad trasę pochodu było klasycznym przykładem oderwania się od mas przedstawiciela propagandy, co jest absolutnie niedopuszczalne i zasługuje na napiętnowanie! Przy okazji zdemoralizował on młodego pracownika, mianowicie kolegę Adama. Kolega Dublet przyczynił się w ten sposób do pogłębienia przepaści między niedoświadczonym inteligentem pracującym a masami robotniczo-chłopskimi kroczącymi w pochodzie. Uważam więc, proszę kolegów...

- Lecieliśmy nisko... tuż nad czapkami mas pracujących... - wtrącił niegłośnie Adam w obronie kolegi Wytrawnego Reportera, ale nikt go nie słuchał.

- ...że sprawozdania dokonanego z samolotu nie wolno nam dawać na antenę pod żadnym pozorem, gdyż byłaby to wroga robota.

- Bez przesady - naczelny zareagował słabiej, niż się po nim można było spodziewać. - Taśma nagrana może nie najlepiej technicznie, ale merytorycznych błędów ani odchyień nie widzę.

- Można by w ostateczności wyciąć wszystkie słowa, gdzie kolega Dublet mówi, że jest w samolocie - ostrożnie dorzucił kierownik działu informacyjnego - wtedy wyjdzie jakby jechał na rowerze.

- A warkot? - zapytał dyrektor techniczny.

- Oj, no to na traktorze. Można by dograć rzenie koni i wyjdzie, jakby jechał z delegacją chłopów uspołecznionych.

- A spadochroniarze? Z koni będą skakać? - frasował się w dalszym ciągu dyrektor techniczny, odpowiedzialny za wszelkie usterki akustyki.

Wytrawny Reporter poderwał się z krzesła, zaczął kluczyć między krzesłami starannie

wymijając Drąga. - Proszę kolegów... - zaczął mówić z trudem. - Ja samokrytycznie przyznaję... że popełniłem błąd... - zgrzytnął zębami aż obecnych zemdliło. - ... Oczywiście lepiej by było, żebym robił sprawozdanie z łodzi podwodnej. Ale wtedy musiałbym mieć bezpośrednie połączenie z kimś, kto leci samolotem i mówi mi, co widzi na trasie pochodu. W przeciwnym wypadku musiałbym udawać, że stoję na trybunie, a to też jest trochę wyżej od maszerujących...

- Te dwa, dwa i pół metra można chyba tolerować - dyrektor techniczny znów się wtrącił nieśmiało w trosce o własną skórę. - A telewizji jeszcze na szczęście nie mamy...

- W każdym razie - ciągnął Wytrawny Reporter - proszę o uwzględnienie faktu, iż działałem w dobrej wierze i te kilkadziesiąt metrów wysokości nie stanowi chyba aż tak szkodliwego czynu, jak to sugeruje kierownik działu artystycznego, któremu, prawda, jako artyście trudno byłoby obliczyć współczynnik mojej oderwalności od masy pochodowej.

Drąg posmutniał, co zwykle znaczyło, iż wewnątrz chichocze.

- Tak sądzicie? - rzekł miękko i senatorskim gestem odrzucił z czoła pukiel włosów.

- Tak sądzę i każdy matematyk przyzna mi chyba rację. - Wytrawny Reporter sprężył się w sobie gotów do odparcia dalszych ataków.

- Odpowiedzcie mi na jedno pytanie, a skłonny będę przyznać wam rację - na to znów Drąg dobrodusznie.

- No?

- Czy robiąc ten reportaż z samolotu a nie z ziemi zbliżyliście się do mas?

- Pytanie jest na tyle demagogiczne, że aż trąci krecią robotą.

- Wymigujecie się, bo odpowiedź może być tylko jedna. Jeżeli nie zbliżyliście się, co jest naszym głównym zadaniem jako propagandzistów, to mogliście się wyłącznie oddalić, co jest równoznaczne z oderwaniem się.

- Pierdoły - rzucił z troską w głosie sekretarz. - A czas leci.

- Co proszę? - Drąg na to aksamitnie. - Czy powtórzycie swój epitet, jeżeli wam powiem, że podobnego zdania jak ja jest ktoś z kim przed chwilą uzgadniałem problem telefonicznie, ponieważ sam miałem niejaki wątpliwości?

- Kto taki? - zapytał naczelny i sięgnął po słuchawkę aparatu.

- Puklak - szepnął Drąg ze smakiem, upadł na fotel i opuścił powieki.

W ciszy gabinetu gziły się muchy, słychać było dokładnie: cztery albo siedem. Daleko w głębi miasta dudnił pogodnie bęben, na dwa.

Naczelny szybko odłożył słuchawkę na widełki. Na to tylko czekał Drąg, uśmiechając się tajemniczo i nie unosząc powiek. - Ależ nie, nie, proszę zadzwonić i jeszcze raz zapytać,

może ja źle zrozumiałem... - Oblizął dokładnie swoje wąskie wargi żołądkowca bez poczucia humoru, wstał raptem i wyszedł. Zostawił wszystkich z muchami wśród wścieklej ciszy.

I o to mu wyłącznie chodziło. Inaczej do wieczora miałby zgagę. Tu święto, ludzie tańczą na placach - a tu kwasy żołądkowe. Rola jednostki w historii ruchów społecznych. Każdy w rozgłośni wiedział, że Drąg jest zdolny do wszystkiego, byle złagodzić bóle nerwicowe kiszki i nikt nie miał na to lekarstwa.

Adam stał na balkonie budynku rozgłośni od strony ogrodu i rytmicznie szeleścił zmiętą gazetą wprost do mikrofonu, imitując przemarsz wojska - a jeżeli mniej rytmicznie, to przemarsz cywilnego pochodu. Więc szeleścił raz wojskiem, raz cywilami. Obok niego siedział na odwróconym koszu od śmieci Wytrawny Reporter i odświętnym, błyszczącym głosem czytał z kartki sprawozdanie z pochodu.

- ...teraz przechodzą przed trybuną nasi wspaniali strażacy!!.. - Na znak jego ręki zgromadzone pod balkonem sprzątaczkę, montażystki i wszyscy, kogo tylko udało się spędzić do ogrodu - klaszczą, pokrzykują, wiwatują na cześć strażaków. Adam szeleści rytmicznie rozsypując się już gazetą, dwie jego ręce udają setki nóg. Jak dziecinnie łatwo jest zastąpić nogi - rękami, papierem - nogi i tak dalej aż do zwariowanego mnożnika możliwości, byle technicznie czysto, sprawnie i na tyle wiarygodnie, by nikt tam na górze i nikt na samym dole nie wyłapał uchem zgrzytów gwałconej w radiowej kuchni prawdy.

- Stop, stop! Do luftu! Niech pan trzyma strażacki krok, do cholery! - Wytrawny Reporter nagle odkształcił się z rozentuzjasmowanego sprawozdawcy w roboczego furiata. - Co pan, kupę baranów pędzi po asfalcie tym świstkiem?! Cofamy taśmę do moich słów: „słońce lśni w złotych hełmach rycerzy spod znaku czerwonego kura!” Kura, słyszycie? No jazda!

- Przepraszam - bąknął Adam. Wstyd mu było, że w zamyśleniu maszerował rękami nie w nogę.

- Od jakiego słowa powtarzamy? - dopytywał się technik, przykucnięty nad magnetofonową skrzynką w rogu balkonu. Zastopował taśmę i nadsluchiwał.

- Cisza tam na dole!! - ryknął Wytrawny Reporter do tła akustycznego, przechylając się przez balustradę. - Nie drzeć się! Dopiero na mój znak. Nie! Nie wyłączać marsza z tamtego magnetofonu, niech leci przez cały czas. Pochód maszeruje pod orkiestrę. Dobrze. Zostaje na taśmie słowo „kura”. Start!

- Chyba to kaczka... - zauważył technik w dalszym ciągu nadsluchując. - Jakby z tamtego podwórka... Włazi na taśmę. Hej tam! - krzyknął do koczującego w trawie tłumu. - Niech no który weźmie kamienia i ją w łeb!

- Co pan?! - palnął się dłonią w czoło Wytrawny Reporter. - Co pan im miesza w głowach! Szybciej, nagrywamy!

- Jak proszę? - technik był obrażony do głębi, że ktoś nim komenderuje.

- Tłumaczę, że kończymy na moim słowie „czerwonego kura”, to znaczy koguta, a skąd pan wziął kaczkę?!

- Przecież kwakała, nie?

- Kto kwakał?

- Jak to kto? Nie ja.

Wytrawny Reporter wściekle rozdeptał papierosa wyplutego na podłogę balkonu, jęknął: - ...Panie Pawleee!

- Ja już nic nie wiem! To jest bajzel nie nagranie. Jedno wiem, że z panem redaktorem więcej pracować nie będę.

- Panie Pawle...

- No dobrze - technik wziął się w garść. - Jutro pogadamy.

- Za pół godziny wejście na antenę, prawda?

- Proszę. Od słowa „kogut”. Niech oni tam na dole wrzeszczą, żeby mi się tło złączyło. Pan da im znak ręką.

Wytrawny Reporter chwycił się dłonią za twarz i zmiął ją jak gumę. - Panie Pawle!!... Na taśmie zostaje słowo „kurrra” nie „kogut”!! Uwaga tam w trawie! Robić entuzjazm! Entuzjazm!! Taaaak! Nieeee!!! Entuzjazm mówię, nie knajpę!!

Technik mruczał pod nosem: - A Długa powiesić. Za koguta go...

- Panie kolego, proszę maszerować! - to Wytrawny Reporter do Adama.

- Już! - Adam zaczął tarmosić z entuzjazmem świeżą gazetę.

- Start! - zawołał z ulgą Wytrawny Reporter.

- Jest start! - technik nasunął słuchawki na uszy.

- ...idą, idą ramię przy ramieniu strażnicy naszych domów i chat, broniący społecznego mienia przed czerwonym kurem...

- Stoop! - krzyknął technik jak rażony w głowę. - To przecież husaria nie strażacy! Za ostro maszerują, jakby mieli nogi z blachy.

- Dobrze. Panie kolego - Wytrawny Reporter znów do Adama - proszę wziąć tę starą gazetę.

- Takie strzępy? Będzie za słaby efekt.

- Strażacy mogą iść w tenisówkach.

- Proszę, zrobię tenisówki.

- Szybciej, skupcie się wszyscy, błagam! Uwaga! Start!

To piekło trwało jeszcze kwadrans. Drąg leżał w tym czasie w swoim fotelu, trzy pokoje dalej. Skandował półgłosem Horacego w oryginale. Reszta nie dotyczyła go. Nic, absolutnie, nic. Przed chwilą upłynął zółć, postawił na swoim. Przed chwilą też miał dobry stolec. Czuł się naprawdę świętecznie.

- Dlaczego on nie wziął samochodu, nie zapakował magnetofonu, taśm i technika i nie pojechał na trasę pochodu, żeby tam, na miejscu, bez tej komedii nagrać normalne sprawozdanie? Przecież to takie proste. - Siedzieli z Romanem w płytotece i palili czwartego papierosa.

- Tttto nieee... jest ttaakie proste - odrzekł Roman z właściwym sobie wdziękiem. - On by się zzz... agryzł na śmie... erć.

- On też ma komplikacje z wątrobą? - Adam nastawił płytę z koncertem a-moll Griega i usiadł na podłodze.

- Nie. Zzzdaje się owrzodzenie dwu... unastnicy.

- Od alkoholu?

- Nie. Od ambicji. O... obaj mają chorobę zawodową.

- Tak sobie myślę, że właściwie w szkole każdy nauczyciel zachęca dzieci, żeby jak najszybciej owrzodziły sobie dwunastnice.

Roman roześmiał się krótko, sucho, pokazując końskie zęby w dodatku szeroko rozstawione. Adam bardzo lubił jego uśmiech. Zawsze jakiś promień słońca odbijał mu się w zębach choć było pochmurno.

- On nie mógł te... ego zrobić inaczej - ciągnął dalej - bo nie chciał żeby koledzy dopowiedzieli się, że nie udało mu się pierwsze sprawozda... anie z trasy pochodu. On jest dobry, przedwojenny reporter, pracował w stolicy, ale go wywalili po wojnie, czeczcy coś. I teraz ma kompleksy - pociągnął łyk piwa z butelki. - A oprócz te... ego, to jemu ktoś u nas ciągle podkłada świnię. Dziś dali mu za późno sa... amochód, dlatego wymyślił ten samolot. A oprócz tego Drąg dał mu ciebie do po... omocy, żebyś uczył się od niego, ale on nie znał ciebie i pewno myślał że specjalnie ktoś... ciebie...

- ...A ja idiota jeszcze stosowałem zgrywę! - Adama w jednej chwili oblał gorący pot, choć siedzieli w zimnej taśmotece i pili lodowate piwo.

- Znów coś nic wy... yszło?

- Roman, to ty puściłeś mi w ruch tę maszynkę, kiedy mnie naczelnym przyjmował. I tak już później poleciało.

- Nieżle to ro... obisz, rzeczywiście. Sporo ludzi u nas nie wie, jak cię ugryźć.
- Trochę mniej się teraz boję...
- Za to oni za... aczeli się ciebie bać. Taka równowaga sił, piękna sprawa, każdy boi się ka... ażdego. Ale ryzykowna.
- Miałem okazję przekonać się o tym w samolocie.
- Uważaj, żebyś nie przesadzi... ił.
- Albo przestanę to robić albo zmienię taktykę.
- Jak przestaniesz, to pomyślą, że ktoś, kto za tobą stoi kazał ci zmienić taktykę.
- Roman... czy ja nie mógłbym na jakimś zebraniu powiedzieć całemu zespołowi, że nikt za mną nie stoi? Że sam boję się każdego z kolegów, bo strach siedzi we mnie jak mróz. Wygarnę im całą prawdę, co?

Roman uniósł brwi: - Z tobą coś jednak nie je... est w porządku.

- Czemu, Roman? Przecież ty najlepiej wiesz!
- Co do twoich zagrywek to tak, ale kiedy zaczynasz o pra... awdzie...
- Nie można im przypomnieć o jej istnieniu?
- Gdybym cię nie znał, mógłbym po... omyśleć, że jesteś zgrywus do kwadratu.
- Nie! Tego ci nie wolno! Jesteś jedynym, z którym mogę szczerze!
- W porządku, do... obra.

Położył na ręce Adama swoją biedną, umęczoną, szponiastą dłoń. - Na razie zachowuj się normalnie. To znaczy nienorma... alnie.

- Tak jest.

Roman nagle parsknął.

- O co ci chodzi?
- Ty wie... esz ... co ja sobie pomyślałem?!
- No.
- Że tym, który za tobą stoi jeste... em ja!
- No... właściwie... Tak jest, szefie!

Spędzili tego popołudnia przy piwie jeszcze wiele chwil swojej katharsis. Siedzieli przy stoliku kawiarni u wejścia na molo, gdzie jedynym śladem wojny były ruiny kasyna gry - żalodne *signum temporis* w zestawieniu z bogactwem secesyjnych kamienic wokoło - nietkniętych kulami, przyjmujących defilady wczasowiczów, wycieczkowiczów i tubylców podnieconych muzyką i przemówieniami z głośników. Z przemówień wyzierała urzekająca twarz przyszłości o uśmiechu Giocondy, gwałconej przez reakcjonistów i wrogów.

Przez miasto przelewała się fala korowodów, festynów, wyścigów przełajowych,

meczów, marszów gwiazdzistych. Gdzie spojrzeć skoki w workach, ślizgi w dół po słupach, grzechotki, piszczałki, cyrki, sztafety, serdelki na gorąco, starcy w krawatach, wykrochmalone rodziny, matki w koralikach na szyjach zamiast pętli codzienności, roześmiane dzieci okrakiem dosiadające karków swoich ojców, dzieci wdzięczne za ich staranne spłodzenie, подростки piesze wypchane watą cukrową, trzeźwi szwagrowie, teściowe z błyskiem złota w paszczach.

Adam odprowadził Romana do domu. Obozowy reumatyzm atakował stawy byłego więźnia bez względu na państwowe święto. Roman zapraszał na koncert z płyt - ale nie, nie, Adam chciał już być sam, koniecznie, często miewał takie stany, gdy samotność wydawała mu się błyszczącą kroplą ze szkła, w którą mógł wejść, odgrodzić się przejrzystą powłoką i paść oczy światem - absolutnie bezpieczny.

Poczucie bezpieczeństwa było rajem, dokąd próbował uciekać. Izolacja od otoczenia dawała mu tę szansę, kryła w sobie dodatkową rozkosz: wobec natarczywości urzędowych nawoływań do życia zespołowego jako jedynej i najlepszej formy istnienia - ucieczka w samotność miała posmak bezkarnego dokonywania przestępstwa. Ostrożnie dawkował sobie tę przyjemność, delectował się nią, wpadł niemal w nałóg. Z niepokojem stwierdził, że nawet najbliżsi mu ludzie wydają się bliższymi na dystans, z samotnego oddalenia. Ciągłe napięcie, ciągłe trwanie w defensywie - coś jakby w jego ustroju zepsuło. Na razie postanowił wzmocnić organizm przez ograniczenie palenia i spożywanie tłuszczów zwierzęcych w formie smażonej.

W związku z tym zjadł cztery gorące parówki sprzedawane wprost z budy ciężarowego samochodu, a zamiast paczki papierosów kupił balonik dla Mercedes i gwizdek dla Agaty.

Pogwizdując na gwizdku, z balonikiem przywiązany do guzika bluzy wmieszał się w tłum. Rozkosznie w nim samotny, pełen życzliwości dla otaczających go anonimów - zapragnął zmienić się w tratwę bez steru, cieszyć się brakiem nakazów i gorzkim smakiem przemijania, bez którego wszystko to razem wzięte nie warte byłoby funta kłaków - pomyślał i wzruszył się własną wnikliwością.

Na wielkim placu huczał młyn wesołego miasteczka. Wsiadł do wagonika i pozwolił wozić się po falującym obwodzie. Frenetyczne krzyki współtowarzyszy podróży wzbudziły w nim zniecierpliwienie, wysiadł więc w biegu, czym wzbudził złość obsługującego maszynierę chłopca.

Długo kluczył ulicami, aż wreszcie natrafił na park miejski. W liściach śpiewało dyskretnie ptactwo, nie przerywając treli mimo skrzypienia żwiru pod butami spacerowicza.

Z rozsianych tu i ówdzie między krzewami kiosków z piwem rozlegały się miłe dla ucha, przyciszone toasty, przeważnie o treści społecznie nieszkodliwej, na ławkach obłapiwały się pary, odświeżnie, przyzwoicie, mimo iż spowijał je wyuzdany zapach lip. Wszystko tchnęło atmosferą stabilizacji, harmonii. Tego właśnie było mu najbardziej potrzeba.

Toteż kiedy ujrzał na uboczu, w dolince, budę jarmarczną na kółkach spełniającą rolę strzelnicy, pełną różnokształtnych fantów - podszedł. Dobrze byłoby postrzelać - pomyślał, strzelanie to jest jednak strzelanie, a nie na przykład wypadanie z samolotu, postrzelam sobie, przestronnie tu, nie ma chętnych, lekko na duszy. Poprosił o wiatrówkę, zapłacił z góry za dziesięć strzałów. Właściciel budy znał się na klienteli, poustawiał na specjalnej desce różne głowy, a to zwierząt, a to ptactwa, a to popiersia dam - cel dla zdradzonych, znalazła się też głowa mężczyzny - przyjemnie trafić w rywala, jakiegoś Chińczyka.

Wycelował w pierwszą z brzegu, czyli w byka, pociągnął za spust, spudłował, strzelił drugi raz i też nic. Widocznie z równowagą wewnętrzną nie było najlepiej, ręka mu się trzęsła, strzelił trzeci raz, czwarty i jeszcze, zapłacił za dalszą kolejkę strzałów, ciągle nic, bo gdyby trafił, głowa przekreśliłaby się na osi o trzysta sześćdziesiąt stopni, fik, a tymczasem stała nieruchoma na swoim miejscu, zaciął się, postanowił trafić za wszelką cenę, nabijał i strzelał, ręce zwilgotniały mu z podniecenia, głowa byka jak świadectwo nieudolności stała w miejscu, a wokół niej przybywały na ścianie czarne punkciki po ołowianych pociskach. Skandal, prawdopodobnie wiatrówka miała zwichrowaną lufę, rzucił strzelbę na ladę, poprosił o inną, budziarz z kamienną twarzą podał mu drugą, strzelił i trafił w byka, głowa fiknęła kozła i wróciła do poprzedniej pozycji, sprawiło mu to taką radość, że walił w tę głowę raz po razie trafiając co trzeci, czwarty strzał. Na ladzie właściciel budy kładł papierowy kwiatek na drucianej szypułce, jakieś lizaki, zajączki z celuloиду, amorki - nagrody za celne strzały.

- Ty... - usłyszał nagle przejmujący półszept.

Spojrzał, obok stał niski osobnik o gęstych brudnych włosach spadających na czoło i oczach lśniących nienaturalnie w trójkącie twarzy o kilkudniowym zarostie. W za dużym, wyświechtanym ubraniu wyglądał jak przebrany za człowieka pawian. Wydawało się nieprawdopodobne, że ktoś o tak odrażającym wyglądzie może istnieć w święto państwowe.

- E... ty - powtórzył tajemniczo tamten.

- O co chodzi? - Adam załadował na nowo wiatrówkę, zerknął spod ramienia, sine wargi tamtego rozciągnęły się w śmieszku, odkrywając resztki zgniłego uzębienia. Wspiął się na palce, lecz nie sięgnąwszy ucha Adama wyszeptał w tubkę zwiniętej dłoni: - Ty jesteś obcy jakiś taki typ.

Adam zbył go machnięciem ręki.

- Niewyraźny jesteś - rzekł konspiracyjnie brudny człowiek, rozejrzał się, jakby szukał, komu przekazać swoje odkrycie. Właściciel budy pólleżał na ladzie z miną sfinksa.

Adamowi wystąpiła na czoło kropla potu. - Proszę się odczepić!

Tamten jakby tylko na to czekał. Odezwał się nieco głośniej.

- Rozpoznałem cię. Jakiś obcy niewyraźny ty jesteś, ty!

Adam spróbował zignorować oberwańca, podniósł do oka broń, celując w głowę byka.

- O! Wyraźnie widać - zatarł ręce brudas. Dłonie miał o wiele jaśniejsze niż wierzchy rąk pokryte błyszczącą polewą wrośniętego w skórę tłustego brudu. Podobną fakturę miały jego policzki. Trudno było odgadnąć, czy usiłuje żartować w niezbyt wybredny sposób, czy ma coś innego na myśli. - Mnie nie oszukasz. Ja patrzę i widzę - dodał.

- Milczeć! - zdenerwował się Adam i bez zastanowienia skierował lufę wiatrówki w pierś brudasa. Dopiero gdy to zrobił, rozejrzał się trwożnie, czy ktoś nie patrzy. Tego by jeszcze brakowało.

- Broń jest sprzętem rozrywkowym - rzekł martwo właściciel budy, nie podnosząc torsu z lady. - W razie nadużyć sprowadzę patrol.

- Żartowałem, prawda, nie ma o czym... - zwrócił się Adam bardziej do brudasa niż do budziarza, jednocześnie kładąc broń na ladzie jakby mu lufa parzyła palce. - Ot, żarty strzelców nic więcej...

- Mnie nie do śmiechu - wykrztusił brudas przez zaflegmiony kaszel. - Ja swoje wiem, w kogo trafia się, a w kogo się nie trafia.

Adam za wszelką cenę usiłował opanować zdenerwowanie. Zwrócił się przyjaźnie do oberwańca: - Może sobie strzelicie na mój koszt, kolego?

- Ten facet zaraz się zdradził - mówił tamten, już nie do Adama, którego teraz bagatelizował wyraźnie, lecz do właściciela budy. - Nie strzelał do Trumana ani do Czang Kaj-szeka, panie, podżegaczy wojennych, wrogów ludu, ale do byka, panie, do byka, jakby byk mu co zrobił, nasz spółdzielczy byk, żaden podżegacz, żaden wróg.

- Gdzie pan tu widzi Trumana? - Adam uświadomił sobie poniewczasie, że tym pytaniem tłumaczy się przed oberwańcem. Jednak strach dawał mu się już we znaki. Uciekać! Ale jak to zrobić. Typ może narobić wrzasku. O coś przecież mu chodzi.

- A o! To jest łeb Trumana! - brudas wskazał jedną z męskich głów na ścianie. - Szefie! - zwrócił się do kamiennego właściciela budy. - Może to nie jest Truman?

- Może Truman, może nie Truman, ja mu w zęby nie zaglądam - strzyknął śliną budziarz.

- A to nie Czang Kaj-szek? Co? - wskazał palcem głowę Chińczyka. - Każdy głupi pozna.

- Może być, może nie być. - Budziarz znów strzyknął śliną w bok.

- A widzisz! Ja dobrze wiem, kto jest kto, ja znam się na głowach. Ja byłem w pierwszej wojnę za strzelca wyborowego!

To mówiąc złapał pierwszą z brzegu wiatrówkę. Załadował wprawnie, złożył się z lewego ramienia i strzelił w głowę Trumana. Trafił w środek ust. Głowa fiknęła kozła.

- Tak się strzela do wroga, o! - powiedział i smarknął z lewej dziurki nosa, zakrywając palcem prawą. Trafił w czubek buta Adama. - Tak się strzela! - powtórzył rzeczowo.

Adamowi ślina napłynęła do ust, ale bał się zaprotestować w jakikolwiek sposób. Lęk wobec tego człowieka obezwładniał go coraz bardziej dotkliwie. Mógł się spodziewać najgorszego. Ale czego? Jeszcze gorszych zniewag? Dochodzenia? Wszystkie zarzuty wysane z palca trzeba by mozolnie wyjaśniać. Z jakim skutkiem?

Stał gapiąc się martwo na oberwańca. Musiał wyglądać załóżnie, gdyż ten w pewnej chwili nie wytrzymał i trącił go wytłuszczonym łokciem w żebro.

- No, to jak będzie? Co? - puścił oko do Adama tak wymownie, że gałka oczna skulnęła mu się po policzku odkrywając sinofioletowe wnętrze oczodołu. Zręcznie pochwyconą szklaną atrapę strzelec wyborowy wepchnął na swoje miejsce i zamrugał. - Postawisz pół litra?

Adam zakrztusił się. Zakrywając dłonią usta pobiegł w kierunku krzaków. Z oddali słyszał rechot oberwańca, basował mu całym gardłem właściciel budy.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak pogwałcony, odarty z zieleni i skrzydeł.

Długo przedzierał się przez krzaki. Kiedy wyszedł na parkową uliczkę stwierdził, że po baloniku dla Mercedes pozostał tylko sznurek u guzika bluzy i gumowa szmatka.

- I jak tam święto? Żałuję, że z tobą nie poszłam - zagadała serdecznie Z., pociągając w jego kierunku nosem, co nadawało jej twarzy wyraz zdziwionej kury.

- Żałuj. Było bardzo miło.

- Może dobrze, że nie poszłam. Męczy mnie świąteczna monotonia.

- Mnie też. Pójdę do Mercedes.

- Tylko krótko. Nie obudź jej.

- Nie, nie, bądź spokojna.

Siedział przy Mercedes długo, obudził ją i opowiedział koszmarną bajkę, która była prawdą. Dał jej też świąteczny prezent w postaci kawałka sznurka. Przywiązał go do łóżeczka. Jak podrośnie, będzie miała pamiątkę po ojcu. Z. i tak jutro odetnie i wyrzuci.

Królik do zabicia

Samochody ulicą za żywoplotem, mrówka z bagażem w trawie tuż koło buta, stary człowiek usiadł obok na ławce, posiedział, poszedł, młody - to samo, później dwie harcerki, ławka długo pusta, dwie gadatliwe starsze kobiety posiedziały, poszły. Z daleka syrena statku.

Agata nie przyszła do parku koło radia. Trzy godziny, paczka papierosów, pulsowanie zazdrości.

Którymś zmysłem wyczuł, że ktoś go śledzi z ukrycia. Zamarł. Następne pięć minut spędził na najgorszych przypuszczeniach. Raptem stwierdził, że któryś zmysł mógł go wprowadzić w błąd. Odetchnął, obejrzał się gwałtownie. Za jednym z drzew dostrzegł rąbek beżowej sukni i beżowobrazowe włosy. Nie mógł to być ani Muka, ani inna osoba - nikt prócz Marty.

- Widzę cię, chodź - zawołał, choć zamierzał zupełnie inaczej, nieodparcie chciał zapytać, co skłoniło ją do tego, że jeszcze nie umarła na tę złośliwą białaczkę, o której mu wspominała pod lasem. Nastawiony był na odbieranie i nadawanie impulsów wyłącznie od i do Agaty, a każda inna kobieta była w jego świecie zbędna. Poza tym co miało oznaczać to deptanie mu po piętach? - niecierpliwił się tym bardziej, że wiedział co oznaczało.

Z nieśmiałym ociąganiem wyszła zza pnia i poinformowała go z wbitym w trawę wzrokiem, iż wygrała wczoraj na loterii żywego królika i chce go upiec. Lecz uczulona jest na krew - dodała, kiedy pytająco uniósł brwi. Trzyma go w swoim mieszkaniu, niedaleko, dziesięć minut pieszo, więc gdyby on zechciał to dla niej zrobić...

Zgodził się szybciej, niż mógł sam przypuszczać, zgodziłby się chyba na każdą propozycję uwalniającą go od męki czekania na Agatę. Zabijanie królika? Czemu nie. Może tym ogłuszy swoją tęsknotę.

W czasie drogi nie zamienili ani słowa. Nie bardzo nawet uświadamiał sobie, z kim idzie i dokąd. Wszystkie jego myśli bez reszty zagarnęła Agata.

Marta mieszkała na strychu starej secesyjnej kamienicy. Wchodziło się wprost ze schodów. Pokój był wielki. Jedna ściana skośna przecięta wąskim podłużnym oknem tuż pod pochyłym sufitem. Za szybą tylko niebo podparte kominem jakiejś wytwórni. Półmrok mimo

popołudnia.

Pokój jak pokój, tapczan, stół, krzesła, przeżarta przez korniki szafa, - miły zapach grzybni - plantacja na ścianie. Adam jednym rzutem oka dostrzegł - poprzez kontury twarzy Agaty nie opuszczającej ani na moment jego wyobraźni - całą lichotę tego miejsca. Marta zapaliła światło u sufitu i wizja Agaty przysła razem z wrażeniem lichoty. Widok jasno oświetlonych trzech wielkich ścian obezwładniał, zapierał oddech, napychał oczy kolorem, przestrzenią i jakimś nieokreślonym, wyciskającym łzy obłędem.

Malowidło od podłogi do sufitu okalające pokój z trzech stron przedstawiało głęboki lazur morza, w połowie wysokości ścian stykający się z bledszym o kilka tonacji błękitem nieba. Na lewej ścianie złocistopomarańczowa kula słońca wielkości sporej szafy emitowała zygzakowate promienie, na prawej - nad falami tego samego morza wisiał sierp księżycy emanujący srebrem jak piecyk zwany kozą. Na pierwszym planie środkowej ściany szpetna księżniczka ze łzami szczęścia na policzkach i wyszczerzonymi zębami - w diademie na długich beżowych włosach spływających na szkarłat peleryny - stała u boku księcia również z końska wyszczerzonego w podobnie pysznej odzieży. Nad obojgiem wzdymał się żagiel łodzi, której linia pokładu dotykała niemal podłogi pokoju. Dolne rejony brzucha księcia oraz jego nogi musiały być ruchome bo wypadały akurat na drzwiach wejściowych. W tle piętrzyła się wyspa z zamkiem warownym na szczycie góry, u podnóża której rozciągało się podgrodzie - zabudowane amerykańskimi drapaczami chmur - owinięte wstążką ulicy. Spacerowały po niej rajskie ptaki o tęczowym upierzeniu. U stóp miasta, na plaży rosły palmy obwieszane tabliczkami czekolady, kiełbasami, damskimi pantoflami, zegarkami. Nad wyspą unosiło się stado aniołów przypominających skrzydlate krowy.

Dzieło wykonano w jaskrawych kolorach z właściwym dla amatorstwa naturalizmem i brakiem proporcji, nie sposób było jednak odmówić malarzowi pomysłowości w wywołaniu widza stanu osłupienia.

- Kto to zrobił? - zapytał Adam ochłonawszy nieco, podczas gdy Marta krzątała się przy gazowej kuchence.

- Ja - mruknęła nie przerywając czynności.

- Kłamiesz.

- Zapomniałeś, że zawsze mówię prawdę. Każdemu i wszędzie.

- Przepraszam. Myślałem, że może ktoś znajomy, chłopak na przykład.

- Nie mam chłopaka.

- Nie chciałem cię urazić. Ładnie to zrobiłaś.

Nagle przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

- Gdzie królik?

Milczenie.

- Jednak skłamałaś.

- Nie.

- To daj go. Zabiję i pójdę - powiedział bez przekonania, bo przeszła mu ochota na zabijanie czasu spędzonego bez Agaty w sposób krwawy. W ogóle przestało mu się spieszyć. Agata ukryła się gdzieś w przestrzeni, za wyspą, od której nie mógł oderwać oczu. Siedział i gapił się.

- Piękne. Ale czemu to namalowałaś?

Długo milczała. Powtórzył pytanie. Po chwili cicho zapytała:

- Podoba ci się, naprawdę?

- Bardzo - rzekł miękko. Łgarstwo wzruszyło go na wskroś. - Ale czemu to namalowałaś?

- Naprawdę podoba ci się?

- Trudno oderwać oczy.

- Serio? - dopytywała się uporczywie.

- Masz talent.

- A czy... ona jest podobna do mnie? Ta księżniczka.

- Podobna? No... w pewnym sensie.

- Bo to ja jestem. A on miał być podobny do ciebie.

- Aha...

- Gniewasz się?

- Nie, nie.

- Jest podobny, czy nie?

- Chyba tak - zerknął spode łba na haniebnie głupawą gębę księcia. - Na pewno.

Czuł, że cierpliwości nie starczy mu na długo.

Zgasiła światło. Bohomaz zszarzał.

- Czemu gasisz?

Zamiast odpowiedzi, rzuciła się na tapczan, głowę schowała w poduszkę, chudym ciałem wstrząsnął szloch.

Ogarnęła go złość. Zwabia go podstępnie i jeszcze sceny. Znów na pewno w określonym celu. Wyjść i zniknąć.

Ale nie wychodził i nie znikał. Fakt, że ona całymi dniami ślęczała nad potworną malaturą, której centralną bądź co bądź postacią miał być on sam - sprawiana mu niejaką

przyjemność.

Usiadł przy niej, zaczął gładzić bezowe włosy. Jej delikatne, gołe ramię leżało na poduszce jak bezbronna liszka. Wzruszył się nim, a głównie wzruszyło go porównanie, które wymyślił w oka mgnieniu.

Ta mała ręka machała pędzlem, wychlapując wiadra farby, żeby zrobić mu przyjemność. Po krótkim wahaniu ostrożnie pocałował powyżej łokcia białe ramię. Drżało z lekka. Pogładził je. Uspokajało się pod jego dłonią. Zaraz wpełźnie mu na szyję. Ale nie.

Wolno odwróciła do niego twarz mokrą od łez, uduchowioną jak gdyby, uśmiechniętą nieobecny uśmiechem. Nie odczuwał jednak nic prócz narastającej litości i zakłopotania.

Objęła go początkowo delikatnie - bez pewności, czy nie odepchnie jej i nie zerwie się do ucieczki - później coraz silniej, z nieoczekiwaną mocą chudego ciała przyłgnęła do niego - nagle - zachłannym ruchem desperatki jeszcze nie wierzącej w powodzenie swego planu - wciągnęła go na siebie. Poddał się jej energii, a nawet uległ urokowi żywiołowego oddania, które dobrze pamiętał. Gorączkowo i niezdarnie wyplątywała się z garderoby, pomagając mu w tym samym.

Krzyk, znikanie poczucia czasu i pusto, pusto, żadnego drgnięcia w sercu. A jednak nie spodziewał się, że aż tak wyraźnie dozna zapadania się w coś, co przypominało soczystą zieleń trawy.

Pustka. Biel myśli, nic, tylko pragnienie trwania w harmonijnej zapaści.

Odpoczywali jak raki na piasku, by - wysuszeni gorącem, którym ona coraz silniej promieniowała - znów odejść w tę trudną do nazwania pozarealność.

Obudził go niegłośny szmer. Uniósł głowę nie bardzo wiedząc, co i gdzie.

- Ciii... napij się.

Marta klęczała tuż przy nim ze szklanką w ręku, opiekuńcza i tkliwa. Płyn miał smak ostry, przyjemny. Ta tkliwość też była zaskakująco miła.

- Co to jest?

- Woda, cytryna i spirytus. Dobrze ci zrobi... - aksamitnie musnęła wargami jego policzek. - Tak się cieszę, tak się cieszę...

- Ja też - skłamał szczerzej, niż gdyby naprawdę się cieszył.

Odstawiła szklankę na podłogę i wsunęła się pod koldrę. Przyłgnęła do niego chłodnym ciałem. Poczul wilgoć policzka na swojej szyi. Znów płakała rzewnie, z wielką ochotą.

- Adam, Adam... - powiedziała przez łzy.

- Cicho... - powiedział przez zęby.

- Ja wiem, że ci się nie podobam, nikt mnie nie kocha, ale teraz już mogę umrzeć, wiesz?

Nie potrafiła wytrzymać bez solidnej egzaltacji. Zniecierpliwienie podeszło mu do gardła. Gdzieś w oddali zamajaczyła twarz Agaty, bliskiej i naturalnej.

- Przestań udawać chorą! Zdrowa jesteś. I bardzo... zaradna - dodał.

Chciał powiedzieć „sprytna”, ale w ostatniej chwili stonował.

- Tak myślisz? - wytarła łzy wierzchem dłoni i spróbowała uśmiechnąć się. - Naprawdę?

- Na pewno.

- Tak, tak, tak - kiwała głową.

Denerwowała go. Coraz bardziej. Zaczynał być wściekły, że pozwolił się tu sprowadzić. Czcze zaspokojenie zmysłów dawało o sobie znać goryczą popełnionej zdrady. I przypomniał mu się ten przeklęty królik.

- Gdzie królik?

- Tu - rzekła i ciężko opuściła powieki.

- Nie udawaj! Zawsze, jak chcesz mnie oszukać, to udajesz chorą.

- Myślisz?... Więc chyba nie jestem chora - uśmiechnęła się i mocno zacisnęła usta. - Nie jestem pewna, ale może...

Wodził wzrokiem po plamach wilgoci na suficie. Nagle zmiękł. Zawstydził się braku delikatności.

- Słyszysz, jak szumi morze?... - powiedział nagle bardzo ciepło, jakby zaczynał baśń.

- Morze? Jakie morze?

- Wokół nas... na twoim obrazie. Posłuchaj jak szumi...

- Na obrazie? Na obrazie?... - powtórzyła, budząc w swoim głosie podobnie ciepłe tony. Przypomnienie malowidła najwyraźniej sprawiło jej rozkosz. Głosem pełnym słodczy ciągnęła: - Na obrazie jestem piękna, taka jak moja... miłość.

- I dzwony biją, słyszysz?... To z wieży zamkowej na wyspie, z twojej wieży, posłuchaj księżniczko...

Milczała. Odwróciła głowę do ściany.

- No, słyszysz? Dwa dzwony... niski i wysoki. Twój i mój.

- Kłamiesz - przerwała raptem trzeźwo.

- Kłamię - przyznał i zamilkł. Nie warto ani słowa więcej.

- Sam przyznajesz, że kłamiesz.

- Ty też kłamiesz, że ta paskudna królewna na obrazie jest piękna.

- Nie - wyszeptwała. - Jest piękna!

- Teraz to już łezki na całego - głaskał litościwie jej beżowe włosy rozsypane na poduszce. - A jeżeli z takim przekonaniem potrafisz teraz kłamać, to i przedtem i potem... nie uważasz? No, ale nic.

- Nie kłamię! Ja nigdy nie kłamię, dlatego nikogo się nie boję! Ani Muki, ani naczelnego. Każdemu w oczy mówię, co myślę. Tobie też.

- Tak jak na przykład o tym króliku, co?

- Nie, poczekaj...

- Dostyc - cofnął rękę, którą gładził jej włosy. - Zaprosiłaś mnie, sama wiesz po co, ale pretekst wymyśliłaś byle jaki. A wydawało mi się, że kto jak kto, ale ty nie musisz wymyślać pretekstów. Cicho! Jeszcze jedno: ta twoja choroba to też bzdura. Fantazjujesz jak na obrazie. Tak naprawdę jesteś silniejsza i sprytniejsza, niż się spodziewałem. Pleciesz, że na obrazie jesteś prześliczna, że potrafisz malować - a twój knot świadczy o czymś zgoła innym. Nie wiem, o co ci chodzi? Masz mnie za idiotę?

- Nieprawda! - wybuchnęła tłumionym płaczem. - Ona jest piękna! Zobacz. Każdy może wypięknąć... choć jest brzydki...

- No dobrze, dobrze, cicho... - nagle jemu zachciało się płakać. - Myślałem, że ty jedna ze wszystkich, których znam, rzeczywiście nie boisz się, że jest ktoś choć jeden jedyny, kto nie ubabrał się udawaniem kogoś innego... Łatwiej jest, kiedy się wie, że taki ktoś istnieje. A tu znów nic, wszędzie bzdura, jak okiem sięgnąć załgane świństwo, świństwo!!! - zerwał się, po czym opadł z powrotem na krawędź tapczanu i zastygł.

- Posłuchaj - chwyciła go za gołe udo kurczowo wilgotnymi palcami. - Uspokój się, popatrz mi w oczy. No, popatrz mi w oczy...! - szepnęła chrapliwie, z trudem łapiąc powietrze, aż zerknął na nią z niepokojem. - Uwier mi... zapal światło... - leżąc, wskazała za siebie nieznacznym ruchem głowy. Mysią twarzyczkę szpecił grymas.

Podszedł do kontaktu, przekręcił. Poczł drętwienie w palcach obu rąk. Twarz księżniczki emanowała pięknem kobiecej urody trudnej do opisanania. Poprzedniej brzydoty ani śladu! Przeniósł pytający wzrok na Martę.

- Jak to zrobiłaś?

Leżała z półprzymkniętymi ironicznymi powiekami.

- Milczysz... bo chwilowo nie masz chęci łąć, co? Dobrze, ale ja mam już dostyc, koniec! Koniec!

Szukał na podłodze części swojej garderoby, wściekle naciągał spodnie, koszulę, ale nawet z jednym butem na nodze nie mógł opanować przemożnego przymusu spojrzenia w

tamtym kierunku, nie potrafił zignorować piękności, która nie miała odniesienia.

Porażała, urzekała, wabiła, zapierała dech.

A gęba księcia szczyrzyła się nadal w kretyńskim rozdziawieniu.

Marta milczała.

- Ty kanciaro! - krzyknął. - Udajesz zabiłą?! Mała tania idiotko, myślisz, że mnie przechytrzyłaś?

Krzyczał nie tyle na nią, lecz by zakrzyczeć swój niepokój, bo coś tu było nie w porządku, działo się coś nieuchwytnie dziwnego, coś, co go przerażało, mącąc proporcje między wyglupem a rzeczywistością. Najwyższy czas zdemaskować, wykpić cały bezsens i naiwność nie wiadomo do czego zmierzających zabiegów skrywanych pod liryczno-łzawym płaszczykiem. Ale przed kim wykpić? Gdy sprawczyni i jedyny świadek tej mistyfikacji udaje, że jej nie ma.

Doskoczył do tapczanu i wściekłym ruchem ściągnął z niej kołdrę.

Leżała nieruchomo z głową przechyloną bezwładnie na bok. Za rozchylonymi wargami stał rząd białych zębów.

- Marta!

Oblał go zimny pot.

- Marta!... - chwycił jej rękę, była zimna. - Marta??!

Wracała mozolnie z daleka nie spiesząc się, grymas ust oznaczał uśmiech.

- ...pastylki na stole, nie martw się... ubierz mnie, pójdziemy ulicą... pada deszcz?...

- Nie, jest pięknie... wszędzie, wszystko, wieczór...

Pastylka, majtki, pantofel, bluzka, szklanka z wodą, drugi pantofel. - Nie, nie ten, tamten jest od pary!

Podtrzymywał ją, jak umiał najdelikatniej, żeby zatrzeć tamto, była śmiesznie lekka. Klucze, szybko, żeby już na powietrze! Schodów w dół przybywało raczej niż, ubywało.

- Nie, wiesz, jednak zatrzymaj taksówkę, trudno mi chodzić, w szpitalu dadzą mi zastrzyk i będzie dobrze, nie martw się! - Nie martwił się. Tylko zakłopotanie i żal do siebie. Wszystko to niepotrzebne. - Ja wiem, że to ci niepotrzebne - powiedziała, czując widocznie trochę więcej, niż przypuszczał. Czekali na ławce. Oparta o niego, nieobecna, ale serdeczna, inna jakby, wyniosła z wysokości swojego bólu. - Nie, nie, nie boli zupełnie, raczej brakuje oddechu, parno, duszno, gdzie moja torebka? Dokumenty?

- Ciii... Marta, przyniosę, oprzyj się o poręcz ławki. Albo nie! Nie zostawię cię!

- Posłuchaj Adam, lepiej tak: ja pojedę już teraz do szpitala, a ty mi za chwilę przyniesiesz torebkę, to dwie ulice dalej. Przejeżdżała ciężarówka, zahamowała. - Co?

Wypadek? Mogę podwieźć.

- Naprawdę? Dziękuję! - Zaraz ci przywiozę, Marto, za pół godziny, do zobaczenia, wytrzymasz?

- Jasne, trochę mi już lepiej, Adam! Posłuchaj!!!... Kierowca ruszył, odjechali.

Najchętniej wyrzuciłby klucze do pierwszego lepszego kosza i uciekłby, byle prędzej do swojego domu. Wrócić, zapomnieć, wymazać, ani śladu.

Szedł po schodach na to poddasze coraz wolniej. Znów strach, inny, zupełnie inny, metafizyczny jakiś taki. Zaklął brzydko i przyspieszył. Spoconymi palcami przekręcił klucz w zamku, pchnięciem otworzył drzwi, gorączkowo szukał kontaktu, wreszcie. Pokój zalało światło. I żeby nawet kątem oka nie zerknąć na malowidło - poszedł dalej z opuszczoną głową. Torebka Marty leżała na taborecie koło kuchenki. Nie oglądać się, nie oglądać się.

Wycofywał się z przymkniętymi na wszelki wypadek oczami. Był już przy progu, gdy nagle nadepnął na coś miękkiego, ruchomego. Krzyknął.

Był to królik, biały szynszyl. Przyjrzeni się sobie z sympatią. Jak morderca i ofiara. Wypędził go na klatkę schodową, uciekaj.

Marto, Marto.

Przepiękna, cudowna Marto. Serce mi pęknie, że nie umiem cię pokochać. Niech będzie błogosławiona twoja choroba.

Obyś żyła wiecznie.

Sztuczna szczęka

- Jest odgórna, poufna dyrektywa, żeby go potraktować łagodnie i surowo, obywatelu redaktorze.

- Jak to mam rozumieć? - zapytał Adam, częstując urzędnika papierosami marki Belweder kupionymi specjalnie w celach prestiżowych. Długi ustnik i krótkie palenie - ludowa moda i szyk. Urzędnik nosił wysokie buty, bryczesy i luźną, wybitnie cywilną marynarkę.

- Jak? - powtórzył urzędnik, wciągając dym pełną piersią, co tłumaczyć można było silną wewnętrzną koncentracją. - Ma się rozumieć, dwojako.

- O to chodzi - przyznał z przekonaniem Adam. Nie widział na razie trzeciej możliwości. - Po pierwsze łagodnie to łagodnie...

- A po drugie jak wyżej.

- Ja sądzę, że lepiej jest zawsze niżej - zażartował z lekka.

- Humanista z was redaktorze, taaak, podobnie zresztą jak i ja, prywatnie oczywiście. Ale powiedzmy sobie otwarcie, tu nie uniwersytet a organa, konkretnie wydział czwarty.

- Jak widać... - wyleciało Adamowi niepotrzebnie.

- Proszę? - zastrzygł uszami tamten ze służbową czujnością.

- Jak widać, właśnie mówię, przez okno. Ogród czysto i bardzo estetycznie utrzymany - brnął, trąc nerwowo pięść o pięść.

- Ano - rozchmurzył się urzędnik. - Nie chwałąc się, to moja zasługa. Gonię zatrzymanych z motykami na grządki. Pielą sałatę, rzodkiewkę, koper aż gleba pryska - zapatrzył się miłośnie na mały, otoczony wysokim murem ogród uprawiony z pedanterią godną zegarmistrza.

- Ale wracając ad rem jak to mówią. Trzeba przyznać, że sprawa jest nadzwyczaj delikatna. Bo tak: z jednej strony zasłużony obywatel, z drugiej znów chuligan, pijak, wyrodek.

- Myślę, że każdemu zdarzy się wypić, ale nie każdy jest zasłużony jak właśnie ten zatrzymany.

- Tu nie ma co myśleć, tu trzeba decydować zgodnie z ogólnym zaleceniem.

- Ale do was należy ostateczna decyzja, prawda?

Urzędnik poprawił się na krześle.

- No niby zgadza się, co do joty, ale i nie zgadza się.

- Toteż właśnie myślę, że problem należałoby rozwiązać jednym mądrym cięciem.

- Zaproponujecie, redaktorze, jak?

- Uwolnicie człowieka z aresztu i kłopot z głowy.

Urzędnik spojrzał na Adama z wyższością fachowca.

- Co wy? Redaktorze! Mam limit uwolnień, a ten człowiek zaokrągla mi sumę.

- Otóż to!

- Ale sumę zatrzymanych, nie uwolnionych.

- Więc go zatrzymajcie - westchnął Adam.

- Nie mogę tak sobie zatrzymać. Dyrektywa mówi między innymi wyraźnie, że: „potraktować łagodnie”.

- Więc wypuście. Po co przysparzać sobie roboty.

- Redaktorze! Wy ciągle w kółko. Nie po to tyle czasu prowadziłem dochodzenie w waszej sprawie - stukał palcem w akta - nie po to wykryłem sprawcę, nie po to wreszcie on się przyznał, że was pobił, żebym teraz ot tak sobie wypuszczał go na wolność, prawda? - strzepnął ostrożnie popiół z akt i starannie je wygładził.

Adam był bliski wyczerpania rezerw cierpliwości, zdawał sobie sprawę, że słowa „potraktować surowo” znalazły się w dyrektywie wyłącznie dlatego, że poszkodowaną była osoba szczególnie wartościowa pod względem społecznym, to znaczy dziennikarz - czyli on.

- Chciałbym coś jeszcze dorzucić - rzekł dobitnie. - Mam wrażenie, że to was przekona o niewinności domniemanego sprawcy.

Przedstawiciel kiwnął głową jak męczennik.

- Proszę bardzo.

- Powiem, jak było naprawdę. Otóż wtedy, owej nocy, kiedy złożyłem meldunek o napaści na mnie, działałem w afekcie. Wskutek scysji z moją znajomą. To ona zadała mi ciosy, a ja nie chcąc, by w pracy wykpieno mnie, musiałem stworzyć sobie alibi i dlatego zameldowałem, że zostałem pobity na ulicy przez nieznanego sprawcę. Logiczne, prawda? Teraz możecie mnie ukarać za wprowadzenie władzy w błąd.

Zatroskany wyraz twarzy urzędnika nie wróżył nic dobrego.

- Redaktorze - odezwał się zgaszonym głosem - ja wiem, że jako redaktor potraficie na poczekaniu wymyślać niezbite fakty, mnie jednak na to nie nabierzecie. Ładnie z waszej

strony, że staracie się wybielić sprawcę, ale w tym wypadku prawo musi pozostać prawem. Nie słyszałem tego, co do mnie przed chwilą powiedzieliście, założmy, że na chwilę ogłuchłem - przygwoździł Adama wzrokiem rzeczywiście upośledzonego. Oto fotografia sprawcy, proszę.

Adam przyglądał się długo zdjęciu obcego mężczyzny, po czym rzekł do urzędnika głosem starannie wymodulowanym na dostojnie rzeczowy:

- Obywatelu, jestem wam bardzo wdzięczny za wykrycie sprawcy, który mnie pobił, ale ten akurat, którego widzę na fotografii mnie nie pobił. Albo zdjęcie nieostre, albo zamienione.

Urzędnik spojrział w sufit, westchnął, wgniół niedopałek w popielniczkę ruchem desperata.

- Wy znów swoje, redaktorze. Co z was za trudny człowiek. Ja wam tłumaczyłem, że najlepszym dowodem winy jest przyznanie się sprawcy, który absolutnie nienaciskany konkretnie się przyznał, z własnej inicjatywy.

- Czy mógłbym zobaczyć sprawcę osobiście? - zapytał Adam znienacka, patrząc w oczy swemu rozmówcy. - Chyba mi nie odmówicie? - dodał groźnie, zląkł się bowiem własnej odwagi. Po czym znów spuścił z tonu aż do słodyczy: - Ale nie chciałbym was fatygować...

- Nie, drobiazg - urzędnik był zbity z tropu, coś wydało mu się podejrzanym w dziwnym zachowaniu przedstawiciela instytucji, w której pracowały elementy o tajemniczych powiązaniach z władzami wyższego szczebla. Nagra taki jeden z drugim wywiad z sekretarzem, z ministrem, z kimś jeszcze gorszym i już jeden drugiemu z gęby do gęby, rączka w rączkę, brzdęk, brzdęk i mogą utracić po uważaniu kogo chcą, kto im się z dołów narazi, bez uszanowania zasług i szarż. - Owszem, dlaczego nie - rzekł - wybaczenie, że jeszcze nie zezwoliłem na konfrontację, ale sprawa wydawała się całkiem jasna, data pobicia zgadza się z protokołem pobicia, z godziną pobicia i minutą pobicia was.

Urzędnik wstał, oparł się rękami o biurko, zawahał się jeszcze, westchnął ciężko i rzekł:

- Widzicie, zagadnienie stoi tak: ten człowiek niewątpliwie was pobił. Chwileczkę, nie przerywajcie mi, a nawet założmy, że nie was, to kogoś pobił na pewno, bo sam się do tego przyznał, kogoś podobnego do was, redaktorze i ten ktoś, czyli ofiara prawdopodobnie zbiegła z miejsca wypadku, no bo nie mam jej w aktach, prawda?

- Rzeczywiście, mogła zbiec. Sprawca nie zdążył jej zatrzymać.

- Ano właśnie! Pierwszy raz mi nie bruźdźcie! Dalej, jeżeli nie ma ofiary tego

człowieka w aktach, a trzeba by ją skonfrontować ze sprawcą pobicia, co jest zrozumiałe i konieczne dla przeprowadzenia praworządnego przewodu sądowego, to znaczy, że ja musiałbym teraz wszcząć śledztwo od nowa w celu odnalezienia zbiegłej, niezidentyfikowanej ofiary pobicia, logiczne?

- Najzupełniej.

- Proszę - ucieszył się - nareszcie posuwamy sprawę naprzód. Otóż wszcząć śledztwo łatwo, ale zakończyć trudniej. Może potrwać miesiąc, pół roku i dłużej. Wy zmuszając mnie do tego, skazujecie gotowego już jak świeża bułka sprawcę pobicia na dodatkowe niewygody oczekiwania w areszcie, aż schwytam jego konkretną ofiarę, tak?

- Tak, sprawca cierpiałby niewinnie. Więc najprościej jest umorzyć sprawę.

- Człowieku! - urzędnik wyciągnął do Adama obie ręce błagalnym gestem. - A co ja mam zrobić z dowodem winy? Stoi w aktach jak byk: przyznał się do przestępstwa! Więc są podstawy do ukarania. A jeżeli są, to jak może ich nie być? Ale dość gadania. Sprawcę mamy pewnego, to poszukamy i ofiary. Chwileczkę.

Nacisnął jakiś guzik, ktoś wszedł, odebrał polecenie, wyszedł, po chwili wprowadzono sprawcę. Nie patrząc na Adama, ze wzrokiem wbitym w twarz urzędnika, wyrecytował miłym dyszkantem:

- Dzień dobry, poznaję, to ten co mi podlażył wtedy pod rękę.

Adam podszedł blisko, zajął mu w twarz.

- Dzień dobry - powiedział pogodnie.

Miał przed sobą niskiego drobnego człowieka o poczciwej powierzchowności rzemieślnika, z wąsem, w średnim wieku. Więc tak wygląda ten, który nie podbił mu oka, nie ugryzł w szyję i nie posiniaczył go. Agato, najdroższa Agato, dzięki twoim kochanym pięściom i twoim najdroższym zębom na rękach tego człowieka zacisnęły się kajdany - pomyślał Adam, a patos tych myśli współgrał z wielką tęsknotą trudną do poskromienia. Agata nie dawała znaku życia od dłuższego czasu. Rozmawiał z nią w wyobraźni jak z obecną, często zapominając, iż zwraca się do niej głośno. Na szczęście teraz opanował swój bolesny nawyk.

- No, Libert - odezwał się urzędnik jowialnie. - Nie zróbcie mi wstydu i udowodnijcie redaktorowi, że zmasakrowaliście go zdrowo, po chuligańsku, no, śmiało!

- Libert, Libert... - Adam powtarzał bezdźwięcznie nazwisko człowieka, który wziął na siebie winę za ciosy miłości, żalu i zawodu. Nagle uświadomił sobie, iż nie zna nawet nazwiska Agaty, ani „z domu” ani... „z męża”.

- Tak jest, udowodnię! - powiedział żarliwie Libert. - Ja się nie cackam z byle łajzą.

- No, no Libert nie przeginajcie pały - urzędnik nie wiedział, gdzie skierować wzrok, zapinał i rozpiął guzik marynarki. - Trzymajcie się ściśle regulaminu i swojego pierwszego zeznania.

- Tak jest, trzymam się słowo w słowo. Mnie tam na nikim nie zależy.

Zapadła kłopotliwa cisza. Przerwał ją Adam, zwracając się do urzędnika:

- Mam gorącą prośbę, zawodową, zaznaczam. Interesuje mnie sylwetka pana Liberta jako przykład hardej postawy męta społecznego. Chciałbym go rozpracować odśrodkowo. Chyba nie odmówicie mi chwili rozmowy z nim w cztery oczy? Proszę w imieniu służby specjalnej...

Urzędnik zacisnął szczęki, pasował się przez moment z sobą, ale respekt przed radiem zwyciężył.

- Proszę bardzo. Myślę, że w areszcie będzie wam swobodniej niż tu w biurze. Odprowadził ich do celi o małym, zakratowanym oknie i wychodząc napomniiał sprawcę: - Trzymajcie się dzielnie, Libert. Liczę na was! - I wyszedł.

Libert spoczął na pryczy, Adam z konieczności też, choć bez przyzwolenia. Na kiblu w kącie nie wypadało. Libert zerkał na gościa spode łba.

- Panie Libert, ja krótko powiem, co myślę. Wiemy obaj, że pan mi nie dał po mordzie, bo po pierwsze ja bym na to nie pozwolił - tu Adam podsunął pod nos swemu chuderlawemu przyjacielowi pięść dużych rozmiarów. Ten na wszelki wypadek cofnął głowę. Argument był poważny.

- Ostrożnie panie, mam sztuczną szczękę - rzekł z godnością.

- I o to chodzi. A więc zgadzamy się co do pierwszego punktu tak?

- Niby tak.

- Po drugie i ostatnie, jeżeli pan jest niewinny, a jest pan nim, co wyraźnie pan przyznaje, to ja nie pozwolę, żeby panu spadł włos z głowy.

- Ale ja...

- Zaraz, przyznaje pan, że jest pan niewinny?

Libert jeszcze raz sklasyfikował pięść Adama.

- No...

- Więc ja nie pozwolę, żeby pan przeze mnie niewinnie dostał się do więzienia.

- Co to to nie! Ja jestem winny! - rzekł i zaciął usta.

- Panie Libert. Nikt nas nie słyszy, a ja w pana interesie też farby nie puszczę. Może pan mówić szczerze. Mnie chodzi tylko o to, żeby pan stąd wyszedł.

- A ja nie chcę! - wyrwało mu się. Prostował i kurczył nerwowo palce rąk, jakby je

gimnastykował.

- O co chodzi? Boi się pan tego tam? - Adam wskazał kciukiem piętro niżej. - Czy może kryje pan współnika jakiegoś przestępstwa?

- Panie! - pełen świętego oburzenia Libert aż zamachnął się łokciem na Adama, lecz szybko pohamował odruch. - Pan niech mi nie ubliża! Ja jestem uczciwy człowiek, ojciec rodziny i robotnik! - zakończył z dumą. - Ja muszę iść do kryminału!

Adam przełknął głośno ślinę.

- Rozumiem... no tak, tak... Wie pan co? Niech pan na mnie spojrzy, panie Libert, i przyjrzy się dokładnie.

- Ja? - Libert uniósł brwi i przyjrzał się Adamowi.

- Tak. Proszę pana, jak pan widzi, mógłbym być pana synem, prawda? Niech pan nie odpowiada. Chciałbym pana prosić, żeby mnie pan traktował jak syna. Bardzo pana proszę. I dlatego niech mi pan teraz wszystko szczerze opowie jak ojciec synowi.

Libert patrzył uważnie na Adama, taksując go jako syna. Skupił się głównie na twarzy zdziwionego anioła, męczennika w okularach, złodzieja udającego świętego patrona złodziei. Nie mogła go ta twarz nie przekonać.

Uderzył się pięścią w kolano.

- Mogę powiedzieć, co mi tam... - rzekł po namyśle.

- Może pan zawsze liczyć na moją pomoc.

- Nie trzeba, sam dam radę. Byli już tacy, co chcieli... Ja jestem, panie, prosty szlifierz. Ojciec był szlifierz jeszcze za Wilusia, w cesarskiej stoczni robił i dobrze robił, bo u nas już tak jest w rodzinie, że jak się robi, to się robi. - Mówiąc to uderzał pięścią w kolano, pieczętował każde słowo twardym suchym ciosem. Nagle rozłożył ręce. - Panie! Czy to moja wina, że jestem przodownik pracy?

- Przodownik? Nie mówiłem, że to pana wina - Adam na to z ostrożną.

- Pięćset, sześćset procent normy robię. Każdy by tyle zrobił, żeby robił. Ale nie robi. A ja robię! I czy ja muszę być za to wysunięty przez aktyw na dyrektora? Kto słyszał karać za przekraczanie normy - patrzył tępo w podłogę. Ciągnął dalej swoją skargę. - Nie chciałem iść na ten kurs dyrektorski, po cholere? Moje miejsce przy szlifierce, nie w fotelu kałdun grzać. Ale przychodzili, namawiali, w końcu już na ostro, że ja niby się wyłamuję, brużdżę, wróg. A ja nic, myślę, wróg to wróg. Po robocie wypilem z koleżką ćwiartkę i tak jakoś na ulicy od słowa do słowa on wziął się też do namawiania mnie na tego dyrektora, żeby na kurs pojechał, co mi ubędzie, no to ja go za krawat, on dał nogę, a mnie posterunkowy za frak. Jakem otrzeźwiał w pace, myślę, ni ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przyznam się,

że go napadłem w celach rabunkowych, wsadzą mnie, te pół roku, rok odsiedzę, a później wrócę do szlifierki. Karanego na dyrektory nie wyślą. Wszystko.

- Panie Libert...

- Czego?

- Mam prośbę maleńką.

- Czego?

- Niech mi pan da w mordę.

- Panie, pan sobie ze mnie durnia struga!?

- Nie śmiałybym z pana kpić, panie Libert. Absolutnie. Chodzi tylko o to, że lubię, jak jest rzetelnie. I pan lubi, jak jest rzetelnie. Zgadza się?

- Ano - uśmiechnął się pod wąsem, ciepło, tak jakoś tęsknie i po raz pierwszy przyjaźnie. - Co nie ma się zgadzać.

- Więc jeśli obaj chcemy, żeby nie było fuchy, to w porządku. Pan będzie wiedział, za co pan siedzi, ja będę wiedział, że pan bez powodu za mnie nie siedzi. Zależy mi. Bardzo proszę.

Adam nadstawił policzek i zamknął oczy. Ogarnął go niejaki lęk, że Libert z właściwą sobie rzetelnością przyłoży mu ponad normę.

Czekał dłuższą chwilę. Wreszcie trzask. Głowa mu odskoczyła do tyłu. Ból szczęki umiarkowany. Libert wyprowadził cios jak po fajrancie.

- Boli? - zapytał z troską, gdy Adam otworzył oczy.

- Nic, nic. Wszystko dobrze. Pan ma złotą rękę.

- Ba - rzekł nie bez dumy - jak to szlifierz precyzyjny. Sam pan chciał - dodał w tonie perswazji.

- Oczywiście. Bardzo dziękuję. Myślę, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

- Ja tam niczego się nie boję. - Libert zamasyście podciągnął spodnie.

- Nie w tym znaczeniu, panie Libert. Po prostu chciałbym kiedyś z panem wypić ćwiartkę.

- A co to, to i owszem! - rozchmurzył się na dobre. - Żona robi niezłe grzyby w occie. Jak stąd wyjdę, to niech pan wpadnie.

- Bardzo chętnie. Życzę wysokiego wyroku.

- Panie... - Libert zajrzał Adamowi w oczy.

- Adam mi na imię. Słucham pana.

- A tak po prawdzie... to kto pana wtedy urządził?

Adam roześmiał się.

- Właśnie, prawda za prawdę. Kobieta.

- Musi uczuciowa być.

- Bardzo.

- Taka z dziesięciuro urodzi. Życzę z serca.

- Proszę?... - Adam szybko wstał z pryczy. Spojrzał na Liberta z zazdrością. Wszystko w nim było twarde, wzorcowe, proste. Nawet kręta droga ku życiowej prawdzie. - Do zobaczenia, panie majster.

Uścisnęli sobie ręce.

Drag nazwałby to zacieśnianiem przyjaźni z szarą masą i długo by o tym mówił. Pajacu - kiedy dokonasz odkrycia, że przyjaźń nazwana traci moc.

- Odwołuję swoje oświadczenie, obywatelu - rzekł stanowczo Adam po zejściu piętro niżej.

- Nie przyjmuję już żadnych nowych oświadczeń! - rozdrażnienie urzędnika było widoczne gołym okiem. - Protokół jest sporządzony, proszę o podpis.

- Chętnie podpiszę.

- Dlaczego? Co? - irytacja urzędnika nasilała się proporcjonalnie do rozpogodzenia Adama. - Co wam znów strzeliło do głowy, obywatelu redaktorze? Podpisujecie, czy odwołujecie?

- Odwołuję swoje oświadczenie, jakoby podejrzany Libert nie pobił mnie.

- Że jak? - przedstawiciel urzędu w dalszym ciągu wątpił w łatwe zwycięstwo, a może wietrzył podstęp.

- On, nikt inny tylko on dał mi po pysku.

- A to zuch! - urzędnik odtajał momentalnie. - Czyli jednak udowodnił wam swoją winę!

- Owszem. To świetny fachowiec. Bije z precyzją.

- Chwat! Chwat! Moja szkoła. Nie wiem, czy mi się uda, ale spróbuję wpłynąć na uniewinnienie go. Oczywiście zgodnie z dyrektywą „potraktować łagodnie”.

- W żadnym wypadku! Protestuję! Powinien ponieść surową karę.

- Co??

- Zmieniłem zdanie zgodnie z zasadami dialektyki.

- Aha... rozumiem, oczywiście, oczywiście... Ale nie pojmuje.

- Mogę podpisać protokół? - Adam zapragnął już wyjść.

- Ależ proszę, proszę - rzekł skwapliwie urzędnik w bryczesach, lecz spod oka zerkał w stronę redaktora, czy ten nie skoczy mu na plecy albo nie zaszczeka jak pies. Inteligencji

jako klasie obumierającej a przez to wrednej nie wolno dawać wiary pod żadnym pozorem.

Protokół został podpisany. Ofiara napadu zachowywała się normalnie - wobec czego urzędnik zdecydował się wyjąć ozdobną papierośnicę ze świńskiej skóry. - Zapalimy? - Zapalili.

- No! - odetchnął z ulgą, chowając do szuflady teczkę z protokołem i nabożnie zamknął szufladę na klucz, a klucz włożył do koperty i po zaklejeniu ostemplował ją dużym stemplem, po czym schował ją do kasy pancernej zamykanej na klucz, a klucz schował do koperty i po zaklejeniu... - No - powtórzył - to mamy sprawę z głowy. A teraz coś wam powiem, redaktorze, czego mówić nie potrzebowałbym, gdybym nie chciał wam udowodnić, że dla mnie prawo jest rzeczą świętą. A więc powiem wam w zaufaniu, bo jesteście inteligentem godnym zaufania, że ten osobnik nazwiskiem Libert jest moim teściem - rzekłszy to, bacznie obserwował, jaki efekt wywrą te słowa na Adamie.

Zdziwienie Adama nie miałyby granic, gdyby jego rozmówca był kim innym, niż był nim w istocie. Ponieważ jednak był urzędnikiem, do którego obowiązków należało przechytrzenie swoich rozmówców, w celu wyciągnięcia z nich małych prawd, które następnie należało sprytnie podporządkować dużym prawdom - zdziwienie Adama było mniejsze, niż urzędnik mógł się po nim spodziewać.

- O - powiedział Adam ze szczerą sympatią będącą szczerą niechęcią - gratuluję panu bezstronności. Ale w takim wypadku na pewno wie pan, dlaczego Libert przyznał się do pobicia mnie.

- Oczywiście - on na to - każdy z nas trzech wie prywatnie, że mój teść nie pobił was, redaktorze. Ale to tylko dlatego, że przez przypadek pobił inną osobę, nota bene swego kolegę. Ponieważ jednak on, czyli mój teść, ma do mnie złość, nie lubi mnie, gdzie może, tam mi się wymyka, kluczy, marzy mu się swoboda, unika mówienia obiektywnej prawdy, więc ja służbowo nie muszę mieć takiej stuprocentowej pewności, że on was nie pobił. Natomiast wy dwaj wiecie na pewno, kto kogo pobił, a ponieważ obywatel redaktor podpisał protokół, który mówi, że on was a nie wy jego, więc ja już nie mam żadnych wątpliwości co do szczegółów zajścia. Co wcale nie znaczy, że nie mogło się wszystko dzieć według waszej wersji... ale to niczego zmienić by nie mogło a nawet odwrotnie, zamącić by mogło, prawda...

Ty byku - pomyślał Adam. Choć jego twarz wyrażała szczerze ubolewanie z powodu kręactw pana Liberta. - Czy mogę już was pożegnać? - zapytał głośno i uprzejmie.

- Bardzo było miło pana redaktora poznać. Polecam się na przyszłość. Ze wszystkimi kłopotami proszę do mnie.

- Nie omieszkać skorzystać.

- Zawsze się dogadamy.

- Liczę na to z całą satysfakcją.

Uściskowi rąk towarzyszyły obopólne ciepłe błyski pustych oczodołów.

Na ulicy padało. Poszedł na skróty przez skwer. W trawnik wraść drzewo, korzeniami silnie trzymało się stałego gruntu. Miał ochotę ucałować mokry pień za to tylko, że drzewo nie udaje, że rośnie, lecz ograniczył się do zatupania nogami w ubitą ziemię alejki. Była twarda, niewątpliwa i ponadczasowa. Jakiś przechodzień obejrzał się na niego ze zdumieniem pełnym politowania.

Postawił kołnierz i poszedł dalej pogwizdując. Po kilku krokach znów zatupał i z nagłą obejrzał się.

Przechodzień uciekał prędzej, niż należało oczekiwać.

Dobrze. Teraz szybko na plażę.

Ucieczka

Czas w redakcji włókł się złośliwie, jak zwykle, gdy audycja poszła na antenę poprzedniego dnia, a na następną jeszcze nie było pomysłu. Pomysł przychodził do głowy zwykle za późno i wtedy czas zaczynał kurczyć się złośliwie, bo audycja musiała iść następnego dnia.

Pan Władysław zwany Ułanem żuł z apetytem paznokcie, w przerwach uderzał w klawisze maszyny miękko, z namysłem tworzył kolejny wodewil dla użytku prywatnego, opatrzone rozstrzelonym tytułem „Mimośród Elżbiety”, ładny brunet zwany Wapem zapełniał drobnymi literami kolejny arkusz, pani Kira pisała felieton o przedwojennej fordanserce, dziś szczęśliwej murarce, Adam rysował w notesie paskudne profile kolegów, tęskniąc straszliwie za deszczem w lesie - i ta minuta redakcyjna wyjęta z morza godzin trwała jakby dłużej od poprzedniej, gdyż rozciągał ją brak pośpiechu, co było zjawiskiem tu wyjątkowym. Brzęk telefonu wdarł się w ten zwolniony rytm jak mała katastrofa, wszyscy unieśli głowy.

Dzwoniła sekretarka, prosiła, żeby natychmiast przyszedł do sekretariatu. Czy zrozumiał, że sprawa jest nadzwyczaj pilna? Oczywiście, zrozumiał. Ale czy na pewno zrozumiał? Tak, na pewno. Więc niech zaraz pofatyguje się uprzejmie, jeżeli może, bo sprawa jest pilna. Dmuchnął odruchowo w słuchawkę, bo głos sekretarki wydał mu się tak uporczywie i monotonnie uprzejmy, iż miał wrażenie, że albo ten głos odtwarzany był z taśmy, albo ona sama usiłowała go wykić z powodów jej tylko znanych, gdyż zwracanie się do początkującego redaktora nabożnym półszepceniem nie leżało w jej zwyczaju. Dmuchięcie w słuchawkę musiało wywołać u niej konsternację, bo zaniemówiła i dopiero po przerwie zapytała, czy on usłyszał, co do niego powiedziała, bo jeżeli nie, to ona może przybiec osobiście i przekazać mu bezpośrednio wiadomość o tym, że ma zadzwonić pod podany numer telefonu, gdyż przed sekundą do niego dzwonił... przepraszam, to znaczy ktoś był łaskaw dzwonić...

Rzucił słuchawkę na widełki i pobiegł do sekretariatu przeczuwając najgorsze. Niedobrze z Mercedes? Agata? Jakaś histeria Z.?

Więc pewna osoba telefonowała i prosiła, żeby natychmiast zadzwonił, proszę oto numer, tu proszę jest ten numer - sekretarka stała przed Adamem w postawie pełnej

uszanowania, niemal na baczność, jej twarz lalki, zwykle sfinksowata wklęsa teraz pod naporem czci i strachu, puszyste blond włosy spuszyły się jakby jeszcze bardziej, a może zjeżyły się? Ręce opuszczone wzdłuż jędrnych ud - te ręce o długich palcach zakończonych drażniących redaktorów kształtem paznokci, ręce, które żyły leniwym, kocim życiem gotowe na polecenie szefa nacisnąć odpowiedni guzik, wykręcić odpowiedni numer telefonu, by połączyć się z kimś tajemniczo odpowiednim i w ten sposób poskromić każdego z redaktorów, który ośmielił się w swojej audycji przekroczyć jakąś tam barierę treści lub formy - te ręce opuszczone luźno podrygiwały teraz nerwowo i bezbrinnie, a gdy Adam dotknął je wzrokiem splotły się na płaskim, dobrze sklepionym brzuchu, by już po chwili przemieścić się na pośladek i tam zacisnąć palce aż chrupnęło.

Ta cała symfonia rąk zauszniczy redaktora naczelnego zaniepokoiła Adama do tego stopnia, że przez chwilę zapomniał, po co tu przyszedł, toteż gdy sobie wreszcie przypomniał, skoczył jak oparzony do telefonu. Sekretarka uskoczyła w popłochu i już z pewnej odległości recytowała zbielełymi wargami numer. Adam wykręcił numer, a ona stała wrośnięta w podłogę, spoglądając w zdumieniu raz na aparat telefoniczny, raz na twarz redaktora, jakby widziała go po raz pierwszy. Jej duże, piękne, wyłupiaste oczy wyłupiały się jeszcze bardziej, kiedy on bezceremonialnie w największym zdenerwowaniu wykrzykiwał do słuchawki „halo! halo!” nie czekając, aż ktoś się odezwie - wreszcie, gdy ktoś się po tamtej stronie odnalazł, zawołał z radością: - To ty! Nareszcie!... Co?... Powtórz! Co?... Jak to uciekł?... Co?... Rozumiem... gdzie? Tak... będę za kwadrans!

Wybiegł z pokoju bez słowa, zostawiając sekretarkę w stanie skrajnego osłupienia. Pozbierała się jednak szybko. Zagrał u niej wyzli zmysł zawodowej czujności. Nacisnęła odpowiedni guzik telefonu, by po otrzymaniu pozwolenia na wejście - zniknąć za grubo uszczelnionymi drzwiami gabinetu szefa i osobiście przekazać mu sen-sa-cję! Wymieniła tajemniczy numer, z którym łączył się przed chwilą Adam. Naczelnny zeszytniał z przerażenia. - To był na pewno j e g o numer? Na pewno - odparła wyprężona sekretarka.

Agata już czekała na ławce w parku-lesie, wzrok wbity we własne kolana, bledsza, mizerna, ubrana mniej starannie niż ostatnim razem. Rozplakała się, łkała mu w bluzę, jego pocałunki we wszystkie jej nie zakryte miejsca niewiele pomogły. Gwałtowny przyływ długo hamowanego uczucia zaatakował Adama z siłą trudną do opanowania, łyzy ciekły mu także, kurczowo trzymał w dłoniach jej głowę. Stanowili czysty w rysunku dwuposąg wzruszenia, na szczęście bez widzów, deszcz bowiem wisiał w powietrzu, pora była zbyt wczesna jak na spacerowiczów, nawet bumelanci - którym udało się wymknąć z biur lub fabryk - stali gdzieś tam w kolejkach po żywność razem z emerytami piastującymi w

wózkach najmłodsze warstwy narodu odbudowującego swój kraj z wojennych zgliszcz. W parku było więc pusto, poza tym upalnie i smutno, obco jakoś, bez tej dawnej spontanicznej ufności wzajemnej. Adamowi zaczynała coraz bardziej dawać się we znaki zazdrość o Agatę, jej miłości nie był pewien tak jak dawniej. Dość długa rozłąka nie mogła nie pozostawić u niej trwałych pęknięć, przecież gdyby bardzo chciała widywać się z nim częściej, na pewno by mogła. Z kim przebywała godzina po godzinie? Setki godzin, miliony minut? Każda groziła katastrofą obcego dotyku, obcych poufałości, poddania się czyimś wpływom. Czyim? Lawina pytań bez odpowiedzi, a pytania zamierały mu na ustach.

Przygarnął ją jeszcze raz tak silnie, że aż jęknęła. Przywitanie trwało minuty, a odrębne światy ich obojga przebyły w tym czasie dalekie przestrzenie rozbieżnych tras. Zaczęła mówić szybko i bezładnie wyrzucała z siebie usprawiedliwienia z coraz większą determinacją, jak źle przygotowaną lekcję, by po chwili przejść do sprawy, która interesowała ją wyłącznie. Miękko zarysowana twarz dziewczynki o zmysłowych ustach wyrażała teraz tylko upór, zaciętość i jakąś trudno uchwytną nieobecność. Nic z dawnego ciepła, nie mówiąc już o miłosnym rozkojarzeniu, o tak przez niego oczekiwanym z lekka cielejącym zachwyceniu cudownym faktem wzajemnej bliskości.

Z wolna zaczynała docierać do jego świadomości treść jej relacji: a więc, że ojciec, przez ojca, dla ojca, a on uciekł, nie ma go, wszystko zawaliło się, utraciło dla niej sens, wszystkie jej zabiegi poszły na marne, a szczególnie przeklina swoje niepotrzebne małżeństwo - wyrzucała z siebie zdania tak szybko, że trudno mu było zorientować się w chronologii wypadków.

- Dziwne - zdołał jej wreszcie przerwać. - On ucieka z więzienia, łamie prawo, jego własne prawo, ustanowione przez ludowy trybunał? Przez niego wywalczony trybunał?

Popatrzyła na niego po raz pierwszy uważnie podczas tego spotkania. Jak na pełną połówę urwanej dżdżownicy.

- Jak to z więzienia?! On uciekł do więzienia!

Teraz Adam przyjrzał się jej w skupieniu, a nawet z pewnym lękiem. Zaciśnęła wargi, kopnęła kamyk pętający się pod jej podeszwą.

- Uciekł z mieszkania ciotki, gdy przekonał się, że nie wypuszczono jego towarzysza, na którym ciążyły lżejsze zarzuty. Zwietrzył w tym jakiś podstęp i wrócił do celi.

- Więc jednak to zrobił... On też to zrobił! - przesadnie akcentował wyrazy, żeby usłyszeć swój głos i lepiej uświadomić sobie fakt, z jakim spotykał się drugi raz w ciągu ostatnich dni. Ojciec Agaty załśnił w jego oczach jaśniej i jak gdyby nieco przyćmił córkę.

- Przedtem nagadał komuś jakichś bzdur, żeby dać im pretekst do zatrzymania go. A ja

teraz muszę wszystko zaczynać od początku - mówiła z pasją, niemal wściekle - ale ja mu pokażę, głupi fantasta, bohater cudzym kosztem, ja go nauczę rozumu, wyciągnę go i tak! - wdychała rytmicznie dym papierosa. - Nie po to sprzedałam się mojemu mężowi, żeby mi ojciec stroił fochy, on mi tak, to ja mu tak! Mam już wszystko przygotowane. I ty mi w tym pomożesz.

- Ja? - tego się najmniej spodziewał.

- Tak. Szczegóły omówimy.

- Tylko po to chciałaś się ze mną zobaczyć?

- Oczywiście! - powiedziała ze złością, opuściła nisko głowę. Po bluzce opinającej jej drobne plecy pełzła mozolnie puchata liszka. Nie rozrzewnił go ten fakt, przeciwnie. Dokąd dopełźnie?

Agata zaczęła mówić ze wzrokiem wbitym w piasek ścieżki. - Przecież wiesz, że nie tylko po to. Tyle razy chciałam zadzwonić, nie miałam siły powiedzieć, że brak mi czasu, teraz na nic nie mam czasu, ojciec jest najważniejszy, ważniejszy od ciebie i ode mnie, rozumiesz? O jedno tylko proszę, błagam, pomóż mi. Nie mam nikogo bliższego oprócz ojca i ciebie - objęła go niezdarnie za szyję, brodę oparła na jego barku. Widział jej plecy. Liszka balansowała na krawędzi kołnierzyka, stracił ją jednym dmuchnięciem.

- Co ci jest? Dyszysz?

- Nie, nic - szepnął i pocałował Agatę w ucho. Jeszcze ją kochał, tę pięknie sklepianą małżowinę pachnącą ziołowym mydłem.

Potrząsnęła niecierpliwie włosami, odsunęła się.

- Pomożesz mi?

- Pomogę, oczywiście.

Powiedział to tak skwapliwie, że zabrzmiało aż nienaturalnie. Bo też i nie spieszyło mu się wplątywać w tę aferę. Z drugiej znów strony lojalność względem Agaty odczuwał jako obowiązek. Należał do pokolenia, dla którego ojczyzna, wiara, nadzieja i cnota były pojęciami spójnymi, wyssanymi z mlekiem matki. Dopiero później miał się przekonać, że dużo wygodniej układa się życie, kiedy każdym z tych pojęć operuje się oddzielnie.

- Wiedziałam! Mój kochany, drogi, jedyny! - Agata wzruszyła się bezmiernie. Wreszcie zabrzmiało w jej głosie oczekiwane przez Adama uwielbienie. Gotów byłby teraz uczynić dla niej więcej niż przed chwilą.

- Co mam robić? - zapytał, przyciągając ją do siebie.

- Nic wielkiego. Tylko będziesz udawał mojego męża.

- Kogo? - przełknął głośno ślinę i rozplótł ramiona.

- Czy to dla ciebie takie trudne? - popatrzyła na niego z irytacją. Jak szybko zmienia nastroje - stwierdził z niepokojem. - Nie zabierze ci to dużo czasu, najwyżej kilka wieczorów. Na nocę będziesz mógł wracać do domu - dodała z godnością. - Poza tym gwarantuję ci pełną dyskrecję. Będzie wiedziała o tobie tylko zaufana gospodyni w mieszkaniu ojca, no i on sam. To znaczy on przede wszystkim. Jutro będą dyspozycje o zwolnieniu go z więzienia, a po powrocie muszę mu stworzyć normalny dom. I żeby nie żywił żadnych podejrzeń co do mojego... Nie zna go, niczego się nie domyśla. Dlatego ty nim będziesz... moim mężem. Co za komedia!! - z jej gardła wydarł się szloch. - Oczywiście - starała się opanować - będziesz nim na krótko, tylko do czasu, gdy on zacznie pracować i wypłynie w morze. A to mój... ten... szybko załatwi... - już, już chciała wypowiedzieć imię ale nie. - Co ci jest? - zapytała z troską.

- Nic, nic, zrobię, co chcesz... - I tym razem jego skwapliwość urągała szczerości. Agata jednak zdawała się tego nie zauważać. Pochłaniała ją wizja ratowania ojca. Ożywiła się, wyglądała pięknie. Zaczęła mówić, patrząc machinalnie w lukę między drzewami, gdzie daleko w dole dymił na horyzoncie statek.

- Zaplanowałam wszystko dokładnie, powinno się udać. Jeżeli tylko ty mi pomożesz... - głaskała nerwowo wierzch jego dłoni. - Wystarczy, że będziesz zostawał w domu mojej ciotki, do czasu zaśnięcia ojca. Wtedy już poradzę sobie sama. Obiady będziemy robili koło piątej po południu, to znaczy po twoim powrocie z rzeźni...

Przerwał jej ostrożnie.

- Nie dosłyszałem, skąd?

- Ja chyba oszaleję...

- W pewnym sensie nie dosłyszałem, ale nie denerwuj się.

- Przepraszam, pewno niewyraźnie mówię, jestem trochę wyczerpana, postaram się po kolei. No... więc oprócz udawania mojego męża, musisz jeszcze udawać, że pracujesz w rzeźni. Myślę, że tak będzie lepiej... Tak to wymyśliłam, bo ani ty, ani ojciec nie macie pojęcia o pracy w rzeźni, więc ojciec nie będzie miał z tobą wspólnych tematów, a kimś prostym musisz być, bo ojciec prostemu łatwiej zaufa... prawda?

Na czoło wystąpiły jej krople potu, uśmiechnęła się, szybkim ruchem wyjęła z torebki napoczętą fiolkę z pastylkami, łyknęła dwie, po krótkim namyśle jeszcze jedną.

- Nie patrz tak na mnie! To nic groźnego, zaraz się uspokoję. Więc uważaj: przyjdiesz jutro koło piątej po południu pod ten adres... tylko bądź głodny i małomówny, obiad jemy wspólnie... - Z kieszeni spódnicy wyciągnęła świstek papieru z adresem, wymiętoszony, widocznie przygotowała go sobie wcześniej, a w trakcie rozmowy nerwowo obracała w palcach. - Na końcu ulicy jest mały polniemiecki domek, z dala od innych.

Wynajęłam cały, umeblowałam najskromniej, jak mogłam. Znalazłam zaufaną kobietę, bardzo mi pomogła i teraz ona udaje właścicielkę tego domu, bo naprawdę to jest pielęgniarką dyplomowaną. Nie, nie, niczego się nie obawiaj, mój mąż tam nie przyjdzie, on rozumie doskonale co dla mnie znaczy ojciec. Zresztą taka była umowa: ja za ojca. To tyle, resztę już na miejscu w domu... Posłuchaj, może to dla ciebie będzie zgrzytem, ale on mnie bardzo kocha, mąż, jest dobry, nawet się nie spodziewałam... Jednak dla mnie nie znaczy nic, manekin, nic, mówiłam ci już, Kocham tylko ciebie i ojca, zapamiętaj, jakby coś się stało, nie, nic się nie stanie, wszystko będzie dobrze i za kilka dni zapomnisz o całej tej historii. A może czegoś ci potrzeba? Powiedz, ja ci załatwię, przydziel na mieszkanie, talon na rower, pewno mówię bez sensu, nie patrz tak, pocałuj mnie! - zaszlochała śmiejąc się.

Objął ją, ponad jej głową powiedział: - Już dobrze, a teraz ty musisz coś dla mnie zrobić.

Lęk w jej oczach: - Co?

- Pomyśl o wodzie. Dużo rozlanej wody aż do horyzontu. Ani jednej fali, ani słońca, cała ta popielatość unosi się w oddali, a zapada płynnie tuż przy tobie, spokojnie, dokładnie, aż do dna. Oddycha. Odetchnij tak samo, spokojnie i głęboko.

Zaczęła się cicho śmiać, wzięła jego rękę, przyjrzała się jej i pocałowała.

- Niczego nie potrzebuję - mówił - wszystko robię dlatego, że jesteś... - chciał dodać, „bo cię Kocham”, lecz na wszelki wypadek nie dodał. To co ostatnio doświadczał, stawało się coraz mniej jednoznaczne, coraz bardziej płynne.

Żegnali się wylewnie, z wielkim uczuciem przywarli ustami do ust i tak trwali czas jakiś. Żadne z nich nie chciało pierwsze oderwać się od drugiego, by nawet jednym odruchem nie zdradzić, iż fala niepewności podchodzi każdemu z nich coraz wyżej do gardła.

Agata - o mniej pojemnych płucach - nie wytrzymała pierwsza, kocim ruchem wywinęła się z ramion Adama, szepnęła oddychając z wysiłkiem:

- Zostań tu jeszcze chwilę. Lepiej żeby nas razem nie widziano w mieście. Pamiętaj, jutro koło piątej... - I wsunęła mu kartkę z adresem do kieszeni.

Odwróciła się i biegiem, leśną uliczką, bez oglądania się, co najbardziej go dotknęło. Zawsze oglądała się, bardziej przywiązywała go do siebie tym oglądaniem się niż czym innym, spojrzenie z daleka łagodziło bolący moment znikania. Dziś rozplynęła się rozkojarzona, pólbecna i żalсна.

Nagle ogarnęła go tęsknota za tą znikającą Agatą. I żal, aż do mdłości. Gdyby tamta noc walki zakończyła się inaczej - jej drobne ciało nie stanowiłoby dziś przedmiotu transakcji z pogranicza heroizmu, walki klasowej i komedii.

Włókł się do domu pełen niewygodnych myśli, wystawały mu z głowy jak druty z zepsutego parasola. Nie chciał spotkać przechodniów, długo kluczył dróżkami podmiejskiego lasu na wzgórzach.

Zgrzyt klucza w domowym zamku przerwał jedno pasmo udręki - czekało go drugie: pretensje Z., obwąchiwanie, histerie. Najważniejsze - zobaczyć Mercedes i zasnąć.

W przedpokoju stała Z., miała minę sytej hieny i nic, nie uczyniła ani kroku w jego kierunku. Przeciwnie, pogodna do absurdu - oddaliła się w głąb pokoju, by ostentacyjnie powąchać wielki bukiet czerwonych róż. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział tak pyszny pęk kwiatów. Może raz, wkrótce po wojnie, na odsłonięcie pomnika największego z ludzi dziatwa wręczyła nieco mniejszy wojewodzie.

- Ho, ho - wyrwało mu się.

- Bukiet - potwierdziła Z. z niespotykaną u niej miękkością w głosie. - Nie spodziewałam się, że będziesz pamiętał...

- O czym? - wyrwało mu się po raz drugi.

- Nie udawaj - zamrugła z wdziękiem, podeszła posuwicie i zanim się spostrzegł, pocałowała go w policzek. - Naprawdę nie przypuszczałam, że przypomnisz sobie o naszej rocznicy... To cudowne - dodała już tonem raczej drewnianym, bo uniesienia wystarczyło jej zwykle nie na długo. Potem oddaliła się w głąb mieszkania, drobiąc krokami.

Nie pragnął dochodzić, jaka to była rocznica, lecz przyczyna pojawienia się tak wspaniałego bukietu w domu zaintrygowała go raptownie. Jakiś wielbiciel Z.? Nonsens. Przejawy kokieterii uzewnętrzniała zbyt ślamazarnie. Może uwodziciel-desperat? Z. jako dziewczyna o urodzie zaspanej kapłanki mogła swoją posągowością oddziaływać co najwyżej na zdeklarowanego maniaka.

Niespodziewanie dla Adama - ledwo wyczuwalny skurcz śródpiersia zasygnalizował, iż tli się w nim jeszcze szczątkowe uczucie zazdrości o Z. Wzruszył ramionami i poszedł do pokoju Mercedes, by nad jej uśpionym kształtem złożyć hołd miłości. Także nadziei na rychłą ucieczkę od Z.

W drodze do swojego pokoju przystanął jeszcze przed pękiem róż. Mogły kosztować ćwierć jego pensji, może więcej. Coś w nich było tajemniczego. Czyja ręka wręczyła je Z.? Największy z kwiatów szczyrzył się jakby do niego szyderczym bezwstydem urody. Pozostałe dyskretnie odwracały czerwone gęby do ściany.

Niby to przenośnia a jednak coś fizycznie nieprzyjemnego ziało od tych roślin. Ktoś musiał zdecydować się na ich kupno, a następnie sam je przynieść lub zlecić przyniesienie komuś, kto znał adres. Skąd znał? Kto się za tym krył?

Bukiet wibrował w przejściowym pokoju zielonkawo-czerwoną poświatą, nękał oczy. Ohyda.

- Jakiś chłopak, wyrostek, chyba z ulicy. Zadzwoił do drzwi, podał i poszedł, nie pytałam od kogo - mówiła lękliwie Z., gdy osaczył ją z nagłą pytaniem. - Więc to naprawdę nie ty?

Nie dowierzała tak szczerze, iż jego wątpliwości jeszcze się pogłębiły. - Może ktoś ze znajomych?... - próbowała łagodzić.

- Nie mamy takich zamożnych znajomych - gdy to rzekł, poczuł w głowie czarną dziurę strachu. - Sprawdzałaś, czy nie było jakiejś wizytówki, kartki, znaku od nadawcy?

- Nie, nie sprawdzałam...

Z rozmachem wyrwał bukiet z wazonu i kłując sobie dłonie rozsypał na podłogę te dwadzieścia długich na metr łodyg zwieńczonych szkarłatem. Nic prócz czystej botaniki. Fundator milczał.

Adam zostawił roztrzęsioną Z., zbierającą na kłęczkach różę po róży. Poszedł do siebie przespać burzę domysłów, ale cierpiał długo, nim ucichła. Jediną sensowną hipotezą, której uczepił się jak tonący, mogła być tylko pomyłka posłańca. Pusty wazon jakiejś solenizantki dom dalej lub naprzeciwko?

Nazajutrz obudził się już bez bukietu w głowie, za to pełen sprzeciwu wobec wzięcia udziału w aferze z ojcem Agaty. Wolałby być swoim własnym drewnianym łóżkiem pożerany przez korniki - niż w godzinach wieczornych udawać męża żony pewnego dostojnika, żeby swojego sztucznego teścia odwieść od zamiaru powtórnej ucieczki do więzienia, gdzie każda godzina pobytu groziła nieobliczalnymi konsekwencjami.

Pomysł Agaty wydał mu się dziś bardziej absurdalny niż wczoraj. Lecz nie pójść pod wskazany adres - znaczyło zostać zerem nie tylko we własnym wyobrażeniu.

Zajęcia w redakcji, czyli montaż wywiadu - z pewnym dyrygentem amatorskiej orkiestry - jaki w normalnych warunkach irytowałby go swoim banałem, tego dnia wydał mu się ogrodem rozkoszy reportera. Chciał przedłużyć pracę w nieskończoność, żeby odwlec wizytę, ale duży kolejowy zegar nad stołem montażowym tykał coraz szybciej. Spróbował opanować zdenerwowanie wypracowaną przez siebie metodą, polegającą na notowaniu w pamięci aktualnego stanu przeżyć, ale to nie pomagało. Godzina stawienia się w domu na peryferiach nadciągała złowieszczo - wreszcie wybiła, demolując mu wnętrze. Ruszył w drogę piechotą, pod wiatr, cały czas pod wiatr własnych chęci.

Drzwi otworzyła mu starsza, jędrna kobieta o siwych włosach i mocnej dolnej szczęce. Otaksowała go od stóp do głów wzrokiem handlarza starzyzną, po czym - w oczach jej

ukazały się tak ciepłe błyski, iż Adam mimo woli stopniał. Został wprowadzony do przedpokoju, kobieta z serdecznością ciotki zachęcała go do zdjęcia butów i włożenia domowych pantofli odpowiednio rozczłapanych. Dało się poznać, że rozczłapano je naprędce byle upozorować długotrwałe używanie, były bowiem zupełnie nowe.

O tym, że zadbano tu precyzyjnie o wiarygodności wszystkich szczegółów - przekonywał się na każdym kroku. W łazience - dokąd gosposia zaprowadziła go niemal za rękę - znalazł maszynkę do golenia dla siebie i brzytwę rzekomego teścia. Na jednym z ręczników czyjaś ręka wyszyła ozdobnym ściegiem napis „Adam”.

Siedział długo w tej łazience ze strachu przed spotkaniem z ojcem Agaty, którego kaszel dobiegł z głębi mieszkania.

Zapukano do drzwi.

- Obiad, Adam, obiad! - To był głos Agaty, zabrzmiał niby rozkaz stawienia się na przesłuchanie.

Umyty i pusty jak rura usiadł za stołem nakrytym skromnie, ale bez gustu. Czekał. Ze skapywaniem minut zaczęła mu podchodzić do gardła mdła fala buntu. Jakim prawem Agata zmusza go do uczestnictwa w sytuacji nie do zniesienia?! Przy jego przekłętej nieśmiałości - rola, jaką mu wyznaczono, może wywołać urazy jelit. Badał w myślach zasoby swojej odwagi: czy ma jej tyle, by nagle osunąć się z jękiem na podłogę, markując atak bólu któregoś z wewnętrznych organów. Oceniał, że ma - był u kresu. Poczekać, aż nadejdą domownicy. Opuści ten pokój, może nawet dom, względnie honorowo. Innego wyjścia nie widział. Zaczął się powoli nadymać, żeby udać obłożnie chorego.

Weszła Agata, a za nią w pewnej odległości jej ojciec. Suche przywitanie, Adam poczuł na sobie ostre przyszpilające spojrzenie. Trwało sekundy, a starczyło by zaczerwienił się po włosy. Plan z atakiem bólu też wydał mu się absurdem.

Usiedli za stołem we trójkę: Agata - małomówna i serdeczna, ojciec milczący, Adam tym bardziej. Jedzenie rosło mu w ustach, twarz paliła, formułował w wyobraźni odpowiedzi na pytania, które mogły paść za chwilę pod jego adresem. Koszmar. Patrzył w talerz, a najchętniej przyjrzałby się ojcu Agaty, nie widział bowiem z bliska nikogo, komu jeszcze niedawno groziła kara śmierci, zamieniona po pewnym czasie - wskutek czyjegoś kaprysu, zwanego też zweryfikowaniem poprzedniego stanowiska - na długoletni wyrok, by - ni stąd, ni z owąd, wskutek czyjejś ponownej weryfikacji - skazaniec został zwolniony jak gdyby nigdy nic do domu. Jak więc wyglądała ta tutaj domowa idylla w oczach tego człowieka? Niestety, krępował się przyjrzeć twarzy ojca Agaty, a co dopiero spojrzeć mu w oczy, nie mówiąc już o zapytaniu go o coś. Smarował przeto chleb smalcem. Masło też stało, ale

smalec wydawał mu się bardziej postępowym smarowidłem. Widział kątem oka tylko rękę. Duże, o grubych palcach i dziwnie bezkształtnych paznokciach. Przyglądał się tym paznokciom jak urzeczony - w dalszym ciągu kątem oka - leżały spokojnie na bieli obrusa i promieniowały swoją pełną tajemnic historią.

Marszowym krokiem weszła do pokoju gospoia, niosąc wazę zupy, zaskrzypiała podłoga. - No, dobrze, że już jesteście wszyscy! Udał mi się krupnik, oj, udał, żeby było zjedzone do dna! Panie Edwardzie, panu najbardziej potrzeba po tych więziennych paskudztwach, co? Nie? A pan Adam to jak zwykle pewno będzie nosem kręcił, napatrzy się, nawącha w pracy szynek, nie szynek, to i później w domu wszystko mu ścierką zalatuje, może nie tak? - Lała zupę do talerzy rozmachanymi gestami, zebrani wstrzymywali oddechy, jednak ani kropla nie spadła z chochli. Denerwowało to, ale budziło zachwyt. W ogóle gospodyni robiła wrażenie kobiety-opoki. Przysadzista, o pewnych ruchach, muskularnym torsie, twarzy płaskiej i takichże dużych płaskich stopach obutych w sandały kształtu płetw. Gdyby odcięto jej jedną nogę, druga z powodzeniem starczyłaby do utrzymania ciała w równowadze godnej czołgu. Spod grubej - mimo lata - spódnicy wyzierały łydki jak dębowe pale.

Stała obok Agaty i perorowała na temat przyrządzania krupniku. Wszystkim przy stole było to na rękę, ponieważ mogli uprawiać dwie jedyne w tej sytuacji prawdy: jeść i milczeć. Cisza, która zaległa, gdy gospodyni wyszła do kuchni po drugie danie - głucho dudniła w głowie Adama. Przypuszczalnie echo tego samego dudnienia uderzyło w czaszkę Agaty. Ojciec jej natomiast przypatrywał się obojgu spod półprzymkniętych, chłopięco nieufnych oczu.

- Która godzina? - zagadnął z nagłą Adama.

Ten, odpowiadając, podniósł dopiero teraz wzrok na pytającego. Gładko zaczesane szpakowate włosy, twarz biała bardzo o wklęsłych policzkach i prostym nosie. Cały urok i ciepło gnieździło się właśnie w tych zielonych oczach, do połowy ukrytych za pofałdowanymi powiekami.

Agata napięta do kresu wytrzymałości i bez powodzenia tuszująca to znużeniem - pogłaskała ojca po rękę.

- Dobrze ci tu u nas, prawda?

- Cóż... - odrzekł jak ktoś, kogo zapytano o pogodę. Przez chwilę jego twarz zastygła w półśmiechu zawstydzienia.

Weszła z szumem gospodyni i znów napelniła pokój dźwiękami. Wyrzucane przez nią z impetem słowa krążyły bezpiecznie stadami pod sufitem.

Wyszczierzona pogodnie Agata - chwyciwszy lewą dłonią swoje prawe nieosłonięte rękawem przedramię, a prawą dłonią kurczowo ująwszy lewe - wbijała sobie bezwiednie długie paznokcie w ciało. Zagłębienia z wolna nabiegały czerwieniosinnością. Dostrzegł to Adam kątem oka - (wszystko działo się tu w półcieniach, ćwierćnaturalnej) - ale ponieważ myśli miał zajęte - czymś zgoła innym, więc się nie wzruszył. A myślał był właśnie bardzo intensywnie o ojcu Agaty, który siedział w odległości nie większej niż metr, promieniował swoją dawną, dobrą marynarską przeszłością, swoją obecną, mądrą, bolesną, więzienną kpina i jak nikt inny nadawał się na wuja! Właśnie on, a nie Drąg na przykład, co za szczęście, że tamto uwujowanie spaliło na panewce.

Sympatia, jaką odczuł do tego skazańca, który nieświadom ofiary swojej córki uszedł miażdżącym trybom urzędniczej maszyny więziennej - była tak przemożna, iż gdyby wypadało, zwróciłby się do niego wprost, zaraz po obiedzie: Proszę pana - wyjąkałby prawdopodobnie, patrząc sobie pod nogi i przenosząc ciężar ciała z jednej na drugą - niech pan zgodzi się być mi wujem śnionym przez lata daremnie, dobrze?... To cud, że pana odnalazłem... wuju, oddam wujowi na początek połowę mojej samotności, a wezmę połowę wujowej, za co poproszę o pogłaskanie mnie po głowie choć raz na kwartał albo też o rzetelne obruganie mnie za wszystko, co fałszywe. Krótko mówiąc, bądź mi prawdą wuju, zaklinam cię na mój ciągły strach przed kotem, który stąpa cicho i pachnie urzędem - przepraszam... chodzi głównie o to, żeby wuj mnie pilotował swoją znużoną mądrością i tylko o to. - Tak chciał powiedzieć nieśmiało i subtelnie, gdy raptem przypomniało mu się, że jest rzeźnikiem.

W tym domu jest rzeźnikiem. Pracującym w rzeźni miejskiej mężem Agaty.

Kto uwierzy w brednie rzeźnika o prototypie idealnego wuja?

Najcierpliwszy komunista odwróci się plecami. Prowokator czy idiota? - pomyśli.

Więc siedział Adam z opuszczoną głową i żuł drugie danie bez apetytu, choć głodny tu przybył, jak kazała Agata. Obiad upływał wśród cichych podzwaniań widelców o talerze i bełkotu gospodyni.

Po obiedzie mimo wszystko - starał się nieznacznie zbliżyć do ojca Agaty. Stwierdził z radością - sądząc z drobnych symptomów - iż może w pewnym sensie liczyć na życzliwość z jego strony. Wyszli razem do przydomowego ogródka zaczerpnąć powietrza. Nie minął jednakże moment, gdy zza węgła wyrosła bryła gospodyni. Promieniała radością bez wyraźnego powodu, jakby mając ten stan ducha w kontrakcie. Właściwie całe jej zachowanie budziło sprzeczne uczucia. Ni stąd, ni z owąd zakasała nagle spódnicę, ukazując baloniaste uda, podrzuciła jedną stopą kamień ze ścieżki i podskoczywszy - kopnęła go drugą tak silnie, że z furkotem poszybował w górę, trafiając w sam środek komina sąsiedniego domku.

Zabębniło tynkiem po dachówkach, a gospodyni jakby nigdy nic zerwała dwie róże z rabaty i z przymilnym wyrazem twarzy wręczyła je obu mężczyznom. Adama przeszył dreszcz, ojciec Agaty przeciwnie - odpowiedział miłym słowem:

- Ręka, noga mózg na ścianie, nieprawdaż panno Zosiu?... Brawo, brawo!

Wzgórek tłuszczu i mięśni zwany panną Zosią zadrgał wdzięcznie.

- Pan Edward to dalej patrzy niż widzi! - puściła do niego wylupiaste oko. - Tyle się o panu nasłuchałam od pani Agaty, ale też i nie gorszy pan nic a nic niż w tych gadkach. Nic się przed panem nie ukryje.

- Oprócz służbowych tajemnic panny Zosi.

- A co ja tam mam za tajemnice? U mnie co w sercu, to jak na patelni - zamrugła szczeciną rudych rzęs. - Ja tu mam akurat coś lepszego do pokazania. Panie Adam, można? - i nie czekając na odpowiedź szarpnęła z rozmachem koślawe drzwiczki ogrodowego szałasu. Boleśnie jęknęły zarosłe rdzą zawiasy.

- Proszę spojrzeć, tu jest przybytek pana Adama. Panie Adam, pochwalić się, śmiało, pokazać teściowi swoje skarby! O, o, jakie to cacuszka nazbierał! - wskazała ręką wnętrze niewielkiej drewnutni, gdzie wbite w pień sterczały różnej wielkości i kształtu rzeźnicze toporki. W desce ściany tkwiło kilka ubojowych noży lśniących i wysmukłych, o nieco już wypracowanych ostrzach.

Ojciec Agaty zerknął na Adama unosząc brwi, zdumienie Adama na widok kolekcji można było natomiast odebrać jako skrepowanie niespodzianym ujawnieniem jego najskrytszych pasji rzeźnika. Nieźle pomyślane - przyznał w duchu, czując, że omotują go lekkie macki inicjatorów tej dziwnej afery.

Panna Zosia vel gospodyni jazgotała z nieukrywaną satysfakcją:

- A to pan Adam godzinami tu przesiaduje, a ostrzy, a przymierza się, glansuje, aż przyjemnie do ręki wziąć...

Wyszarpnęła jeden z noży, zamachnęła się i z półobrotu rzuciła nim w pień drzewka owocowego. Nóż gwizdnął tuż koło ucha Adama i trafił w co trzeba.

- Pięknie, pięknie - rzekł z zadumą ojciec Agaty, patrząc ponad głowę gospodyni w stronę lasu. Nie zwracał już jakby uwagi na coraz bardziej przerażonego Adama, który czując jedyny ratunek w nowo przybranym wuju, starym marynarzu - poszedł machinalnie za jego wzrokiem i stwierdził przy okazji, że płot okalający ogródek był podwyższony kilkoma pasmami kolczastego drutu. Niezaplecione tu i ówdzie końcówki świadczyły, iż prac podwyższeniowych dokonano w wielkim pośpiechu.

Powłócząc nieznacznie lewą nogą ojciec Agaty ruszył powoli ogrodową ścieżką - od

plotu do przeciwnego plotu i z powrotem, jak od ściany do ściany więziennego podwórza. Jego prosta sylwetka rysowała się wyraźnie na tle zieleni warzyw. Tymczasem gospodyni przysiadła na ławeczce, zwiesiła głowę i milczała. Niewykluczone, że zmorzył ją sen. Adam stał między główkami sałaty i nie wiedział co dalej. Zamierzał już wejść do domu, gdy nagle ojciec Agaty szybko zdjął jeden but i przerzucił go ponad ogrodzeniem na drogę pełną kamieni i wyrw.

Panna Zosia zerwała się z ławki jak podrzucona sprężyna. Warknęła nieoczekiwanie z chamską:

- Przestałby rznąć wariata, tylko pilnować go i pilnować... - Poczłapała do furtki, otworzyła ją kluczem wyjętym z kieszeni, wyszła na drogę w poszukiwaniu buta.

Ojciec Agaty zamachał dłonią w kierunku Adama: pędzej, do mnie! - znaczyły niecierpliwie, nerwowe gesty.

- Chłopcze - zaczął z zadyszką, gdy Adam był już przy nim. - Szybko, posłuchaj, wiesz co to jest honor?

- No... - zająknął się zaskoczony.

- To coś takiego, co dla takich jak ta pokraka i dla jej szefów jest hecą. Z honoru, ze sprawiedliwości robociarskiej zrobili sobie figielki, a z tej hecy - dobre życie. Dla siebie, prywatnie. A ja trzydzieści lat biję się o to, żeby heca nie była hecą, ale sprawą publiczną - łypnął na Adama swoim kpiącym okiem uwieczonym w zmarszczkach. - I z ciebie bym zrobił takiego wariata jak ja, żebyś cię miał pod ręką... bo mi podchodzisz... choć z innej gliny jesteś... Posłuchaj no... - ścisnął mu ramię z lekka drżącymi palcami - ...ja trochę za długo balowałem po sanacyjnych więzieniach... reumatyzm, coś tam jeszcze... Jakby co, daj baczenie na Agatę... nikogo więcej oprócz niej nie mam... głupia jeszcze, głupia... nie tak trzeba było zagrywać jak ona, całkiem inaczej, ale cóż... - przekreślił problem machnięciem ręki i dodał cicho: - skończ tę komedię, niech twoja noga więcej tu nie postanie, bo ciebie szkoda a mnie wstyd. Tylko gęba na kłódkę - wskazał brodą szukającą wciąż jeszcze gospodynię. I uśmiechnął się takim samym drwiąco komedianckim przepięknym uśmiechem przechodzącym w ohydny grymas... takim samym, na wspomnienie którego Adam raz nienawidził, raz znów kochał do szaleństwa Agatę.

Pętla

Jeszcze kilka bukietów doręczył ktoś przez przygodnych posłańców. Z. tak się przyzwyczaiła do drogich kwiatów, że zupełnie zarzuciła obwąchiwanie Adama. Nawet nie próbował jej tłumaczyć, że każda następna naręcz róż obciąża jego konto u kogoś. Ten ktoś pozostawał tajemnicą o coraz bardziej potworniejącej twarzy.

Do rozlicznej plejady lęków Adama doszedł więc jeszcze jeden - lęk przed kwiatami. Mijał kwiaciarnie z odwróconą twarzą, imieninowe wiązanki niesione przez przechodniów wzbudzały w nim skojarzenia z wyrokiem.

Wreszcie któregoś dnia nastąpiła ulga, rozluźnienie napięcia, nieomal szczęście. Trwało chwilę, mgnienie oka dosłownie, bo już w następnych sekundach znów nie był w stanie nawet papierosa zapalić roztrzęzionymi palcami. Stało się to wtedy, gdy do drzwi zapukał znajomy dozorca i nie przyniósł bukietu róż. Adam rzucił się, by mu podziękować, lecz wtedy on uśmiechnął się przepaszająco, wyjął zza pleców sporą paczkę, położył ją na podłodze i wyszedł.

Po rozszarpaniu opakowania - oczom Adama ukazał się lśniący niklem tygrys wielkości małego psa na podstawce marmurowej. Zdeterminowanym ruchem wziął przycisk pod pachę i zakopał na śmietniku, po czym siadł ciężko za stołem, głowę podparł pięściami i tak trwał. Rozstrojona Z. z Mercedes na ręku krążyła wokół niego jak perlica nad rannym samcem, nie mając odwagi skrócić dystansu i na przykład pogłaskać go po głowie. Może też w ogóle nie wiedziała, jak to się robi.

Kiedy w dwa tygodnie później Z. poinformowała męża szlochając z radości, że w czasie kiedy on był w redakcji, dozorca przyniósł - znaleziony podobno na ulicy - piękny, niklowany, elektryczny dzbanek do parzenia kawy - Adam wpadł w melancholijną panikę.

Czepiał się jeszcze nadziei, że może przysłała ten dzbanek Agata, chcąc zadośćuczynić za straty moralne, na jakie go naraziła. Ale kontaktować się z nią nie chciał na razie. Gorycz i niesmak niosło wspomnienie kilku godzin spędzonych w odrutowanym domku. Nie mógł wybaczyć Agacie, że tak mało rozumiała swojego ojca. Najbardziej nie mógł jej wybaczyć, że jego, Adama, też tak mało rozumiała.

Po kilku dniach przemyśleń doszedł do wniosku, że prezenty nie mogły być jej dziełem. Tajemniczy ofiarodawca postępował perfidnie i ze zbyt wielką znajomością męskiej psychiki. Otóż w pewnej mierze obdarowywał również żonę, mając niewątpliwie interes do męża. Kim więc był? Tajnym urzędnikiem? Agentem obcego wywiadu chcącym omotać młodego reportera postępowej rozgłośni?

A może to Marta - jeżeli żyje jeszcze - przesyła sygnały bezinteresownej miłości w sposób - jak to w jej zwyczaju - zaskakujący?

Nie był w stanie poradzić sobie z falą przerażenia na myśl, że hojny fundator róż, figur i zastawy stołowej może któregoś dnia zgłosić się po zapłatę. Postanowił o całej sprawie poinformować naczelnego. Bądź co bądź był jego pierwszą instancją. Bagatelizowanie zagrożenia mogłoby graniczyć z samobójstwem.

Wybrał godziny, kiedy naczelny nie miewał kolegiów ani nie adiustował audycji. W zdenerwowaniu - czy nie zostanie wyproszony przez szefa za zawracanie mu głowy dziwnymi urojeniami - zapomniał powiedzieć dzień dobry po wejściu do sekretariatu - czym wzbudził popłoch sekretarki. Zerwała się zza biurka i na jego nieśmiałą prośbę o natychmiastowe pilne widzenie się z naczelnym odpowiedziała, iż oczywiście tak! - ale nie teraz, bo szef jest zajęty - na co on napomknął jeszcze bardziej speszony, że nie jest w stanie zbyt długo czekać, bo nerwy mogą mu odmówić posłuszeństwa - na co sekretarka zareagowała już radykalnie: zbliżyła się do niego całym ciałem tak, że już bliżej nie można było, tak że ujrzał jej lalkowatą twarz tuż przy swojej, obrysowane czarną kredką wąskie oczy i nieumalowane, wzdęte trochę drżąco - nie wiadomo czemu - wargi, również z lekka drżącą dłonią ujęła jego ramię i zaczęła wyszeptywać mu w ucho - oglądając się trwożnie co chwila na drzwi do gabinetu szefa - że do niego teraz wejść nie wolno - pod żadnym pozorem, ale - dodała szybko - najwyżej jeszcze z pięć, dziesięć minut, zabronił, bo jest u niego manicurzystka...

- Manicurzystka? - nie dowierzał, też szeptem.

- Tak - potwierdziły wygięte tajemniczo grube wargi tuż, tuż przy jego nosie, czuł zniewalający oddech.

- Manicure? - dopytywał się nietaktownie. (Zaintrygowanie brało górę).

- Nie, skąd! - w oczach sekretarki błysnęło coś na kształt zakonspirowanej solidarności z interesantem, ściszyła bardziej głos: - Antymanicure... - uśmiechnęła się tajnie, bardzo zmysłowo.

- Aha - pokiwał głową ze zrozumieniem, nie chcąc wypaść na idiotę w obliczu jej sekretarskości.

Wtedy ona poufale, choć z wielkim respektem przycisnęła jedną ze swoich miękkich piersi do jego łokcia i wyszeptała mu prosto w ucho:

- Ona przychodzi co srode psuć mu ręce...

- Aha - pokiwał głową ze zrozumieniem, na co sekretarka nie czekała, aż znów zapyta - bo przecież przeczuwała jako wzorowa sekretarka, że on dalej brnie w niedowiedzy, więc oparła się o niego drugą pierś i pocierając długimi palcami jego rękaw, aż zjeżyła się bawełna a pod nią jego skóra - powiedziała tak cicho, że odruchowo nachylił się ku jej ustom: - ...Psuje mu paznokcie, zrogowaca dłonie, preparuje blizny, bo on chce być postępowy nawet na dotyk, rozumiesz mój mały?... - jej palce popęzły w górę aż do jego ucha, rozkosznie szarpnęły miękkość małżowiny. - ...On przez ciebie, dla ciebie to robi wiesz?... ti, ti... mały, dzielny zauszniczku... ti, ti...

Druzgoczący zapach gorącej, samiczej, odmienionej nagle sekretarki - przyprawiony treścią jej słów sprawił, że język Adama skołowaciał.

Zza uszczelnionych drzwi doszedł natomiast lekki szmer. Sekretarka złowiła go pierwsza. Wystarczyło jej cofnięcie jednej nogi, by wrócić do pozycji wyjściowej, za biurko. Sposób rozstawienia stóp musiała mieć opracowany do perfekcji, jak zresztą i ruchy pozostałe.

Drzwi otworzyły się i z gabinetu naczelnego wyszła mała, grubawa kobieta z czarną walizką. Zamknęła starannie drzwi za sobą, uśmiechnęła się smutno, przepłynęła bezszelestnie przez cały sekretariat, po czym przepadła w czeluści korytarza.

Sekretarka odczekała chwilę - Adam wlepił w nią wzrok, absolutnie nie mogąc przenieść go na bardziej sensowny obiekt, chociażby na telefon, którego jeden z guzików został właśnie naciśnięty jej zmysłowym palcem. Zaterkotało, wyrecytowała do słuchawki jego nazwisko, dopiero wtedy oprzytomniał.

- Nie, nie, już nie chcę! - syknął.

Ale za późno. Drzwi naczelnego raptem stanęły otworem i Adam został wessany zapraszającym gestem szefa.

Naczelny ojcowski, gąbczasty, ręce założone na plecach, w jego spacerowaniu po gabinecie czuło się pewien niepokój.

- Czyżby coś nowego, kochany panie Adamie? - chrząknął porozumiewawczo, co mogło znaczyć: „my razem, w tę samą dmiemy rurę”.

Adam machinalnie obracał ołówek w palcach jednej ręki.

- No więc?... - dobiegło aksamitnie ze środka gabinetu.

Chciał odpowiedzieć i nie wiedział, jak zacząć. Zbyt dużo było trybów, kwadratur,

paraboli, wieloboków w całym mechanizmie urzędowego świata, żeby móc się szybko uformować w najbezpieczniejszą dla siebie figurę. Zresztą słowa sekretarki - nawet gdyby wyrażały tylko jej własną opinię - wprawiły go w zakłopotanie. Gubił się w domysłach. Trudno było przypuszczać, żeby naczelny - ten szczywany lis - brał na serio dzieciennie proste fortele, przy pomocy których Adam usiłował bronić się w krytycznych sytuacjach. Żałował teraz, że tu przyszedł.

Z braku pomysłu na jakąkolwiek pozę, w popłochu, że może wypaść na rzeczywistego półgłówka, ze strachu, że przeciągnie strunę - postanowił działać zgodnie z naturalnym odruchem, czyli prawdziwie.

Kaszlnął nienaturalnie i zaczął: - Czy mogę być z panem zupełnie szczerzy?

- Czekam na to od miesięcy! - zatarł dłonie naczelny, ale zaraz przezornie schował je za plecy. Miały kolor sinozielonkawy, były wymęczone jak żaby przez zboczeńca. - Gadajcie, kolego!

Ale Adam zamilkł, nadal pasował się z sobą. Czy na pewno powinien powiedzieć o swoim zmartwieniu, czy lepiej nie? A jeżeli to jest rzeczywiście robota wroga klasowego, który zamierza przekupić go, wciągnąć w bagno? Powiedzieć o otrzymywaniu prezentów łatwo - w to graj temu tu wyleńałem hazardziście, lecz co z tego wyniknie? Przypuszczalnie dochodzenia, szeptu po kątach...

Postanowienie przyszło nagle jak paraliż: nie powie. Ani słowa. Sprawa przyschnie, może ofiarodawca sam wpadnie, zanim wciągnie swoją ofiarę. Trzeba przeczekać do ewentualnego dalszego prezentu. Ten pokaże naczelnemu, poradzi się, co dalej.

A jeżeli to znów będzie bukiet róż? Do naczelnego z różami?

- Siedzicie kolego jak byście jajo nieśli. Ja bez mała wasz ojciec, walcie prosto z mostu, no!

Obracany przez Adama ogryzek ołówka pękł nagle na pół.

- Ja... chciałem szczerze coś panu powiedzieć - zaczął z trudem - ...ale nagle rozmyśliłem się i nie powiem. Tak będzie lepiej dla mnie i dla pana, proszę mi wierzyć, mówię szczerą prawdę. Już sobie pójdę - ruszył ku drzwiom.

- Bardzo was proszę... - naczelny zastąpił mu drogę całą swoją tłuściością. - Tego mi nie zrobicie, kochany! Opamiętajcie się i powiedzcie, co macie do powiedzenia. Nie dręczcie mnie, proszę - złapał Adama za obie ręce i nie zważając na obrzękło-zrogowaciałą skórę swoich dłoni, potrząsał nimi rozpaczliwie. - Mówcie! Ja wszystko zniosę! Wolę to niż wasze milczenie! Mówcie!!

Przełękły Adam próbował uwolnić się, odepchnął z ostrożną naczelnego, gdy jednak

to nie pomogło, wyrwał siłą swoje dłonie z jego dłoni. Szef zatoczył się, lecz zachował równowagę, choć z trudem, łysa czaszka pokryła się mętnymi kroplami. Dyszał ciężko. Adam stał bezradnie na środku gabinetu, jakby trochę nieważki. Stopy mu drętwiały z przejęcia.

Naczelnny otarł mozolnie pot z czoła. - Kolego... - mówił z trudem - ja też chciałem wam coś ważnego powiedzieć. Już od dawna... Lecz... po kolei. Najpierw chciałbym żebyście wiedzieli... to znaczy chciałbym was zapewnić, że ja nie zapomniałem o tych skrzydłach... Przeciwnie, pamiętam i robię, co mogę...

- O jakich skrzydłach? - zachnął się Adam.

- Coś zadziwiającego! Przekonuję się na każdym kroku, że wy nigdy nie wypadacie z roli! Podziwiam was za to, szczerze podziwiam... Ale powtarzam, pamiętam, co mi przekazaliście wtedy, gdy was angażowałem. I staram się, jak mogę... uskrzydlić swoje postępowanie. Jemu to możecie powtórzyć... powtórzcie mu, dobrze?

- Komu? - zapytał w pierwszym odruchu zdumienia Adam.

- Kolego kochany!... Czy musicie jeszcze ciągle przede mną grać? - I po krótkiej pauzie na kilka głębokich oddechów ciągnął dalej, coraz to płaszcząc się i bratając na przemian: - Wybaczcie mi, że tak gwałtownie zareagowałem, cóż, nerwy. Ale teraz już wiem, że chcieliście mnie wypróbować. Brawo! Znow się wam udało. Nie śmiem nawet z wami współzawodniczyć. On dobiera sobie najlepszych... takich jak wy... - uśmiechnął się z kokieterią ekspedienta. - Przyznaję, trochę zbyt późno was rozgryzłem, tak. Nie zaprzeczajcie! Błagam! Teraz już nie! Byłby to znak, że obaj nie macie do mnie zaufania... Ale nic, nic, cicho, sza... Teraz dwa słowa z innej beczki, pozwólcie. Chciałbym ja z kolei coś wam powiedzieć... całkiem prywatnie... i żeby to między nami zostało... Chciałbym, że tak określe... przyznać się wam do czegoś, co już od dłuższego czasu... pozwalał sobie pod waszym adresem... szanowny kolego Ada...

- Hop! - zawołał Adam, wskazując na parapet otwartego okna. - Odlatuję!

- Nie!! - ryknął naczelnny, rzucając się w stronę Adama i łapiąc go za nogawkę. - Nie zrobicie mi tego! Nie! Nie! Ja was błagam! - niezdarnie ukląkł przed stojącym na parapecie podwładnym, zaciskając czerwone opuchnięte palce na materiale spodni. - Apeluję do was, kolego! Zejdźcie, proszę! Nie ryzykujcie! Ja wierzę, że macie skrzydła, najlepsze, chitynowe, ale nie korzystajcie z nich, błagam! Możecie mnie kopnąć, jeżeli chcecie, proszę, proszę! - nadstawił usznie nos, zdjął okulary. - Ale nie skaczcie! Ja za was odpowiadam. Włos wam z głowy nie może spaść! No, ja błagam, zejdźcie, proszę, oprzyjcie się o mnie, no nic, nic, spokojnie, wybaczcie, że was rozdrażniłem... nie chciałem, wiercie... ja proszę!...

Adam patrzył z wysoka na psie, pocziwe, wierne oczy kłęczącego, na schludną,

lśniąca czaszkę. Miał wielką ochotę postawić ostrożnie nogę na tej gładziźnie. Bez ubocznych powodów. Postawić i tyle. Chęć przyszła i minęła.

- Przepraszam - za kłopot - rzekł - rozmyślałem się dziś już po raz wtóry. Na razie nie odleczę.

Naczelnny wstał z klęczek. Otrzeptał spodnie. Adam zszedł z parapetu. Ukłonił się. Naczelnny odklonił się z powagą. Adam wyszedł z gabinetu bez słowa. Będąc już w korytarzu, uświadomił sobie, że zupełnie nie pamięta przejścia przez sekretariat, a także woni sekretarki. Nieznaczny ucisk żalu... Lecz ważniejsze, że udało mu się zahamować proces zwierzeń szefa.

Każde zwierzenie szefa zagraża podwładnemu. Ciężar zwierzeń może się okazać kamieniem u jego szyi. Co dopiero w tak skomplikowanym układzie. Wystarczyłoby drobne potknięcie, zmiana frontu, akt niełaski - i już: krzyżowy ogień pytań, jakaś lampa w oczy lub inne zachęty.

Zbiegał schodami w dół po pięć stopni, lżejszy o to nieusłyszenie. Mijając oszklony kiosk strażnika powziął nagły zamiar podpalenia mu zapalką wąsów, lecz strażnik - a był nim jakiś służbista - tak lęklonie salutował przechodzącemu, że bez wątpienia gotów byłby sam podpalić sobie jakiegokolwiek owłosienie - bo akurat wąsów nie nosił - byle zabawić redaktora Adama, o którym już cała rozgłośnia...

A więc sprawa zaszła tak daleko? Zaatakował go nagle dobrze znany, wewnętrzny dygot.

Biegł podwórkami, ścieżkami na skróty wśród ruin, byle prędzej do domu, byle zobaczyć Z. w przepięknie ponurym nastroju, z miną zranionej indyczki - wskutek nieotrzymania nowego prezentu. O Santa Marmelija - spraw żeby tak było!

Pożar

- Czy pan wie, co to takiego? - rzekł kierownik Drąg, wyjmując z szuflady i stawiając na biurku zamknięty szczelnie blaszanym wieczkiem słoik. Na szklane ścianki od wewnątrz daremnie próbowało włączyć rojowisko pełnych wigoru robaków w brązowo-żółte paski. Przewracały się co chwila do góry brzuskami, aż żał brał.

- Nie wiem - skłamał Adam. - Ale po co je męczyć?

- Naprawdę nie wie pan? - przestraszył się Drąg. Szpakowaty kosmyk opadł mu na pięknie wypukłe czoło. - W dodatku przejawia pan litość?! prawda?

- A jakby pan włąził na takie śliskie ścianki słoika...

Drąg wstał zza biurka. Twarz jego wyrażała uroczyste przerażenie, oparł się wygodnie obiema pięściami o blat. - Czy pan wie, co pan powiedział? Czy pan wie, że za takie słowa mógłbym spowodować natychmiastowe umieszczenie pana w miejscu osamotnienia? Co najmniej!

Gdyby rzecz działa się jeszcze trzy, cztery miesiące temu - Adam zwilgotniałby od stóp do głów. Obecnie już nie zwilgotniał. Lecz na wszelki wypadek odpowiedział: - Nic nie powiedziałem, nie znam tych robaków, nie miałem z nimi żadnych kontaktów osobistych.

- Całe szczęście - odsapnął Drąg i usiadł - że potrafi pan znaleźć się w każdej sytuacji. Pozytywny stosunek do tych szkodników mógłby panu, panie kolego, poważnie zaszkodzić.

- Nienawidzę wszystkich szkodników! - rzekł na wszelki wypadek Adam i zaciął usta.

- Oj nie, taki punkt widzenia wydaje mi się zbyt krańcowy. Trzeba mieć subtelne wyczucie, panie kolego, nawet na odcinku szkodnictwa. Bywają bowiem szkodniki negatywne, bywają też pozytywne, to znaczy robaki nasze, swojskie, do których nikt nie broni nam żywić sympatii, co jednakże wcale nie wyklucza tępienia ich, jeżeli takie jest akurat zapotrzebowanie społeczne. Najważniejsze, żeby wszyscy...

- Nienawidzę niektórych szkodników - powiedział twardo Adam uważając, że z Drągiem nie ma co dłużej przeciągać struny.

- Oczywiście, słusznie. Ale nie o to mi chodzi. Najważniejsze żeby każdy...

- A o co głównie? - chciał wiedzieć Adam, kierując na Drąga ufny wzrok młodszego

redaktora.

- To wy naprawdę nie wiecie, kolego?

- Mam wątpliwości...

- A czego nie wiecie? - wykrzywił chytrze wargi.

- Na przykład, czy te wszystkie robaki są złe, a jeżeli nie wszystkie, to dlaczego i które, dokładnie, są lepsze? - wskazał brodą kłębiącą się zawartość słoika. Jedne egzemplarze włożyły na drugie, tworząc piętrzące się dosyć dwuznacznie stosiki, po trzy na jednym.

Drąg zaniemówił z oburzenia, ale nie na długo. - Przecież właśnie chodzi o to, żeby każdy nauczył się rozpoznawać, które są które! - wyrzucił wściekle. - To jest najważniejsze! To podstawowy warunek uświadomienia! Ktoś, kto nie nauczy się rozróżniać negatywnego od pozytywnego do niczego się nie nadaje! A już tym bardziej na stanowisko redaktora, czy wy to rozumiecie!?

Adam bez słowa skierował się ku drzwiom.

- Dokąd? - zapytał groźnie kierownik działu artystycznego.

- Idę się zwolnić z pracy - odrzekł ze smutkiem Adam. - Nie potrafię rozróżniać robactwa pozytywnego od negatywnego.

- Czyście zwariowali! - wrzasnął Drąg, wyrzucił przy tym pięścią w biurko. Przeżarty przez korniki blat wkleśł nieznacznie. Drągowi zalśniły łzy w oczach, wycedził wściekle przez zęby: - Jesteście paskudnym szantażystą! Wstrętnym typem!... Pastwicie się nade mną!! Za moją dobroć płacicie mi świństwami na każdym kroku! Za moją ojcowską opiekę nad wami. To okropne, okropne! - wznosił ręce w górę, potrząsał nimi jak pogorzelec nad zgliszczami. Następnie, w przypływie niemej bezsilności chwycił słoik z robactwem i wrzucił go z rozmachem do blaszanego kosza na śmieci. Rozległ się chrzęst szkła.

Adam stał ze spuszczoną głową, oparty o framugę drzwi.

Drąg zaczął mówić zupełnie nie swoim głosem, coś jakby nagła chrypa stępiła jego brzmienie: - Czy... wy myślicie... czy ty myślisz, młody człowieku... że tylko ty się szarpiesz?... Co? Że tylko tobie wyjątkowo pokrzywdzonemu coś grozi i dlatego wymyśliłeś sobie, że będziesz rznął pajaca? A ja to co? Ja podążam jasną, prostą dróżką jednokomórkowca do świetlanego celu, tak?! Tak myślisz szczeniaku, tak?!

Wzburzony ruszył w kierunku okna, zatrzymał się nagle, stanął do rozmówcy senatorskim profilem i przyczesując mechanicznie włosy zdobiące czerep godny Cezara osadzony na korpusie Toulouse-Lautreca - niby wpatrzył się w park za szybą, wyprężony dumnie ponad miarę, z ręką po napoleońsku zatkniętą za połą marynarki. - Przepraszam... - powiedział zaskakująco niemiłym falsetem - ...polubiłem was... kolego... Obojętnie, czy za

wami stoi prezydent, czy ściana. Polubiłem was jak... syna... chyba nieco nadmiernie... nie miałem nigdy syna, a żonę... ssmani w getcie... więc ja was... wam... No, nie ma o czym! - odchrząknął hałaśliwie, wyprężył się jeszcze dumniej i mówił coraz szybciej. - W tym słoju kazałem umieścić dwa rodzaje owadów: jedne zrzucone z dywersyjnego samolotu, tak, tak, sabotaż gospodarczy, właśnie otrzymaliśmy meldunek, a te drugie to są nasze krajowe, z Instytutu Biologii. Chciałem nauczyć was rozróżniać, żebyście nie skompromitowali się w czasie wyjazdu na wieś. Bo macie wyjechać, macie zrobić dobrą audycję... A wy nawet nie wiecie, co to za szkodniki, skandal!

- Wiem - powiedział Adam nie podnosząc oczu. - Stonka ziemniaczana.

- Aha... - uniósł brwi Drąg. - No tak, wiedzieliście... oczywiście wiedzieliście, mogłem przypuszczać!

- Ja nie spodziewałem się... - powiedział Adam.

- Czego nie spodziewaliście się?

- Niczego dobrego... A właśnie pan...

- Zależy, co na danym etapie dobre, a co złe. Zamknięty krąg względności...

- Przepraszam pana... Ja nie spodziewałem się...

- Nie ma za co. Ja też się nie spodziewałem niczego po was.

- Ma pan do mnie żal?

- Mój chłopcze... - Drąg zbliżył się, był o głowę niższy, niezdarnie położył mu na ramieniu sztywno wyciągniętą rękę. - Oduczono mnie złudzeń. Wszystko robię na swój własny rachunek. Tak, skrajny egotyzm. Między nami jeden do jednego. Co, zgoda?

Adam silnie uścisnął podaną dłoń. W tym samym momencie zauważył, że z czeluści rękawa kierownika artystycznego wyłazi robak w paski żółto-brązowe, za nim drugi. Spod kołnierza wyprowadzała się cała procesja.

- Niech pan zrzuca marynarkę! Szybko!

- Co? Czemu?!

- O, tu! I tu!

Klnąc ze wstrętem, Drąg jął zdzierać z siebie garnitur, miotał się. Z ramion, z rąk, z włosów strzepywał przyczepne korpusiki stonki. Adam rozdeptywał je zawzięcie na podłodze. Pękały z soczystym trzaskiem.

Drzwi otworzyły się raptownie, na progu stanęła pani Kira, a za nią Robert. Ujrawszy kierownika w białym - cofnęli się oboje w popłochu.

Drąg nie stracił zimnej krwi: - Jazda, jazda! Nie gapić się, tylko ratować! Kolego Robertcie, proszę dać marynarkę a pani Kira chustę! Prędejj, szybko!

Zakrywając swoje dolne partie gazetą - wyrywał im z rąk części garderoby. Jedwabną, wielką chustą owinał się dookoła bioder, ubrał za wielką na niego marynarkę i zakasał rękawy. Jego energia połączona z nagłą wesołością - całkowicie pozbawiała komizmu całą tę sytuację.

- Proszę sobie wyobrazić - mówił już spokojniej, nie bez pewnej pobłażliwości w głosie - że jest to najnowszy, niewybredny dowcip kolegi Adama. Ale nic z tego! Pojedzie i zrobi piękny reportaż o wrogiej stoncy. A teraz żegnam państwa! Szaty zastępcze oddam jutro. Proszę zawiadomić strażnika w portierni, żeby przyniósł mi swój służbowy płaszcz. Dziękuję.

Duży wóz transmisyjny przedzierał się przesmykiem piaszczystej drogi między dwoma szpalerami wierzb tak rosochatych, że aż do absurdu typowych dla przedwojennych, kapitalistycznych opisów przyrody wiejskiej.

Cały krajobraz zionął tradycjonalizmem trudnym do zniesienia dla uświadomionego społecznie inteligenta miejskiego, którego posłannictwem była zamiana wszystkiego co we wsi stare, przedwojenne, złe, wsteczne - na nowe, lepsze, świeżo odkryte, postępowe.

Siedząc na konsolecie magnetofonu pod szerokim oknem wozu podrzucającego na wybojach - Adam gapił się z niechęcią na słomiane dachy zabudowań gospodarskich, na pochyłe szczyty nadgniłych płotów, na plamy gnojowisk za szopami, na te szpalery wierzb w końcu, wyrosłych krzywo, rosochato jeszcze w czasach sanacji obszarniczej. A i kręcący się tu i ówdzie wśród zabudowań ludzie - gospodarze i gospodynie, niechybnie za sanacji poczęci - też wydawali się wstecznymi nosicielami starych tradycji. Ich spojrzenia rzucały się spod łba w kierunku lśniącego farbą samochodu, ich powolne ruchy, ostre profile upartych czy zadarte nosy pozornych poczciwców - wszystko to składało się na wiejski pejzaż, jawiący się Adamowi za szybą samochodu. Właściwie pierwszy raz udało mu się ujrzeć we właściwym świetle problem, o którym dotąd miał raczej mgliste pojęcie. On - krytyczny obserwator nowego porządku, nie wolny od wątpliwości w różnych dziedzinach, dopiero teraz ujrzał słuszność nowych założeń agrarnych jak na dłoni. Tak, ten reportaż powinien wyjść niezłe - myślał z zapałem.

Nagle, kiedy tak wyjątkowo jasno patrzył w dal, zobaczył ledwo rysującą się na tle sadu - dziewczynkę w białej sukni z kotkiem pod pachą, podskakującą nierytmicznie i budzącą tak nieodpartą tęsknotę za światłem bez cienia, że ból o mało nie zmiażdżył jego serca.

Szybko oderwał oczy od zjawiska. Absolutnie nie był w nastroju do zaprzątania sobie

głowy arealistyczną bzdurą. Miał konkretne zadanie, dotyczyło polityki rolnej. Niech nastanie wreszcie prosta, jasna, ożywcza realność, niech rosochate wierzby - krzywe, zgniłe, przedwojenne, tworzące zacofany pejzaż wsi - padną pod naporem postępu, by na ich miejsce wyrosły zupełnie nowe wierzby, proste, jasne, powojenne. Szarpnęło, podrzuciło, wóz stanął.

Dwóch z obsługi technicznej śpiących na ceratowych ławkach pod ścianami wozu - przetarło oczy.

- Co, już? - zapytał jeden, spędzając z twarzy bydlęcego gza.

- A nie czujesz? - pociągnął nosem drugi. Adam zrobił to samo.

Rzeczywiście, rozchodził się swojski, ożywczy, prosty fetor gnojówki.

Z szoferki zsunął się opiekun personalny Muka. Kamienne rysy i ciemne okulary stanowiły jak zwykle dymną zasłonę jego wnętrza. Wyjazd do wsi szczególnie dotkniętych plagą stonki ziemniaczanej pochodzącej ze zrzutu - wzmagął jego czujność. Sprawa pachniała brzydko. Szkodnictwo gospodarcze, dywersja... Rozsypanie larw nad polami miało podobno nastąpić którejś z poprzednich nocy w tajemniczych okolicznościach. - Niewykluczone, że będziecie mieli, kolego Muka, do czynienia z działalnością wrogiego lotnictwa - proroczo zauważył Drag.

Od tego momentu wypadki potoczyły się, jakby ich scenariusz opracował kolega redakcyjny Adama, niezrównany garbus, smakosz paznokci i literackiej abstrakcji - pan Władysław zwany też Ułanem. Ale Ułan - na jego szczęście - nie miał ze stonką nic wspólnego.

Tymczasem kolejność wydarzeń owego krytycznego popołudnia we wsi dotkniętej plagą stonki przedstawiała się następująco.

Muka doprowadził w pobliże wozu transmisyjnego pierwszego z brzegu gospodarza. Argumentów nacisku, jakie stosował, nikt z ekipy nie brał pod uwagę ze względu na dobro sprawy. Zwłaszcza, iż efekty osiągnął zadowolające a mianowicie: kułak - albowiem musiał to być kułak, gdyż miał czapkę w rękach, przypuszczalnie ze strachu, że wyjdzie na jaw jego niechęć do wywiązywania się z obowiązkowych dostaw ziarna i żywca - stanął przed mikrofonem i jękając się niesmacznie - przypuszczalnie z nadgorliwości charakterystycznej dla moralnego zgniłka - tak skwapliwie wyraził chęć opisanego zrzutu robactwa na swój zagon kartofli, że Adam przestał bać się o reportaż. Bo przecież mógł w ogóle nie znaleźć rozmówcy. Drag ostrzegał, że gospodarze, szczególnie ci najbardziej skułaczeni, są złośliwi, nieufni, obłudni i na tyle obcy klasowo, że nie można się z nimi porozumieć w żadnym języku literackim.

- Proszę, niech pan się rozluźni i swobodnie, jasno, bez skrepowania opisz nam

swoimi słowami, jak to było - zachęcał Adam najcieplej jak potrafił, co musiało zostać odebrane jako szczyt obludy, gdyż sam miał ściśnięte gardło. Żal mu było szczerze starszego człowieka mnącego czapkę w rękach i przedeptującego z nogi na nogę - przed nim, bądź co bądź szczeniakiem.

Wkrótce zgromadziło się wokół nich sporo wieśniaczek i wieśniaków. Stali, gapili się niemo. To ich milczenie - na tle poszczekujących z daleka psów, gdaczących kur, porykujących cielaków, ćwierkotu wróbli - z minuty na minutę potężniało, aż wreszcie zburzyło miejski, zrutynizowany spokój urzędników mikrofonu.

Jeden z techników brzydko zaklął. Drugi nie pozostał mu dłużny.

Chłopskie milczenie jest najtwardsze, bo w nim skamieniała cisza ziemi - pomyślał Adam i tak zagapił się w głębię pięknej myśli, że nawet nie zdążył upewnić się, czy odniósł ją do biedoty wiejskiej, średniorolnych, czy wręcz do kułactwa. Z tego wszystkiego zapomniał też wyrzec sakramentalne słowa: „uwaga, uwaga, start, nagrywamy”, a raptem kułak - stojący przed mikrofonem trzymanym w wyciągniętej ręce przez Adama - otworzył usta i zaczął wyrzucać z siebie opowieść o tym, jak to nocną porą nadleciał wrogi samolot i przeleciał, a już rano stonka spustoszyć zdążyła zagon kartofli, co odstawione miały być obowiązkowo dla klasy pracującej w mieście...

Te akurat słowa nie zostały więc utrwalone na taśmie, akurat te a nie inne, bo gdyby inne, ale akurat te! Adam miał za złe technikom - oni jemu. Doszło do wymiany zdań, Muka stał z boku wpatrzony w horyzont.

Trzeba było teraz wytłumaczyć rolnikowi, że powinien powtórzyć jeszcze raz to samo, słowo w słowo i w dodatku koniecznie z tą samą zaciętością - żeby gospodarzu, każdy kto usłyszy, wiedział na pewno, że ponieśliście straty w wydajności ziemniaka z hektara, wtedy i odszkodowanie dostaniecie większe i obowiązkowe odstawy zostaną wam zmniejszone - tak mniej więcej zachęcał go Adam. Toteż chłop po raz drugi otworzył usta i zaczął powtarzać, co miał do powiedzenia, lecz już znacznie ciszej, płacząc się, zacinając, niby źle wyuczoną lekcję. Bo dwa razy mleć ozorem do obcego raz po raz to samo - znaczy, że ktoś tu głupi albo ktoś z kogoś głupiego robi. Kto z kogo, najlepiej widzą ludzie, co patrzą i milczą w kamień. Ponieważ mowę im odjęło z wielkiej bezyły.

Przeto, gdy Adam poprosił go, żeby wziął się w garść i po raz trzeci powtórzył, ale nie tak jak za drugim razem, lecz jak za pierwszym, raźnie, raźnie! - wtedy chłop zamilkł całkiem, ponownie mnąc czapkę w rękach, wbił wzrok w udeptaną ziemię swojego własnego podwórka, na którym miał być mądrym gospodarzem - mądrym gospodarzem w oczach całej wioski być przestał.

I czy mu się coś raptem w środku przekręciło, czy sparła go nieprzeparta chęć wyjścia na swoje choć przez chwilę, tę jedyną chwilę, która odgłupić by go mogła w oczach gromady - dość, że powiódłszy krwawym okiem w krąg po babach, dzieciakach, chłopach, po całej swojej umęczonej wiosce, przyciśniętej nakazami, zakazami i groźbami do muru rozpaczy - uniósł niespodzianie jedną nogę i wypiąwszy się wprost do mikrofonu - jak nie grzmotnie z tyłka niby z powstańczej armaty, jak nie poprawi raz jeszcze rozdzierająco a tęsknie...

Lud zamarł na chwilę - po czym - ryknął zwycięsko zdrowym rechotem. Cała gromada obłapiała się za głowy, baby ciskały chusty w pył podwórka, chłopci zataczali się w triumfalnych podrygach, uniósł się nad strzechy pisk ludzki, swobodny, wolny - pierwszy raz od lat wspólny jakiś, niezależny od nikogo i niczego.

Adam usiłował cofnąć mikrofon, ale i tak taśma zdążyła zarejestrować jednoznaczny odgłos. Czuł się z miejska zażenowany, zgwałcony chamstwem, a jednocześnie jak gdyby tym chamstwem zapłodniony, cięższy o coś, może o ulotny łut prawdy? - Próbował jak najprędzej wziąć się w garść, bądź co bądź, był kierownikiem ekipy, trzeba coś przedsięwziąć, jakoś zareagować na policzek wymierzony ekipie transmisyjnej przez gospodarza, mało, przez kułaka! Co na to czynniki? Muka? Gdzie Muka? Rozglądał się za Muką, stojąc ze zwiędłym mikrofonem w rękę.

Był. Nieprzerwanie obserwował horyzont - konkretnie las w oddali. A więc czuwał z ręką na pulsie.

A jeżeli zagapił się i nic nie zauważył.

Lecz co to? Ludzie z gromady przycichli raptownie, pokazują sobie coś za plecami Adama i Muki, coś ponad dachem wozu transmisyjnego. Tak raptownie jak przycichli - wybuchnęli krzykiem.

- Pali się!

- Ogień!

- Gore! Gore!

- Ratunku! Ludzie! Chłopy!!

- U Grzemali! Pali się Grzemala!

- Grzemala! Grzemala!

- Wody! Wiadra! Łopaty!

- Chłopy, prędkiej!

Muka z trudem oderwał wzrok od lasu, odwrócił się powoli. Następnie przetarł dokładnie chusteczką ciemne okulary i nałożywszy je z powrotem, powoli, kulejąc ruszył za

biegnącym tłumem. Dołączył też Adam z technikami i kierowcą.

Ludzie biegli zewsząd, całą wieś postawiło na nogi. Niektórzy z żerdziami, bosakami, inni z nasiąkniętymi wodą szmatami. Od studni Grzemali do płonącego małego drewnianego budynku utworzono ruchomy łańcuch wiader. Niewiele znaczył, gdyż ogień huczał i buchał całą powierzchnią krytego papą dachu, płomienie podsycane lekkimi podmuchami wiatru owijały pełgającą spiralą wszystkie belki stropu. Z wnętrza kurnika - gdyż budynek okazał się nim być - przez oderwane ściennie deski co chwilę wzlatywała w górę nadpalona kura lub indyczka i drąc się wniebogłosy koziółkowała na obszernym podwórku. Po zdobyczu rzucały się dzieci, naśladując z rozkoszą przedśmiertne jęki ptaków.

Przybywało ich coraz więcej wokół pryskającej iskrami szopy.

- Jezu! Cały kurnik pójdzieeee! - zawodziła z zachwytem dziewczyna o wylupiastych oczach i cofniętym zgryzie. - Polewajta lepi szopec samsiada!

- Wody! Wody! Gdzie sikawka?!

- Chłopy poleciecieli, zaraz przypchają!

- Skubać kogutki na żywca. Mięso lepsze - zauważył falsetem jakiś smakosz.

- Zabijać najprzód, zabijać, łby ukreć, bo się biedne poduszają! - doradzała rozczochrana starca owinięta w brudne chusty.

- Na biednego nie trafiło! Ukreć łby! - podchwycił ten i ów z oświetlonych żarem.

- Ludzie! Brać ptaki i gotować, zanim przecuchną spalenizną!

Pożar zaczął się wszystkim trochę podobać. Łańcuch wiader też jakby tracił niektóre ogniwa, co chwilę ktoś się z niego wykruszał, by w spokoju popatrzeć z bliska na ogień.

Ktoś nagle krzyknął, w krzyku swoim sprężając takie ciśnienie grozy, iż naród wokół wielkiego ogniska zmroziło:

- Grzemalaaaaa!!!

Jakoż wszyscy dopiero teraz ujrzeni, o kogo chodzi.

- Grzemalaaa! Grzemalaaa! - rozległ się zewsząd postrzępiony chór. - Ratować! Wodą go, wodą!

Poprzez las płonących belek, desek, kurzych grzęd - zamajaczyła w ogniu ludzka sylwetka. Płonęły włosy i odzież. Do szyi był przywiązany stryczek, drugim końcem zarzucony na wyższą żerdź, jednakże wisielec dosięgał stopami klepiska i stał rozglądając się bezradnie.

- Patrzajta! - zarzęziła rozczochrana starca. - Spalić się chce... Chryste!... - Osunęła się obwisłym ciałem wprost na trawę, biła w nią pięścią: - Na zatracenie pójdzie cała gospodarka! Sodoma Gomora!

- Ratować go chłopcy! Na ochotnika! Kto idzie??! - krzyknięto.

- Wody! Szmaty! - krzyczano, biegano tam i z powrotem, ten czy ów niby wrywał się w stronę buzującego ognia, lecz oślepiiony żarem zawracał i przelekły odbiegał gdzieś w krzaki, niby chłodzić twarz, wachlować się gałęziami.

- Spali się! Wyłaż! Wyłaż! - rozwrzeszczał się tłum.

Dlaczego Adam nie zwrócił uwagi na Mukę? Czemu nikt nie zwrócił uwagi na powolnie wykonującego swoje czynności człowieka, zupełnie wyobcowanego, samotnego w rozwrzeszczanej ciżbie. Muka bowiem powoli czerpał wodę ze studni i starannie polewał odzież na sobie, polewał też jakieś szmaty rozłożone na ziemi, a gdy skończył, owinał się nimi aż po głowę. Następnie - wolno, ociężale, podpierając się na lasce - wszedł w chrzęst i blask pożaru. Dopiero teraz wszyscy go zobaczyli. Stęknęli z ulgą, że wreszcie ktoś... Adam wstrzymał oddech.

- Kto to? - wyrwało się komuś pytanie, lecz ugrzęzło w hałasie podnieconej gromady.

Muka kroczył pewnie, nieustępliwie wśród rozżarzonych desek w kierunku tamtego przywiązanego do belki. Wydawało się Adamowi, że nieprzeniknioną twarz opiekuna personalnego po raz pierwszy rozjaśniał uśmiech. Szedł w pożar, jakby wstępował w rozświetlony las swojego przeznaczenia.

Doszedł. Powoli wyjął z kieszeni nóż, chciał stryczek przeciąć, lecz wisielec odepchnął go, nie życzył sobie uwolnienia. Muka niespieszonym zamachem wymierzył kantem dłoni cios w kark. Tamten drgnął, sflaczał, Muka go podtrzymał, przeciął sznur, zarzucił sobie wisielca na plecy. Coraz wolniej wynosił go z ognia. Osunął się akurat na skraju żaru wzniecając rój iskier - ale już ludzie chlusnęli na nich wodą czerpaną ze studni tak szybko, jak tylko wstyd i hańba poprzedniej bezradności mogły przyspieszyć ruchy chłopskich i babskich rąk.

Obu położono na wznak w trawie. Muka miał popękane ciemne okulary, opalone brwi, purpurową skórę na twarzy. Skóra wisielca na szyi i głowie była zwęglona. Ale obaj oddychali, choć z trudem.

- Białkiem smarować!

- Olejem!

- Po doctora!

Później technicy z kierowcą i Adamem wnieśli Mukę do wozu transmisyjnego, ułożyli na kanapce ceratowej pod oknami. Kobiety pomagały jedna przez drugą, smarowały, poiły. W trakcie porządkowania sprzętu, kiedy już ruszyli z podwórka żegnani jak bohaterowie, okazało się, iż cały przebieg pożaru został nagrany. W podnieceniu - technicy zapomnieli

zatrzymać magnetofon.

Droga powrotna trwała długo, noga za nogą na drugim biegu, polnymi traktami. Muka drzemał, od czasu do czasu pojękiwał. Szeleściło pod nim w koszu, w sieczce, kilka mendli jaj przyniesionych w podzięcie przez gospodynie.

Adam czuwał, technicy spali na konsoletach magnetofonów. Ściemniło się, jechali wprost w wieczorną burzę, błyskało. Jedna z błyskawic oświetliła oczy Muki wpatrzone badawczo w Adama. Nachylił się, delikatnie dotknął dłoni rannego leżącej na jego piersi - uścisnął tę dłoń lekko, z szacunkiem, niespodziewanie wzruszony szepnął: - Moje uznanie, panie Muka...

Muka podziękował skinieniem powiek. Po chwili niewyraźnie zabelkotał, z trudem rozchylając nadpalone wargi:

- ...yne?

Adam przybliżył swoją twarz do jego twarzy.

- Nie rozumiem, niech pan powtórzy...

Muka zamknął oczy. Twarz wykrzywił mu grymas złości, że nie może wykrztusić słowa.

- Spokojnie, niech pan się lepiej nie męczy. Proszę o niczym nie myśleć i zasnąć, ja czuwam. Role się zmieniły, prawda? - próbował uśmiechem złagodzić narastające napięcie rysów Muki, który wyraźnie mobilizował siły, by wypowiedzieć dłuższe zdanie. Wreszcie przemógł słabość, z wielkim wysiłkiem wymamrotał:

- Żyje... ten?...

- Żyje, żyje, a jakże! Pan go wyratował! Jest pan wspaniały. Przepraszam pana za wszystko - szeptał mu Adam do ucha. - Ja też kiedyś... wie pan?... Był pożar kurnika, ale wyratowałem kure, a pan człowieka... najlepszego gospodarza we wsi, wie pan? Słyszysz pan?

Muka nagle rozwarł oczy jakby ujrzał diabła, po czym stęknął i oczy zamknął.

- Panie Muka?! Panie Muka!!! Czego pan się przestraszył?! On pewno jest kułakiem, ale samokrytycznym. Przecież sam chciał się powiesić!

Muka mimo to zagryzł wargi i wolno zaczął sztywnieć.

- Gazu! - krzyknął Adam przez wewnętrzne okienko do kierowcy. - Gazu! Gazu!

Odjazd

W pewnym momencie - gapiąc się odruchowo na wiszące nad biurkiem policzki naczelnego - doszedł do wniosku, że nie jest źle.

Ale i nie jest dobrze.

Próbował ucześcić się raczej tego, że nie jest źle.

Metoda postępowania z ludźmi, którą podyktował mu lęk przed utratą pracy - dawała niezłe rezultaty. Powiedzmy - takie akademie ku uczczeniu rocznic i świąt. Nie chodził na nie, mimo iż obecność była obowiązkowa. Pozwalał sobie na to, ponieważ nie mógł już patrzeć na uradowane twarze kolegów, gdy dawano mu nagrodę po nagrodzie. Zbrzydł mu już widok kopert z pieniędzmi, zbrzydł mu również widok uradowanych twarzy kolegów na jego widok. Wiedział; iż brał ich do niego taki wstręt, że nie mogąc zakryć go niczym innym, uśmiechali się słodko. Nie dziwił im się. Też by mógł zarżnąć z zimną krwią typa, który w przeciągu kilku miesięcy wytworzył wokół siebie taką aurę, że kierownictwo nie mając innego wyjścia, faworyzowało go w sposób budzący grozę. Ale czemu tak go faworyzowało? Czy wyłącznie dlatego, że stworzył pozory jakoby miał niewyjaśnione powiązania z kimś wpływowym, na przykład z Puklakiem? Więc dlaczego nikt z doświadczonych kolegów nie wpadł na to, by wyjaśnić, czy on tylko stworzył takie pozory, czy też rzeczywiście Puklak za nim stoi. Wystarczyło przecież zapytać samego Puklaka. Ba, na tym właśnie polegało ukoronowanie metody Adama, że nikt na taki prosty sposób nie wpadł - bowiem wpaść nie chciał za żadne skarby. Zadanie takiego pytania samemu Puklakowi świadczyłoby, że pytający zupełnie nie orientuje się w układach. A nieorientowanie się w układach znaczyło - obcość. W najlepszym wypadku - klasową. Zgroza.

Dzięki więc swojej metodzie przestał oblewać się kroplistym potem strachu, a nawet sam wzbudzał panikę. Na przykład w naczelnym, Dragu i innych.

I tu już kończyło się przeświadczenie Adama, że nie jest źle, a zaczynało - że nie jest dobrze. Sam bowiem wpadał w panikę na myśl, iż naczelnny wpada w panikę na jego widok, jednocześnie chwalać go pod niebiosa. Często przypominał sobie słowa technika Makarego: im Muka wyraża się o kimś lepiej - tym dla tego kogoś gorzej. A nuż jest to taktyka ogólnie

przyjęta w praktyce służbowej? Więc ogarniał go strach - ale nie mokry, potliwy, kroplisty - niejako debiutancki, lecz strach suchy aż trzeszczało w głowie, strach dojrzałego redaktora na stołku. O ten stołek przecież właśnie szło...

Wzdrygnął się.

W tym miejscu zaczynała się bowiem dorosłość, od której umierała w człowieku róża.

- Proszę, powiedzcie, kolego Adamie, co w tej sprawie uważacie? - zapytał go naczelny, strojąc miny zafrasowanego filozofa.

- W jakiej?

- Znów żartujecie sobie ze mnie?

- Co ja uważam, co ja uważam?... - nie mógł zaskoczyć Adam.

- Kolego kochany, przecież uzgodniliśmy, co powinniście uważać, tak?

- No tak, tak, ale wyleciało mi z głowy.

- Proszę, przypomnijcie sobie od słów: Muka skoczył w ogień samorzutnie z własnej wo... no, no!...

- ...z własnej woli, tak samorzutnie niejako... - powtarzał niechętnie Adam. I dodał już jaśniej: Wszedł w ogień jakby wstępował w słoneczny las swojego przeznaczenia...

- Co takiego?

- Z czym?

- Z tym słonecznym lasem! Co się wam stało?

- Taka przenośnia. Myślałem, że tak będzie pięknie - Adam próbował jeszcze coś niecoś ocalić.

- Nie ma być pięknie, mój drogi kolego, tylko szczerą prawdą ma być! - naczelny stukał palcem w blat biurka.

- I jest. Dokładnie tak myślałem obserwując pożar... - przyznał ze smutkiem, mięknąc pod twardym wzrokiem zwierzchnika.

- No tak, to właśnie cały wy, cały wy. Potrafię zrozumieć duszę poety, drogi przyjacielu, lecz tu chodzi o dobre imię instytucji, której przewodzę. Proszę was bardzo, przepowiedzmy sobie dalej, co macie odpowiadać na zebraniu, kiedy was zapytam „co uważacie w tej sprawie”?

- Czy nie mógłbym zachorować i nie przyjść na zebranie?

- Macie wrzód?

- Nie, ale może mi pęknąć na papierze, to znaczy w zaświadczeniu lekarskim...

Naczelny schował twarz w obu dłoniach gestem męczennika. - Przestańcie stosować numery, kolego Adamie - mówił poprzez rozstawione palce. - To jest poważna sprawa,

kompromitacja instytucji. Czy ten Muka zwariował, żeby ratować z ognia kułaka? Już podobno była w radzie wojewódzkiej delegacja z tej wsi, żeby Muce przyznać medal za bohaterstwo! Wy rozumiecie, kolego!

- I załatwili?

- Czyście zwario... przepraszam, wybaczcie. Na szczęście ktoś telefonicznie w porę ostrzegł tych durniów od medali, żeby się nie ważyli.

- Czemu? Zasłużył na to.

- Człowieku! - zachłysnął się naczelny. - Przecież nie wypada, żeby nasz pracownik przywracał do życia zboczeńca-samobójcę. Fakt, iż poza wszystkim był on także kułakiem, nie ma już nic do rzeczy.

- Więc jednak ten kułak był zboczeńcem?

- Oczywiście. Zostało sprawdzone. I podobno szczególnie niebezpiecznym: udawał z powodzeniem najlepszego gospodarza we wsi, choć skazano go na płacenie największych podatków.

- Coś podobnego - uniósł brwi Adam. - Całą gębą zboczeniec i malwersant.

- To nie ma już żadnego znaczenia - potarł nos kierownik instytucji - ważne komu on zawdzięcza swoje parszywe życie! Opiekunowi personalnemu Muce! Najczystszemu w naszej rozgłośni! Wszyscy Mukę znają, boją się go jak trzeba, szanują. Nie pije, nie pali, wzorowy mąż, ani złodziej, ani łapówkarz. Jak ja mu teraz zdołam zaszargać opinię? No jak? - wyciągnął obie ręce do Adama, szukając u niego ratunku. - A zaszargać już teraz muszę. Za daleko sprawy zaszły. Ale!... - palnął się nagle dłonią w czoło. - Komu ja to wszystko tłumaczę?! To wy, kolego Adamie, możecie być moim wybawieniem. Jeżeli zechcecie, oczywiście... - dodał z zalotnym błyskiem w oku. - Przepowiedzmy sobie jeszcze raz, dobrze? Chodzi przecież o czystą prawdę. - Prawa strona górnej wargi drżała mu z lekka. Robiło to wrażenie, jakby zaraz miał warknąć i skoczyć do gardła albo też polizać - według potrzeby.

- Proponuję, żeby teraz pan mówił wolno i wyraźnie, a ja będę powtarzał - rzekł Adam. - W ten sposób sobie utrwale, co uważam.

- Oczywiście, proszę. Na czym to skończyliśmy?

- Na „samorzutnie”.

- Tak, a więc, proszę: Wszedł w ogień samorzutnie, nie przynaglany ani przez żonę desperata, ani sąsiada, ani też przez żaden czynnik społeczny.

Adam powtarzał po nim półgłosem. Ten dwugłos brzmiał jak modlitwa. Naczelny chodził po gabinecie z rękami założonymi na plecach.

- Więc dalej, proszę, powtarzamy: Nie będąc ubezpieczony przeciwko nieszczęśliwym

wypadkom przy pracy ani też nie mając uprawnień strażaka, w nieodpowiedzialny sposób narażał swoje cenne życie opiekuna personalnego, zdając sobie w pełni sprawę, iż w ten sposób może nadszarpnąć szeregi specjalistów w instytucji i utrudnić przez to jej prawidłowe funkcjonowanie, co w obliczu wrogich zakusów z zewnątrz jest karygodne...

Adam powtarzał za naczelnym słowo w słowo. Wreszcie obaj zamilkli. Po chwili Adam odchrząknął nieśmiało. - Przepraszam - powiedział - jak pan uważa... który z nas jest idiotą?

Naczelny przełknął ślinę tak głośno, jakby łykał samego siebie.

- Słucham?... Jak?

- Ponawiam pytanie - ciągnął spokojnie Adam - i dodaję drugie, proszę to protokółować! - rozejrzał się z roztargnieniem za protokółantką, której nie znalazł, bo znaleźć się nie spodziewał. - Więc moje drugie pytanie brzmi: czy pan uważa się za budowniczego lepszego jutra i powinienem uścisnąć panu rękę, czy też za ostatnią świnię i wroga ludu i mogę śmiało napluć panu w gębę?

Naczelny kaszlnął cicho trafiony ładunkiem stężonej oczywistości, jego przeżarty rutyną rozum wywinął kozła i wylądował na terenie obcej mu logiki, całkiem odmiennej od tej, przy pomocy której sam dotąd ogłupiał innych. Szczeka mu nieco opadła, język szukał oparcia o krnąbrne dziąsła, a nie znalazłszy, wymknął się ukradkiem na zewnątrz, z głębi dziur nosowych dochodziło ciche mruczenie. Trwało to czas jakiś. Nagle zdał się przesyty iskrą, palnął się otwartą dłonią w czoło, aż przestraszył Adama - i tak już przestraszonego własną odwagą.

- A to ci dopiero! A to ci dopiero! Dopierooo! - zachłystywał się przeciągle. - No, nie mogę! No, coś takiego! - nie przestawał tłuc się plaskato dłonią po gołej czaszce. - Trzeba być genialnym, żeby tak mnie podejść! Jestem zachwycony, kochany kolego! Nikomu by się to nie udało! Ubóstwiam was! - przyskoczył do Adama, chwycił go oburącz, utulił i odskoczył, pozostawiając za sobą smugę zapachu nieświeżych konwalii. - Oczywiście! Teraz zrozumiałem już wszystko! Jakże finazyjnie staraliście się mnie wypróbować. I patrzcie! Nie zawiedliście się na mnie, co?! Obydwaj z waszym wielkim szefem możecie na mnie liczyć. Zawsze i wszędzie! No! - obciągnął na sobie marynarkę, zacisnął krawat. - Do dzieła!

- To ja już może...

- Ale! Właśnie teraz będziecie mi potrzebni, fenomenalny mój kolego! Momencik...

Nacisnął guzik dzwonka pod biurkiem. W drzwiach zamajaczyła sekretarka.

- Niech wejdzie - zawołał.

- Tak jest! - cofnęła się za próg.

Wszedł Muka. Był jeszcze bardziej szary niż kiedykolwiek. Szarzyzna przebijała nawet z jego zachowania. Stał nieruchomo. Twarz zamaskowana ciemnymi okularami, czoło i policzki w bliznach szaroczarnych.

- Witam, witam - dostrzegł go wreszcie szef - rozgośćcie się - wskazał fotel.

Muka ani drgnął. Stał obok drzwi i patrzył w okno, przypuszczalnie na dachy dalekich domów i park w dole. Adam stał pod przeciwległą ścianą, naczelny trzymał się blisko biurka. Tworzyli osobliwy trójkąt.

- Zmarnieśliście coś ostatnio - zagadał przyjaźnie zwierzchnik. - Macie powody do dumy, a marniejecie, zgadza się?

Muka nieznacznie, niejako z uprzejmości, skinął głową, lecz nadal dyskretnie nie spuszczał oka z dali za oknem.

- Powiedzcie mi tak szczerze, jak waszemu długoletniemu zwierzchnikowi, przeciwko czemu wy właściwie marniejecie, co? Tu nowe idzie, jaśniej się robi na horyzoncie, a wy co?

- Ja nigdy nie był przeciwko... są na to dowody - zadudnił głucho Muka, nie poruszając wargami. Czuło się na odległość, że jego ciało jest naładowanym po brzegi akumulatorem bioprądów.

- No, no, powiedzmy - przeciągnął się naczelny z chrzęstem szwów marynarki. - Ale co tam. Co było to było, teraz chciałbym wasz bohaterski czyn uczcić. Żeby ludzie poznali was lepiej, że z was nie tylko „śledź” od śledzenia kolegów...

Muka drgnął. - Robiłem... żeby porządek był... wróg nie śpi - szepnął ochryple.

- Chwali się, chwali - ciągnął naczelny ciepło. - Toteż dlatego dobrze będzie, jak ludzie poznają całą waszą osobowość, że wy nie tylko „śledź”, ale także i humanista. Sztukę ludową kultywujecie razem z żoną koronczarką, prawda? Tradycje ojców waszych i matek, co? Podobno sam nawet bieliznę utkaną przez waszą żonę osobiście nosicie jako nosiciel tradycji koronczarskich, co?

- Nieprawda! - warknął cicho Muka, nie odwracając głowy od panoramy miasta za oknem.

- Co wy? Człowieku! Nie ma się czego wstydzić. To piękne tradycje! Słyszałem, że wtedy w porcie z ochotą ukazaliście piękno ludowego haftu waszych majtek, pamiętacie? O, kolega redaktor może poświadczyć, podziwiał wtedy waszą ekspozycję...

- Nie - powiedział twardo Adam.

- Jak to nie? - naczelny przyjrzał mu się z uwagą. - Nie dosłyszałem, kolego Adamie?

- No... w pewnym sensie... - rzekł nagle zmienionym głosem Adam. - W pewnym sensie...

I w tej chwili - zupełnie bezboleśnie jak gdyby nigdy nic - wyrósł mu w środku - trudno byłoby określić dokładnie gdzie, ale wyraźnie poczuł, że wyklął się w nim - maleńki, parchaty Adam Drugi. Towarzyszyła temu zjawisku gorąca fala zażenowania i chłód w krzyżu, że jednak, że i on też...

A więc to tak przebiega ten proces...

Z determinacją próbował jeszcze rozgnieść Adama Drugiego.

- Oczywiście! Pan Muka wszedł w ogień samorzutnie, ale przecież wyratował człowieka a człowiek to jednak... - urwał bo resztki tej fali gorąca zalały mu powtórnie twarz, tym razem ze wstydu, że bredzi.

Naczelny klasnął w dłonie.

- No i o to chodziło nam tylko! Dlatego chciałem zaproponować koledze Muce, że w uznaniu jego zasług urządzimy mu w świetlicy wystawę zabytkowej bielizny noszonej przez niego i jego żonę koronczarkę, prawda? No już, załatwione! Przetnę wstęgę, strzelę mowę, pac, pac i nagramy to! Tak, właśnie nagramy i zrobimy z tego audycję. A jeżeli kolega Muka będzie się bardzo upierał, to możemy mu w ostateczności pozwolić na to, żeby osobiście, w czasie wystawy, demonstrował eksponaty. Co? Prawda? Papieroska? - potrząsał w stronę swoich gości pogniecioną paczką.

Zaległo milczenie. Naczelny odwrócił się do nich obszernym zadem i z zainteresowaniem jął przeglądać papiery na półkach oszklonej szafy.

Muka niespiesznie zdjął ciemne okulary, przetarł palcem oczy. Przez otwarte okno, od morza, dobiegło echo leniwej detonacji. Na redzie wysadzali wraki. Naczelny chrząknął znad papierów. Kilka domów dalej wwiercał się w beton pneumatyczny świder. Adam odczuł wzmaganie się napięcia a również wzrok Muki na sobie. Wielkie, szarofiołkowe, marzące oczy wywiadowcy wyrażały tyle bolesnego zdziwienia, że Adama przeszył dreszcz. W kropli upływającego czasu zastygły mu te szarofiołkowe oczy wyluskane z wąskiej twarzy o kształcie siekiery.

Muka szybko nałożył okulary i znikł, rozplynął się w drzwiach bez słowa, bez gestu.

Brzęk zatrzaśniętej - ręką naczelnego - szafy urealnił sytuację.

- No, myślę że naszego bohatera mamy z głowy.

- Nie będę już potrzebny? - naciskając klamkę, rzekł Adam.

Naczelny rozwarł ramiona gestem pontyfikalnym.

- Nie wiem jak mam dziękować, drogi kolego Adamie! Aha, jeszcze coś... Otóż przesłuchałem taśmę, którą przywieźliście wtedy ze wsi, po tym pożarze...

Puls Adama przyspieszył gwałtownie.

- Podobno poleciliście pilnie ją skasować. Ale jeden z techników, na wszelki wypadek, dał mi ją przedtem do przesłuchania... Moja szkoła, moi ludzie - uśmiechnął się z dumą.

- Taśmę z pożaru? Bez mojej wiedzy?...

- Skąd wytrzasnęliście ten sygnał? - ciągnął niezrażony naczelny. - Kazałem dać go do archiwum.

- Sygnał...? Jaki sygnał?

- Ścisłej, efekt akustyczny. Podobno, jak mi mówiono, jakiś chłop zagrał go na jakimś prostym instrumencie. Takich rzeczy się nie kasuje, kolego! To świetny dźwięk, cała gama dźwięków. Prężny, postępowy a w samej końcówce jak gdyby tęskny, słowem - świetny. Można go będzie dać jako stały sygnał do audycji wiejskich. Co wam? Macie bóle?

- Nie, nic. Czas na mnie...

- Chwileczkę... dotknąłem was czymś?

- Nie, skąd.

- Wszystko w porządku?

- Mniej więcej.

- No to głowa do góry i razem, naprzód, zawsze razem, drogi przyjacielu! Ufajcie mi, a daleko zajdziecie.

- Skąd się to wzięło? - wycedził Adam spłaszczonym głosem, stając w progu jak wryty.

- Zapomniałeś? Przecież to twoja córka Mercedes! - odpowiedziała roztrzęsiona Z. Nie spiesząc się formowała usta do spazmów.

- Skąd się wziął ten kot?? - pytał dalej Adam, blednąc i zaciskając zęby, żeby nie stracić równowagi.

- Gdzie?

- Ten tutaj, z czerwoną kokardą na szyi, który siedzi na tapczanie za moją córką Mercedes ubraną w koszmarną, długą, białą suknię?!...

Zanim Z. zaniósł się płaczem, zdążyła jeszcze powiedzieć: - Ta piękna biała długa sukienka jest po mojej prababce, gdy była malutka.

- Nie interesuje mnie malutka prababka, ale powtarzam, kto dostarczył do naszego domu tego kota?

- Nie wiem... Ktoś w prezencie... Nie dręcz mnie!... - Z. wybuchnęła z rozkoszą bolesnym szlochom. Padła na przeciwległą otomanę.

Napięty niemożliwie - spod oka przyglądał się córce, która umiała już porządnie

siedzieć o własnych siłach. Kiedy się tego nauczyła? Serce ścisnęła mu zazdrość, że nie był świadkiem każdej minuty tego procesu. Uświadomił sobie ze zdziwieniem, że o tej małej istocie, do której żywił zwierzęce uczucie bliskości - wie bardzo mało, że zupełnie nie ma wpływu na jej rozwój, że Z. może nią swobodnie manipulować - stroić, przebierać za postacie z bajek. Co jednak miało oznaczać ubranie dziecka w biel i posadzenie obok kotka? Jakim sposobem Z. wpadła na to, żeby zainscenizować akurat ten najskrytszy jego obraz przechowywany głęboko w podświadomości. Tym głębiej, iż był wstydliwie tandetny.

Przysiadł na kanapie, machinalnie gładził główkę córki. Nieprawdopodobne! Przecież nigdy nie zwierzał się żonie, iż miewa halucynacje w postaci dziewczynki z kotem!

I skąd wziął się tutaj ten kot?

Kot - zwiastun niepokoju od czasu incydentu z sąsiadem. Czemu wszakże kot jawił mu się obok dziewczynki w bieli - nie miał pojęcia. Jakieś chłopięce wyobrażenie jedności przeciwieństw: strachu i ufności?

Ale kto przyniósł tu kota? I dlaczego właśnie kota?

Odświętna Mercedes przypatrywała się ojcu wielkimi, hiszpańskimi oczami - on jednakże tym razem zdawał się jej nie zauważać. Zaciskał zęby w bezsilnej wściekłości podszytej zwierzęcym wprost lękiem. Nie namyślając się wiele, chwycił ozdobionego czerwoną kokardą kota za ogon, szarpnął i wywinąwszy zwierzęciem młynka wokół swej głowy - cisnął nim w okno z zamiarem wyrzucenia na podwórze. Niewątpliwie urzeczywistniłby ten zamiar, gdyby okno nie było zamknięte.

Brzęk tłuczonych szyb, przeciągły dziecięcy płacz kota - spotęgowany krzykiem Mercedes. Nad to wszystko wzniósł się krzyk Z. oraz - co było dla Adama niemiłym zaskoczeniem - jego własny krzyk, najwścieklejszy, ponieważ był krzykiem sprawcy.

Las, szum, ptaki, mrówki.

Włókł się noga za nogą pełen najczarniejszych domysłów. Myśl o kocie wracała niczym bumerang, jak zresztą i wspomnienia pozostałych prezentów. Lecz sam kot był już nie tyle prezentem, co znakiem!

Ten ktoś, czyli ofiarodawca zaczął od przysyłania róż. Adam nie domyślił się, czym za te róże zapłacić, nie zapłacił, nie odplacił się temu komuś i teraz ten ktoś ostrzega przy pomocy kota: uwaga! oczekuj najgorszego!

Ale skąd ten ktoś wie, że kot oznacza dla Adama - strach?

Rozejrzał się uważnie, zboczył ze ścieżki, usiadł na mchu za gęstym poszyciem, skąd nie mógł być przez nikogo zauważony.

Więc jeszcze raz spokojnie, od początku: nikt nie wie, że on miewa halucynacje, zwidy w postaci dziewczynki z kotkiem. Dziewczynka z kotkiem ukazuje się tylko jemu.

Na pewno tylko jemu?...

A jeżeli to jest... podstawiona dziewczynka?

Włosy zjeżyły mu się na głowie.

- Jeżeli tak, to... ona ma wgląd w jego podświadomość... i również niejako w... jego myśli...

Otrząsnął się. Bzdura, nonsens.

Nonsens?

Powoli, tylko nie zagalopować się - powtarzał sobie, blednąc z przejęcia. Zdołał wyszarpnąć z kieszeni paczkę papierosów, wybrał najmniejszego, zapalił, zaciągnął się głęboko, raz, drugi, za głęboko, rozkaszał się, pluł ze złością, pluł żółtą śliną w mech, krztusił się. Kiedy wreszcie przestał - otarł twarz rękawem, odetchnął szeroko powietrzem o zapachu leśnej wilgoci i nagle zaśmiał się z głębi płuc. Śmiał się długo, raz wpadając w rozpacz, raz znów patrząc na siebie z boku. Brała go żalność na swój widok, na swój własny widok jako dorosłego, który na serio potraktował tak śmieszny górę bzdury...

Trochę mu to ulżyło.

Ruszył przed siebie w nieco lepszym nastroju, choć wokół nic się nie zmieniło. Dno pobliskiego strumienia nadal brzydko czerniało, w krzyku krążącej wysoko kani - coś jak gdyby zgrzytało fałszem, drzewa szumiąc na wietrze chwilami jakby zamierały w połowie szumienia, wstrzymując je z niewiadomych powodów, jakby coś wiedziały, a lękały się - doszumieć reszty...

Zreflektował się raptem i aż wstrzymał oddech. Idzie przecież w kierunku domu ciotki Agaty! Zupełnie machinalnie skierował kroki w tym kierunku. Absolutnie nie miał takiego zamiaru. Czy to nie dziwne? Czy przypadkiem znów ktoś nie gmera mu w podświadomości? I nie steruje nią?...

Bzdura, bzdura. Nie wolno spiętrzać nonsensów.

A jeżeli w tym coś jest?

Choćby cień ewentualności...

Cień - to pamięć światła.

A więc już coś...

Wbrew sobie przyspieszył kroku. Odczuł dziwną obcość własnych nóg. Nogi. Jeszcze niedawno miał nad nimi absolutną władzę. Teraz jakby wymykały się spod niej. Niby nie - a jednak. Spróbował biec. Biegł. Spróbował wyhamować. Staął. Spróbował cofnąć się. Cofnął

się. Wszelkie uskoki, przysiady, kluczenia też wykonywały zgodnie z jego wolą. A jednak... jednak trudno mu było opanować podejrzenie, że nogi słuchają go tylko pozornie, dla niepoznaki, pozostając w dalszym ciągu pod czyimś wpływem z zewnątrz... Nad rękami wolał się na razie nie zastanawiać. I tak gęsia skóra pokrywała mu całe ciało.

Migdałowe uczucie lęku, gardło i usta pełne tego smaku intensywnego. I oto nagle - błyskiem spadającej gwiazdy olśniła go myśl, że nie potrafi już wyobrazić sobie życia bez tego smaku oraz - że gdyby raptem zniknęło zagrożenie, sam gotów być sobie upiorem byleby tylko trwać w znanym od wojennego dzieciństwa - ledwo wyczuwalnym, ale ciągłym dygocie, byleby nie wyjść z magnetycznego kręgu jak zając ze świateł na szosie. Bywało, iż strach miewał smak wyuzdanej rozkoszy, tym bardziej zboczonej, że nie zakazanej żadnym dekretem.

Czego się bał? Trudno wyliczyć. Znacznie łatwiej - przed czym, przed kim nie odczuwał strachu. A więc przed Martą. I przed Romanem. Mercedes - to jasne. Ta trójka miała więcej z roślin niż z ludzi.

Poza nimi... wszystko trzeszczało niebezpiecznie. Chociażby fakt, że bezwiednie skierował się w stronę domu na przedmieściu. Niby naturalne, że tam go gna - Agata, pokoik - ale czy to tylko zew serca? Czy teraz, świeżo po dziwnym zdemaskowaniu jego prywatnych halucynacji, można być czegoś pewnym? Czy jego psychiką nie sterują przypadkiem jakieś impulsy z zewnątrz?

Podświadomie czuł, że celem nieuchwytnych manipulacji jego osobą jest generalne udowodnienie mu win. Ale jakich? Och, śmieszne pytanie...

Oczywiście - mógłby tam nie iść. Po prostu wystarczy zawrócić. Czyli stchórzyć. Jeszcze jedno tchórzostwo? Poza tym - widząc z daleka czerwony dach w zieleni olch - dał się ponieść złudnej wizji, że Agata piele tam grządki, sadi warzywa... a on... tuż obok niej, z wiadrem gnojówki...

Nie, nie, żadnych planów co do idylli w zieleni. Nie drażnić tęsknot, a po wtóre... Agata, jako żona kogoś, kto, a nuż, trzyma rękę na pulsie Adama i psychotronicznie kieruje jego wolą... Boże!

Jakie szczęście, że to wierutna bzdura!

Chociaż...

Uszedł jeszcze kawałek.

Żywopłot tu, tuż, a za żywopłotem... za żywopłotem...

Przed gankiem małego domu z czerwonym dachem żółty, niski, sportowy kabriolet dekawka z odchylonym, brezentowym dachem. Kobieta w sportowym kostiumie pakująca

paczki do bagażnika - uniosła głowę. To była Agata.

Stał oddzielony od niej gęstymi krzewami, nie więcej niż dwadzieścia metrów, sparaliżowany jej bliskością. Widział śniady opalony policzek, zakrywany co chwilę przez opadające włosy. Nerwowo podrzucała głowę - policzek, nos, oko, zarys żuchwy - znów się pojawiały. Patrzył na jej profil, jakby to był jego własny, odbity w nieopodal ustawionym lustrze. Pomyślał: ratunku, zaraz pęknie mi serce. Słyszał łomot pod żebrami. Ścieżką może ktoś nadejść, zobaczy, że on czai się za żywopłotem. Albo ktoś z ukrycia ciągle ubezpiecza Agatę jako żonę dostojnika. Zaraz poczuje na ramieniu ciężar ręki. To będzie koniec. Uczepił się wzrokiem jej sylwetki, żeby nie zniknęła. Jeżeli ktoś go tutaj w to miejsce telepatycznie sprowadził - katastrofa nastąpi i tak, bez względu na jego zachowanie.

Rozejrzał się wreszcie - nikt nie nadchodził. Czy najpierw zawołać stłumionym głosem, czy podejść Agatę zniemacka? A jeżeli w drzwiach domu ukaże się nagle jej mąż? Jej mąż - zgniół w myśli słowa, które powinny były spłonąć owej pamiętnej nocy. Stał jak słup, pełen stężonego strachu i idealnie czystej miłości. Oba składniki dawały tak cudownie odurzającą mieszankę, że nie był zdolny poruszyć ręką ani nogą. Wolał - stojąc tak - bać się straszliwie o to jeszcze, czy zdoła wytrzymać bez Agaty przez resztę życia. Strach ten zaczął go z wolna wypełniać, nadymać, ciśnienie tęsknoty wplatało go w żywopłot, czyniło go podobnym do kolczastego badyla.

A ona tymczasem uwijała się coraz szybciej. Wrzuciła ostatni pakunek, zatrzasnęła bagażnik, wsunęła się obłym ruchem na siedzenie, zastartowała i - żegnana przez ciotkę wystającą z okna na parterze - pomknęła od razu z drugiego biegu, wzniecając tuman kurzu, drogą w dół ku śródmieściu. Wszystko odbyło się rozpaczliwie szybko - aż trudno uwierzyć. Desperackim rzutem ciała Adam przedarł się przez ścianę gałęzi i wbiegł bez pukania - niepomyślnych przeczuć - do domu. Nie spojrzał nawet za siebie, by upewnić się, czy był rzeczywiście śledzony, czy też - jak zwykle - uległ rojeniom.

Ciotka Agaty przywitała go wylewnie.

- Co za niespodzianka, kochany chłopcze, gdybyś o moment wcześniej, niech cię uścisnę!

- Widziałem ją z daleka, nie zdażyłem? - kłamał autentycznie rozzalony, dysząc z nagłego zmęczenia w ponury, ciężki biust pogodnej staruszki. Przez ostatnie miesiące odwiedzał ją kilkakrotnie, mając nadzieję spotkania tam Agaty. Niestety. Za to z jej ciotką zaprzyjaźnił się od pierwszego sutego podwieczorku, przepadał za jabłecznikowo-naftalinowym zapachem tego domu i kojącym gadulstwem właścicielki.

- ...ile razy ona ciebie dziś wspominała, a jak przeklinała swój los paskudnie, zaraz

zrobię ci kakao, Agata przywiozła, siadaj tu na kanapie, ona zawsze same frykasy przywozi, teraz pojechała w góry, no czy mu rozum odjęło, kochany chłopcze, nikt się nie spodziewał, że on to zrobi...

- Co się stało? Komu?

- ...własnej córki się wyrzekł, no popatrz to ci dopiero, wypływa sam jak palec na żaglówce dookoła kuli ziemskiej, mówi, że na ładzie zawsze szedł na dno, to chyba go morze oszczędzi, mojej roboty powidła, spróbuj, syneczku, tyś taki mizerny, sam on wszystko zdobył, załatwił żaglówkę, odmalował, weź soku do herbaty, weź, i płynie teraz sam jak niedźwiedź na żerdzi, ja nie wiem kto mu pozwolił, ale pozwolili mu na szerokie wody, teraz podobno pozwalają więcej, chwała Bogu, wczoraj nawet dostałam parówek bez kolejki, ona przeklina, ale by się już nie wyrzekła tego swojego luksusu, dlatego on się jej wyrzekł, wypłynął dwa dni temu, szkoda żeś nie poszedł do portu, on ciebie lubi, mówił mi, że dobrze żeś się z nią nie związał powiedz, powiedz czemu ona się taka dziwna zrobiła, nie ta sama, dla mnie ona jak córka rodzona, o Jezu, Jezu kochany... no jedz, nie patrz tak na mnie, doleję ci śmietanki, jedz, czy ja go jeszcze zobaczę, zawsze był uparty, inni żyli jak ludzie a on jedną koszulę co miał oddałby i za to po więzieniach, jakbyś chciał mi jabłek nazrywać, pomóc, nawet gwoźdźnia nie ma mi kto... żeby mój pod Kutnem nie ten... to ja by... bo to... o... uomaa...

Monotonna melodia jej słów tonęła w strumieniu żalu Adama, czuł się znów okaleczony, bezbronny, zawiedziony - który to już raz w tym dorosłym życiu? Wuj, najprawdziwszy i niedoszły odpływał ze szmaragdowo-zagadkowym uśmiechem na ustach, płynął w dal ponad lasem, ponad dachami tego miasta, wtapiał się jego żagiel w dalekie chmury nadciągające od morza. Zabierał wuj z sobą prawdę, mądrość i upór - to czego zabrakło jego córce ukochanej, której wcale się nie wyrzekł, lecz tylko z bólem wielkim zamienił ją znów na sprawę - tym razem równie trudną i bolesną jak wszystkie sprawy w jego życiu, lecz ta najczystsza być się wydawała, najszlachetniejszą, jaką tylko może być walka samotnego człowieka z morzem - myślał Adam przeżuając szarlotkę z bitą śmietaną i gapiąc się na las za oknem. Oplątany cierpliwą nicią ciotczynych przypowieści poczuł się nagle tu, w tym domu mądrzejszy niż zwykle, a już na pewno bezpieczny jak larwa w kokonie, mógł po cichu zwinąć się w kłębek na kanapie i popuścić wodze żalowi do Agaty za to, iż darowując mu najpierw poczucie gołej prawdy, w której z rozkoszą odnalazł swoją męską wartość - później ten kruchy skarb roztrzaskała mu o piramidę łgarstw, mającą uchronić jej ojca przed gorzką prawdą. O paradoksie samiczej logiki! Agato, Agato, czemu nie jesteś Martą, ona by nie łągała.

Po siódmym kęsie wybornego ciasta przebaczył Agacie, że nie była Martą. Także i krzywdę, jaką mu wyrządziła. Kochał ją nawet bardziej, tak, że aż mdliło go w trzewiach. W tej chwili gotów był przebaczać więcej niż pół godziny temu.

Jadł z rozkoszą, słuchał melodyjnego szmeru ciotki, wciągał w płuca zapach suszonego kopru i pasty do podłogi - i rozmyślał sobie bez wysiłku i pośpiechu, wałęsał się z dziecinną beztroską po dżungli pojęć, faktów i racji, które jeszcze przed przyjściem do tego domu przerażały go, przygniatały, absolutnie nie pozwalały uświadomić sobie tego, że samo istnienie na ziemi może być źródłem przyjemności. Więc z ostrożną, nieśmiało, pozwolił sobie na doznanie szczęścia. - To szarlotka ze śmietaną i pasta do podłóg... - starał się przechytryć wzruszenie, ale już sennie, coraz mniej precyzyjnie to robił, ostatekiem sił sięgnął po rękę ciotki, ucałował i odłożył z powrotem na stół jak widelec, po czym - nadal zwinięty w kłębek na wyleniałej kanapie zasnął tak twardo, jak tylko może zasnąć człowiek, któremu nagle minął ból.

Zasnął w samą porę, gdyż za oknem rozległ się warkot. Ciotka czujnie spenetrowała wzrokiem cały pokój stołowy - chwila zastanowienia - kilkoma zręcznymi ruchami sprzątnęła ze stołu nakrycia, buty Adama kopnęła pod kanapę, a na śpiącego narzuciła bieliznę pościelową z szafy. Kiedy rozległ się dzwonek, poczłapała schodami na parter - otworzyć.

Wpadła Agata i zaczęła od progu: - Coś mi kazało zawrócić dziwna sprawa ciociu jakby mnie ktoś ręką zatrzymywał... byłam już za mostem, pomyślałam, że to idiotyczne, że wyjeżdżam w góry sama, bez niego, że on musi ze mną jechać, nikt się nie dowie, to bez sensu klócić się nie wiadomo o co, ten brak kontaktu z nim jest potworny, już mi wszystko jedno, teraz kiedy ojciec wypływa, Adam jest mi potrzebny, nie umiem bez niego, ciociu kochana, zostanę u ciebie do jutra, zadzwonię do niego, może mu się uda wyrwać, co tak na mnie patrzysz?... Czemu tak na mnie patrzysz?! No o co chodzi?...

Padła z furią na wiklinowy fotel, zaskrzypiał złowieszczo, zapaliła papierosa, łąpczywie zaciągnęła się, a ciotka rzeczywiście patrzyła na nią wylupiastymi oczami nic nie widząc, ale też i ważąc coś w sobie z mozołem, bo żyły na jej szyi artretycznie zgrubiałe stały się jeszcze bardziej wypukłe, sinobrunatne i słychać było tylko jak Agata zaciąga się raz po raz dymem, głęboko coraz głębiej, a ciotka coraz głośniejsze, coraz bardziej sapiąco oddycha. Wreszcie - patrząc przekrwionym wzrokiem ciągle na tę piękną Agatę o oliwkoworóżowych policzkach, - tupnęła nagle nogą, aż Agata drgnęła a ciotka wyszeptwała świszcząc, przenikliwie: - Chcesz ściągnąć nieszczęście na siebie i na ten dom?! Nie dosyć ci jeszcze bałaganu? Masz męża? To wszystko przez ciebie! Przez cieeebiee!... wycharczała celując krzywym, biednym, reumatycznym palcem w powoli podnoszącą się z fotela piękną Agatę o

oliwkowosinych policzkach i coraz bardziej dzikich oczach, w których zaczynały grać piękne błyski, tak zachwycające błyski, że ciotki palec nieco opadł, opadał dalej w kierunku podłogi, aż zwisał zupełnie jak złamany drogowskaz.

A Agata wyprostowana na całą swoją wysokość przesywała ciotkę zapalonymi od środka oczami, które w następnej chwili eksplodowały wściekłością, czemu towarzyszył stłumiony bełkot oraz kopnięcie fotela z wikliny. Przekoziółkował z chrzęstem, uderzył w kredens rozdzwaniając kieliszki i to był ostatni dźwięk zapamiętany na długie miesiące niewidzenia Agaty przez ciotkę, dźwięk towarzyszący pęknięciu starego ciotczyńego serca, kiedy - nie mając żadnej pewności, absolutnie żadnej pewności, czy jej wyrok na tych dwojga młodych ludzi był godzien mądrej starej kobiety - stała w otwartym oknie na tle lasu, drogi i wypędzonej Agaty, niknącej razem ze swoim samochodem w tumanie kurzu. Wstrząsał nią suchy płacz. Później, chwytając się mebli, żeby nie upaść, poszła obudzić Adama.

Pogrzeb

Najpierw dał się słyszeć nad rozległym wąwozem daleki ni to jazgot, ni hałas. Raz cichł, raz znów przygnany silnym wiatrem od morza potężniał, wzbijał się z dna wąwozu i - zmieszany z podmuchami szkwału przyginał korony buków i grabów porastających stoki dwu wzniesień pociętych alejkami dwu przeciwległych cmentarzy. Szczyrzyły się one do siebie dwoma identycznymi bramami, gotowe naigrawać się chichotem żelaznych wieńców na grobach. Tych na lewym stoku góry bogato zdobionych krzyżami i tych na prawym - ascetycznie bezkrzyżych.

Owego dnia wiatr wiał z wyjątkową siłą w skali Beauforta, ale nawet najbardziej gwałtowny ruch powietrza nie był w stanie zagłuszyć dwóch orkiestr - grających jednego i tego samego marsza Chopina - na czele dwóch różnych konduktów idących równolegle, aleją od strony miasta w kierunku cmentarzy. Dwie grupy ludzi posuwały się tak szybko, jak tylko było możliwe.

Nagle kondukty ruszyły niemal równocześnie truchtem. Żałobnicy podwijali w pośpiechu poły płaszczy, muzycy obu orkiestr zaczęli haniebnie fałszować. Kakofonia dźwięków połączona z wyciem wichru rozdrażniała i tak już zawziętych na siebie uczestników obu ceremonii. Nie mogąc się nawzajem zatratować, pragnęli się chociaż wyprzedzić. Parli nosami naprzód, pod wiatr, który wykrzywiał im rysy. Nikt już nie rezygnował z walki, obie grupy parły łeb w łeb, klnąc bez żenady, gdyż wpadający w otwarte usta wicher i tak połykał słowa. Jedyne piekielne szczątki marszów Chopina górowały nad świstem powietrza.

Zawziętość orszaków rosła, lecz nie tylko wskutek rozdrażnienia. Przede wszystkim - gnała ich niepewność.

Ponieważ oba pogrzeby dotyczyły jednych i tych samych zwłok - nikt z obu ekip żałobnych nie był pewien, czy podąża za pełną trumną. Na szczęście ani jedna, ani druga ekipa nie kwapiła się do otwierania swojej trumny. Obie raczej zmierzały jak najszybciej do jednego celu: aby skrzynie bez przeszkód wpuścić do dołów, przysypać ziemią i aby każdy mógł odejść stąd raz na zawsze przekonany, iż właśnie w tym grobie, a nie w tamtym legło

ciało.

Że nieboszczyk Muka - jak przystało na wzorowego opiekuna personalnego - spoczął po latach ofiarnej pracy na cmentarzu komunalnym, wolnym od sakralnego szamaństwa, na postępowym, jasnym, prawym stoku wąwozu.

Że świętej pamięci nieboszczyk Muka - jak przystało na męża gospodarskiej córy, koronczarki, z dziada pradziada Kaszubki wyrosłej w oku folklorystycznego cyklonu - spoczął wreszcie po latach jakichś podejrzanych zajęć na uczciwym, chrześcijańskim cmentarzu, po lewej stronie wąwozu.

Choć właściwie nikt na pewno nie wiedział, czy zejście nastąpiło zgodnie z zasadą tego drugiego pochówku. Przebąkiwano, że Muka, w translukacji na tamten świat miał sobie pomóc pętlą z kabla mikrofonowego. Jednakże przeczył temu stanowczo akt zgonu, który mówił wyraźnie iż: „śmierć nastąpiła wskutek ataku serca spowodowanego silnym szokiem nerwowym”. I to brzmiało o wiele milej dla wszystkich.

Piękne dwa równoczesne pogrzeby wyprawiono Muce z dwóch powodów. Po pierwsze: naczelny postanowił nagrodzić okazałą uroczystością zasłużonego pracownika, do którego śmierci przyczynił się z całą ofiarnością. Po drugie: żonę Muki trawiła tak silna chęć zemsty na mężu za jego ofiarną pracę zawodową - że postanowiła urządzić mu głęboko chrześcijański pochówek.

Natomiast jak doszło do zamknięcia dwu trumien mogących zawierać tylko jedno ciało - nikt nie wiedział. Tajność osoby nieboszczyka za życia - tłumaczyła wiele. Choć nie wszystko... Lecz i o tę resztę szczegółów nikt nie ośmielił się zapytać, żeby nie uchodzić za czyjegoś agenta albo szpiega.

- Czy ten szatański wiatr nie mógłby wiać dopiero jutrooo?! - wywrzeszczał Robert w zakryte podniesionym kołnierzem ucho garbatego Ułana. Ułan spiorunował go wzrokiem, chciał coś odpowiedzieć, ale zakrztusił się wskutek podmuchu, biegł bowiem w zwartej kolumnie razem z koleżankami redaktorkami, redaktorami, technikami, montażystkami, księgowymi i strażnikami w pełnej gali. Naczelnym trzymał się tuż za karawanem, dokładniej: leciał, trzymając się kurczowo wieńca, z którego strzelały czarne wstęgi ze złotymi napisami: „Wdzięczni za dozór - koledzy” a również: „Śpij spokojnie - czujna załoga”. Naczelnym nie mogąc wydobyć już głosu - zachęcał do przyspieszenia kroku machaniem ręki, wymęczonej antymanicurem ręki, wyciągniętej wysoko nad łysą głową.

Nie na wiele się to zdało. Radiowy orszak gonił resztkami sił, zostawał w tyle. Nie umywał się do pogrzebników podążających obok, beładnie, lecz z chłopskim uporem, jak się należy, w czerni i w kant, reprezentujących rodzinną wieś ślubnej żony nieboszczyka. Ona

wyraźnie przewodziła swoim ziomkom, sprawdzając ich twardość czujnym okiem spod uniesionego na kapelusz żałobnego woalu. Była to kobieta szczupła, żylasta, o twarzy pogodnego kowala. Silne podmuchy wiatru jakby jej nie dotyczyły, robiła swoje z uporem i krzepiącą nadzieją na jak najszybsze zakopanie swojego nieudanego małżeństwa. Bo też i diabły nadali jej tego męża wyrodka-zakałę, który gdzieś się szwendał latami, dokładnie nie wiedziała gdzie, na żadne pytania nie odpowiadał, tylko patrzył wielkimi oczami, aż ciarki przechodziły po krzyżu, o co początkowo w pierwszych latach małżeństwa nie miała pretensji, wręcz czekała dniami i nocami na jego powrót z tajemniczych wyjazdów do miasta, żeby wreszcie na nią spojrzeć i przeszył wzrokiem jak ściegiem, od czego ona, hafciarka-koronczarka, pokrywała się na całym ciele czerwonymi wzorami, po których on lubił wodzić wargą, gdy rozdarłszy na niej kolejno i delikatnie - bo delikatny był - sztukę zgrzebnej bielizny po sztuce brał ją w korycie sieczkarni na przykład lub też w gnieździe bociana na dachu, kiedy razem naprawiali strzechę albo też na belce, co nad rzeczką zamiast mostka, szczególnie o zmroku, a tam - gdy się zbyt wahnęli, kończyli już miłość w wodzie, tak to na każdym kroku dążył on ku nowym rozwiązaniom, zwalczał tradycje, parł do postępu.

Od pierwszej chwili, kiedy na nią spojrział sarnimi oczami spod długich rzęs, a było to późną wiosną, gdy przyszedł do wsi dzielić pałacową ziemię i obdzielił także jej ojca, który - zacisnąwszy pierwszą własną pecynę ziemi w pięści legł tknięty radosnym paraliżem - wtedy coś jej szepnęło, że ten obcy do niej przynależeć będzie - mimo że nos miał za wielki a twarz wąską jak siekiere. Od tej chwili, kiedy parną nocą będąc w chałupie jej ojca na kwaterze, rzekł do niej - odzianej tylko w koszulę - głosem poważnym rzekł, nieznoszącym sprzeciwu: chodź... - wskazując strych ze sfermentowanym sianem, a w nią jakby piorun jasny, lecz mimo to wparła się stopami w spróchniałą podłogę i odrzekła szeptem, który mógł zabić: nieee... wtedy to z jego wytrzeszczonych oczu gazeli odgadła, że już go ma.

Ślub odbył się w kościele - bo ona tak chciała, ale w nocy - bo on tak postanowił. A ze strachu przed władzą swoją zwierzchnią, iż wyparł się niewiary - doprawił sobie na ślub wąsy i brodę. Nad ranem jedno i drugie odkleił i żyli szczęśliwie, gdyż chuć w niej długo tłumiona przez cnotę i kapitalizm, zadudniła teraz po wojnie rwącym ogniem.

Czekając na niego całymi dniami wyręczała ojca na roli, a wieczorami dziergała hafty oraz koronki. Ich szalone sploty i opętańcze z tęsknoty za mężem kolory wzbudziły wkrótce zdziwienie w województwie. Tak narodziła się jej koronczarska sława zamiast syna, którego próżno czekała.

Aż razu pewnego po latach dojeżdżania do pracy w mieście przyjechał znów pod wieczór i rzekł do żony:

- Czas nadszedł... trzeba świecić przykładem. Teraz oddamy tę ziemię, co ją namierzyłem twojemu ojcu. Chodź, zapiszemy się do spółdzielni.

Pot ją oblał od głowy do stóp, którymi wparła się w nową podłogę z żywicznych desek i patrząc mu prosto w żabie oczy odrzekła przez zęby: nie! I wtedy przeczuła, że coś się stanie. Lecz nie tak zaraz. Stało się dopiero, gdy wrócił do niej po miesiącu z jakiegoś kursu. Jak zwykle czekała, gdzie każe jej za sobą pójść, żeby ją wziąć, nie tradycyjnie w komorze, lecz gdzie indziej, postępowo. Jakoż dał znak głową, więc poszła za nim posłusznie aż do... komory. To ją zaniepokoiło trochę. A już zupełnie, kiedy zanim ją wziął, niczego na niej nie podał, jak zwykle, lecz dokładnie ją zrewidował. W kieszeni sukienki, za stanikiem - przy okazji zarekwirował szkaplerz, co go nosiła od komunii - pod pachami, na plecach, wzdłuż bioder, pod ciepłymi majtkami, gdyż zimna jesień była. A później dopiero ją wziął. Na łóżku. Nie, na takie świństwo nie była przygotowana. Wstała, splunęła mu pod nogi i odtąd jakby pajęczyna między nimi zawisła. On stał się jeszcze bardziej podejrzliwy, przeprowadzał coraz częstsze rewizje w domu, w oborze, sondował gnojownik, jedzenie sprawdzał na chorym ojcu, węszył, czy czegoś w pomieszczeniach nie rozpyła, czy u powały coś nie wisi, ukradkiem kopał pod progami. Na dobre posądzają ją, córkę biedniaka o knowania przeciwko sobie.

Z biegiem czasu rozgorzał między nimi jasny płomień antagonizmu. Spędzili przy tym ognisku domowym kilka lat, aż dopiero teraz przyszło dla niej wyzwolenie, więc ponaglała wsiowych, żeby już prędzej na cmentarzu, w dole poświęconym jak się należy położyć, krzyżem przebić na wieki wieków i amen.

Wichura wzmogła się, obie orkiestry dawno umilkły, ten i ów z muzykantów wiejskich zbaczał z alei i kryjąc instrument pod połą, gnał na przełaj z wiatrem ku miastu, choć zgrzyt bram cmentarzy już był bliski. Całe szczęście, bo oba konduktory - wiejski przed miejskim o rzut kamieniem - wyglądały niczym dwa stada kulawych sępów. Rozwiane skrzydła płaszczy, ubrań, chust tworzyły czarne tło dla sinobiałych twarzy wykrzywionych walką z pędzącymi kłębam powietrza.

Z żałobników radiowych nikt się nie wyłamywał, a to głównie ze strachu przed zastępcą naczelnego - Drągiem, jadącym daleko w tyle służbową warszawą. Dlaczego jechał w takiej odległości i czemu sam prowadził a nie kierowca - znów było tylko służbową tajemnicą, choć skurczony pod swoim garbem Ułan snuł pewne domysły. Orszak właśnie stanął, gdyż czoło przeciskało się już przez bramę.

- Prawdopodobnie jedzie, żeby nie iść - krzyknął Ułan w stronę pani Kiry.

- Co też pan... nawet w takich okolicznościach?! - jęknęła kobieta, powlokła się pod

mur, przysiadła na taczce porzuconej przez grabarzy. Pogrzebowy maraton dał jej się szczególnie we znaki.

- Tani sentymentalizm niejednego zaprowadził do nekrofilii - rzekł Ułan, po czym zaszczeakał chrupkim kaszlem. Pani Kira machnęła ręką, zabrakło jej sił na Ułana, wygodnie odpoczywała w taczce uwalanej gliną. Kilka innych koleżanek również podpierało mur, ciężko dysząc po forsownym biegu. Co bardziej cherlawi koledzy zaciągali się łapczywie dymem, osłaniając papierosy od wichru drżącymi dłońmi.

Robert podtrzymywał pod ramię Romana, który już podczas drogi ledwie ciągnął nogami, ale chciał iść. Drugie jego ramię podpierał Adam.

- Dzięk... ęku... uję wam zzza ostatnią przysługę - Roman pokazał rzadkie zęby.

Robert odgarnął sobie z twarzy jakąś gazetę, którą przywiał z cmentarza nowy podmuch. - A propos denata... - rzekł pogodnie - Muke zabito w tyłu trumnach, że nie zdziwiłbym się, gdyby nagle podszedł do mnie i poprosił o ogień.

Temu i owemu z palących spadł w błoto słupek popiołu.

- Nie radzę - szturchnął Roberta w ramię piękny brunet zwany Wanem. I dodał konspiracyjnie: - Takie gadanie może kolegę drogo kosztować. O nim nie radzę w ogóle ani słowa...

Rzeczywiście, wśród znanych z widzenia twarzy pojawiały się tu i ówdzie raczej nieznane. A może tylko zmienione walką z wiatrem? Wysłannicy z tamtego cmentarza, czy co?

- O jakim nieboszczyku pan mówi? - dopytywał się cierpliwie Ułan. - Przecież i tak nie mamy o czym. To raczej chrześcijanie mają go w swoich szponach.

- Nie wiem, o co chodzi - przystojny Wapo wyciągnął szyję ruchem indyczki i uciekł między nagrobki. Z tamtej strony wiatr niósł strzępy przemówienia naczelnego. Adam odwrócił się w kierunku cmentarza chrześcijańskiego, skąd dochodziły strzeliste pienia, gdy nagle ktoś wymownie ścisnął mu ramię. Drąg. Twarz trudna do poznania. Policzki upstrzone różowymi plamami, czujne oczy zwierzęcia.

- ...panie kole... - raptowny kaprys huraganu cofnął jego twarz. Adam odruchowo osłonił sobą małego zwierchnika, ten podziękował mu wzrokiem.

- Coś się stało?

- Ja błagam... - szeptał przejmująco Drąg. - Natychmiast.... siadajcie kolego do naszego samochodu... tam stoi... tu macie kartę rejestracyjną, kluczyki... - wsunął Adamowi do kieszeni - i jedźcie, jedźcie zanim... - przerwał nagle, patrzył nieruchomo w jakiś punkt. Adam poszedł za jego wzrokiem.

Na drodze, w pewnej odległości od nich, stał duży czarny, elegancki chevrolet zwany demokratką. Szum drzew musiał zagłuszyć jego przyjazd. Z wnętrza wysiadał właśnie mężczyzna w skórzanej płaszczu. Ruszył w ich kierunku. Adam poznał go: człowiek z salonki. Policzki Drąga zbladły, podbródek zaczął mu się trząść, wykonał skręt ciałem, nie wiadomo, czy chciał uciekać, czy wyjść tamtemu na spotkanie. Ale został na miejscu. Mężczyzna zbliżył się, kiwnął zdawkowo głową, minął ich bez słowa, wszedł w bramę i skierował się w głąb cmentarza ku miejscu ceremonii. Drąg wodził za nim wzrokiem. Kiedy tamtego zakryły tuje - wychrypiął:

- Jezus Maria... po co tu Puklak?

Po tych słowach drgnął, jakby go zniemacka przełączono na inną częstotliwość, twarz przyoblekł w sztuczny śmieszek - i patrząc Adamowi prosto w twarz, mówił półgłosem, lecz wyraźnie, żeby przebić się przez szum gałęzi.

- Nie wykonujcie żadnych raptownych ruchów, kolego Adamie, obserwuj nas jego kierowca, proszę, zachowajcie martwą twarz również po tym, co wam powiem dalej, uwaga, jak skończę, podejście powoli do samochodu, którym ja przyjechałem i odjedziecie, dokąd uznacie za stosowne... - zrobił pauzę, czoło przecięła mu gruba zmarszczka - ...Albo nie, wsiądźcie i poczekajcie, aż odjedzie Puklak, wtedy dopiero ruszycie... - przeczekał wściekły łomot blaszanych wieńców na grobach.

- Adamie! - ciągnął. - Mamy do was bezgraniczne zaufanie, osobiście nie jestem pewien kim jesteście, ale że kimś, to na pewno. Żadne dochodzenie redakcyjne nie zdołało ustalić, kto za wami stoi, tym gorzej dla nas... dobrze dobrze, już kończę. W imieniu... to znaczy... powierzam wam ważną misję, wiem że ją wykonacie z godnością. Otóż... z ciałem denata były kłopoty. Oni - nieznacznie wskazał brodą przeciwległe wzgórze cmentarne - o włos byliby przechwycili zwłoki, do tego nie mogliśmy dopuścić i nie dopuściliśmy! Ale... nie udało się już złożyć ich w naszej trumnie. Są tam, w bagażniku, porządnie owinięte w sztandar, nieboszczyk zasłużył na to, oraz w impregnowany worek po cebuli dla wykluczenia niepotrzebnych domysłów. Załączyliśmy też łopatę. To tyle. Do was należy teraz ukoronowanie naszego zwycięstwa w walce o ciało. Pochowajcie je, gdzie uważacie, byle... kamień w wodę. Rozumiemy się? Zaznaczam, że polecenie to przekazuję wam w imieniu góry!... - uchylił kapelusza. Chciał odejść.

- Jakiej góry? - zapytał Adam, ponieważ nie wiedział.

- Co, nie wiecie?! - Drąg zatrzymał się w półobrocie.

- Nie.

- Jak to?! Niemożliwe!!!

- Naprawdę nie wiem.

- A to przepraszam, rozumiem... - uniósł obie ręce ruchem dziecka lub człowieka trzymanego na muszce, wreszcie wybuchnął: - Co ja wam takiego zrobiłem, że wy ze mnie ciągle strugacie wariata! To koszarne! Koszarne...! - jęczał rozpaczliwie, uciekając do grobu Muki. Nie zwrócił nawet uwagi, że zerwało mu z głowy kapelusz, który toczył się w przeciwną stronę szeroką aleją międzycmentarną. Toczył się coraz dalej i dalej, podskakiwał wesoło jak spuszczone ze smyczy kundel.

Adam znalazł się w samochodzie stojącym na uboczu. Usiadł i czekał. Miał dobrą widoczność na obie bramy. Włożył kluczyk w stacyjkę. Przepowiedział sobie kolejność czynności uruchomienia silnika - nie prowadził bowiem od egzaminu. Raptem dostał dreszczy. O metr za jego plecami leżał zawinięty w rulon nieludzki już w tej chwili opiekun personalny. Wkrótce trzeba będzie dotknąć jego sztywności.

W ustach poczuł smak migdałów - to nadciągał strach. Rozchodził się równomiernie - rozkosznie niemal - po wszystkich członkach. Adam trząsał się za kierownicą nie tyle z tego strachu, ile z pewności - tak, teraz już z absolutnej pewności - że ktoś konkretny lub jakiś ośrodek zaprogramował jego udział w tej ohydnej komedii.

Jeszcze kilka minut temu był normalnym, szarym obywatelem. Mimo wszystko - szarym, zwykłym. Z chwilą zajęcia miejsca za tą kierownicą - stał się współprzestępcą. W najlepszym wypadku.

Wyjść i uciec?

A jeżeli kierowca Puklaka obserwuje?

Jak to się stało, że posłusznie wykonał polecenie Drağa? Bez najmniejszego sprzeciwu, bez słowa dyskusji, bez chwili zastanowienia? Czy to nie najlepszy dowód, iż jest panem swojej woli? Tylko wariat zgodziłby się współuczestniczyć w brudnej aferze, jeżeli za odmowę nie grożą żadne sankcje. Bo cóż mogło mu grozić? To raczej Drağ i naczelny powinni się bać. Wszyscy, którzy maczali palce w sprawie Muki, którzy go zaszczyli, mogą mieć powody do strachu - ale nie on, do diabła!

Uwaga!

Brama cmentarna z przeciwka ożywa - wychodzą chrześcijanie. Idą grupkami, poważni, po wiejsku godni, milczący. Zaledwie ten i ów zerknie ukradkiem w stronę konkurencyjnej bramy, skąd chyba wiatr niesie jeszcze ciągle strzępy pożegnalnego przemówienia naczelnego. Coś długo mu schodzi... Litania pochwał nieboszczyka musi zrównoważyć winy jego prześladowcy. Objaw typowy - aż do rozpacz. I rozpaczliwie nudny.

Kropka jak gdyby majaczy w oddali...? Czy co?...

W perspektywie szerokiej drogi na dnie wąwozu - jakiś punkcik.

To nie może być żaden z katolików, bo katolicy syci porządnej, bogobojnej ceremonii, gnani prądami powietrza w plecy - pomykają promenadą cmentarną ku miastu, maleją w oczach. A kropka powoli rośnie. Obok kropki daje się zauważyć kreska. Kiedy wiatr słabnie, kropka łączy się z kreską - razem rosna w oczach.

Ktoś tam daleko - borykając się z nawałą - jedzie na rowerze. Zsiada, znów jedzie, przytrzymuje czapkę. Zbliża się. Zsiadł. Idzie prowadząc rower wprost w kierunku warszawy Adama. Adamowi jeżą się włosy, czuje to wyraźnie, chciałby zjechać z siedzenia pod kierownicę, ale nie robi tego ze strachu, że tamten widział go - zamiera więc wpatrzony w cyklistę. Wzrostu średniego on jest, okulary, wygląd twarzy średni i tak też ubrany.

Zatrzymuje się w pewnej odległości, przygląda się...

Skreca w bok... odchodzi w kierunku tamtego samochodu... nieporównanie śliczniejszego od warszawy - staje blisko, przygląda mu się dokładnie. Chyba sprawdza numer rejestracyjny... czyni to ostentacyjnie, niespieszony, że kierowca Puklaka również ostentacyjnie opuszcza szybę w oknie, wyklada na zewnątrz łokieć, spoglądając ostentacyjnie w dal z tak silnym ładunkiem obojętności, iż dal ta powinna by od tego zniknąć.

Cóż za symfonia ostentacji na dwóch solistów.

Adam zapomina na moment o strachu - patrzy w zdumieniu na rowerzystę, który robi wrażenie idioty, nie wie przed czym wozem ośmielił się stanąć bez elementarnych oznak czci, a choćby i pozorów lęku?!

Nie dosyć na tym! Rowerzysta w karygodny sposób oparł się swobodnie o kierownicę swego nędznego roweru - na wyciągnięcie ręki od pełnego treści i tajemnic doniosłego samochodu - i gapi się na kierowcę jak na kierowcę, a nie jak na o s o b ę t o w a r z y s z ą c ą !

Z bramy wysypują się koledzy, koleżanki, technicy, inżynierowie, administracyjni - cały zespół. Adam teraz dopiero zjeżdża z siedzenia na podłogę. Od uciekających z cmentarza - bo oni uciekają, zziębnięci, zmaltretowani, biegną grupkami z wiatrem w stronę miasta - dzieli go kilkadziesiąt metrów. Każdy mógłby warszawę dostrzec na poboczu, lecz nikt się do tego nie kwapi, mając przed sobą prostą, szeroką drogę powrotną.

On ich widzi jak na dłoni - zza opuszczonej szyby - widzi też rowerzystę, który nadal ostentacyjnie stoi obok samochodu Puklaka...

O, teraz wychodzi i on sam z bramy, za nim drepczą na ugiętych nogach Drąg z naczelnym... Do Puklaka podchodzi nagle rowerzysta... wręcza mu jakiś papier, Puklak

bierze, czyta, czyta... tamci dwaj z uszanowaniem w tle... Puklak przeczytał... macha kartką przed nosem rowerzysty, który stoi, ostentacyjnie patrząc w dal z taką siłą, jakby mu nikt niczym przed niczym nie machał.

Co to?!

Adam jedzie nosem po szybie coraz wyżej, widzi coś, co go przeraża, zdumiewa, oburza, resztką rezerwowej świadomości wolnej od tych trzech uczuć dokonuje nagle odkrycia, iż w zasięgu jego wzroku Coś Się Dzieje Wielkiego, Coś Umiera A Coś Się Rodzi na tym placu międzycmentarnym, bo oto rowerzysta - szary, średni na wskroś... odsuwa?... tak! Odsuwa, przesuwa, usuwa z drogi jednym swoim palcem Puklaka, który... pozwala się odsunąć, ustępuje z drogi... mało! Pozwala wsiąść rowerzysty do własnej limuzyny... Na tylne siedzenie...

- Oj...

Teraz cyklista - zza szyby - wskazuje coś swoim palcem Puklakowi... - Adam postanawia zapamiętać ten palec zaledwie widoczny w zarysach z tej odległości...

...Rower!

...rower mu wskazuje - z nieukrywana, radosną ostentacją - rower oparty o mur cmentarny, a Puklak posłusznie podchodzi do roweru i ujmuje kierownicę w swoje władcze ręce...

...kierownicę r o w e r u !

Drag i naczelny straciwszy już zupełnie rozeznanie, skąd wiatr wieje - a przecież wiał wyraźnie od strony cmentarza komunalnego, aż im nosy wykręcało - przedeptują z nogi na nogę, nie wiedząc, czy jeszcze wypada podsadzić Puklaka na ten rower, czy już raczej - na razie bez ostentacji - ot, tak sobie spuścić mu powietrze z dętki.

A rowerzysta odjeżdża! Szofer rusza ostro, ostro. Zrywem. Już czuje, że trzeba pokazać się nowemu szefowi z najlepszej strony. Wóz przemknął z wizgiem tuż, tuż przed Adamem... maleje w oczach. Znów tylko kropka.

Ale jakby tłustsza od tamtej.

I Adam nie czekając już na nic, przekręca kluczyk, budzi silnik do skoku, samochód szarpie, zarzuca, Adam kręci kierownicą, wóz posłusznie zarzuca w drugą stronę, półobrót kierownicy prostuje kierunek jazdy. Nie zmieniając biegu (pierwszy? drugi?), zarykując wicherę - gna przed siebie byle dalej od tamtych trzech, nie widząc nic prócz znikającej kropki na horyzoncie, nie czując nic prócz rozkoszy ogarniającego go znów aksamitnego strachu.

Nie potrafił uciec gdzie indziej ze zrolowanym w bagażniku Muką. Długo kluczył po

wydmach i łąkach, wjeżdżał do lasków - wszędzie czuł zagrożenie kłuszące wnętrzności.

Silnik dymił z przeciążenia, charczał. Lewy tylny resor dobijał z hukiem na wybojach. Wreszcie - pierwsze zarośla plaży. Dojechał w to miejsce poddawszy się swojemu instynktowi, który doprowadził go nieomylnie do grobu kota - kułaka.

Zupełnie nie kojarzył tamtego zdarzenia z dzisiejszym, działał jak w transie. Świadomość płynęła migdałowym korytem lęku w jednym kierunku: do dołu w którym miał zakopać Mukę.

Poza tym była w Adamie tylko pustka i mrok.

Podobna zresztą jak na zewnątrz - nie licząc krzaków i łoskotu, którym wybuchało co chwilę pobliskie morze. Masy powietrza odbite od wściekłych zwałów wody wpadały przez uszy do czaszki i rozwibrowywały jej zawartość.

Szpadłem znalezionym na tylnym siedzeniu pod kocem gorączkowo pogłębiał naturalną kotlinę w piachu. Pracę przerywał często - mięśnie ramion i pleców zdawały się pękać po każdym sztychu. Ledwie obejmował palcami trzonek. Wbił zęby w wargę z bezsilnej wściekłości. Smak krwi, soli i strachu rozjuszył go jeszcze bardziej. Obudził w nim mordercę.

Ale przecież - zreflektował się nagle - to było niewątpliwie celem tych, którzy go tutaj zdalnie skierowali!

Lecz mimo tego odkrycia - z podniecającą lojalnością, a nawet z rozkoszą ocierającą się o perwersję - pozwolił panoszyć się zbrodniczym myślom. Żałował przeto, że sam własnoręcznie nie zarznął Muki, gotów był to teraz zrobić bez mrugnięcia okiem, a przynajmniej poćwiartować go tym szpadłem. Za strach... za bezmiar strachu, za kłamstwa, za umarłą miłość, za fałsz...

Ścisnął trzonek szpadla, w porządku, palce nabrały mocy, ruszył wielkimi krokami w stronę samochodu zaparkowanego w krzakach. Odczuwał mrowienie w kręgosłupie, swędzenie ciała.

Dopał garbatej warszawy, szarpnął z furią za klamkę bagażnika zaokrąglonego jak odwłok i - nie napotkawszy oporu, zatoczył się na piasek. Pokrywa luźno opadła i znów lekko podskoczyła, zamek musiał puścić na wybojach. Błyskawicznym ruchem uniósł pokrywę, podparł jedną ręką a drugą macał gorączkowo we wnętrzu. Chwyciły go dreszcze.

Bagażnik był pusty.

Pierwsza spłynęła na niego radość, że los odebrał mu ofiarę. Dopiero po niej, nowa, najsilniejsza z dotychczas przeżytych - fala strachu. Poderwała go do biegu po śladach opon, wstecz, tam gdzie mógł być zgubić truchło. Biegł nachylony nad koleinami, bo piasek między

kępami traw brązował już w mroku. Biegł - krztusząc się własnym oddechem i nadzieją, iż może któraś ze skłóconych frakcji zdołała drugiej ukraść Mukę i potajemnie zamknąć w swojej trumnie.

Kluczył wśród zagajników, wykrotów - raptem bez żadnej przyczyny zawrócił. Noga za nogą skierował się w stronę, skąd szedł mu na spotkanie najpiękniejszy z hałasów na świecie - hałas morza.

Zagłuszył wszystko.

Krzywy samochód podparty z jednej strony wydumą - odnalazł zmysłem lunatyka. Ostatnim półświadomym gestem zatrzasnął za sobą drzwi kabiny. Na siedzenie zwałił się już bez czucia.

Obudziła go cisza i światło w oczy. Potrząsnął głową, oprzytomniał w jednej chwili. Przed nim, za szybą samochodu - płasko leżało morze. Rozbłyskiwało całą przepyszną tandetą, na jaką je było stać. A na morzu, niedaleko, leżało słońce. Jeszcze niezbyt okrągłe, niezbyt gotowe do drogi - a już złote, świeże, aż żal ścisnąć gardło, że wieczorem zajdzie.

To samo słońce grzeje teraz wuja w plecy.

Wyszedł z wozu, zagapił się na ten pokaz ciszy i światła czyli przewrotności natury. Szczególnie po wczorajszym - bez sensu - rwetesie w powietrzu.

Wsiąkała w niego ta jasna cisza do samych pięt.

Jak to się stało - że nie stało się nic? Po tym wszystkim?

Nic.

Cicho i jasno.

Wyszedł z wozu, skierował się ku brzegowi.

A jednak coś jakby... w powietrzu... albo coś z płucami... Ciśnienie? Wilgotność? Lżej oddychać?

Nagle posłyszał kroki na piasku. Drgnął.

Też nic. To jego własne kroki.

Przystanął. Zapatrzył się w morze.

Morze jest zawsze. Woda. Słońce też już oglądał nie raz, nie dwa, leżąc na wodzie podczas wschodu.

Zwróciła jego uwagę biała plama na tle zieleni krzaków. Dziewczynka z kotkiem pod pachą?

Co - jeszcze ona?

Dziewczynka w białej sukience, skacze z nóżki na nóżkę, warkoczyki blond podskakują wokół główki, uroczo. W lansadach biegnie prosto na Adama. Dotąd tego nie robiła, zawsze gdzieś chyłkiem-boczką, krzakami. A dziś wprost. Zatrzymała się w oddali, no. Daje znaki, wskazuje palcem kotka. Nagle - wyjmując go spod pachy i silnym wymachem wątego ramionka rzuca go w stronę przydrożnych krzaków. Kotek koziołkuje w powietrzu, znika w zieleni gałązek. Dziewczynka macha Adamowi rączką, zawraca, oddala się w podskokach, w płasach, jeszcze czubki ziół się chwieją, jeszcze bielą w trawach błyska...

Co to ma znaczyć?

Halucynacja. Chora wyobraźnia. Czegoś takiego nie było i nie ma.

A jeżeli...? Nigdy nic nie wiadomo. Gdyby sprawdzić, dotknąć, raz wreszcie dotknąć, upewnić się i gdyby rzeczywiście, to wtedy można by go zakopać, udeptać, udeptać, przywalić kamieniami. I spokój.

Poszedł piaszczystą drogą w tamtym kierunku. Powoli, coraz wolniej. Znow chwyciły go dreszcze. Czuł się podobnie jak wtedy u Marty, kiedy wrócił po klucze i natknął się na królika.

Szedł, ledwo poruszał nogami. A może lepiej nie?

Stanął.

Czemu nie? Raz wreszcie będzie spokój.

Cisza i jasność.

Ruszył biegiem, nie było daleko i tuż koło drogi, gdzie wczoraj cofał wozem. Gorączkowo rozchylił gałęzie. Zamarł. Zaczął drętwieć od stóp, widok odebrał mu zdolność poruszania się.

W krzakach leżał podłużny, duży zwój opakowany w brezent, okręcony gęsto linką.

Drgnął, bo coś pacnęło mu o głowę. Machinalnie spojrzął w górę i zobaczył wysoko lecące stado mew. Zawrócił w stronę plaży, zszedł aż do samej wody, umył sobie czoło, długo mył twarz.

- Na dobrą wróżbę - pomyślał, westchnął głośno: - Wuju...

Niespodziewanie wstrząsnął nim krótki, suchy szloch.